

JONATHAN WYLLIE

ZNISZCZONA ZIEMIA Księga III

WIEK CHAOSU



Fantasy

WYLIE JONATHAN

**Zniszczona ziemia #3 Wiek
chaosu**

JONATHAN WYLIE

Zniszczona Ziemia

Księga III

Przełożył Jacek Kozerski

Tytuł oryginału THE AGE OF CHAOS

Amber 1994

(Dla JM...)

Miłości moja, dla niczego mniejszego niż ty

Nie przerwałbym tego szczęśliwego snu.

To był obraz

Rzeczywisty, daleki od płytkiej fantazji,

Przeto musiałabyś budzić mnie mądrze; jednak

Mój sen trwałby dalej, a ja w nim.

–John Donne (Sen)

Wydarzenia opisane w tomie I i II...

Czternaście lat po Zniszczeniu, które sprawiło, że Kai przestał wierzyć w maga jako siłę naturalną, jego ukochana uczennica Gemma wyruszyła na południe, powodowana niejasnym imperatywem, który zawiódł ją do niedawno odkrytego Południowego Kontynentu. Tam przed samotną śmiercią uratował ją Arden, sceptyczny młody awanturnik, który pomaga jej, lecz drwi z jej przekonań.

W świecie, w którym istnieją alternatywne rzeczywistości, gdzie latające miasta przemykają nocą przez obozowiska, a pustynne piaski syrenim śpiewem wabią podróżnych, Gemma i Arden wykorzystują swe niezwykle zdolności, by uratować dziwną i piękną Dolinę Poznania przed suszą i zniszczeniem. Lecz płacą za to wysoką cenę -Zostają okrutnie rozdzieleni.

Gemma musi teraz zdecydować, w jaki sposób może najlepiej wykorzystać swoją niepewną magię. Wie o różnych przyszłościach, które mogą zaistnieć w jej świecie, i wie też, że władza Gildii Wielkiego Nowego Portu musi być obalona – nie istnieje inna alternatywa. Nawiedzają ją powtarzające się sny o Ardenie przebywającym w dziwnej, mrocznej krainie.

Tymczasem Arden, uratowany przez mieszkańców Mrocznego Królestwa, zostaje wciągnięty w wir rewolucji i walczy, by uratować kraj przed skażeniem i tyranią. Zmagając się z przeciwnościami, Gemma i Arden starają się odnaleźć sens w tym szalonym świecie – i spotkać się ponownie. Razem odkrywają, że chociaż magia wciąż żyje, to jej pozostałości i sposób ich wykorzystywania, są przerażająco groźne.

(Wszystkie postaci występujące w tej książce są fikcyjne i jakiegokolwiek ich podobieństwo do prawdziwych osób żyjących lub zmarłych jest czysto przypadkowe.)

Część pierwsza Wędrowcy

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Stalowa podłoga, rozciągająca się setki łokci poniżej wąskiego przejścia, na którym stał, była dobrze widoczna. A jednak nie widział jej. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w swoją lewą rękę; zajmowała całą jego uwagę.

Moja ręka. Jeśli jej kaze, poruszy się. Spróbował rozwierając palce, a potem odwrócił rękę tak, że mógł spojrzeć na dłoń. Pot lśnił na delikatnych wzgórkach i zwojach, które znaczyły skórę.

Moja ręka. Sprawiała wrażenie miękkiej i wrażliwej. *Ludzkiej.* Zadrzał na tę myśl, poddając się ogarniającym go falom niepokoju.

Spojrzał na pasek metalu, w którym na zawsze zamknięto jego nadgarstek. Widniało tam jego imię, wypisane pod nieustannie błyskającą tabliczką, wskazującą pozycję właściciela bransolety

na siatce współrzędnych. Bransoleta sprawiała, że Centrum zawsze wiedziało, gdzie on jest, i w każdej chwili mogło przesłać mu dowolne polecenie, nakazując natychmiastowe posłuszeństwo. Małeńkie czerwone światełko nad tabliczką potwierdzało, że wszystko działa prawidłowo. Wszystko było dokładnie tak, jak powinno być.

A jednak ta pewność przyniosła mu tylko chwilową ulgę. Gdy wpatrywał się w linie na swej dłoni, opadły go straszliwe wątpliwości.

K207M - pomyślał, ponownie spoglądając na metalową taśmę. To moje imię.

Skądś, z jakiejś odległej przeszłości, powróciło wspomnienie.

Miałem na imię Ardath. Nie!

Wpatrywał się w znaki wyryte na bransolecie, powtarzając swój numer wciąż i wciąż bez końca, we wściekłym, pełnym trwogi zaprzeczeniu ogarniających go myśli.

K207M. To moje imię. Moje miejsce w sieci. K207M. To moje imię...

Litania straciła rytm. Nic to nie dawało – w strukturze jego egzystencji powstało nagle jakieś pęknięcie, rosło, zagrażając rozpadem całej budowli. Wzdrygnął się, a potem oderwał wzrok od zdradzieckiej ręki i rozejrzał się wokół.

Wszędzie metal: żelazo, stal, ołów i jeszcze inne, których nie potrafił nazwać. Poziom K należał do niższych klas sieci; nauczono go paru rzeczy z zakresu metalurgii, i niczego, jeśli chodzi o tajemnice mocy. Działał w obrębie Sekcji Łączności, ogromnej, wielopoziomowej grupy, której złożona struktura i hierarchia przekraczały możliwości

jego zrozumienia. Po prostu robił to, co mu kazano. I to mu wystarczało – aż do teraz.

Wodził wzrokiem po plątaniu rur i dźwigarów, prętów zbrojeniowych i spiral, jak gdyby widział to wszystko po raz pierwszy w życiu. Moc tętniła w wielkim stalowym labiryncie, powietrze drżało od energii, wibrującej energii, a z niewidocznych głębi unosiły się strugi żaru. Jaskrawe światła błyskały i gasły na błękitno-białych płytach, które umieszczono wzdłuż wewnętrznych przejść i na stropie wysoko w górze. Pod nim otwierała się studnia-szyb, jedna z wielu w tym gigantycznym kompleksie. Przejście, na którym stał, cieniutkie pasemko stali, rozpięte na ziejącym pustką wielopiętrowym szybie, łączyło dwa jego brzegi na dwóch trzecich wysokości.

K207M przechodził przez ten pomost, nie zliczyłby ile razy, podczas swych nieskończonych wędrówek wewnątrz kompleksu. Nigdy nie odczuwał żadnego strachu i nawet nie zdawał sobie sprawy z otaczającej go z obu stron zawrotnej otchłani. Most był zaledwie częścią wyznaczonej trasy, wybranej dla niego w sieci odpowiednio do zleconego mu zadania. Nigdy wcześniej nie zatrzymywał się, aby rozejrzeć się wokół siebie.

W oddali, w górze i na dole, mężczyźni i kobiety zajmowali się swoimi sprawami, rojąc się jak małe owady w gigantycznym, metalowym ulu. Widok ich pracowitości, pewności i oczywistego zadowolenia sprawił, że poczuł się rozpaczliwie samotny.

Dlaczego nie mogę być taki jak oni? Nie chcę widzieć świata inaczej! Jego dłonie zacisnęły się kurczowo na balustradzie, po obu stronach mostu. Strach i oszołomienie wezbrały w nim, zamknął oczy, próbując się odciąć od tego dalekiego teraz świata.

Ale jego myśli nie dały się tak łatwo stłumić. Był sam, zawieszony w powietrzu, pośrodku kompleksu, który stanowił zaledwie jedną małą część miasta będącego dlań całą rzeczywistością.

To nie zawsze było całym moim światem.

Ta myśl powstała w jego mózgu nieproszona i niechciana. Wywołała natłok bezsensownych obrazów. Skulił się pod ich ciężarem i poczuł, jak przewiewa go zimny wiatr, zrywający ostatnie ciepłe strzępy chroniącego go puklerza. *Przybyłem z daleka.*

Wspomniał długą, męczącą podróż ze swego domu do tego dziwnego miejsca na południu, radość i poczucie więzi łączącej go z innymi, którzy też zostali wezwani. Przypomnił sobie pieśń dźwięcząca w uszach każdego z nich, rozbrzmiewająca we wszystkich sercach i przybliżająca ich coraz bliżej do celu. Jeszcze raz zobaczył przybycie swojej grupy do pierwocin miasta, i późniejsze badania. Jak wielki był wówczas ich

entuzjazm!

Bariery w jego umyśle runęły; czuł, jak się rozpadają, niszcząc zapory, przez które wdarła się groza.

Początkowo ich praca była prosta; realizacja projektów masywnych budowli nadzorowana przez niewielką grupę mężczyzn i kobiet, elitę, która mogła porozumiewać się z Wielkim Przywódcą, którą ten wtajemniczył w swe plany i zamierzenia. Jednak Ardath i jego towarzysze z radością wykonywali ciężką pracę i byli szczęśliwi, widząc, w jak niewiarygodnym tempie rozrasta się miasto. Sieć stała się uniwersalnym systemem dowodzenia, wskazującym każdemu jego miejsce w wielkim projekcie. Żaden z robotników nie mógł nawet marzyć o zrozumieniu całego planu, lecz wiedział o ogromnych postępach. Tak mówił im Wielki Przywódca. Niemal codziennie ogłaszał nowe odkrycia – cuda medycyny, nowe uprawy żywności, coraz bardziej wyrafinowane technologie – to wszystko stało się wkrótce czymś naturalnym. Mówiono również, że konstruowana jest potężna broń, tak by plany Wielkiego Przywódcy mogły ogarnąć bez przeszkód cały świat.

Potem zaczęły się problemy. Kilku towarzyszy Ardatha zachorowało i zniknęło bez śladu. Zdołał się tylko dowiedzieć, że są “na leczeniu”. Nigdy ich już więcej nie zobaczył.

Potężna eksplozja rozerwała na strzępy część miasta, a to oznaczało miesiące ciężkiej pracy

przy naprawie zniszczonego sektora. Wielu z tych, którzy brali udział w odbudowie, zachorowało, i oni również zniknęli.

K207M otworzył oczy i ponownie spojrzął na metalowy pasek zamykający jego nadgarstek.

Bransolety namiarowe wprowadzono wkrótce po wybuchu. Początkowo mówiono, że to środki bezpieczeństwa, mieli ich używać tylko ci, którzy stanowili potencjalne niebezpieczeństwo dla miasta i jego mieszkańców. Szybko jednak okazało się, że Centrum chce, by nosili je wszyscy, dla swojego własnego “bezpieczeństwa”. Niewielu się sprzeciwiło, lecz nawet oponenti musieli się wkrótce dostosować.

Ale to teraz nie działa!

K207M patrzył uparcie na metalową obrączkę. Poczł mdłości, wiedząc, że dzieje się coś bardzo złego; nie chciał niczego więcej niż wrócić do kokonu ciepła i zadowolenia,

który stłumiłby ten strumień niechcianej wiedzy.

Dlaczego?

Wzory na błyskającej tabliczce zmieniły się nagle, domagając się jego uwagi i kwestionując obecne zachowanie.

Zbyt długo się nie poruszałem, pomyślał zrozpaczony. Centrum mnie znalazło. Ogarnął go paniczny strach. To, co powinno dawać mu poczucie bezpieczeństwa, było teraz źródłem strachu. Próbował ukryć swoje myśli, schować je, jak gdyby zdradzieckie wspomnienia można było wykreślić prostym aktem woli.

Ale nie udało się. Tama została przerwana, a on nie miał sił, by przeciwstawić się zalewającemu go potokowi.

Pamiętał, że stało się coś nowego po dopasowaniu bransolet. Coś straszego.

Brzęczyk wstrząsnął nim. Ostry, natrętny dźwięk z bransolety na jego nadgarstku. Spojrzął na nią bezmyślnie, a potem jego oczy zarejestrowały jakiś ruch na końcu przejścia i uniósł wzrok.

Gromadzili się tam Nieludzie. Wpatrywali się w niego niewidocznymi oczyma, osadzonymi głęboko w stalowych maskach.

Ardath poczuł gwałtowną niechęć; ponownie spojrzął na swoją rękę, widząc ją przez chwilę z nieznośną wyrazistością. Mógł zobaczyć każdy pojedynczy włos, każdą małą zmarszczkę; jego paznokcie odbijały promienie światła, a przez skórę prześwitywały mięśnie, kości i krew.

Nic wokół niego nie miało już sensu. Numer na jego bransolecie nic nie znaczył. *Ukradli moją duszę.*

Wolno, bojaźliwie, uniósł rękę. Miękkie, wrażliwe palce badały miejsce, gdzie kiedyś była jego twarz, teraz napotkały tam grozę zimnego metalu.

Jego umysł pękł.

Przeskoczył przez balustradę i runął w żelazną otchłań, krzycząc, gdy spadał w żarłoczne głębie – aż stalowa podłoga gdzieś w dole przyniosła mu nareszcie upragnione ukojenie.

–Kolejny K.20 ma zakłócenia funkcji – rzekł krótko dyżurny, przyglądając się błyskającej światelkami tablicy kontrolnej.

–Nadzór Medyczny znowu będzie musiał sprawdzić cały proces – odparł jego zwierzchnik, z cieniem irytacji w głosie. – Wielkiego Przywódcę rozgniewa taka

niekompetencja. Jeśli nie potrafią sprawić, by prosty wszczep na nadgarstku działał prawidłowo, to jak mogą się spodziewać, że osłony mentalne będą skuteczne? Dyżurny czuł, że lepiej nic teraz nie mówić.

–Poleć im, że nie może być więcej takich błędów. Jeśli nie ulepszą procesu, nie osiągną postępu, dadzą tym samym dowód nieprzydatności. To nie powinno być trudne do zrozumienia. – Przekażę im to.

–Jakieś nowe wieści o Mendle'u?

Pytanie zabrzmiało nagle, zaskakując operatora łączności. Jak zawsze Wielki Przywódca pojawił się niespodziewanie.

–Wciąż nie możemy się z nim skontaktować – odparł dość nerwowo młody mężczyzna. – Nie odpowiada już od paru godzin – sędzę, że jego sprzęt musiał ulec uszkodzeniu. Nie mogę nawet uzyskać potwierdzenia, że odbiera nasze sygnały.

Łącznościowiec czekał z napięciem na dalsze instrukcje.

–Mendle nie żyje – rzekł z naciskiem Wielki Przywódca. – Zawsze był zbyt pewny siebie. Mimo to trzeba go pomścić. – Przerwał, jak gdyby rozważając różne możliwości.

–Wyślij śmigacze – rozkazał, potem odwrócił się i długim krokiem wyszedł z pokoju.

Część druga

Czas Chaosu

ROZDZIAŁ DRUGI

Poranne słońce oświetlało pierwszy dzień nowego wieku. Wąskie promienie światła sączyły się ukośnie przez szczeliny w żaluzjach, a drobiny kurzu tańczyły w cichym, spokojnym powietrzu. Ze swego krzesła przy oknie, Arden obejmował wzrokiem cały pokój. Widział skromne, proste meble, gołe, kamienne ściany i zakurzoną, drewnianą podłogę. I było to najcudowniejsze miejsce na świecie.

Słoneczny promień przesuwał się wolno po poduszkach wielkiego łóżka; Arden przyglądał się, jak pieści włosy leżącej na nim kobiety. Ogień zdawał się strzelać iskrami z krótkich, potarganych, czerwonych loków i w porównaniu z tym, wszystko inne w pokoju nie miało znaczenia.

Arden uśmiechnął się, gdy kobieta, wciąż śpiąc, przesunęła się, odwracając głowę od światła.

Śpij, moje kochanie, pomyślał. Zasłużyłaś na to.

Powrócił myślami do ich spotkania poprzedniego dnia.

Przeszukanie wielkiej, metalowej wieży nie dało oczekiwanych rezultatów. Nie znalazł żadnych śladów życia; jeśli Gemnę kiedykolwiek więziono w tych przepelnionych echem ścianach, to nie było jej już tutaj. Arden wiedział, że pozostało tylko jedno miejsce do przeszukania i zaklął gwałtownie, gdy o tym pomyślał.

–Najpierw trzeba było spróbować właśnie tam! – mruknął.

Zaczął schodzić niekończącymi się pozornie schodami, zdążając do podstawy

wieży i podziemnej komnaty, strzeżonej przez pulsujący błękitny ekran.

–Wciąż nie wiemy, jak się tam dostać – powiedział mu jeden z jego towarzyszy, kiedy zrozumiał, dokąd zmierza Arden.

–Dowiemy się! – zawołał przez ramię Arden, potem ruszył dalej, przeskakując po trzy stopnie.

Krótko potem stał już przed ścianą żywiolów, oddychając ciężko i próbując przywołać całą swoją odwagę i zdecydowanie. Pozostali weszli za nim, ale trzymali się z tyłu, nie chcąc mu przeszkadzać.

Spotkałeś już te stworzenia przedtem. Wiesz, że reagują na okazywaną im przyjaźń.

Ten ekran to tylko one skupione razem – wszystko, co musisz zrobić, to zrzucić z siebie strach.

Przypomniał sobie niezwykle uczucie, jakiego doznał, kiedy w Mrocznym Królestwie objęło go

jedno z tych dziwnych, eterycznych stworzeń. Zareagowało wówczas na jego zdecydowanie i pełną nadziei przyjaźń, ale tamta płynna istota bardzo się różniła od tej zimnej, pulsującej bariery, która teraz zagradzała mu drogę.

Odrzuć od siebie strach. Łatwo powiedzieć! Ale kto mówił, że to będzie łatwe? Tam jest Gemma! Czy nie jest warta odrobiny wysiłku?

W ciągu miesięcy, podczas których byli rozdzieleni, Arden uświadomił sobie, jak bardzo silne jest jego uczucie do Gemmy. Pragnienie, by zobaczyć ją znowu, narastało, aż stało się nie do zniesienia. Teraz, kiedy był już tak blisko, nic nie stanie im na przeszkodzie.

Potem przyszło inne wspomnienie. Niegdyś słowa kota były tylko jeszcze jednym irytującym aspektem jego wymuszonego pobytu w latającym mieście i wywoływały w nim gniewny sprzeciw. Lecz teraz uśmiechnął się, gdy przypomniał sobie jego tajemnicze słowa.

“Nadszedł czas, byś stał się czarodziejem. A może zawsze nim byłeś”. Jeśli teraz zdołam się przedostać, trudno mi będzie przekonać kogokolwiek, że nie jestem magiem!

Migoczący błękitny ekran przez cały ten czas trwał nieporuszony, jakby zachęcając go do ataku. Wszystkie jego poprzednie usiłowania przedarcia się zostały odparte, czasem gwałtownie, zanim nawet zdołał dotknąć lśniącej powierzchni. Ale wszystkie te próby podejmowano w strachu lub w gniewie. Arden wiedział, że taki sposób nigdy mu się nie uda.

Zrobił krok naprzód i wypowiedział te magiczne słowa:

–Jestem waszym przyjacielem.

Oświadczenie pozostało bez odpowiedzi i Arden zrobił kolejny, ostrożny krok naprzód, starając się oczyścić umysł ze wszystkiego poza uczuciem szczęścia i radości. Choć nie potrafił stłumić tęsknoty za swoją miłością i niepokoju oczekiwania, strach i gniew zniknęły.

Kolejne dwa kroki zawiodły go na odległość wyciągniętej ręki od ekranu. Nie widział go wyraźnie, ponieważ jasne, wirujące wzory poruszały się zbyt szybko, by mogły je ogarnąć ludzkie oczy. Arden wyczuwał niezmierną moc kryjącą się za nim, a także wiążące go pęta. Starożytni mistrzowie, którzy stworzyli tę komnatę, zabezpieczyli ją z niezrównaną biegłością i okrutną precyzją. Wiedzieli, że ich dzieło wywoła nabożną cześć,

a nawet przerażenie, i w ten sposób stanie się niezdołane.

Jestem waszym przyjacielem. Pomóżcie mi.

Milczące błaganie Ardena pozostało bez odpowiedzi.

Przecież kiedyś było w was życie - przekonywał. Ciepło, radość i miłość. Czy tego nie pamiętacie?

Powróciły obrazy Gemmy. Płomiennie-czerwone włosy i łagodne, szare oczy; twarz, której uśmiech przydawał piękności. Wzajemne złośliwości i wspólny śmiech, szalona przyjaźń, która w końcu zamieniła się w miłość.

Arden wyciągnął rękę i postąpił naprzód, nieświadom zdumionych westchnień, które rozległy się za nim, gdy wśliznął się w sieć żywiołów.

Czuł jej nacisk na każdym kawałeczku swej skóry; na parę chwil oślepl, porwany w wir przelotnych wizji. Wyczuwał ból wiecznego uwięzienia żywiołów i wezbrało w nim współczucie dla nich. Poczul nieśmiałą nadzieję, gdy zareagowały na jego niespodziewaną obecność.

I wówczas usłyszał głos Gemmy.

–Ta księga zmieniła się już raz. I może zmienić się znowu!

Ogarnęły go radość i ulga, przyćmiewając wszystkie inne uczucia. Gemma tam była!

Ruszył dalej, teraz już poruszając się swobodnie. Znalazł się w wyłożonej marmurem komnacie. Gemma stała przy stole; i gdy spojrzała na niego, wyraz przerażenia na jej twarzy sprawił, że Ardenowi zamarło serce.

–Czy tamten jeden raz nie wystarczył?! – krzyknęła łamiącym się głosem. –

Dlaczego musicie ściągać tu te demony? – Zamknęła oczy. – Swymi zabawami szycie ze mnie – i z niego. Wróćcie do swej prawdziwej postaci.

Arden nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Przeraził go żal brzmiący w jej głosie -tak inny od radości, jakiej się spodziewał.

–Gemmo, moje kochanie. Nie jestem demonem – powiedział cicho, ochryplym od wzruszenia głosem.

Wówczas spojrzała na niego znowu oczyma pełnymi łez, a on dojrzał słaby promyk nadziei rozjaśniający jej twarz. Zmusił się, by stać nieruchomo, gdy Gemma wolno podchodziła do niego, czując, że sama musi wypędzić dręczące ją zmy. Wyciągnęła drżącą rękę; zadygotała, gdy dotknęła jego piersi, a potem spojrzała mu w twarz, rozwartymi szeroko ze zdumienia i niedowierzania oczyma.

–Jesteś prawdziwy – szepnęła, a potem łkając padła w jego rozwarte ramiona.

–Oczywiście, że jestem prawdziwy – odparł cicho, tuląc ją mocno do siebie i zastanawiając się, co sprawiło, że zachowała się w ten sposób. – Teraz jesteś bezpieczna, moje kochanie.

–Bezpieczna na razie – szepnęła parę chwil później. – Ale to się jeszcze nie skończyło. Arden, musimy ruszyć na Dalekie Południe.

Odsunęli się nieco od siebie, choć wciąż trzymali się w objęciach i gdy Arden spojrział w jej oczy, wezbrało w nim uczucie silniejsze od wszystkiego, czego doznał kiedykolwiek przedtem.

–Nie dbam o to, dokąd musimy pójść – na Dalekie Południe czy nawet do samego piekła – tak długo, jak długo jesteśmy razem – powiedział jej. – Jeśli zdecydujesz się na jeszcze jeden taki szalony lot latawcem, tym razem polecisz jako pasażer!

Roześmiali się i był to obcy od stuleci dźwięk w tej marmurowej komnacie.

–Dziękuję ci – powiedziała Gemma.

–Za co?

–Za to, że żyjesz, że jesteś prawdziwy, za to, że znowu wniosłeś światło w moje życie.

Pocałowali się. Minęła długa chwila, a potem Gemma odsunęła się i wybuchnęła śmiechem.

–Czy to moje zaloty są takie śmieszne? – zapytał zaskoczony Arden, choć niezdolny do ukrycia uśmiechu.

–Wręcz przeciwnie – powiedziała łapiąc oddech. – Ed pytał mnie, czy wciąż mogę oddychać. Był taki zatroskany!

Arden, po raz pierwszy od czasu, kiedy znalazł się w komnacie, oderwał wzrok od Gemmy i zobaczył stłoczone pod stołem myrkety. Każda para lśniących czarnych oczu wpatrywała się w niego, a spiczaste, drobne noski węszyły ciekawie.

Więc Wynut miał rację!, pomyślał Arden, wspominając słowa czarodzieja o misji klanu myrketów. Tak dużo musieli sobie z Gemmą dopowiedzieć – ale jeszcze nie teraz.

–Możesz oddychać? – zapytał, uśmiechając się szeroko.

–Och, tak! – zabrzmiała radosna odpowiedź. Kiedy wreszcie rozdzielili się po drugim, jeszcze dłuższym pocałunku, myrkety

najwyraźniej przewyciężyły swój początkowy niepokój i dołączyły do dwojga ludzi.

–Co one teraz mówią? – zapytał Arden. Wiedział, że Gemma potrafi się z nimi

porozumiewać za pomocą myślomowy – lub telepatii, jak ją niektórzy nazywali – i w tej

właśnie chwili pragnął dzielić jej talent.

–Ox pytał, czy to, co robimy, jest rytuałem godowym – odpowiedziała Gemma z błyskiem w oku.

–Co powiedziałaś?

–Powiedziałam, że tak, oczywiście! – Stanowczość brzmiącą w jej głosie tylko odrobinę zmącił lekki rumieniec.

Przez parę chwil nie odzywali się, myśląc o tym samym: niech się to stanie, już wkrótce ich miłość wyrazi się najpełniej. Choć w przeszłości wiele nocy spędzili razem, dotychczas pozostali niewinni. Ta noc będzie początkiem nowego. Zdumienie i szczęście pojawiły się w ich oczach, kiedy o tym myśleli. Potem powrócili do obecnej sytuacji i ich twarze spoważniały. Odezwali się równocześnie.

–Tak wiele... – zaczęła Gemma.

–Moi towarzysze czekają... – Arden zawahał się i Gemma ciągnęła dalej:

–Tak wiele mam ci do powiedzenia! – zawołała. – Nie wiem, od czego zacząć.

–Później – odparł łagodnie. – Musimy się stąd wydostać – moi towarzysze czekają.

–Ale najpierw muszę ci to pokazać – nalegała Gemma, ujmując jego ręce i ciągnąc w kierunku stołu. Myrkety brykały wokół nich, ćwierkając radośnie, lecz twarz Gemmy pozostała poważna. Wskazała na wielką, otwartą księgę.

–Przeczytaj to – poleciła, wskazując właściwy fragment.

Arden zastanawiał się, co takiego ważnego może być w jakiejś tam książce.

Początkowo litery zdawały się podskakiwać i chwiać przed oczyma, lecz w końcu zlały się w słowa i przeczytał głośno:

–“Sygnałem oznaczającym początek zmian był powrót Zwiastuna Zguby do

Najwyższego Miasta i objęcie przez niego najwyższych stanowisk w mieście, co oznaczało władzę absolutną”.

–To Mendle jest w tej książce Zwiastunem Zguby – wtrąciła Gemma.

–Mendle!?! – Arden był zaskoczony. Sądził, że Mendle został wcześniej zabity.

–Tak. To on był bezimiennym Zwierzchnikiem, który zbudował tę wieżę – mówiła dalej, unosząc rękę do góry. – Teraz naprawdę nie żyje.

–Jesteś pewna?

–Tak. – Jej oczy mówiły, że o wielu rzeczach nie powiedziała, lecz Arden nie pytał.

–Najwyższe Miasto to Wielki Nowy Port – powiedział, niejasno zdając sobie sprawę, że słyszał to już gdzieś przedtem.

Gemma skinęła głową i gestem wskazała, że powinien czytać dalej.

–“Chociaż działania jego współtowarzyszy nie doprowadziły do niczego z

wyjątkiem przelewu krwi, on mimo to zdołał zbudować bezpieczną, pozornie niezdobytą twierdzę ze stali. Stamtąd przeprowadzał eksperymenty i uruchamiał procesy, które torowały drogę nowej epoce”.

–“Tylko jedna siła mogła go powstrzymać, a ona, z powodu swej niewiedzy i upartej wierności starym ideałom, niemal zawiodła. W końcu jednak Słudzy Ziemi osiągnęli przejściowe zwycięstwo, kiedy Strażniczce Klucza do Snu...”

–To ja, możesz wierzyć lub nie – powiedziała Gemma w odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie Ardena. Czytał dalej.

–“...uwięzionej w stalowej twierdzy, udało się wskrzesić doktryny magii i skierować moc Zwiastuna Zguby przeciwko sobie samemu”.

Arden uniósł wzrok znad książki.

–Zrobiłaś to? – wyszeptał.

–Nigdy by mi się nie udało bez pomocy myrketów – odparła. – Bez nich byłabym bezsilna. I wciąż nie mogę zrozumieć, w jaki sposób się tutaj znalazły.

–Przyprowadziłem je! – powiedział radośnie Arden. – Wynut kazał mi to zrobić. Gemma spojrzała na niego ze zdumieniem.

–Jesteś jeszcze cudowniejszy, niż sądziłam – powiedziała w końcu.

–Och, to po prostu taki wrodzony talent – odparł, uśmiechając się radośnie. – Ale jak go pokonałaś i co to jest właściwie Klucz do Snu?

–Nie spodoba ci się to – odpowiedziała, uśmiechając się do siebie. – To dotyczy magii. – Ten temat był od dawna przyczyną konfliktu między nimi. Zanim Gemma nie wkroczyła gwałtownie

w jego życie, Arden nie miał czasu zajmować się niczym innym poza przyziemną codziennością. Tajemne zjawiska nie miały nic wspólnego z jego sprawami. Ostatnie wydarzenia zmusiły go jednak do ponownego rozważenia tych kwestii.

–Sam jestem teraz czarodziejem – stwierdził nonszalancko. – Potrafię trochę czarować. To nic trudnego.

Gemma zamilkła na chwilę i pomyślała, czy przypadkiem Arden z niej nie kpi. On uśmiechnął się tylko i skinął ręką, by mówić dalej.

–Od czasu Zrównania – mówiła – magia działa w grupach, kręgach – jeśli wolisz. Istnieją setki kręgów, lecz wszystkie przecinają się w jednym punkcie – i tylko w jednym.

–A tym punktem jest Klucz do Snu – dopowiedział.

–Tak, to ja – potwierdziła cicho. – Wieża Mendle’a była zbiornikiem mocy, a jego plan polegał na tym, by pozwolić, aby wszystkie te kręgi przekazały swoją magiczną energię mnie, tak żeby mógł ją potem wyssać.

–A to pozostawiłoby do jego dyspozycji całą moc – wtrącił Arden.

–I zniszczyło nas wszystkich – oraz samą magię – zakończyła Gemma.

–Więc jak...?

–Myrkety są jednym z kręgów – wyjaśniła Gemma – i właśnie dlatego potrafię się z nimi porozumiewać.

–A one były wewnątrz wieży – rzekł Arden.

–Szybko to pojąłeś – odparła zaskoczona Gemma. Arden nigdy przedtem nie wykazywał zrozumienia, ani nawet chęci zrozumienia zasad magii.

–My, czarodzieje, pojmujemy szybko – odpowiedział z uśmiechem Arden.

Gemma przypomniała sobie nagle, że dojrzała twarz Ardena wśród twarzy, których

potok przepłynął przez jej myśli podczas straszliwej walki z Mendle’em. *Więc on też jest jednym z kręgów. Czy nie może być teraz poważny? Widząc jej zaskoczenie, Arden wyjaśnił.*

–Kot w latającym mieście powiedział mi, że jestem czarodziejem. Ale, kto by wierzył kotu! – Uśmiechnął się znowu szeroko. Ważne jest to, że zwyciężyłaś!

Twarz Gemmy ściągnęła się.

–Tylko przejściowo – odparła. – Przeczytaj następny fragment.

Arden poczuł serce w gardle.

–“Jednakże to niepowodzenie pobudziło tylko siły Dalekiego Południa do jeszcze większych wysiłków i wkrótce ich wpływy objęły cały świat. Stary porządek został zniszczony”.

–“Rozpoczął się Wiek Chaosu”.

ROZDZIAŁ TRZECI

To Arden był tym, który przerwał milczenie.

–Zaraz – powiedział, potrząsając z zakłopotaniem głową. – Nie rozumiem. Więc czym właściwie jest ta księga?

–Nie wiem – odparła Gemma – ale w jakiś sposób zapisano w niej historię naszego świata – i jego przyszłość.

–To niemożli... – zaczął Arden. Potem przypomniał sobie biblioteki w latającym mieście. – To beznadziejne – powiedział cicho.

–Nie. – W głosie Gemmy brzmiało zdecydowanie. – Kiedy pierwszy raz

zobaczyłam tę księgę, przeczytałam w niej, w jaki sposób Mendle’emu udało się zniszczyć magię. Wykorzystywał ten opis, by mnie dręczyć.

–Ale...

–Zmieniła się – stwierdziła Gemma.

–Zmieniła się sama?

–Tak. I jeśli mogła się zmienić raz, to oczywiście możemy zmienić ją znowu -zakończyła tryumfalnie Gemma.

–Nie sądzę, by cokolwiek, co jest związane z tą księgą, było jasne – z

powątpiewaniem w głosie zauważył Arden. Znowu kręciło mu się w głowie. Właśnie

teraz, kiedy świat zdawał się nabierać sensu – pomimo całej tej magii. – Czym jest ten

Wiek Chaosu?

–Sądzę, że wolałabym tego nie wiedzieć – odparła. – Ale wiemy, skąd się wywodzi.

–I to właśnie, dlatego musimy wędrować na Dalekie Południe. Gemma skinęła głową.

–Może moglibyśmy wyczytać coś jeszcze, coś, co by nam pomogło? – zastanowił się Arden.

–Nie. Spróbuj i zobacz, co się dzieje.

Przewrócił jedną z ciężkich stron i zaczął wpatrywać się w wirujące litery. Po

paru chwilach poddał się i przetaił oczy. Kiedy już sądził, że potrafi połączyć litery w całość i odczytać poszczególne słowa lub wyrażenia, te umykały mu sprzed oczu, stając się ponownie niezrozumiałymi. Następne strony były jeszcze gorsze.

–Rozumiesz, co miałam na myśli? – zapytała Gemma.

Arden skinął głową.

–Lecz to, co napisano o przeszłości, jest absolutnie jasne – powiedziała mu. – Jest tam cały akapit poświęcony mojemu dzieciństwu – i w dodatku opisano je bardzo dokładnie.

–Więc nawet wówczas byłeś kimś ważnym – stwierdził cicho.

Zaczynał rozumieć rolę Gemmy w tych doniosłych wydarzeniach i gdy się nad tym zastanawiał, jego twarz nabierała powagi i surowości.

–Czymkolwiek jest to, co czyni mnie tak wyjątkową – zaczęła, ujmując jego dłonie i błagając wzrokiem o zrozumienie – wciąż jestem sobą, wciąż jestem Gemmą. I wciąż jestem człowiekiem.

Arden spokojnie przyjął jej spojrzenie.

–Kocham cię – powiedział, rozpraszając obawy Gemmy.

–Wiem – odparła z uśmiechem. – Ja też cię kocham. Zamilkli, by ponowić swój rytuał godowy, a potem Gemma powiedziała:

–Miałam takie dziwne sny o tobie. Gdzie byłeś?

–To długa historia – odparł – jedna z tych wielu długich historii... Ale teraz musimy się stąd wydostać – tamci czekają. Znajdziemy jeszcze czas, by poukładać wszystkie kawałki tej tajemniczej układanki.

Nagle Gemma zapytała:

–Jak przedostałeś się przez ekran?

–Mówiłem ci. Jestem...

–Nic nie mów! – sprzeciwiła się gwałtownie, unosząc rękę, by nie usłyszeć tego znowu. – Myślałam, że byłeś widmem – tak jak ostatnio.

–Czym?

–To było wtedy, gdy byłam z Hewe'em i Ashlinem – powiedziała – na nabrzeżnej drodze, między Altonbridge a Nowym Portem. Ty – lub coś, co wyglądało tak jak ty -pojawiłeś się przede mną. – Wzdrygnęła się, przypominając sobie, jak jej radość zmieniła się wówczas w przerażenie i rozpacz. – Ale kiedy się zbliżyłam, ty... to zmieniło się, stało się żywiołem i umknęło.

–Bogowie! – westchnął Arden, wyobrażając sobie, co musiała wtedy przeżyć. – To był z pewnością ten żywioł, ten z Mrocznego Królestwa.

Teraz Gemma wyglądała na zdumioną.

–Skąd? – zapytała.

–Nie teraz – odparł zdecydowanie. – Chodźmy.

–Wciąż mi nie powiedziałaś, jak przedostałeś się przez ekran – zaprotestowała Gemma. – Nie wiem, czy starczy mi sił, by znowu otworzyć te drzwi.

–Potrzebna tylko przyjaźń – odparł tajemniczo.

Ramię w ramię ruszyli ku pulsującej błękitnej ścianie, a myrkety pociągnęły za nimi jak miniaturowa gwardia honorowa.

Kiedy tego nieszczęsnego dnia zajaśniał świt, Wielki Nowy Port był ogarnięty chaosem. Na ulicach toczyły się walki, parę budynków zostało zupełnie zniszczonych albo spalonych. Grabież była czymś powszechnym. Niewielka tylko grupa starała się przeciwstawić fali przemocy, ale osiągnęli niewiele. Od dziesięcioleci Gildia, kolejalna władza Wielkiego Nowego Portu, utrzymywała miasto i krainę Kleve w stanie nieustannego poniżenia. Pod brutalną tyranią Zwierzchnika i jego towarzyszy ta rządząca grupa zapewniała uprzywilejowanej garstce beztroskie życie pełne luksusu, swobody i władzy, podczas gdy większość skazana była na poddaństwo i skrajną nędzę.

Ostatnie wydarzenia dały uciskanym szansę na odwet i wydawało się teraz, że rozlew krwi jest nieunikniony.

Od wielu lat tajna organizacja – Podziemie – planowała obalenie Gildii, lecz nawet oni okazali się nie przygotowani w chwili nagłego przewrotu. W tej sytuacji nie mogli zapobiec rzezi na

ulicach miasta. Teraz wszystkimi siłami starali się zaprowadzić porządek – i dać ludziom nadzieję na przyszłość, lecz drżeli z obawy przed innym straszliwym niebezpieczeństwem, zagrażającym Nowemu Portowi i jego obywatelom.

Pośrodku miasta wyrosła nagle gigantyczna stalowa wieża i rzuciła wszystkich na kolana swoją straszliwą siłą. Promienie z wielkiej wieży zniszczyły już dwa odcinki miejskich murów, zabijając setki ludzi. Przywódcy Podziemia wiedzieli, że prawdziwym wrogiem nie jest już podzielona, przestraszona Gildia, lecz bezimienny Zwierzchnik -samotny mieszkaniec tej monstrualnej, metalowej konstrukcji.

Wiedząc, że wieży nie można zdobyć atakując od zewnątrz, ruszyli na jej podziemne wejście. Początkowo nic nie osiągnęli, stracili wielu walecznych ludzi -pozornie na próżno. Ale później – wczesnym rankiem – wieża nieoczekiwanie otworzyła swoje podwoje, a jej strażnicy oszaleli – zabijali siebie nawzajem i popełniali masowe samobójstwa.

Lecz kiedy członkowie Podziemia wreszcie dostali się do środka, odkryli, że zarówno Zwierzchnik i Gemma – o której wiedzieli, że jest więziona w twierdzy – zniknęli.

W końcu do przeszukania pozostała tylko komnata błękitnych płomieni – i Arden, jedyny, który potrafił się tam dostać, ruszył, by ją przeszukać.

To, że udało mu się wejść do środka, zdumiało widzów. Jednak już dość długo przebywał wewnątrz i jego towarzysze zaczęli się niepokoić.

–Co powinniśmy zrobić? – zastanawiał się głośno Hewe. Ten przypominający niedźwiedzia mężczyzna stał na czele grupy, z twarzą wykrzywioną troską i zakłopotaniem.

–Co możemy zrobić? – rzucił Jordan. – Tylko czekać? – Był przywódcą Podziemia i czuł się za wszystko odpowiedzialny. Tak dużo miał do zrobienia, ale teraz jego uwagę przyciągało to, co działo się za ścianą błękitnych płomieni. Zwrócił się do swojego porucznika: – Są pomysłowi i zaradni. Ostatecznie, oboje się tam dostali...

Potem się odwrócił, by przemówić do grupy wojowników stojących w cieniu wieży. Żołnierze byli wysocy i szczupli, a ich ciała pokrywał lśniący, czarny materiał, co sprawiało, że wydawali się groźni i tajemniczy. Była to grupa zwiadowcza z podziemnego świata, który Arden nazywał Mrocznym Królestwem. Przez kilka miesięcy mieszkał razem z nimi w ich złowieszczym Królestwie.

–Przychodzi ci coś do głowy, D’vor? – zapytał Jordan.

–Arden zdobył zaufanie żywiołów w Sali Wiatrów – odparł przywódca grupy zwiadowczej. – Być może barierę ochronną tworzą podobne istoty. Z trudem możemy patrzeć na nią wprost, mimo naszych okryć – dodał, by wyjaśnić – lecz sądzimy, że tak właśnie może być.

W tej właśnie chwili w migoczącej barierze pojawił się podwójny cień. Rozmowy umilkły,

widzowie wstrzymali oddech. Ekran wybrzuszył się, a potem, w deszczu iskier, pojawili się Gemma i Arden. Zebrani nie mogli ukryć zdumienia, gdy zobaczyli wybiegające za nimi myrkety, wydające charakterystyczne ćwierkanie – odgłos podniecenia i zadowolenia.

Gemma i Arden, tknięci tym samym impulsem, skłonili się nisko, nie puszczając swoich rąk. Klan pamiętał to z czasów, kiedy wędrował z Gemmą, tak, więc wszystkie myrkety również złożyły głęboki ukłon – zresztą z różnym powodzeniem. Niektóre wywróciły się przy tej próbie i efekt był tak komiczny, że kiedy Arden i Gemma wyprostowali się uśmiechnięci, widownia wybuchnęła śmiechem.

–Brawo! – zawołał Jordan.

–Mówiłem ci, że ona powinna występować na scenie – zauważył od niechcienia Hewe. – Teraz w dodatku ma własną trupę.

Godzinę później “trupa” Gemmy, ona sama oraz Jordan i Hewe ukryli się w starej kwaterze głównej Podziemia, wygodnym pokoju znajdującym się głęboko pod ogromną hałdą śmieci, w jednej z biedniejszych dzielnic Wielkiego Nowego Portu. Kwatera była fragmentem labiryntu tuneli, który rozciągał się pod ulicami miasta i który od dawna był częścią Podziemia.

Zwiadowcy z Mrocznego Królestwa nie dołączyli jednak do grupy Gemmy. D’vor wyjaśnił, że – choć okryci ochronnymi warstwami rybiego jedwabiu – jego ludzie zaczynają cierpieć z powodu nieustannego operowania różnych źródeł światła. Zaprowadzono ich wobec tego do najmroczniejszego miejsca w sieci tuneli, tak by mogli zdjąć krepujące taśmy i odpocząć w bardziej odpowiednim dla siebie otoczeniu. Mieszkańcy Mrocznego Królestwa oczarowali Gemmę, choć z początku trochę się ich obawiała. Pragnęła dowiedzieć się tak wielu rzeczy, lecz Jordan nalegał, by to ona pierwsza opowiedziała swoją historię.

Powtórzyła więc to, co już wcześniej powiedziała Ardenowi, uzupełniając swoją relację o szczegóły i objaśnienia tam, gdzie było to konieczne. Na koniec przedstawiła własną teorię dotyczącą księgi w komnacie błękitnych płomieni. Kiedy skończyła, zamyślony Jordan zamilkł.

–Jesteś pewna, że Zwierzchnikiem był Mendle? – zapytał w końcu.

Gemma skinęła głową.

–Tak mi powiedział. I choć twarz miał zakrytą metalową maską, rozpoznałam go.

Póki żyję, nie zapomnę tego głosu.

–Jesteś przekonana, że on nie żyje?

Gemma w swej opowieści poświęciła śmierci Mendle’a zaledwie kilka słów;

sposób, w jaki zmusiła go, by rzucił się ze szczytu wieży wciąż wywoływał w niej poczucie

winy. Wydawało się, że nawet nieskończone zło tkwiące w tym człowieku nie jest dla niej żadnym usprawiedliwieniem. Cieszyła się, że już go nie ma, lecz nigdy nie chciała wykorzystywać magii do takich celów i żałowała swojego czynu.

–Tak... – zawahała się, a potem dodała: – Spadł ze szczytu wieży.

Hewe gwizdnął cicho. Budowla Zwierzchnika miała przynajmniej czterdzieści pięter wysokości.

–Kazałam mu to zrobić – wyznała Gemma. – Wtedy, kiedy przepływała przeze mnie magia wszystkich kręgów. Miałam tak wielką moc! Nie mogłabym tego zrobić teraz –i nawet bym nie chciała.

Przez parę chwil nikt nie powiedział ani słowa, a potem Jordan rzekł stanowczo:

–Magia jest posłuszna własnym instyngtom.

–Bez względu na to, co czujesz, oddałaś nam wielką przysługę – stwierdził Hewe.

–Nigdy więcej nie chciałabym mieć tak wielkiej mocy – wyznała Gemma. – To było przerażające!

Reszta dnia upłynęła na opowiadaniu Gemmie o tym, co zdarzyło się pod jej nieobecność. Ze zdumieniem słuchała historii Ardena o Mrocznym Królestwie, o miesiącach choroby i niemocy, które spędził w oświetlonych kryształowym światłem pieczarach, o jasnoskórych, wielkookich ludziach, mieszkających pod ziemią, o ich dobroci i o tym, jak w końcu uznali go za swego przyjaciela. Opowiedział jej o C'tis, lekarce grupy zwiadowców, która tak uparcie walczyła o jego życie. Opisał jej proroków, duchowych przywódców podziemnego królestwa o czarnych oczach, którzy czerpią siłę z mocy świętych grzybów zwanych raellim. Gemma ujrzała nieskończony labirynt tuneli, jaskiń i podziemnych cieków wodnych, cierpiała wraz z nim, gdy opisywał skażenie, które zmusiło jego nowych przyjaciół do opuszczenia domów. Jego słowa nadawały sens jej snom.

Potem Arden opowiedział jej o swym spotkaniu z żywiołami i myrketami, o pojmaniu przez fanatycznych Szarych Jeźdźców, którzy toczyli wojnę z podziemnym ludem, o późniejszym uwolnieniu i powrocie na powierzchnię.

Dalej mówił Jordan. Opowiedział, jak Arden zaprowadził go do Mrocznego Królestwa, o układzie, jaki zawarł z mieszkańcami podziemi, obiecując znaleźć rozwiązanie ich problemów w zamian za pomoc w walce z Gildią.

–Wtedy – wtrącił Arden – udałem się do Doliny, by cię odszukać – dowiedziałem

się tylko, że uprzedził mnie Hewe.

Dwaj mężczyźni uśmiechnęli się do siebie.

–Potem zostałem uwięziony przez latające miasto – ciągnął Arden. – Wynut

wyjaśnił mi znaczenie myrketów i przeniósł mnie do Nowego Portu, żebym zdążył je tam wprowadzić.

–Resztę już znasz – zakończył Jordan. – Gildia została rozbita, Mendle nie żyje, ale miasto pogrążyło się w chaosie. Czeka nas mnóstwo ciężkiej pracy.

Słowa Jordana potwierdził przybyły wkrótce posłaniec. Dzieło tworzenia nowej społeczności już się zaczęło. Do kwatery głównej wciąż przybywali członkowie Podziemia po rozkazy lub rady.

–Egan chce wiedzieć, jak zabezpieczyć wejścia do wieży – zameldował posłaniec. –

Mieszkańcy miasta są bardzo ciekawi.

–Powiedz mu, żeby je na razie zamknął – odparł Jordan. – Nie chcemy, by ktoś się tam zabłąkał i przez przypadek wysadził w powietrze połowę miasta. Później zbadamy wieżę z należytą ostrożnością, kiedy będziemy już lepiej zorganizowani. Teraz są ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Posłaniec skinął głową i skierował się do wyjścia.

–Ambros! – zawołał za nim Jordan. – Dopilnuj, by wszyscy wiedzieli, że wieża nie stanowi już zagrożenia. Jest pusta.

–Dobrze.

–Jesteś pewien, że nie jest już niebezpieczna? – chwilę później zapytał Hewe.

–Tak – odparł pewnym głosem Jordan. – Ale nic nie zrobimy, jeśli bez przerwy będą patrzyli nam na ręce.

Po południu Gemma i Arden poczuli opanowujące ich coraz większe zmęczenie. Jordan zauważył to i zwrócił się do Hewe'a.

–Czy są jakieś bezpieczne domy z wolnymi pokojami? – zapytał.

–Możemy spróbować w Czarnym Koniu – odparł jego zastępca, wymieniając

nazwę jednej z wielu tawern miasta. – Jest najbliżej.

–Idźcie i odpocznijcie trochę – zwrócił się do nich Jordan. – Zrobiliście aż nadto jak na jeden dzień.

–Dopilnujemy, żeby wam nie przeszkadzano – rzekł Hewe. – Śpijcie dobrze. – Zamknął za sobą drzwi, pozostawiając Gemmę i Ardena w skromnie umeblowanej, lecz wygodnej sypialni. Towarzyszyły im myrkety, które nie chciały opuścić Gemmy. Małe stworzonka natychmiast skierowały się do ciemnego kąta, gdzie dla wygody zbiły się w kłębek.

Arden wziął Gemmę w ramiona i pocałował. Kiedy się rozdzielili, zobaczył skrajne zmęczenie wyzierające z jej oczu i przez chwilę poczuł niepewność.

–Nawet nie pytaj, czy chcę! – rozkazała, uśmiechając się. – Nie jestem tak

zmęczona.

Później słowa nie były już potrzebne.

Myrkety przyglądały się dyskretnie, zadowolone, że ludzki rytuał godowy znalazł nareszcie właściwe zakończenie.

Arden zbudził się kilka godzin później. Kiedy tuż przy sobie ujrzał twarz Gemmy, ogarnęła go fala szczęścia, uniemożliwiając dalszy sen. Wstał ostrożnie, owinął się narzutą i usiadł przy oknie, przyglądając się ukochanej. Wciąż twardo spała, oddychając równo i głęboko, pobladła z wyczerpania wywołanego ciężkimi przeżyciami – i radościami -poprzedniego dnia.

Gdy słońce weszło pierwszego dnia nowego wieku, Gemma i myrkety spały nadal, pozostawiając swego strażnika sam na sam z jego myślami.

Tym, co wreszcie wyrwało ją ze snu, był straszliwy ryk pożeraczy nieba. Rozdzierającemu hukowi gigantycznych metalowych ptaków towarzyszyły wybuchy i grzmot potwornych eksplozji.

–Co się dzieje? – zapytała niepewnym od snu głosem, spoglądając nań szeroko rozwartymi, przerażonymi oczyma.

–Pożeracze nieba – odparł Arden, wyglądając przez okno. – Niszczą wieżę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

–Teraz już nigdy nie poznamy jej tajemnic – rzekł z żalem Jordan, obejmując wzrokiem ruiny. Hewe wzruszył ramionami.

–Nie jestem pewien, czy to były tajemnice, które tak bardzo chciałbym znać -odparł. Podobnie myśleli inni mieszkańcy Wielkiego Nowego Portu. Wieża budziła grozę i była źródłem zniszczenia. Większość ludzi cieszyła się, więc, że zniknęła z powierzchni ziemi. Mało, kto uwierzył, że jest bezpieczna tylko, dlatego, że jest niezamieszkana. Panowała zgodna opinia, że przerażające pożeracze nieba przynajmniej jeden raz zrobiły coś pożytecznego.

Atak był szybki i niszczycielski. Potworne eksplozje rozerwały metalową skorupę wieży na kawałki stopionej stali, ciskając w niebo i ogłuszając każdego, kto miał nieszczęście znaleźć się w pobliżu. Ofiar w ludziach prawie nie było. Pożeracze nieba odleciały na południe. Gdy opuszczały miasto, kolejne eksplozje poruszyły południowe dzielnice, lecz ta wyraźnie złośliwa akcja spowodowała niewiele zauważalnych zniszczeń w mieście, które i tak było już pogrążone w chaosie.

Z wieży pozostała tylko masa dymiącego, poskręcane go metalu.

–Było tam tak wiele mocy – niemal tęsknie zauważył Jordan. – Być może zdołalibyśmy ją opanować i wykorzystać do czynienia dobra.

–Była przeznaczona do czynienia zła – sprzeciwił się Hewe. – To tak jakbyś chciał zmienić sępa w słowika.

–Może i masz rację – przyznał Jordan. – Ale dlaczego to zrobiły? Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby pożeracze nieba chciały się nam przysłużyć.

–Jeśli Mendle był członkiem tej samej organizacji – zasugerował Hewe – to jest pewne, że nie udało mu się dokonać tego, planował, cokolwiek miało to być. A oni surowo karzą za niepowodzenie... – Uśmiechnął się. – Jakkolwiek by było, lepiej, że tej wieży już nie ma. Teraz możemy zająć się uporządkowaniem życia w mieście i nie martwić się o to, że w każdej chwili połowa miasta może wylecieć w powietrze lub zniknąć!

Obaj zakładali istnienie związku między wieżą i pożeraczami nieba. Zarówno wieża, jak i pożeracze nieba miały w swej dyspozycji moce przekraczające zdolność pojmwania – i Jordana, i Hewe’a.

–Zatem Gemma miała rację mówiąc o Dalekim Południu? – zastanowił się głośno Jordan.

–Bardzo być może – odparł Hewe.

–Czy nie przychodzi ci do głowy, że ktoś prowadzi z nami jakąś grę?

–Jakąś grę!

–Mówię poważnie.

–Nawet, jeśli oni – kimkolwiek są – są tak potężni, jak się wydaje – rzekł stanowczo Hewe – wciąż mamy jeszcze tutaj mnóstwo spraw do załatwienia. Przez jakiś czas Dalekie Południe będzie musiało zatroszczyć się o siebie samo.

Jordan spojrział na swego przyjaciela.

–Dobrze jest mieć przy sobie kogoś takiego jak ty – powiedział w końcu. – Gdyby losy świata pozostawiono w rękach takich marzycieli jak ja, skończyłoby się na jeszcze większym bałaganie.

–Gdybyś był tylko marzycielem, nie dokonałbyś tak wiele – odrzekł Hewe. – Całe miasto oczekuje, byś objął przywództwo.

–Bogowie! Nie jestem do tego przygotowany. – Jordan potrząsnął głową.

–Lepiej żebyś był. Dzisiaj po południu przemówisz na Rynku. Jordan oniemiał. – Już zawiadomiliśmy ludzi – dodał Hewe. – Powinien zjawić się tam całkiem duży tłum. – Przerwał. – No, Jordan. Chyba nie chcesz zawieść swojej publiczności?

Sześciu zwiadowców z Mrocznego Królestwa siedziało w kącie podziemnej sali, w której odpoczywali ich towarzysze. Od dawna stanowili zgrany zespół i chociaż dwóch z nich zginęło w poprzednich bitwach, ich zastępcy niemal natychmiast dopasowali się do grupy. W ich świecie praca grupy zwiadowczej polegała na lustracji wrogich regionów południowej części systemu jaskiń i pomiarach skażenia. Każdy członek grupy nauczył się ufać i w pełni polegać na pozostałych podczas wykonywania tej niebezpiecznej pracy i było naturalne, że trzymali się razem.

Skład grupy zwiadowczej był bardzo ważny. Konieczność połączenia różnorodnych umiejętności sprawiała, że zwiadowcy często różnili się od siebie znacznie usposobieniem i zdolnościami. C'tis była lekarką obdarzoną zdolnością widzenia wnętrza ciał swoich pacjentów; w ten sposób mogła skutecznie diagnozować i leczyć niektóre choroby. Była również biegła w bardziej konwencjonalnych zastosowaniach medycyny. Jej łagodnym rękom odpowiadało łagodne usposobienie. Mimo to nikt nie wątpił w jej siłę i zdecydowanie. Przez kilka miesięcy opiekowała się Ardenem, zdobywając jego dozgonną

wdzięczność i, całkiem niedawno, doprowadziła się do zupełnego niemal wyczerpania lecząc rannych podczas ostatniego konfliktu.

V'dal był przewodnikiem grupy. Jego fenomenalna pamięć obejmowała wszystkie tunele i

pieczary ich ojczyzny. Choć wszyscy z grupy znali podstawowe dane dotyczące bardziej odległych regionów ich królestwa, V'dal opracowywał plany marszrut i ich koordynację w czasie. Poza granicami Mrocznego Królestwa jego umiejętności straciły na znaczeniu, lecz bystry umysł V'dala był przydatny przy podejmowaniu wszelkich decyzji. Jego filozofia dawała mu poczucie historii i nakazywała głęboką troskę o swych towarzyszy – czy byli mieszkańcami Mrocznego Królestwa, czy nie.

Tego samego nie można było powiedzieć o J'vinie. Była wojownikiem – rasowym i nieskomplikowanym. Jej wysoka, szczupła sylwetka maskowała niezwykłą siłę fizyczną i zręczność. Czerpała radość ze swych talentów w walce i choć nie zawsze zgadzała się z innymi, to zawsze była wobec nich bezgranicznie lojalna. Potrafiła powiedzieć niewygodną dla pozostałych prawdę lub przyznać się do własnych błędów, i czyniła to z taką samą bezwzględną uczciwością. Przy J'vinie nikt nigdy nie był do końca pewny swego.

W przeciwieństwie do J'viny, T'via, trzecia kobieta w grupie, była cicha i małomówna. Przede wszystkim spełniała rolę obserwatora i przedstawiciela proroków. W razie potrzeby przemawiała w ich imieniu i miała złożyć im sprawozdanie po powrocie z Wielkiego Nowego Portu. Wydawała się zamknięta w sobie, a w jej głosie pojawiał się autorytet tylko wówczas, gdy interpretowała sprawy religijne bądź duchowe. Była jednym z nowych członków grupy i wciąż cechowały ją rezerwa i nieśmiałość.

Drugim względnym nowicjuszem w grupie był C'lin. Tak jak J'vina był żołnierzem i choć nie mógł równać się z nią na polu walki, miał wiele praktycznych umiejętności, koniecznych do przeżycia w odległych i niebezpiecznych miejscach, które odwiedzali. Reprezentował siłę fizyczną i praktyczne usposobienie.

Człowiekiem, któremu powierzono utworzenie zespołu z tych różnych osobowości, był D'vor. Był starszy od pozostałych, lecz sądził, że brak mu szczególnych uzdolnień, które uprawniałyby go do zajmowania pozycji przywódcy. Często zastanawiał się, dlaczego prorocy wybrali właśnie jego, i często związana z tą rolą odpowiedzialność bardzo mu ciążyła. Jego współtowarzysze mogliby mu przedstawić szeroki wachlarz powodów, dla których cieszył się ich zaufaniem i lojalnością. Jednak prośba o taką deklarację lojalności była całkowicie obca naturze D'vora i w konsekwencji wciąż starał się usprawiedliwić sam przed sobą swoją władzę.

Grupa odpoczywała po trudach podróży i po walce. Po raz pierwszy odkąd opuścili Mroczne Królestwo, poczuli się na tyle bezpiecznie, by w całości usunąć niewygodne bandaże z rybiego jedwabiu. Pod tą ochronną warstwą ich skóra była o wiele bardziej wrażliwa od skóry ludzi, którzy żyli na powierzchni.

Sala, w której się znajdowali, została wybrana, dlatego, że była jednym z największych pomieszczeń leżących pod miastem oraz dlatego, że była oświetlona tylko pośrednio, światłem z biegnącego obok korytarza. Chociaż wilgotne i zatęchłe, to właśnie pomieszczenie najbardziej przypominało przybyszom ich dom. Tu mogli się odprężyć, wyciągnąć swobodnie uwolnione od bandaży ciało i rozejrzeć wokół nie okrytymi niczym oczyma.

J'vine martwiła ich wrażliwość.

–Potrzebują tylko paru tych paskudnie jasnych lamp – poskarżyła się – a będziemy zupełnie bezradni!

–W nadzieimiu zawsze będziemy narażeni na ryzyko – odparł D'vor. – Jordan zapewnił nas, że nigdzie w pobliżu nie ma wroga, a strażę wystawił tylko po to, by nie uchybić zasadom bezpieczeństwa.

–Skąd możemy wiedzieć, że jesteśmy z nimi bezpieczni? – zapytała J'vina. – Jordan może i zasługuje na zaufanie, ale jego ludzie to przecież nadzieimcy.

–Teraz nie ma sensu o tym myśleć – zauważył V'dal. – Jeśli widzimy jakąkolwiek szansę, by nasze dwie rasy współdziałały, musimy im zaufać i przyjąć ryzyko.

–A sama możliwość zdjęcia bandaży to niewątpliwa ulga – dodał C'lin.

–To prawda – przyznała J'vina.

–Kładź się i odpręż – poradziła C'tis. – Wszystkim nam potrzebny jest odpoczynek.

J'vina zastosowała się do tej rady, choć niechętnie.

Jej podejrzenia były uzasadnione. Aż do chwili nieoczekiwanego przybycia

Ardena, ich jedynym kontaktem z mieszkańcami nadzieimia były potyczki z fanatyczną sektą wojowników znanych jako Szarzy Jeźdźcy. Ci okrutni ludzie uważali mieszkańców podziemia za szkodliwe robactwo i bez litości zabijali każdego z nich. Oprócz Szarych Jeźdźców Mroczne Królestwo otrzymało z nadzieimia tylko śmiertelną truciznę. Tak więc nic dziwnego, że uprzedzenie wobec nadzieimców było tak głęboko zakorzenione. Lecz jeśli powiedzie się ich misja, będą mieli szansę na otrzymanie pomocy w rozwiązaniu swoich problemów. Zagrożone zostało samo istnienie Mrocznego Królestwa i z pewnością warto było podjąć próbę pojednania dwóch społeczności – bez względu na to, jak było to ryzykowne.

Pamiętając o tym, D'vor postanowił potraktować tę wyprawę jak wszystkie poprzednie. Rankiem, po nocnym odpoczynku, zarządził odprawę.

–W odpowiednim czasie będziemy musieli zameldować o wszystkim prorokom -zaczął. – Czy pomyślałeś już, jak to zrobimy, V'dal?

–Cóż, poznałem już podziemne szlaki wiodące pod miastem – odpowiedział przewodnik. – Przynajmniej te ich fragmenty, które widzieliśmy lub, o których nam mówiono. Powierzchnia jest absolutną niewiadomą – nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak wygląda. – Przerwał, rozważając absurdalność idei całego miasta – tysiący ludzi mieszkających nad ziemią. Wszystkim, co dostrzegł, kiedy zbliżali się do Wielkiego Nowego Portu w samym środku nocy,

był ciemny zarys miejskich murów i nawet nie próbował sobie wyobrazić, co znajduje się wewnątrz.

–Czy potrafiłbyś odnaleźć tunel, którym weszliśmy? – zapytał D’vor.

–Tak.

–A na zewnątrz? Czy mógłbyś zaprowadzić nas z powrotem do domu, sam, bez żadnej pomocy?

–Mogę to zrobić z zawiązanymi oczyma – stwierdził V’ dal, wywołując ogólną wesołość. Po otwartym terenie podróżowali nocą, z oczyma chronionymi pojedynczą warstwą rybiego jedwabiu. Materiał pochłaniał na tyle światło gwiazd i księżyca, by uczynić nadziemnie znośnym dla ich oczu, choć równocześnie w niczym nie umniejszał ich zdolności widzenia.

–J’vina?

–A cóż ja mogę powiedzieć? – odparła ze złością, lecz nim D’vor zdążył ją

upomnieć, opamiętała się. – Wiesz, że się martwię naszą sytuacją, ale uwierzyłam, że nie może być wroga w zasięgu bezpośredniego uderzenia. – Udało się jej to powiedzieć tylko

lekko powątpiewającym tonem. – Jak dotąd, z militarne punktu widzenia, dobrze

wypełniliśmy swoje zadanie. Liczba ofiar jest raczej niewielka, a nasza siła uderzenia nie

osłabła. Ponieważ nie wiem, co jeszcze nas czeka, nic więcej nie mogę powiedzieć.

D’vor skinął głową, a potem zwrócił się do T’vii.

–Prorocy będą zadowoleni – powiedziała cicho. – Pomogliśmy ludziom Jordana pokonać wielkie niebezpieczeństwo. Jeśli on i Arden przekonają nadziemców do naszej sprawy, mamy duże szansę na wzajemnie korzystne stosunki. – Zawahała się. – Bogowie -szepnęła. – Mówię, jakbym wygłaszała wykład.

–Prawda – zauważyła J’vina – ale zepsułaś efekt przyznając to. Przypuszczamy, że

prorocy... – Ostrzegawcze spojrzenie D’vora sprawiło, że ugryzła się w język, lecz T’via nie poczuła się urażona. Wydawała się tylko zamyślona.

–Często się zastanawiałam – zaczęła, potem przerwała unosząc wzrok na

patrzących na nią z wyczekiwaniem towarzyszy. – To bez znaczenia – zakończyła bez

przekonania, a potem dodała po namyśle: – Mam dobre przeczucia, co do naszego pobytu

tutaj.

Jej słowa uspokoiły D'vora. Wybrani do reprezentowania proroków, bywali często bardziej wrażliwi niż większość ludzi. Dawno już przestał powątpiewać w istnienie niejasnych mocy i ufał instyktom T'vii tak samo, jak przecuciom jej poprzedniczki -L'thy.

–C'tis?

Lekarka uniosła ze znużeniem wzrok. Dla niej najcięższa praca zaczęła się po walce. Jednak, gdy już skończyła pracować, opanowało ją natychmiast straszliwe wyczerpanie i jednonocny odpoczynek nie wystarczył, by odnowić jej siły. Teraz w jej głosie zabrzmiało rozdrażnienie.

–Dwóch naszych ludzi nie żyje – stwierdziła – ale to są raczej niewielkie straty, a ja nie byłam w stanie im pomóc. – Gorycz w jej głosie ożywiła J'vinę.

–To się zdarza – powiedziała bez emocji. – Mieliliśmy szczęście, że nie straciliśmy więcej.

Kobiety patrzyły jedna na drugą i D'vor zastanowił się, czy nie trzeba interweniować.

–Przykro mi – odezwała się w końcu C'tis. – Okazuje się, że trudno mi być obiektywną w takich sprawach.

–Nasza grupa nie będzie zbyt skuteczna, jeśli wszyscy będziemy myśleli dokładnie tak samo – pocieszył ją V'dal.

J'vina usiadła prosto i uśmiechnęła się.

–Możesz to powtórzyć – stwierdziła. – Ja uważam, że wy wszyscy jesteście szaleni, a wy sądzicie, że to ja oszalałam, tak więc musimy starać się jeszcze bardziej, by chronić się nawzajem. – Ułożyła się znowu, najwyraźniej zadowolona ze swego wyводу.

–Dotychczas nie zdawałem sobie z tego sprawy – zauważył C'lin, wywracając oczy i wykrzywiając twarz w tak nedorzeczny sposób, że wszyscy zaczęli się śmiać.

–To całkiem interesująca teoria filozoficzna... – zaczął V'dal udając powagę.

–Tylko bez wykładów, proszę – przerwała T'via, uśmiechając się szeroko. Było to pierwszy raz, kiedy poczuła się na tyle swobodnie, by przyłączyć się do ich żartów, a jej

łagodna kpina z samej siebie została przez nich dostrzeżona i doceniona.

D'vor cieszył się, że konflikt został zażegnany, ale potrzebny był mu meldunek C'tis. W tym obcym otoczeniu jej zdolności stawały się ważniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

–Więcej żadnych przemówień – zgodził się i uniósł ręce, prosząc o ciszę – ale musimy usłyszeć, co C'tis ma do powiedzenia. – Odwrócił się, by spojrzeć na nią.

–Nawet, jeśli wszyscy jesteśmy szaleni? – zapytała złośliwie.

–Nawet wtedy.

–Pominąwszy śmierć dwóch naszych ludzi, rany odniesione w czasie walki nie są poważne – oświadczyła. – Zagoją się, jeśli starczy czasu, choć musimy wystrzegać się infekcji. Nie mam pojęcia, co może zagrażać w miejscu takim jak to. – Przerwała, ważąc w myślach następne zdanie. – Najbardziej martwią mnie dziwne bóle i dolegliwości, których nie potrafię wyjaśnić. Nie będę w stanie tego powiedzieć, dopóki nie odzyskam na tyle sił, by przeprowadzić odpowiednie testy, ale myślę, że mogą być skutkiem oddziaływania różnych rodzajów światła. Możliwe, że rybi jedwab chroni nas tylko częściowo i skutki przedłużonej reakcji mogą być poważne.

Nikt się przez chwilę nie odzywał, jakby badali na własnych ciałach prawdziwość jej słów.

–Co zalecasz? – spytał w końcu D'vor.

–Stała czujność – odparła. – To wszystko, co możemy zrobić, dopóki nie dowiem się czegoś więcej. Na ile to tylko możliwe, powinniśmy ograniczyć zdejmowanie bandaży bez względu na to, jak bardzo to uciążliwe. Wiemy już, że za wszelką cenę musimy unikać pełnego słońca, bo ono właśnie jest największym zagrożeniem.

–Coś jeszcze?

C'tis skinęła głową, lecz wydawało się, że odzywa się niechętnie.

–Niektórzy z nas są w stanie lekkiego szoku – powiedziała w końcu. – Są tego nieświadomi, ale może to wpłynąć na ich zachowanie.

–Dlaczego? – zapytała szybko J'vina.

–Ponieważ utrudnia im ocenę sytuacji oraz opóźnia reakcje.

–Wspaniale! Właśnie to, czego potrzebujemy w walce! – W głosie wojowniczkę brzmiało rozgoryczenie. – Może, dlatego F'val... – Jej głos zamarł, gdy przypomniała sobie śmierć jednego ze swych towarzyszy.

–Jaka jest tego przyczyna? – zapytał D'vor.

–Mogę tylko zgadywać – odparła lekarka. – Chociaż członkowie naszej grupy zostali dobrani bardzo starannie, nikt z nas nie mógł wiedzieć, co spotka go w nadziemiu. Myślę, że wstrząs wywołany tak długim pobytem na otwartej przestrzeni w czasie wędrówki

załamał niektórych z nas. Poczuli się zagubieni... – Zawahała się. – Zresztą ja też... – dodała cicho.

–To wstrząsnęło nami wszystkimi – rzekł V’ dal.

Siedzieli w milczeniu, wspominając ową straszną chwilę, kiedy Jordan

przeprowadził ich do obcego świata. Choć przygotowywali się do tego fizycznie i psychicznie, to już tylko to, że mogą patrzeć na tak olbrzymią przestrzeń, nappełniało ich grozą. A uniesienie wzroku na gwiazdy, migoczące tak niewyobrażalnie wysoko i otoczone przez tak wiele niczego, było już szaleństwem.

A potem podróż stała się ciągiem odkryć przeplatanych dojmującym uczuciem niepokoju i lęku przed straszliwym ogniem, który jak ostrzegał ich Jordan, będzie wznosił się na wschodnim nieboskłonie. Drzewa, kwiaty, łagodnie opadające trawiaste wzgórza, widziane w oddali ślady ludzkich sadyb, zwierzęta, ruch wiatru i chmur – wszystko to wywoływało w nich zdumienie i rosnącą obawę. Lecz to bezkresna kopuła nocnego nieba była tym, co zmuszało ich do nowego spojrzenia. Nic dziwnego, że niektórzy z trudem radzili sobie z rosnącym napięciem.

–Odpoczynek tutaj dobrze nam zrobi – powiedziała C’ tis, wskazując na ciemne,

ograniczające przestrzeń ściany wokół nich – ale musimy przygotować się na to, że w

końcu wyjdziemy na zewnątrz.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Liczba informacji, o jakie prosił D’ vor, rosła po każdym kolejnym pytaniu, wiedział jednak, że nie ma innej możliwości, jak tylko dobrnąć do końca.

–Jak wygląda sprawa z zapasami, C’ lin? – zapytał, starając się, by zabrzmiało to tak praktycznie, jak tylko jest możliwe.

–Doskonale – odparł natychmiast żołnierz, rozumiejąc intencje D’ vora. – Mamy mnóstwo jedzenia i wody – chociaż jedzenie jest dość szczególne. Na tyle jednak, na ile możemy razem z C’ tis ocenić, jest zupełnie bezpieczne i pożywne.

–Jak dotąd nikt w żaden sposób nie ucierpiał z powodu jedzenia – dodała lekarka.

–Trzeba się tylko przyzwyczaić do tego smaku – skrzywił się V’ dal.

–W przeszłości jadałeś gorzej – odparła J’ vina. – Nie zawsze gotował nam B’ van.

Zapadła chwila ciszy. Śmierć ich towarzysza, który poległ w jednej z poprzednich

potyczek, wciąż była bolesna. Nie tylko był wspaniałym kucharzem, lecz jego humor i prawość czyniły zeń nieocenionego przyjaciela. C’ lin, który zastąpił go w grupie

zwiadowców, odchrząknął.

–Cóż, obawiam się, że teraz skazani jesteście na mnie – powiedział. – Szczęśliwie się, więc składa, że nie musimy gotować sobie sami. Jesteśmy zależni od naszych gospodarzy, podobnie jak z zakwaterowaniem. Ale jeśli będzie trzeba, poradzimy sobie.

–Dobrze – zakończył D’vor. – Czy ktoś chciałby coś dodać?

–Wyobraź sobie, że tak – odpowiedziała J’vina. – Co mam zrobić z węzem, który właśnie wypełził z tej dziury w ścianie?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przerażeni spojrzeli we wskazanym kierunku. Wąż miał drażniący żółty kolor i był tak gruby jak przedramię J'viny. Na razie z dziury wyłoniła się tylko przednia część jego ciała, którą uniósł w górę i mierzył ich wzrokiem, jakby wybierając ofiarę. Małe złośliwe oczy połyskiwały w jego płaskiej, zakapturzonej czaszce.

J'vina wstała zręcznie; miecz wysunął się z sykiem z pochwy, gdy wolno zbliżała się do gada. Wąż obserwował ją przez chwilę, potem cofnął się w ciemność.

–Czy to znaczy, że spaliśmy tutaj całą noc z tym węzem? – C'lin zadrżał na samą myśl.

–Czy nie moglibyśmy zatkać dziury? – zaproponowała C'tis.

–Tak, ale prawdopodobnie są tam inne – odparł V'dal.

–Cóż, nie wypatrzymy wszystkich szczelin – powiedziała ze znużeniem lekarka. – Jak będziemy spać tej nocy?

–Może moglibyśmy pomóc – usłyszeli nagle kobiecy głos.

Unieśli wzrok i zobaczyli w szczelinie wejścia sylwetki mężczyzny i kobiety;

wokół ich stóp kręciło się kilka mniejszych cieni. Gdy Gemma i Arden weszli do sali, w półmroku ostrożnie stawiając stopy, myrkety brykając podążyły za nimi, drapiąc pazurkami po kamiennej podłodze.

Czy widziałyście węża? - zapytała ich w myślach Gemma.

Czujemy jego zapach - odpowiedział w imieniu klanu Ox. *Krzywe jedzenie będzie dobre* - dodał tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że nie przepada za dietą, którą ostatnio musiały się zadowalać.

Czy to nie będzie niebezpieczne?

W malej norze, tak. Spróbujemy więc wypędzić go na otwarty teren. Przywódca klanu mówił tak, jak gdyby rozkoszował się tym, co ma nastąpić.

Na oczach ludzi myrkety rozdzieliły się, szukając innych wejść do legowiska węża. Znalazły dwa i para stworzonek natychmiast zanurkowała w szczeliny, po jednym w każdą.

–Co się dzieje? – zapytał D'vor.

–Klan poluje – odparła Gemma. – Lubią mięso węży – nazywają je krzywym

jedzeniem – i to rozwiąże wasz problem.

–Zatem będą miały co robić – stwierdziła J’vina. – Ten wąż jest o wiele większy od nich. – Nawet stając na tylnych łapkach, myrkety sięgały J’vinie zaledwie do kolan.

–Działają jako zespół – odparła Gemma, ale z niepokojem obserwowała dziury.

Kilka chwil później Gemma usłyszała Eda. *Krzywe jedzenie nadchodzi.*

Miała chwilę, by ostrzec pozostałych, kiedy sycząc wyłonił się wąż. Nie zważając na widzów, zawrócił, by stawić czoło swym prześladowcom. Dwa pyszczki myrketów, z obnażonymi zębami, pojawiły się w dziurze, a te, które pozostały w sali, podbiegły, by odwrócić uwagę węża.

Wkrótce otoczył go cały klan. Myrkety śmigły do przodu, by ugryźć lub drasnąć pazurem węża, umykając zręcznie przed groźnym łbem. Wojna na wyczerpanie zaczęła w końcu dawać owoce i wąż wyraźnie opadł z sił.

–Mogę to teraz skończyć – powiedziała J’vina, wciąż z mieczem w dłoni. Jej głos był pełen podziwu.

–Bądź ostrożna – ostrzegł Arden. – Może plunąć ci jadem w oczy.

J’vina przesunęła się ostrożnie naprzód, czekając na odpowiednią chwilę. Jednym

czystym cięciem jej ostrze oddzieliło łeb węża od ciała, które skręciło się kilka razy, a potem legło nieruchomo. Głosami przypominającymi ćwierkanie myrkety wyraziły pochwałę.

Gemma uśmiechnęła się do jasnowłosej wojowniczkii.

–Myrkety nazwały cię przyjacielem klanu – powiedziała.

–Jestem zaszczyciona – powiedziała poważnie J’vina. Cień fałszu nie zabrzmiał w jej głosie.

–Chcą wiedzieć, czy chcesz brać udział w podziale zdobyczy – ciągnęła Gemma.

–Podziękuj im ode mnie – odparła J’vina po chwili zastanowienia – ale to one są tym, komu należy się zdobycz. Tworzą wspaniały zespół – nigdy nie widziałam czegoś podobnego!

Gemma przekazała odpowiedź wojowniczkii, a potem przyglądała się, jak myrkety jeden po drugim znikają w dziurze w ścianie.

–Jeszcze jakieś węże? – zapytał C’lin.

–Nie, tylko jaja – odparła Gemma.

–Nie pozwól im ich wysiadywać! – rzucił pospiesznie V’ dal.

–Nie ma obawy – odpowiedziała. – To dla nich przysmak.

Od niezliczonych lat Wielki Nowy Port stanowił centrum zepsucia i siedlisko wszelkich występków. Dawał schronienie odrażającej dekadencji i nieopisanej nędzy. Podczas gdy garstka żyła w luksusie, większość była zmuszona do grzebania w stosach cuchnących odpadków, które zalegały najbiedniejsze dzielnice miasta. Teraz zmieniło się wszystko.

Wszyscy byli w takiej samej sytuacji. Nikt nie był pewny przyszłości; ludzie żyli z dnia na dzień, wdzięczni za każdy kęs jedzenia, za każdą chwilę wolną od strachu, za każdy kolejny oddech.

Garstka szczęśliwców umknęła z miasta, zabierając ze sobą tyle, ile zdołali unieść, ale większość – czy z chciwości, czy ze zwykłej głupoty – przyłgnęła do symboli swego bogactwa i władzy, nie chcąc dostrzec prawdy rewolucji. Kilku członków Gildii zostało zamordowanych przez rozszalały motłoch, który nie oszczędził również ich rodzin i służby. Taki sam los spotkał strażników; płacili teraz drogo za swoją służalczość wobec zienawidzonych panów.

Lecz gdy minęła pierwsza fala furii i odwetu, a wieża została zniszczona, ludzie rozejrzeli się wokół siebie zadając pytanie: “Co tu się dzieje?”

Zobaczyli ruiny miasta. Dwa odcinki murów i pobliskie domy zmieniły się w stosy gruzu. Wiele budynków stało teraz opuszczonych – albo pozostały z nich dymiące zgliszcza. A jednak ci, którzy umieli patrzeć, wciąż dostrzegali wiele cudów tego miasta. Prastare kamienne budowle wciąż stały, szydząc z otaczającego je chaosu, szerokie aleje dawały rozległą panoramę miasta. Jednak inne dzielnice stanowiły labirynt uliczek i wąskich przejść.

Na tych szerokich alejach można było niegdyś nabyć wszelkie dobra – oczywiście za odpowiednią cenę. A tą ceną było bogactwo albo wpływy. I – zgodnie z naturą człowieka - wszystko to miało być wkrótce znów do kupienia. Trzeba było tylko zdecydować, czy Nowy Port będzie rządzony przez nową władzę, czy też powróci do dawnych okrutnych praw dziczy. Najsilniejsi znali sposoby samoobrony, lecz większość skuliła się w milczeniu, oczekując przywódcy.

W ciszy, która teraz zapadła, rozeszła się wieść, że Podziemie wystąpiło, by podjąć wyzwanie. Plotki rozbiegły się lotem błyskawicy, pełne lęku szepty i pogardliwe drwiny, mieszające fakty i wymysły. Lecz jedno imię powtarzało się we wszystkich tych pogłoskach, imię, które niemal wszyscy znali, lecz tylko paru mogło powiedzieć, że spotkało się z osobą, która je nosi.

I to właśnie tego popołudnia, miało się zmienić.

Miał przemówić Jordan.

Gemma spędziła kilka godzin rozmawiając z mieszkańcami Mrocznego Królestwa.

Opowiedzieli jej o swoim podziemnym Królestwie i o jadzie, który mu zagraża. Gemma i C'tis podzieliły się swoim doświadczeniem leczniczym i omówiły metody, jakimi się posługują. Myrkety i łącząca je więź z Gemmą, stały się pretekstem do ujawnienia jej wielkiej roli w układzie magicznych kręgów. A potem, całkiem naturalnie, przedmiotem wielu spekulacji stały się plany na przyszłość. Jednak, bardziej niż czymkolwiek innym, spotkanie to było dla każdej ze stron odkrywaniem nieznanego świata i zakończyło się wyrażeniem wzajemnego szacunku.

– Jesteś tak wyjątkowa, jak mówił Arden – stwierdziła T'via. – Prorocy ślą ci podziękowania i wyrażają nadzieję, że na zawsze zostaniesz naszym przyjacielem.

– Arden przesadza – odparła Gemma – ale jeśli o mnie chodzi, pragnę tego samego, co prorocy. Jeśli jestem kimś wyjątkowym, to tylko dzięki takim ludziom jak wy. Nie miałam pojęcia, że tyle cudów jest na świecie.

Spojrzała na swoich nowych przyjaciół, na ich bladą, niemal niematerialną skórę, ogromne oczy i jasne włosy. *Jak dziwnie muszę wyglądać w ich oczach* - pomyślała unosząc rękę, by dotknąć własnych, krótko obciętych, czerwonych loków.

Wszyscy wysocy-zrzucający-skorę są dziwni - zauważył Ed, używając terminu, jakim myrkety określały ludzi.

Gemma niemal zapomniała, że towarzyszą im myrkety. Dawno już wyłoniły się z dziur, oświadczając, że teren jest wolny od węży. Po posiłku z *“krzywego jedzenia”* cały klan zgromadził się w kacie i większość zasnęła. Tylko Ed i Av pozostali na straży.

I tu macie rację - potwierdziła Gemma. – *Nawet my tak uważamy!*

To właśnie, dlatego macie takie długie imiona - powiedziała Av. Myrkety nadawały długie nazwy rzeczom, których nie rozumiały. *Gem-ma* i *Ard-en* zakładały brak wiedzy o sobie samym, czego małe stworzenia nie potrafiły pojąć.

– Z czego się tak śmiejesz? – zapytał Arden.

– Myrkety mówią mi, jacy jesteśmy dziwni, my, ludzie – odparła Gemma.

– Mają rację – powiedziała J'vina. – Nigdy nie widziałam żadnej grupy ludzi, która tak dobrze umiałaby współpracować.

– Wiele możemy się od nich nauczyć – zgodził się V'dal.

– Ja już się nauczyłam – dodała Gemma.

– Lepiej już chodźmy – odezwał się Arden. – Wkrótce ma przemawiać Jordan i

będzie potrzebował wszystkich swoich przyjaciół.

Gemma i Arden wyszli, obiecując powrócić z wieściami tak szybko, jak będzie to możliwe. Gdy myrketę poruszyły się i podążyły za nimi, odprowadzało je wiele par ogromnych oczu.

Milczenie trwało, dopóki goście nie znaleźli się poza zasięgiem głosu.

–Jest jak płomień – rzekł C’lin jakimś dziwnym, lirycznym tonem. – Sam ogień i światło.

–Ale tak krucha – dodał V’ dal.

–A tak wiele zdaje się od niej zależeć – powiedział D’vor.

–Wszystko – przytaknęła poważnie T’via.

Kiedy Gemma i Arden przybyli na Rynek, zapełniał go już tłum ludzi. Gdy przyglądali się stłoczonej ciżbie, Gemma spojrzała na Ardena, przypominając sobie dzień, gdy przemawiał do takiego samego tłumu, usiłując uzyskać ich pomoc dla odległej i pięknej doliny.

–Mam nadzieję, że Jordan poradzi sobie tak dobrze jak ty – powiedziała Gemma.

–Nie będzie potrzebował klucza dzikich gęsi do pomocy – odparł Arden, potem się zawahał. – A może tak? – zapytał, unosząc brwi.

–To, co zrobiłam wówczas, było odruchowe – odpowiedziała. – Pomogę Jordanowi, jeśli to będzie konieczne, ale w tej debacie powinien zwyciężyć dzięki sobie.

Arden skinął głową.

–Tak czy inaczej, przekonanie tych ludzi nie przyniosło nam w końcu żadnej korzyści – powiedział.

–Tak, ale znaleźliśmy inne sposoby, by uratować Dolinę – przypomniała mu i na to wspomnienie uśmiechnęli się do siebie.

Za imponującymi fasadami budynków otaczających plac Gildia prowadziła większość swoich interesów. Mieściły się tam sądy, sala debat oraz biura administracji i handlu. Główne gmachy zbudowano zbyt solidnie, by mogły je zniszczyć rozwścieczone tłumy, lecz w kilku miejscach wyraźnie było widać ślady przemocy, a wiele pomieszczeń

wewnątrz zostało splądrowanych. Mimo to plac wciąż stanowił serce miasta.

Jordan miał przemówić z monumentalnej Siedziby Sądu. Budowla stała pośrodku północnej ściany placu; zbudowano ją z takiego samego jasnego kamienia, co gmachy rządowe. Wznosiła się dramatycznie nad areną, mieszcząc w samym swoim centrum pojedynczą, kamienną ławę, wystarczająco długą, by mogło na niej zasiąść siedmiu sędziów. Przed ławą postawiono

masywny kamienny stół, a po obu jego stronach podwyższenia, skąd dawniej petenci zwracali się do sędziów na górze i do tłumu na dole. Z własnego, gorzkiego doświadczenia Arden i Gemma wiedzieli, że szale wagi Gildii odmierzającej sprawiedliwość nie były uczciwie obciążane, lecz w przypadku Jordana decyzję mieli podjąć sami mieszkańcy miasta, bez wątpliwego osądu sędziów Gildii.

W przeszłości takie publiczne rozprawy stanowiły uroczyste wydarzenia, ludzie zakładali się o wynik debaty, pouczali lub wydrwiwali mówców. Tego jednak dnia nastrój był posepny, milczano. Ludzie spoglądali podejrzliwie na swoich sąsiadów – wielu było uzbrojonych.

–Bogowie, mam nadzieję, że zdoła ich przekonać – szepnął Arden, gdy wraz z Gemmą przeciskali się bliżej podwyższenia. – Niewiele trzeba, by ta ciżba wymknęła się spod kontroli.

–Cieszę się, że myrkety postanowiły zostać w podziemiach – odparła cicho Gemma. Obraz klanu śpiącego spokojnie w swojej “norze” pomógł jej nieco uspokoić własne nerwy.

W miarę jak posuwali się naprzód, zauważyli, że ludzie rozstępują się przed nimi. Arden nie wyglądał na człowieka, z którym warto zadzierać, ale to nie on, lecz Gemma była obiektem uwagi i niepokoju. Ognisto-rude włosy, tak niecodzienne na tym południowym kontynencie, od dawna kojarzono z magicznymi istotami zamieszkującymi północne wyspy – a od przesądów trudno się uwolnić, nawet podczas rewolucji. Gemma słyszała, jak ktoś szepcze “wiedźma”, i zauważyła, że inni powtarzają gest mający strzec przed złem. Wezbrały w niej mieszane uczucia.

Już tylko parę kroków dzieliło ich od podwyższenia, gdy wśród tłumu zapanowało poruszenie. Jordan wdrapał się na fasadę Siedziby Sądu i teraz stał na kamiennym stole, tak, aby wszyscy mogli go zobaczyć. Hewe, Egan, kilku mężczyzn i kilka kobiet ustawiło się za nim w szeregu. Ciemna twarz Jordana była spokojna, lecz promieniowała wyraźnym podnieceniem, gdy mierzył swoją widownię błyszczącymi oczyma.

–Przyjaciele! – zawołał dźwięcznym głosem, z łatwością docierającym do najdalszych zakamarków placu. – Mam na imię Jordan i przybyłem do was dzisiaj, by przemówić w imieniu organizacji, którą dotąd nazywano Podziemiem.

Gdzieniedzie w tłumie rozległy się urywane, radosne okrzyki, podczas gdy gdzie indziej słyhać było gniewne szemranie.

–Powiedziałem nazywano – ciągnął dalej Jordan – ponieważ nie musimy się już dłużej ukrywać. Teraz występujemy otwarcie!

Jeszcze więcej okrzyków poparcia zabrzmiało na placu. Nie ulegało wątpliwości, że mówca ma wielu przyjaciół, którzy chcą zaznaczyć swoją obecność.

–Większość z was wie z pewnością, że my, członkowie Podziemia, poświęciliśmy się sprawie obalenia Gildii.

Wrzawa wzmożła się znowu, lecz Jordan nie przerywał i mówił dalej, podnosząc głos:

–Chociaż nie możemy domagać się pełnego zaufania, mówię wam teraz, że Gildia została pokonana, całkowicie zniszczona. I wiem na pewno, że Zwierzchnik nie żyje.

Przerwał, czekając, aż wrzawa ucichnie.

–Lecz nie mamy czasu na radość! – krzyknął nieoczekiwanie.

Zapadła cisza.

–Rozejrzyjcie się wokół siebie! Wszyscy widzieliście zniszczenie i rozlaną krew, głodnych i pozbawionych dachu nad głową ludzi. Wiecie, jakim wyzwaniom musimy stawić czoło. A jedynym sposobem gwarantującym sukces jest wspólne działanie.

Teraz słuchali, nawet, jeśli nie wszyscy byli przekonani.

–Jeśli dalej będziemy podążali drogą, na której każdy człowiek troszczy się tylko o siebie, wówczas zastąpimy jedną formę tyranii inną. Jest dość bogactwa w tym mieście, by zapewnić każdemu z nas, bez wyjątku, przyzwoite życie – dach nad głową, zasobny stół, bezpieczny sen i spokój ducha. Czy taki cel nie jest wart poświęcenia? Mamy szansę, by z tego marzenia uczynić rzeczywistość. Lecz jeśli jej teraz nie wykorzystamy, już się nie powtórzy. Teraz albo nigdy.

Jakiś głos przebił się przez pomruk tłumu.

–Czym chcesz za to wszystko zapłacić? Chleb i mięso nie leżą na ulicy.

–Nowy Port ma pod dostatkiem dóbr. Kleve jest bogatym krajem – przecież widzimy, że wszyscy obywatele z tego korzystają.

Jeszcze inny głos wmieszał się w tę wymianę zdań.

–Jeśli jakiś człowiek pracuje ciężko przez całe lata, by zapewnić trochę luksusu

swojej rodzinie, dlaczego miałyby oddawać to teraz tym, którzy nic nie robią?

Wywołało to gniewne okrzyki i oskarżenia z różnych stron.

–Nie! – zawołał ponad wrzawą Jordan. – Nigdy nie powinno odmawiać się sprawiedliwej zapłaty za czyjąś ciężką pracę lub talent. Ja tylko pragnę sprawiedliwego podziału. Potrzebujemy handlu. Potrzebujemy naszych rozmaitych umiejętności. Ale pracy jest dość dla wszystkich. Tylko odbudowanie zniszczonych części miasta oraz zapewnienie ludziom warunków do przeżycia przez jakiś czas pochłonie wszystkie nasze siły.

Tłum słuchał teraz uważnie i Jordan umocnił swoją przewagę. Zaczął opowiadać o planach Podziemia – organizowanych punktach rozprowadzania żywności, zespołach budowlanych, wyborze opiekunów dla każdej dzielnicy miasta i o mających powstać szpitalach. Podkreślał, jak bardzo są wszędzie potrzebni ochotnicy, i mówił, w których miejscach i jakie prace już się zaczęły. Otrzymał parę okrzyków poparcia od tych, którzy widzieli realizację tych planów i przez jakiś czas wydawało się, że wszystko idzie dobrze. Potem donośny głos uciszył rosnący entuzjazm jednym pytaniem.

–Co powstrzyma cię przed utworzeniem nowej Gildii, z tobą jako jej

Zwierzchnikiem?

–Co powstrzyma? – odparł natychmiast Jordan w naglej ciszy. – Wy! Wy wszyscy.

Czy sądzisz, że mieszkańcy Wielkiego Nowego Portu pozwolą na to? Choćbyś nawet nie ufał mnie, to przynajmniej postaraj się nie wątpić w mądrość swoich towarzyszy, obywateli tego miasta. Od dzisiaj każdy, kto pracuje dla ciebie, będzie odpowiedzialny wobec ciebie.

Jego pełne entuzjazmu słowa przekonały tłum, który potrafił wyczuć ich szczerość, i ryk aprobaty przetoczył się przez plac. Wkrótce potem Jordan zszedł ze stołu, gromadząc ochotników potrzebnych do realizacji planowanych przedsięwzięć.

W ścisku, jaki powstał, Gemma i Arden nie zdołali dotrzeć do Jordana, opuścili, więc plac sami.

–Nie powiedział nic o Mrocznym Królestwie – ani o Dalekim Południu -powiedziała w zamyśleniu Gemma.

–Powie im, kiedy będą gotowi – odparł Arden. – Dzisiaj byłaby to tylko komplikacja. Nie będzie mógł zrobić niczego, jeśli najpierw nie zjedna sobie ludzi.

–Masz rację – przyznała – ale prędzej czy później będą musieli znać prawdę. Żadna odbudowa nic im nie da, jeśli... – Gemma nie dokończyła zdania. Nie chciała dzielić się swoimi przeczuciami.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dla wszystkich mieszkańców Wielkiego Nowego Portu następne trzy miesiące minęły w wirze gorączkowej pracy. Wiele przesądów i wzajemnych wrogości gdzieś zniknęło, gdy coraz więcej i więcej obywateli zaczęło odczuwać korzyści płynące z objęcia przywództwa przez Podziemie. A gdy te korzyści stawały się coraz bardziej widoczne, nawet słabsi nabierali sił, wspomagani współpracą i zaufaniem innych. Rosła ufność, a wraz z nią chęć do pomocy przy rozmaitych projektach Podziemia. Cynikom coraz trudniej było stać na uboczu; popadali w pogłębiającą się izolację, a ich liczba malała.

Jordanowi dopisywało szczęście – systematycznie i cierpliwie przy pomocy licznych przyjaciół i sprzymierzeńców, stopniowo wywiązywał się ze swoich obietnic. Z chaosu wyłaniał się porządek.

Oczywiście, nie wszystko szło gładko; niepowodzenia i zawiedzione nadzieje były codziennością. Zwalczanie przemocy i rozbojów wymagało wielkiego wysiłku – wielu odstraszających kar – i ustanowienia władzy lokalnych “strażników”. Strażnicy, mężczyźni i kobiety pochodzili z dawnych nizin społecznych, lecz ponieważ tak wielu cierpiało w przeszłości z rąk skorumpowanych Strażników Gildii, minęło wiele czasu, nim ich następcy zostali zaakceptowani przez większość.

Poza tym główne troski wiązały się z ochroną zdrowia oraz zapewnieniem dachu nad głową i żywności. Prace budowlane i remonty hamował brak materiałów i niedoświadczenie wielu z ostatnio zwербowanych robotników. Kłopoty z organizacją kolejnych przedsięwzięć wywoływały liczne dyskusje o dostawach i pierwszeństwie robót. Początkowo Jordan i Hewe podjęli się osobiście mediacji w sporach, co wymagało od nich zdrowego rozsądku i ciętego poczucia humoru, by móc postępować dyplomatycznie – i pozostać przy zdrowych zmysłach! W miarę upływu czasu mogli pozostawiać coraz więcej i więcej spraw w rękach swoich towarzyszy, którzy przyjmowali role najlepiej odpowiadające ich uzdolnieniom.

Załamanie handlu, wywołane ostatnimi wydarzeniami, nie wpłynęło korzystnie na dostawy żywności. Ponieważ ubogie tereny rolnicze bezpośrednio otaczające mury Wielkiego Nowego Portu nie mogły wyżywić ogromnej masy ludzi, miasto musiało importować żywność, by utrzymać się przy życiu. Garstka miejscowych rolników trzymała

się z dala od miasta, co pogarszało sytuację jeszcze bardziej. Lecz – w miarę postępującej stabilizacji – miejscowe produkty rolne stały się znowu łatwo dostępne, a Jordan na pierwszym miejscu postawił ponowne otwarcie przybrzeżnej drogi. Droga umożliwiła sprowadzenie towarów z żyźniejszych terenów rozciągających się na wschodzie i zachodzie; oznaczało to również możliwość uzyskania przez Podziemie informacji z innych wielkich portów prowincji, Altonbridge i Klevemouth. Początkowo nadchodziły sprzeczne wieści, lecz w końcu potwierdzono informację, że również i tam rozprawiono się z Gildią. Resztki organizacji poddały się; niektórym pozwolono nawet włączyć się w dzieło odbudowy. Zagrożenie ze strony

Gildii zniknęło na zawsze.

Z Altonbridge doniesiono, że statki z sąsiednich krajów wpłynęły do portu. To dodawało otuchy – i stanowiło jeszcze jeden znak, że powraca zaufanie i że handel zostanie wznowiony. Jeden z obcych okrętów przyplłynął z odległej krainy zwanej Quaid i kiedy Gemma dowiedziała się o tym, wstrząsnęła nią tajemna radość. Zagadkowy przypis, który przeczytała w jednej z bibliotek latającego miasta, stał się faktem.

Jordan oświadczył publicznie, że nikt nie będzie głodował, i dotrzymał obietnicy. Przez jakiś czas wielu prawie głodowało, ale ani razu nie doszło do wybuchu rozpacz. Jednak początkowy brak żywności pogorszył jeden z najbardziej palących problemów miasta. Wielki Nowy Port nigdy nie należał do najzdrowszych miejsc, nawet w spokojniejszych czasach, a teraz połączenie skutków walk z letnim upałem spowodowało rozwój epidemii. Infekcje rozprzestrzeniały się szybko, a wysiłki, by uwolnić miasto od śmieci i robactwa, zakończyły się tylko częściowym sukcesem. Pomoc nadeszła z nieoczekiwanej strony.

Myrkety zdawały sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie wynikało z częstego mylenia ich ze szczurami. Dlatego też z wielkim zapalem starały się pokazać, że są użyteczne pomagając usunąć z podziemnych przejść te szkodliwe gryzonie. Gemma pouczyła je, co mają robić, lecz że czekały na nie jeszcze inne zadania, pozostawiła je, by pracowały wspólnie z żołnierzami z Mrocznego Królestwa. J'vina znajdowała szczególną przyjemność w polowaniu i była dumna z coraz większej zażyłości z klanem. Gorąco pragnęła posiąść umiejętność telepatycznego porozumiewania się z tymi energicznymi małymi stworzeniami, i aby wynagrodzić sobie ten brak, robiła wszystko, by zapoznać się z ich zwyczajami, zespołowym działaniem i innymi sposobami porozumiewania. Ze swej strony myrkety zaakceptowały J'vinę jako przyjaciela klanu i przekazywały Gemmie radosne meldunki o wspólnych sukcesach, gdy ta tylko znalazła sposobność, by złożyć im

krótką wizytę. Któregoś razu Gemma uzyskała nieoczekiwaną możliwość wejrzenia w życie zarówno myrketów, jak i mieszkańców Mrocznego Królestwa.

...a potem tłusty piskacz wbiegł do nory - meldował Ed. "Tłusty piskacz" był nazwą, jaką klan określał szczury.

Gdzie krzywe jedzenie zjadło go - dodał Ox z wyraźnym zadowoleniem, że wąż wykonał za nich robotę.

Wygoniliśmy krzywe jedzenie - ciągnął dalej Ed – i J'vi ugryzła je swoim twardym pazurem.

Myrkety nie mogły zaakceptować pełnego imienia J'viny, uznając je za zbyt długie i niejasne. Jednak wyraźnie szanowały siłę jej "twardego pazura", czyli miecza.

Przyjaciółka klanu szybka - zakończyła Av. – Porusza się z nami.

Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Gemma.

Odpowiedź okazała się dla klanu trudna. Dopiero Ox, przywódca myrketów, podjął się w końcu próby wyjaśnienia.

Klan walczy, J'vi walczy. Poruszając się w środku tak samo.

Świdrujące czarne oczka wpatrywały się w Gemmę z uwagą i ciekawością. Najwyraźniej klan wiedział dokładnie, co miał na myśli Ox, lecz pragnął, by ich przyjaciółka również to zrozumiała. Myrketki wciąż jeszcze nie rozumiały znaczenia ludzkich gestów i mimiki, wciąż, więc obserwowały ją niezwykle uważnie.

Początkowo Gemma była zakłopotana, lecz po chwili błysk zrozumienia skierował ją na właściwy trop. Zwróciła się do J'viny.

–Skąd wiedziałaś, że wąż wypełźnie z nory... z dziury, chciałam powiedzieć?

Wojowniczką milczała.

–Po prostu wiedziałam – przyznała w końcu z wahaniem i dodała: – Obserwowałam klan tak długo, że mogłam przewidzieć, co planują. Przypuszczam, że musiałam też interpretować ich okrzyki i odgłosy dobywające się z dziury.

–Zatem działałaś odruchowo?

–Niezupełnie. – J'vina znowu przerwała. – Coś wewnątrz mnie kazało mi się poruszyć. Po prostu wiedziałam, czego się spodziewać.

Taki sam wewnętrzny impuls – pomyślała Gemma.

–To się czasami zdarza również w naszej grupie – ciągnęła dalej wojowniczką. –

To, dlatego, że znamy się tak dobrze. I właśnie, dlatego tworzymy zespół – jak myrketki.

Echa magii - zadumała się Gemma. Dlaczego tylko niektóre grupy potrafią wykorzystać je w pełni?

–Ale nie tak dobry? – rzekł D'vor, uśmiechając się w mroku.

–Nigdy nie będziemy tak dobrzy jak one – odparła z powagą J'vina. – Są wyjątkowe.

–Ale my umiemy robić rzeczy, których one nie potrafią – wytknął jej V'dal.

–To tylko fizyczne ograniczenia – sprzeciwiła się J'vina. – Działają jak jedność, jak gdyby cały klan miał jeden umysł. Nigdy nie będziemy w stanie tego skopiować.

Nie bądź taka pewna - pomyślała Gemma, lecz nic nie powiedziała. Idee zaczynały się dopiero tworzyć i nie były jeszcze na tyle gotowe, by mogła przedstawić je innym.

–Jedność z takim umysłem jak twój może odebrać odwagę – odezwał się złośliwie V’ dal. – Nie jestem pewien, czy mam na to ochotę!

–Ja też – dodał C’ lin. – Moglibyśmy się dowiedzieć, co naprawdę o nas myślisz!

–Mówiłam wam to aż nadto często – odcięła się J’vina, porzucając poważny ton. – Jesteście zgrają niekompetentnych prostaczków, którzy dotarli tak daleko tylko, dlatego, że ja jestem tutaj, by was chronić.

Obrzuciła ich groźnym spojrzeniem, prowokując do sprzeciwu.

–Mówisz prawdę, o Wielka Wojowniczo – zadeklamowała C’ tis, składając głęboki ukłon w udawanym hołdzie. J’vina skwitowała to wszystko nonszalanckim machnięciem ręki, lecz wkrótce już się śmiała; obserwujące je myrkety spróbowały naśladować gesty obu kobiet. Rezultat był komiczny.

–Zobaczcie! Jej plemię składa jej pokłony! – zawołała zaśmiewając się T’ via. – Lepiej, żeby prorocy nie dowiedzieli się o tym bałwochwalstwie!

–Uspokójcie się, wszyscy – rzuciła ostro J’vina, gdy kilka myrketów podniosło się z podłogi – Albo poszczuję na was klan!

*C’ lin i V’ dal skulili się w udawanym przerażeniu, śmiejąc się jeszcze głośniej. Więż łącząca grupę zwiadowców, którą dostrzegła teraz Gemma, sprawiła, że zrozumiała znaczenie słów Oxa. *Poruszając się w środku tak samo.**

–Chodźmy, C’ tis – powiedziała, gdy śmiech ucichł. – Nie możemy przesiedzieć

tutaj całego dnia. Czas wracać do pracy.

*Pożegnała się z klanem, w odpowiedzi rozległ się chór ich głosów. *Szczęśliwe-kłamstwa-wszystkim-znane są dobre?* - Głos Eda dołączył do chóru. *Tak* - odparła Gemma. *W czasach takich jak te poczucie humoru jest bardzo potrzebne, bardziej niż kiedykolwiek.**

*Jesteś zmęczona, Gem-ma - powiedziała z troską Av. *Odpuść w swojej norze. Odpocznę** odparła Gemma. *Potem uśmiechnęła się, myśląc o swojej “norze” i o*

chwilach, które mogła spędzić tam z Ardenem. Tych upragnionych godzin było zbyt mało – i nie zawsze spędzała je odpoczywając.

C’ tis pospiesznie nałożyła swój ochronny ubiór z rybiego jedwabiu i dwie lekarki wyszły. Wszyscy, którzy mieli jakiekolwiek umiejętności medyczne – obojętnie, magiczne czy nie – byli

teraz bardzo potrzebni. Gemma z zapalem rzuciła się w wir pracy. Chociaż nieustanna praca wyczerpywała jej siły, żalowała tylko, że nie widuje Ardena, podobnie jak ona zajętego ważnymi zadaniami, oraz że tak krótko może przebywać z myrketami. Niekiedy przyłapywała się na myślach o ich ostatecznym celu i o tajemnicy Dalekiego Południa, lecz wiedziała także, że nic nie może zrobić, dopóki Kleve się nie odrodzi.

C'tis pracowała równie ciężko, pomimo trudności, jakie sprawiało jej zwiększone natężenie światła. Od czasu, gdy opiekowała się Ardenem, wiedziała, że jej współplemieńcy i nadziemcy niewiele się różnią, nie żalowała, więc czasu i sił. Podzieliła się swoimi spostrzeżeniami z Gemmą i znalazły wiele podobieństw porównując swoje zdolności, uczucia i wrażenia. Choć każda martwiła się o zdrowie drugiej, wiedząc, jak bardzo wyczerpująca jest ich praca, spędzały jednak razem długie godziny dając z siebie wszystko – i to sprawiło, że stały się przyjaciółkami.

Początkowo wygląd C'tis napawał lękiem i obawą wielu jej pacjentów. Jednak szybko rozproszyła wątpliwości swoją spokojną fachowością i niezaprzeczalną skutecznością. Gemma dostrzegła jej poświęcenie i zrozumiała, dlaczego tak wielkim szacunkiem darzy ją Arden.

C'tis była najbardziej widoczna ze wszystkich przybyszy z Mrocznego Królestwa i kontakt z nią pozwolił rozwiać wiele plotek o obcych wojownikach. Mimo to opinie o nich wciąż kształtowały fantastyczne pogłoski. Do najbardziej rozpowszechnionych należały opowieści o niewidzialnych żołnierzach, którzy mogą niepostrzeżenie zaatakować, oraz o czarnych olbrzymach, którzy widzą w ciemności – choć nie mają oczu.

Ci, którzy znali prawdę – choć wciąż należeli do mniejszości – próbowali dementować plotki; z drugiej strony były one podtrzymywane rozmyślnie. Jordan nie widział niczego złego w pogłoskach o rzekomo niezwykłych sprzymierzeńcach i nie chciał komplikować sytuacji w mieście przez ujawnienie prawdy o położeniu Mrocznego Królestwa i o obietnicy udzielenia mu pomocy. W rezultacie całą prawdę opowiedział tylko garstce zaufanych, licząc na ich dyskrecję. Jeszcze mniej osób wiedziało o zagadce Dalekiego Południa. Była czymś, czemu stawi się czoło, gdy w mieście zapanuje już porządek. W obecnej sytuacji panika i rozpacz były najmniej potrzebne.

Na szczęście nie było zagrożenia z zewnątrz. Pożeracze nieba nie ponawiały

ataków, przeto nic nie przypominało o siłach zagrażających z południa. Wydawało się także, że ściana błękitnych płomieni na zachód od Klevemouth przestała się przemieszczać. Wyglądało, jakby się zatrzymała, choć przedtem nieustannie, choć powoli, zbliżała się do miasta. Tak, więc kolejne zagrożenie z zewnątrz odsunęło się i obywatele Kleve mogli skoncentrować się na własnych lokalnych sprawach. Tylko niewielu ludzi było na tyle dalekowzrocznych, by dostrzec, że niebezpieczeństwo zagraża całemu światu – i teraz wydawało się to korzystne.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W tym gorączkowym okresie życia Gemmy dwa wydarzenia były najważniejsze. Pierwszym, dokładnie w miesiąc po bitwie z Mendle'em, było odejście zwiadowców z Mrocznego Królestwa. Ich decyzja o powrocie do własnej krainy była nieunikniona -D'vor i T'via musieli zdać relację swoim współplemieńcom i prorokom, V'dal potrzebny był jako przewodnik, a inni chcieli po prostu wrócić do własnego, znanego świata. Z całej grupy zwiadowców tylko C'tis pragnęła zostać, wiedząc, jak bardzo jest tu potrzebna. Jednakże nie mogła się zgodzić ani na podział grupy, ani podjąć decyzji pozostania na własną rękę. I w głębi serca rozumiała konieczność powrotu.

Zanim odeszli, przeprowadzili długie rozmowy z Jordanem i innymi przywódcami Podziemia. Ułożono plany przyszłych kontaktów – D'vor potwierdził, że będzie próbował przekonać proroków, by skierowali wyprawy badawcze do niebezpiecznych, skażonych regionów południowych jaskiń. Ich celem będzie próba lokalizacji źródła skażenia; gdyby okazało się to możliwe, zwiadowcy będą też próbowali określić w miarę dokładnie jego położenie na powierzchni. I gdy zostanie już zorganizowana ekspedycja z Kleve, będzie miała przed sobą określony cel. Jordan nie mógł obiecać, kiedy do tego dojdzie, lecz zapewnił ich, że od razu po rozwiązaniu “lokalnych problemów” wyprawa dojdzie do skutku.

Kilku ochotników z Podziemia zgodziło się wyruszyć do Mrocznego Królestwa wraz z powracającymi doń zwiadowcami, by pomóc w poszukiwaniu źródeł skażenia, oraz by wzmocnić więzi pomiędzy dwiema rasami. Gemmę i Ardena niezwykle kusila taka wyprawa, lecz wiedzieli, że są potrzebni w mieście.

–Pewnego dnia zobaczę twój świat – obiecała Gemma.

–Mam nadzieję – odparła żarliwie C'tis.

–Zawsze będziesz mile widziana – dodał ciepło D'vor. Jak cała grupa był pod wrażeniem tej płomiennowłosej kobiety, której subtelna piękność nie przesłaniała drzemiącej w niej siły.

–Wrócimy – powiedział jej V'dal – gdy tylko dowiemy się czegoś ważnego.

–A jeśli myrkety kiedykolwiek znudzą się tym miejscem – wtrąciła J'vina – wyślij je do nas. Będzie mi ich brakowało.

–Powiem im – obiecała Gemma, wiedząc doskonale, że choć i ona będzie do nich

tęskniła, prawdopodobnie nadejdzie czas, kiedy ona i klan będą musieli się rozdzielić. –

Wielka Nora będzie ich drugim domem.

Potem wyruszyli w drogę. Podróż rozpoczęła się wędrówką przez tunele pod murami miasta,

zanim wydostali się na zewnątrz. Gdy wyłonili się z podziemia, powitała ich gwiaździsta noc; pożegnali się, życząc sobie wzajemnie pomyślności. Mieszkańcy Mrocznego Królestwa i ich nowi towarzysze ruszyli dalej, roztapiając się w ciemności.

–Nie cierpię patrzeć, jak odchodzą. Napęła mnie to takim smutkiem – poskarżyła się Gemma.

–Rozstania zawsze są smutne – odparł Arden, obejmując ją ramieniem. – A oni stali się nam tak bliscy.

Gemma skinęła głową, lecz nic nie powiedziała o swych nieokreślonych niepokojach dotyczących przyszłości Mrocznego Królestwa.

Brak towarzyszy polowań wpłynął przygnębiająco na myrkety. Także Gemma nie mogła spędzać z nimi wiele czasu, więc klan postanowił opuścić miasto. Wybrały za nową siedzibę nory w pobliżu wyschłego łożyska rzeki, tam gdzie spotkał się z nimi Arden. Cieszyły się, że znowu przebywają pod otwartym niebem, wśród otoczenia, które bardziej im odpowiada. Miejscem dla nich najlepszym po rodzimej pustyni była naga równina rozciągająca się poza murami Nowego Portu.

Nie ma kłującego jedzenia - poskarżył się Ox, kiedy Gemma zapytała, czy nie potrzebuje pomocy przy urządzaniu nowej siedziby.

O, nie, nawet dla was nie zostanę importerem skorpionów! - odparła, śmiejąc się.

Następne ważne wydarzenie miało miejsce niemal miesiąc później i jeszcze bardziej poruszyło wszystkimi. Inaczej niż pierwsze, było nieprzewidywalne.

To Hewe ujrział ich pierwszy. Z wieży wieńczącej główną bramę obserwował właśnie trakty biegnące do miasta od wschodu. Oczekiwano dużej dostawy zapasów z Altonbridge i Hewe chciał się upewnić, że jedzenie i lekarstwa zostaną dostarczone tam, gdzie trzeba, natychmiast po przybyciu karawany. Hewe, choć wiedział, że karawana przybędzie pod silną eskortą, zawsze się jednak obawiał jakiegoś zagrożenia. Ostatnio trzy karawany z dostawami wpadły w zasadzkę na nabrzeżnej drodze.

Ucieszył się, gdy zobaczył kurz wznoszący się spod końskich kopyt, lecz gdy jeźdźcy się zbliżyli, jego radość zmieniła się w trwogę. Kiedy tylko nabrał absolutnej

pewności, że widzi mundury Szarych Jeźdźców, wezwał przez posłańca Jordana, który szybko do niego dołączył. Razem obserwowali zbliżający się oddział.

–Ilu ich jest? – zapytał Jordan, mrużąc oczy w ostrym słońcu.

–Trzydziestu – odparł Hewe. – Najwyżej czterdziestu.

–Zatem nie są groźni.

–W tej chwili nie. Jednak obaj wiedzieli, że nawet kilku fanatyków w szarych szatach może stanowić

poważny problem.

–Jak sądzisz, czego chcą? – zapytał Hewe, lecz Jordan tylko wzruszył ramionami.

Dowiedzieli się później, gdy już połowa miasta – nie wyłączając Gemmy –

usłyszała o przybyszach. Gemma miała szczególne powody, by niepokoić się obecnością Jeźdźców w mieście. Szarzy Jeźdźcy wierzyli, bowiem, że wszystkim nieszczęściom świata winni są przybysze z północnych wysp, których nazywali “nasieniem demonów”. Często ich atakowali i zabijali. Jako czerwonołosa “czarodziejka” z dalekiej północy Gemma była dla nich uosobieniem zła. Już kiedyś była ich więźniem, ocalała z niewyjaśnionych nigdy powodów, a uciec zdołała tylko na skutek połączenia szczęśliwego trafu z nieoczekiwaną pomocą. Nie chciała znowu wpaść im w ręce.

Jeszcze bardziej ich znienawidziła – choć wydawało się jej, że to już niemożliwe -gdy dowiedziała się o ich niczym nieuzasadnionej wrogości wobec mieszkańców Mrocznego Królestwa.

Oddział Jeźdźców rozłożył obóz jakieś trzysta kroków od miejskich murów. Ich poczynania obserwowało kilku widzów.

–Nigdy nie widziałem ich tylu jednocześnie na otwartym terenie – zauważył Hewe.

–Co to może znaczyć? – zapytała Gemma, nie mogąc ukryć niepokoju, choć teraz nic jej nie groziło.

–Myślę, że zaraz się tego dowiemy – odparł Arden, wskazując ręką.

Dwaj podjeżdżali właśnie do miejskich wrót. Gdy znaleźli się w odległości

umożliwiającej swobodne porozumiewanie się, zatrzymali wierzchowce, rozejrzeli po opuszczonym terenie zajmowanym niegdyś przez miasteczko ruder, a potem skierowali wzrok na grupę stojącą na wieży.

–Przybywamy w pokoju! – zawołał jeden z nich. – Jesteśmy bez broni. Przynosimy wam podarunek. Czy pozwolicie nam, jako posłom, wejść do miasta?

Twarz Jordana pozostała niewzruszona, choć stojący przy nim wymienili pełne ciekawości spojrzenia.

–Podjedźcie do bramy! – po chwili zastanowienia odkrzyknął Jordan. – Otworzymy

ją. – Odwrócił się, a potem zatrzymał, spoglądając na Gemmę i Ardena. – Wy zostańcie tutaj – polecił. – Nie sądzę, żeby to był jakiś podstęp, ale nie chcę ryzykować. Hewe, chodź ze mną.

Gdy dwaj mężczyźni zaczęli schodzić po kamiennych stopniach, Gemma zawołała:

–Bądźcie ostrożni!

Hewe uśmiechnął się do niej.

–Na drugie imię mam Ostrożny – powiedział, potem udał, że potyka się o własne nogi i dopiero w ostatniej chwili “uratował” się przed upadkiem ze schodów.

–Głupiec – szepnęła Gemma, wdzięczna, że próbował rozproszyć jej obawy.

–Nie ma powodu do niepokoju – uspokoił ją Arden, uśmiechając się. – Ci dwaj poradzą sobie ze wszystkimi Szarymi Jeźdźcami. – W jego głosie pobrzmiwała pogarda.

Niecałą godzinę później przybył posłaniec z wiadomością, by dołączyli do Jordana przebywającego w swojej starej, podziemnej kwaterze. Liczba kwater Jordana zwiększyła się z konieczności i ich siatka pokrywała teraz kilka dzielnic miasta. Wciąż jednak spotkania, na których omawiano szczególnie ważne bądź drażliwe sprawy, odbywały się w jego pierwszej kwaterze głównej.

Gdy wraz z Ardenem wprowadzono ją do pokoju, Gemma nie zdołała powstrzymać lekkiego drżenia, gdy zobaczyła, że Jordanowi i Hewe’emu wciąż towarzyszą dwaj Jeźdźcy.

Oczy obu szarych mężczyzn rozszerzyły się wyraźnie na jej widok, a młodszy zbladł. Przez parę chwil nikt nie odezwał się ani nie poruszył.

–Oto Gemma i Arden – rzekł w końcu Jordan, a jego głęboki głos był spokojny jak zawsze.

Jeźdźcy skinęli potwierdzająco głowami, lecz ich oczy mówiły, że ta prezentacja nie była wcale konieczna.

–Ci panowie to Galar i Tomas – ciągnął dalej spokojnie Jordan. – Opowiedzieli mi o zmianie nastawienia w ich organizacji. Zdaje się, że oświecenie spłynęło w końcu na fanatyków i podróżnicy z północy nie będą już ich wrogami.

Więc postanowiłeś sprawdzić wiarygodność ich słów przedstawiając im mnie! -pomyślała Gemma, nie mogąc się zdecydować, czy ma być oburzona, czy rozbawiona. Głośno nic nie powiedziała.

–Jako dowód przyjaźni przynieśli coś, co może cię zainteresować, Gemmo. –

Jordan wskazał na worek, który leżał na niskim stole, Gemma nie zadała sobie trudu, by zajrzeć do środka. Wiedziała, co zawiera.

–Nasiona smoczego kwiecia – powiedziała cicho.

Młodszy jeździec, Tomas, zaczął płacząc się i jękając wyjaśniać:

–Są nieocenioną pomocą w leczeniu – zaczął. – Użyte z... ostrożnie... użyte właściwie, mogą...

–Znam ich zastosowanie – przerwała mu Gemma, tym razem mocniejszym głosem.

–Arden użył pasty z nasion, by uśmierzyć ból i wyleczyć jej oparzenia, gdy znalazł ją blakającą się po Diamentowej Pustyni. – Wiem też, jakie skutki przynosi ich przedawkowanie.

Wywoływały wtedy niesamowite sny i dzikie halucynacje. Dawniej, w czasach degeneracji Wielkiego Nowego Portu, narkotyk ów był powszechnie stosowany przez bogatych dekadentów. Co więcej, Gemma była przekonana, że Szarzy Jeźdźcy przyczyniali się do zaspokajania popytu na ten towar.

Teraz głos zabrał Galar.

–To prawda, że w przeszłości ciągnęliśmy korzyści z handlu smoczym kwieciem – powiedział spokojnie. – Ale to się nie powtórzy. Wiele zmieniło się w mojej sekcji. Teraz oferujemy wam ten dar w dobrej wierze.

Zaczął wyjaśniać, że organizacja Szarych Jeźdźców została oczyszczona z pewnych niepożądanych elementów.

–Stracili z oczu nasze pierwotne cele i wykorzystywali nas wyłącznie dla swych osobistych korzyści. Teraz, kiedy sytuacja w Kleve zmienia się, nie możemy tego dłużej

tolerować.

Arden prychnął.

–Więc zaniechaliście handlu niedolą innych ludzi! – rzucił jadowicie. – I co z tego!

Wasze pierwotne cele polegały na zabijaniu niewinnych podróżnych! Czy do tego wracacie? I my mamy wam gratulować?

Gemma czuła, jak Arden trzęsie się z wściekłości. Rzucił piorunujące spojrzenie Galarowi.

–Nie! – wybuchnął Tomas, lecz uciszył go gest zwierzchnika.

–Nie będę zaprzeczał, że twoje oskarżenie ma pewne podstawy – rzekł Galar.

–Wspaniale, że to przyznajesz! – odrzekł z sarkazmem Arden.

–Proszę, wysłuchaj mnie – poprosił go Galar. – Wiem, że wy dwoje wiele

wycierpieliście z rąk Szarych Jeźdźców, ale ja i mnie podobni zawsze sprzeciwialiśmy się przemocy, której orędowno wielu członków organizacji.

–Więc dlaczego wciąż jeszcze jesteś jeźdźcem? – zapytała ostro Gemma.

–Ponieważ wciąż wierzę, że moc wzywająca do tej krainy podróżnych takich jak ty jest zła – odpowiedział z przejęciem. Jego nieoczekiwane wyznanie zmusiło Gemmę i Ardena do zastanowienia się – uznanie Szarych Jeźdźców za potencjalnych sprzymierzeńców było dla nich czymś nowym. Spojrzeli po sobie, a potem czekali w milczeniu na słowa Galara.

–Zamiast zabijać powinniśmy szukać prawdy, a jej nie odnajdzie się mordując. Wierzę, że ci, którzy zostali tutaj wezwani, są niewinnymi ofiarami naszego prawdziwego wroga. I zdołałem – w końcu! – przekonać o tym większość moich towarzyszy.

–A pozostali? – zapytał z twardą nutą w głosie Arden.

–Nasze drogi rozeszły się – odparł jeździec. – Są teraz renegatami, banitami obstającymi przy swoim fanatyzmie.

–Do której grupy należy Arik? – zapytała niespodziewanie Gemma.

–Arik nie żyje – odpowiedział Galar, wiedząc, że to on właśnie pojmał Gemmę. – Jednak jego zastępcy, Wray i Yarat, uciekli. Są wśród banitów. Teraz musimy razem, łącząc naszą wiedzę i środki, pokonać wspólnego wroga. I właśnie to chcemy wam zaoferować.

Gdy tylko Hewe wyprowadził jeźdźców. Gemma zwróciła się do Jordana.

–Czy możemy im zaufać? – zapytała.

–Skłonny jestem sądzić, że tak odparł poważnie – ale będę działał ostrożnie.

–Bogowie! – wybuchnął Arden. – Tak po prostu? Przychodzą tutaj i mówią – jest nam strasznie przykro, myliliśmy się, ale teraz wszystko będzie inaczej – a ty wierzysz im, ot tak, po prostu?

–Nie – odparł z irytującym spokojem Jordan. – Będę oczywiście żądał kolejnych dowodów potwierdzających ich dobre intencje. Jednak to, co robią i mówią, jest wiarygodne. Przybyli tutaj nieuzbrojeni, ze szczerą propozycją pokoju. Co mogliby zyskać, jeśli planują zdradę? Byli wobec mnie otwarci, a ja nie dałem im w zamian nic. Jeśli ich propozycja jest prawdziwa, to pomyśl tylko, ile jest warta! Czy możemy sobie pozwolić, by ją odrzucić?

–Wiele jest tych jeśli – rzekł z ponurą miną Arden.

–To prawda.

–A co powiedzieli o Mrocznym Królestwie? – zapytał Arden, płonąc gniewem w imieniu swoich przyjaciół.

Jordan uśmiechnął się.

–Myślę, że się dogadałem – powiedział, krzywiąc się. Galar zgodził się wstrzymać działania wojenne i rozpocząć natychmiastowe wycofywanie swoich ludzi z jaskiń.

Zdumiony Arden zamilkł.

–Uwierzę, kiedy zobaczę to na własne oczy – wykrztusił.

–Tak jak i ja – powiedział Jordan. – Uwierzę, gdy zobaczę – dopiero wtedy. Jeśli Galar dotrzyma słowa, będzie to świadectwem ich prawdziwych intencji.

–Wydaje się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe – powiedziała cicho Gemma, osuwając się na krzesło.

–Miejmy nadzieję, że nie masz racji – odparł Jordan.

Wszystko wskazywało na to, że Galar mówił szczerze. Jeźdźcy ofiarowali miastu

kolejne podarunki, nie wpłynęły żadne doniesienia o użyciu siły, a kilku banitów ujęto i osadzono. I wreszcie z Mrocznego Królestwa nadeszły wieści o tym, że żołnierze naprawdę opuszczają pustynne jaskinie.

Gemma przyjęła nasiona smoczego kwiecia – i była za nie bardzo wdzięczna. W śladowych dawkach znakomicie wpływały na przyspieszenie rekonwalescencji i przywrócenie choremu utraconych sił. Jednak wciąż czuła dreszcz strachu, ilekroć dostrzegła jakiegoś ubranego na szaro wojownika, i odruchowo odrzucała wspomnienia.

Jednak wkrótce ogarnęły ją bardziej niepokojące wizje.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jej sny zaczęły się niewinnie, lecz ich powracające motywy zaczęły ją szybko niepokoić. Budziła się w nocy regularnie, choć tak rozpaczliwie potrzebowała snu. Początkowo widok spokojnej, pogrążonej we śnie twarzy Ardena wystarczał, by rozwiać jej lęki. Lecz później, gdy sny ustąpiły miejsca dziwnym i niezrozumiałym koszmarom, potrzebowała większego wsparcia, które znajdowała w jego objęciach. Arden nigdy nie protestował, gdy budziła go w tych najciemniejszych godzinach nocy, i obejmował ją mocno.

–Co się dzieje? – pytał zaspanym głosem.

–Nic. To tylko sen – mówiła. Jednak Arden zaczął dostrzegać strach i zmęczenie w oczach Gemmy i w końcu

kazał jej opowiedzieć wszystko, co zdoła zapamiętać ze swych nocnych wizji.

–To nie może trwać dłużej – powiedział stanowczo. – Musisz się tym ze mną podzielić. Po to tutaj jestem. – Uśmiechnął się do niej szelmowsko, lecz Gemma nic nie powiedziała. – Potrzebujesz spokojnego snu – ciągnął dalej. – Oboje potrzebujemy. Jeśli nie będziesz o siebie dbała, opadniesz z sił.

–Wciąż jestem taka zmęczona, w snach również – przyznała Gemma. – Samo poruszanie się jest dla mnie wysiłkiem.

–Za ciężko pracujesz – stwierdził stanowczo Arden. – Nie obchodzi mnie, jak bardzo jesteś potrzebna, musisz odpocząć.

–Wkrótce – odparła – ale jeszcze nie teraz. Nie mogę zostawić dzieci. Opiekowała się teraz dziećmi – w części niewiele starszymi od niemowląt, które zaatakowało złośliwe schorzenie grożące utratą wzroku, a w najcięższych przypadkach, nawet śmiercią. Długie godziny cierpliwego wysiłku i ciężkiej pracy z reguły dawały wyniki, lecz w kilku przypadkach Gemma musiała wykorzystać swoje szczególne zdolności. Epidemia zaczynała ustępować, lecz wciąż nie pokonano jej ostatecznie. Dopóki to nie nastąpi, Gemma nie ustanie w wysiłkach – i Arden o tym wiedział.

–W porządku – powiedział w końcu. – Ale zapewnij sobie wszelką dostępną pomoc. I powiedz mi, co też nie pozwala ci spać przez te wszystkie noce.

Gemma milczała przez chwilę, zbierając myśli.

–Początkowo było to bardzo podobne do snów, jakie miewałam, kiedy ty byłeś w Mrocznym Królestwie – powiedziała w końcu. – Lecz wciąż wracałam do tej pieczary z grzybami. Jak ją nazwałś?

–Wieża Dusz.

–Z wizerunkiem boga na ścianie...

–Boga podziemi. Raela.

–W moich snach wizerunek zaczyna się poruszać, a potem staje się prawdziwy. Jest ogromny i porusza się, by w końcu zawisnąć nade mną. To jest straszne – jak gdyby Dusza Ziemi przebudziła się, obserwowała mnie, pochłaniała. Czuję się taka mała, taka bezradna... – Jej głos zadrżał i zamarł. Z trudem przełknęła ślinę, nim podjęła na nowo. – Ale to, co dzieje się potem, jest o wiele straszniejsze. Rael rozpada się na kawałki, rozlatujące się na wszystkie strony, i pozostawia po sobie ogromną, ziejącą czarną pustkę. To mnie przeraża, jak gdybym również i ja była pusta. – Zadygotała.

–Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? – zapytał cicho Arden gładząc jej włosy.

–Ponieważ nie sądziłam, by sny mogły wyrządzić mi krzywdę – odparła, nie patrząc na niego. – To nie miało żadnego sensu, a poza tym potrzebowałeś snu tak samo jak ja. Tak przecież powiedziałaś – dodała niepewnie.

–Głuptas – rzekł z czułością w głosie. – Naprawdę sądzisz, że mógłbym być aż takim egoistą?

–Nie, ale...

–Żadnych ale! – przerwał jej. – Nie wiem, co znaczą te sny, ale sama rozmowa o nich może ci pomóc. A poza tym, ktoś inny może będzie wiedział.

–Kto? – z nadzieją w głosie zapytała Gemma.

–T'via – zasugerował. – Poproszę Jordana, by ją wezwał.

–Nie pomyślałam o tym – przyznała.

–Nie jesteś jedyną osobą, która myśli – odparł uśmiechając się. – A teraz pora spać.

–Nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego.

–Więc skończ!

–We śnie... w pieczarach... słyszę syreni śpiew. Arden zeszytniał.

–Jesteś pewna, że słyszysz we śnie, a nie na jawie? – zapytał zaniepokojony.

–Tak. Nie słyszałam prawdziwego zewu od czasu, kiedy jestem tutaj – przecież wiesz.

–Dzięki bogom za tę odrobinę łaski – westchnął.

–Ale dlaczego w tym śnie jest to związane z Mrocznym Królestwem? – Gemma była zaintrygowana.

–To wszystko w jakiś sposób łączy się ze sobą – odparł. – Sama mi to powiedziałaś. Musisz tylko pamiętać, żeby się nie poddać.

–Ale we śnie nie potrafię się temu przeciwstawić – wyznała mu. – Za każdym razem kieruję się na południe.

–Och.

–Nic na to nie mogę poradzić – zaprotestowała. – I właśnie wówczas spotykam ciebie.

–To powinno pomóc! – Uśmiechnął się.

Gemma nie odpowiedziała. Posmutniała jeszcze bardziej.

–Pomogłoby, gdybyś był prawdziwy – powiedziała cicho – ale gdy tylko ciebie dotykam, zmieniasz się w żywioł i odlatujesz. – W kącikach jej oczu zaczęły zbierać łzy. Arden objął ją jeszcze mocniej i przytulił do siebie.

–Jestem prawdziwy – szepnął jej do ucha. – Jestem prawdziwy. Po kilku chwilach zapytał:

–Coś jeszcze? – Chciał być pewny, że powiedziała wszystko.

–Tylko jedno – odparła Gemma – i jest to jeszcze bardziej niepojęte. – Przerwała. – Kilka razy widziałam małą Gemmę, córkę Mallory.

–Ależ ona się jeszcze nie urodziła!

–Wiem, ale widziałam ją. Naprawdę jednak zdumiewające jest to, że choć ja jestem w pieczarach, a ona w górach... a może odwrotnie?... to jednak w jakiś sposób wciąż jesteśmy razem. – Gemma ponownie przerwała, marszcząc brwi.

–To dość łatwo zinterpretować – odpowiedział Arden pewnym siebie głosem. – Chcesz wrócić do Doliny, by zobaczyć narodziny dziecka.

Gemma spojrzała na niego, a w jej oczach błysnęła nadzieja.

–Wyruszymy tam, gdy tylko będziesz mogła zostawić dzieci – stwierdził stanowczo. W Gemmie wezbrała radość. – Teraz odpocznij trochę.

Po chwili już spali mocno, bezpieczni w swoich objęciach.

Teraz, kiedy uchwyciła się tej idei, myśl o powrocie do Doliny stała się podporą dla jej upadającego ducha. Ilekroć nieustanne zmęczenie zagrażało zupełnym wyczerpaniem, myślała o bliskich już chwilach odpoczynku i piękna. Mimo to sny dręczyły ją nadal i Gemma coraz częściej bywała rozdrażniona i smutna. Arden znacznie więcej czasu spędzał

u jej boku, załatwiając swoje obowiązki przez zastępców. Stał się biegłym pielęgniarzem i ulubieńcem małych pacjentów.

Ulga wynikająca ze świadomości, że koniec jej trudów jest w zasięgu ręki, oraz otucha, jakiej przydawała pomoc Ardena, pomagały jej przetrwać. Ku jej radości, Jordan całym sercem poparł ich plany.

–Zrobiliście tu już aż nadto – wyraził swoją opinię. – Nigdy nie będziemy w stanie podziękować wam za to. Wizyta w Dolinie dobrze wam robi – a ja byłbym wdzięczny za trochę wieści z tamtej części świata. – Przerwał, a potem dodał: – W każdym razie, Gemmo, myślę, że to ważne, byś była tam, kiedy urodzi się twoja imienniczka.

–Też tak sądzę – odparła Gemma, odwzajemniając uśmiech.

Wkrótce po tej rozmowie spotkała ich jeszcze jedna miła niespodzianka.

–Idę z wami – oświadczył Hewe, uśmiechając się szeroko. – Przyrzekłem Mallory, że odprowadzę cię na czas i nie śmiałybym złamać danego jej słowa.

–To cudownie! – zawołała Gemma, obdarzając go uściskiem.

–Uważaj – odpowiedział olbrzym scenicznym szeptem. – Arden robi się zazdrosny.

–O ciebie? – odciął się Arden. – To by dopiero było!

–Po drodze będziemy mogli odwiedzić Adrię – ciągnął Hewe. – Od jakiegoś czasu nie mieliśmy od niej wiadomości. A poza tym, przynajmniej ona wie, co jestem wart.

Samopoczucie Gemmy podniosło się o kolejną kreskę. *Ukryta nauczycielka* -pomyślała. *Jakie tajemnice odkryje przede mną tym razem?*

Gemma była w Wielkim Nowym Porcie już ponad trzy miesiące. Lato zaczęło niepostrzeżenie zmieniać się w jesień, kiedy w końcu uznała, że dzieci nie potrzebują jej dłużej. Decyzja była trudna, lecz gdy już ją podjęła, uczucie ulgi było niemal porażające.

Jordan zapytał, czy nie chcą eskorty, lecz Arden i Hewe woleli podróżować bez obciążenia

dodatkowymi ludźmi.

–Poza tym, mamy wiedźmę dla ochrony – wyjaśnił z szerokim uśmiechem Hewe.

Jednakże troje wędrowców nie opuściło Wielkiego Nowego Portu bez towarzystwa.

Gemma opowiedziała o swoich planach myrketom i klan, wiedząc, że Dolina nie jest dla nich, postanowił przyjąć wcześniejsze zaproszenie J’viny i powrócić do Wielkiej Nory. Czekala ich, zatem wspólna podróż do wrót Mrocznego Królestwa. Od tego miejsca ludzie mieli dalej wędrować sami.

Trzy dni zajęła im niespieszna wędrówka do zarzuconej skałami doliny. Gemma boleśnie odczuła pożegnanie z klanem, lecz stworzonka były w doskonałym nastroju, a ona

sama tęskniła za spokojem Doliny. Nie mieli wątpliwości, że spotkają się znowu. Gemma przyglądała się w milczeniu, dopóki ostatni z ogonów nie zniknął w labiryncie kamieni, wśród których kryło się wejście.

–Bardzo dużo dla ciebie znaczą, prawda? – rzekł Hewe, gdy skierowali się na wschód.

–Tak. Wiem teraz, dlaczego czarodzieje na mojej rodzinnej wyspie byli tak bardzo przywiązani do swoich zwierzęcych przyjaciół. – Gemma rzuciła okiem na Ardena, lecz on nic nie powiedział. – Jest coś szczególnego w możliwości porozumiewania się za pomocą telepatii. Nie potrafię tego wyrazić.

–Nie sądzę, bym chciał, aby ktoś znał wszystkie moje myśli – stwierdził Hewe.

–Och, zachowuje się swoją prywatność – wyjaśniła mu. – Tylko kierowane myśli można słyszeć wyraźnie, a wszystkie inne odbiera się po prostu jako nieokreślone uczucia – jeśli w ogóle. Długo trwało, nim się do tego przyzwyczaiłam.

Rozmawiali przez jakiś czas. Konie człapały z wolna, przecinając północny koniec Diamentowej Pustyni i zmierzając ku nabrzeżnej drodze.

–Niewiele mówisz – Hewe zwrócił się do Ardena.

–Po prostu myślę – odparł Arden, zdobywając się na uśmiech. – O Mrocznym Królestwie. Wolalbym usłyszeć wieści od T’vii, zanim wyruszyliśmy.

Wieści były pomyślne. T’via donosiła, że Szarzy Jeźdźcy opuszczają pieczary oraz opisywała sukcesy podjętej na południu wyprawy, nie było jednak ani słowa o sennych wizjach Gemmy.

–Mają aż nadto zmartwień, nawet bez moich koszmarów – stwierdziła Gemma.

–Wiem, ale... Przerwał im Hewe.

–Co, u licha, się tam dzieje?! – zawołał, wskazując przed siebie. Gemma i Arden zobaczyli w oddali dwóch mężczyzn na koniach. Wierzchowce

miotały się tam i z powrotem, galopowały kilka kroków, stawały dęba, zarywały kopytami w piasku i rzucały się w innym kierunku. Potem wszystko powtarzało się od początku. Słabe echa gniewnych okrzyków jeźdźców unosiły się nad pustynią. Wyglądało to tak zabawnie, że Hewe i Arden zaczęli się śmiać, lecz Gemma zobaczyła coś, czego oni nie dostrzegli; dziwne, podobne do mirażu migotanie, które płasało wokół koni. W dodatku jeźdźcy nosili szare szaty – i wyglądali niepokojąco znajomo.

–Jeźdźcy – ostrzegła Gemma. Oczy Ardena zwęziły się.

–Tego szczupłego już widziałem – powiedział znowu poważny.

–To Wray, prawda? – odparła. Arden skinął głową.

–Ten drugi to Yarat – ciągnęła Gemma. – Są niebezpieczni!

–Nie myślę, by teraz zwracali na nas większą uwagę – zauważył Hewe, obserwując dziki taniec. – Wszystkie siły poświęcają na to, by utrzymać się na koniach! Zbliźmy się trochę.

Ruszyli ostrożnie naprzód, zaintrygowani pomimo złych przeczuć.

–Tam coś jest... – zaczął Hewe.

–Widzę! – zawołał Arden. – Żywiol?

–Nie. To coś innego – stwierdziła Gemma. Była zupełnie pewna, że migoczące widmo nie jest wytworem istot zwanych żywiolami, lecz czuła niewytłumaczalny opór przed dowiedzeniem się, co to naprawdę jest.

Byli już wystarczająco blisko, by dostrzec pot lśniący na końskiej sierści, spienione nozdrza i oszalałe oczy wierzchowców. Jeźdźcy czepiali się kurczowo ukochanego życia, podczas gdy ich wierzchowce podskakiwały wyginając grzbiety i tańczyły na zadach. W końcu dostrzegli przybyszy. Ich reakcja była – oględnie mówiąc – dziwna.

Yarat zwrócił oczy ku niebu i krzyknął, jakby w śmiertelnej męczarni. Gdy jego wierzchowiec stanął dęba, gruby mężczyzna runął na ziemię, lądując niezdarnie wśród wiru dziwnie poskręcanych członków. Wrayowi powiodło się lepiej – był lżejszy i zręczniejszy. Gdy zobaczył przybyszy, obrzucił ich potokiem plugawych wyzwisk, a potem zaczął błagać jak szalony.

–Dość! Już dość! – szlochał. – Zabij nas, demonie – połóż temu kres. – Puszczając

jedną ręką wodze, wskazał na Ardena i krzyknął: – Nie mogę znowu cię zabić! Dlaczego

tak nas dręczysz?

Jego koń podskoczył wyginając grzbiet, lecz Wrayowi udało się opanować upadek i ześlizgnął się na ziemię.

Zanim zdążyli zareagować, coś stało się z powietrzem przed nimi. Nicość zamglila się nagle i skrzyła. Wolno tworzył się jakiś obraz, stając się coraz bardziej i bardziej realny w miarę, jak patrzyli. Teraz przyszła kolej na nich, by ulec przerażeniu i panice.

Arden stanął twarzą w twarz z sobą samym.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

–Kim jesteś? – westchnął Arden.

–Tego właśnie próbuję się dowiedzieć – odparł ów drugi niezwykle praktycznym tonem. Gemma zadrżała na dźwięk tego spokojnego głosu. Brzmiał jak głos Ardena, tylko jakoś głucho.

Wray uniósł wzrok znad ziemi i przez chwilę patrzył wytrzeszczonymi oczami, a potem wybuchnął obłąkańczym śmiechem.

–Jest ich dwóch! – wydyszał.

Arden odwrócił się do Gemmy i Hewe'a.

–Co t o jest? – wyszeptał. Lecz ani Gemma, ani Hewe nie zdołali wydobyć z siebie głosu.

Widmo przemówiło znowu:

–Próbuję dowiedzieć się, kim jestem – powtórzyło – ale już niknę. – Sobowtór uniósł prawą rękę. – Patrzcie! Widzę przez nią. Jeśli nie dowiem się... – Przerwał, a potem wskazał oskarżycielsko palcem na leżących jeźdźców. – Oni mnie znali, ale nie chcieli powiedzieć. Więc podążyłem za nimi. – W jego głosie brzmiała uraza. – Konie uciekły. Zawsze uciekają. Nawet te pierwsze, zaraz potem, jak mgła się podniosła... – Po kolei zmierzył wzrokiem całą trójkę, podczas gdy ich wierzchowce poruszały się niespokojnie. – Czy wy możecie mi pomóc?

–Jesteście pewni, że to nie jest żywioł? – zapytał cicho Hewe. Odpowiedź uzyskał, nieoczekiwanie, od Wraya.

–Oczywiście, że nie! Czy sądzisz, że nie poradziłbym sobie z pojedynczym żywiołem? – W jego głosie słychać było szczere oburzenie.

–Więc co... – zaczął Hewe, lecz mu przerwali. Wyjaśnienie, skąd wzięło się to przerażające widmo, przyszło jego przyjacielom do głowy równocześnie.

–Latające miasto! – zawołał Arden.

–Wtedy, kiedy przeniosło cię w przestrzeni, ale nie w czasie – zakończyła za niego Gemma.

–Wynut powiedział, że później mogą wystąpić komplikacje – przypomniał sobie Arden.

–Wygląda na to, że miał rację – zauważył zimno Hewe.

–O czym wy mówicie? – zapytał podejrzliwie widmowy Arden.

–Jeśli powiem ci, kim jesteś, czy odejdziesz wówczas w spokoju? – zapytała w odpowiedzi Gemma.

Duch skinął wolno głową, a nadzieja zaśniła w jego przerażająco znajomych oczach.

–Byłeś kiedyś mężczyzną o imieniu Arden – powiedziała Gemma. – Ale teraz już go nie ma – ciągnęła dalej, nieświadoma zdziwionych spojrzeń jej towarzyszy. –

Powinieneś zniknąć. Będziesz o wiele bardziej szczęśliwy, kiedy to zrobisz. Wiesz już, że nie wiąże cię czas ani przestrzeń.

Duch ponownie skinął głową, a potem na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

–Czy byłem dobrym człowiekiem... kiedy byłem prawdziwy? – zapytał cicho.

–Najlepszym – odpowiedziała ze ściśniętym gardłem. Uśmiechnął się, uspokojony.

–Zastanawiałem się nad tym... kiedy konie uciekły ode mnie.

–Teraz odejść – powiedziała Gemma. Jej głos był życzliwy, ale stanowczy.

–Dziękuję ci. – Uśmiechnął się. Zjawa rozwiała się. Nie było to przeobrażenie żywiołu, lecz coś nieskończone

bardziej... ostatecznego. Ów drugi Arden stanął w obliczu niemożliwości własnej egzystencji, przyjął to i rozwiał się w beczasową nicość. Powietrze wokół nich znowu było czyste i tylko ostatnie, słabe, niesione wiatrem echo unosiło się przez chwilę, gdy duch powtórzył swoje imię. Potem i to zginęło w zapomnieniu.

Gemma z trudem powstrzymywała łzy. Arden drżał. Zeskoczyli z siodeł i padli sobie w ramiona, szukając w tym uścisku pociechy i otuchy.

–Wszystko w porządku? – wyszeptał.

–Tak myślę. A ty?

–Czuję się dość szczególnie – przyznał. – Nieczęsto spotyka się własnego ducha. Hewe również zeskoczył z konia i z mieczem w ręku zbliżał się teraz do leżących

na ziemi jeźdźców. Kiedy podszedł do bezwładnego ciała Yarata, zawołał przez ramię:

–Co zrobimy z tymi dwoma? – A gdy nie otrzymał odpowiedzi, pochylił się nad

nieruchomym ciałem. Ma złamany kark – - stwierdził, a potem odwrócił się do Wraya. –

Może tego też powinienem dobić?

–Nie! – zawołała Gemma, nie wiedząc, czy Hewe mówi poważnie, czy nie.

Wray uniósł głowę i spojrział na Ardena.

–Jesteś prawdziwy – powiedział wolno, z błyskiem szaleństwa w oczach.

Chciałbym, żeby ludzie nie mówili o tym z takim zdumieniem – zauważył żartobliwie Arden.

Nagle Wray poderwał się na nogi i Hewe sprężył się, z gotowym do użycia mieczem.

–Nie możecie się ze mną równać! – wrzasnął Wray. – Tamten może by i przeżył miecz wbity w serce, ale nie ty. – W jego głosie brzmiał tryumf. – Pomogliście mi.

–Czy nie zapominasz, że jest nas troje, a ty tylko jeden? – zapytał Hewe.

–Mylisz się! – ryknął Jeździec. – Mam przyjaciół! – Uniósł w dramatycznym geście ramiona i krzyknął, ale nie próbował wyciągnąć wiszącego u pasa miecza. Smugi błękitu wyłoniły się z piasku wokół niego, drżąc unosiły się do góry i rozplywały w powietrzu. W jednej chwili utworzył się krąg żywiołów.

–Jestem niezwyciężony! – zarechotał Wray. – Mogę zrobić z wami wszystko! – Odwróciwszy się od Hewe’a ruszył groźnie ku jego towarzyszom; żywioły poruszały się wraz z nim jak ogromna, błękitna tarcza.

–Powiniennem was już wcześniej zabić – mówił, sycąc się widokiem swych ofiar -ale teraz sprawi mi to jeszcze większą radość. Klękajcie i błagajcie o litość – albo moje żywioły was zniszczą.

Ku zdumieniu Wraya, Arden roześmiał się.

–Nie wydaje mi się – powiedział spokojnie, a potem postąpił naprzód trzymając

Gemmę za rękę.

–Śmierć wam, wy nasiona demona! – wrzasnął Wray. – Sploniecie!

Gemma i Arden nie czuli najmniejszej obawy, kiedy wkraczali w błękitne

płomienie. Od razu wyczuli, że płomieniste istoty nie są sprzymierzone z Wrayem i tylko podporządkowują się jego rozkazom. Wiedzieli też, że one pragną przyjaźni – czegoś, czego

on nigdy nie zrozumie.

Zatrzymali się kilka kroków od zdumionego Jeźdźca i Arden uśmiechnął się.

–Te stworzenia są moimi przyjaciółmi – powiedział spokojnie. – I teraz je uwolnię. – Arden poczuł oszałamiającą radość i ciepło. Żywioty zaczęły tańczyć dziko, śmigając w niebo, na boki i z powrotem, nim zniknęły bez śladu.

–Nie! – głos Wraya załamał się. – Wracajcie! – Próbował dobyć miecza, lecz poczuł, jak ostrze innego dotknęło lekko jego karku.

–Nie robiłbym tego, gdybym był na twoim miejscu – poradził Hewe, głosem tak zimnym jak stal, którą dzierzył.

Wray wyczerpany i załamany upadł na ziemię. Hewe schował miecz do pochwy.

–Podróżowanie z wami jest bardziej podniecające, niż się spodziewałem –

zauważył z poważną miną. – Nie widziałem takiego przedstawienia od... od... – I tu

zawiodła go pamięć.

–To tylko nasze wakacje – powiedziała pogodnie Gemma. – Tylko pomyśl, co się stanie, gdy naprawdę zaczniemy działać.

–Nie miałbym nic przeciwko temu, by reszta naszej podróży była bardziej spokojna – odparł Hewe. – A tymczasem, co zrobimy z tym...? – szturchnął łkającego Wraya.

–Puścimy go – zdecydowała Gemma. Mężczyźni spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

–Teraz już nikomu nie zagrazi – wyjaśniła. – Spójrzcie tylko na niego.

–Ale przecież on chciał cię zabić – zaproponował Hewe.

–Ale nie zabił.

–Tak, lecz...

–Cóż może teraz zrobić? – zapytała. – Samotny i opuszczony przez wszystkich?

Yarat nie żyje i nawet żywioty go opuściły. Jeśli nie spróbuje zawrzeć pokoju z Galarem, i tak zginie. A jeśli się zmieni, to, kto wie? Może nawet okaże się użyteczny.

Ardena to nie przekonało.

–Jak moglibyśmy mu kiedykolwiek zaufać? – zapytał.

–Wystarczy zagrozić, że znowu wrócisz... – odparła z uśmiechem. – To powinno go powstrzymać przed robieniem głupstw!

Przerażony i upokorzony Wray wymamrotał:

–Zrobię wszystko, co chcecie.

–Zostawmy go tutaj – powiedziała Gemma. – Bez broni. Wray uniósł mokrą od łez twarz.

–Nie tutaj, nie w środku pustyni. Proszę.

–Jesteś zaledwie o pół ligi od nadbrzeżnej drogi – odparł z odrazą Arden. – I może uda ci się złapać jakiegoś konia.

–Dokąd mogę pójść? – Wray znowu zaczął płakać. Czując, że go mdli, Arden odwrócił się.

–Naprawdę myślisz, że mógłby się na coś przydać? – zapytał Gemmę Hewe.

–Ma pewne zdolności. Być może zdoła się go nauczyć, by lepiej je wykorzystał –odparła.

–Dobrze. – Hewe pochylił się i pociągnął Wraya, patrząc na niego groźnie. W

oczach jeźdźca widać było strach. – Słuchaj, ty kupo gnoju. Damy ci szansę, choć na nią nie zasługujesz. Teraz udasz się do Wielkiego Nowego Portu i powiesz Jordanowi i Galarowi, że to ja cię przysyłam. Zaoferujesz swoją pomoc we wszystkim, co zaproponują. Zrozumiano? – pytaniu towarzyszyło silne szarpnięcie, które podkreśliło potakujące skinienie Wraya. – Wkrótce tam wrócę i jeśli usłyszę o tobie jedno złe słowo, jesteś martwy. Czy wyraziłem się jasno?

Wray jeszcze raz skinął głową.

–Jak się dostanę do Jordana? – wyszeptał.

–Dam ci list – odparł Hewe i odepchnął go od siebie. Wray runął na ziemię.

–Czy to bezpieczne? – z powątpiewaniem zapytał Arden.

–List napiszę szyfrem – odparł Hewe. – Jeśli go przekaże, Jordan będzie znał całą prawdę, nie tylko to, co powie mu Wray. A jeśli nie pokaże listu, nie przedostanie się nawet do miasta.

W czasie gdy Hewe pisał list, Wray siedział nieruchomo. Patrzył na nich, jakby nie mógł

uwierzyć, że ocalał. Hewe wrócił i wcisnął mu papier do ręki.

Potem on i jego przyjaciele dosiedli koni i odjechali. Kiedy byli już daleko, Arden obejrzał się i zobaczył Wraya posuwającego się wolno i z móżdżkiem tropem koni.

–Jak sądzisz, co on zrobi? – zapytał.

–Nie ma wyboru – odparł Hewe.

–Mam nadzieję, że naprawdę pójdzie do Jordana – wtrąciła Gemma. – Czy nam się to podoba, czy nie, jest jednym z kręgów magii – a gdy dojdzie do ostatecznej rozgrywki, będziemy potrzebowali pomocy ich wszystkich. Bez wyjątku.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kolejnych osiem dni – tym razem monottonnych – zajęła im podróż do stojącej na pustkowiu chaty Adrii. Siwowłosa stara kobieta stała przed drzwiami. Gdy się zbliżyli, przyjrzała im się uważnie jasnymi oczami.

–Prawie na czas, patrzcie no! – zagderała, a potem odwróciła się i pokuśtykała do środka, opierając się ciężko na lasce.

Arden uniósł brwi.

–Jesteście pewni, że nas tu oczekiwano? – W jego głosie brzmiało powątpiewanie.

Hewe, który dobrze znał zwyczaje Adrii, uśmiechnął się.

–Gdyby powitała nas miłymi słowami, pomyślałbym, że coś jest nie tak –

powiedział, gdy zsiadali z koni. – Na zewnątrz wydaje się szorstka – ciągnął głośno – ale w środku bije złote serce.

W odpowiedzi z chaty dobiegło jakieś słowo. Wstrząsnęło Ardenem, lecz Gemma i Hewe wybuchnęli śmiechem.

–Wy wejdźcie do środka – polecił Hewe uśmiechając się. – Ja zostanę przy koniach.

–Czy wszyscy tajemni nauczyciele są tacy? – zapytał Arden.

–Skąd mogę wiedzieć? – odparła Gemma. – Jest jedyną z nich, jaką spotkałam. – Uśmiechnęła się, widząc jego wahanie i zapytała: – Chyba się nie przestraszyłeś?

–Oczywiście, nie! Tylko, że ona... nie jest taka, jakiej się spodziewałem. Mówiłaś, że jest mądra – i łagodna...

–I taka jest – wtrąciła Gemma. – Wejdz i przywitaj się z nią, a sam się przekonasz.

Gemma mozolnie wyjaśniała Ardenowi, że ukryty nauczyciel to ktoś, kto sam nie

ma widocznego talentu magicznego, ale potrafi go dostrzec, a czasem rozniecić i wzmocnić u innych. To właśnie Adria ostatecznie przekonała Gemmę o jej własnych zdolnościach. Ta opowieść zrobiła na Ardenie wrażenie, lecz stwierdził, że trudno ją odnieść do zręczliwej, starej kobiety, którą właśnie spotkał. Podążając za Gemmą czuł się jak zdenerwowany uczeń.

Usiedli obok siebie na miękkim dywanie, podczas gdy Adria usadowiła się w fotelu.

Salonik pachniał ziołami, a na palenisku płonął niewielki ogień, choć dzień był ciepły.

–Adrio, to jest Arden – zaczęła Gemma.

–Wiem, kim on jest, dziecko – powiedziała stara kobieta ostrym, ale życzliwym głosem. – Jedno spojrzenie na was wystarczy, by wiedzieć, że jesteście kochankami.

Arden poczuł się jeszcze bardziej skrępowany.

–Czy to się aż tak rzuca w oczy? – zapytała Gemma, uśmiechając się.

–Dlaczego zawsze jest tak, że każde pokolenie sądzi, że to właśnie oni, pierwsi od początku świata, przeżywają miłość? – mruknęła Adria, a jej oczy zamigotały. – Może jestem stara, ale nie ślepa. – Uniosła pomarszczoną rękę i wskazała na Ardena. – Jesteś wielkim szczęściarzem, młody człowieku. Musi być w tobie coś naprawdę niezwykłego, jeśli Gemma tak bardzo cię kocha. Jest wyjątkowa – opiekuj się nią, inaczej będziesz miał ze mną do czynienia. I nie tylko ze mną.

–Przysięgam na wszystko, że jej nie skrzywdzę – natychmiast odpowiedział Arden.

–Tak będzie – powiedziała stara kobieta.

–I ja tak myślę – odparła Gemma, ujmując Ardena za rękę i ściskając delikatnie. – Byliśmy rozdzieleni na tyle długo, że teraz możemy już być sobie pewni.

–Nadrabiacie, więc stracony czas – zauważyła Adria.

–Co masz na myśli? – odezwał się zakłopotany Arden, choć czuł, że musi o to zapytać.

Adria spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

–Wiesz doskonale, co mam na myśli! I przypuszczam, że ani przez chwilę nie zastanowiłeś się nad konsekwencjami.

–Jakimi konsekwencjami?

Stara kobieta uniosła oczy ku niebu z rozdrażnieniem.

–Dzieci! – powiedziała. – Nie byłoby chyba najlepiej, właśnie teraz, gdyby okazało się, że Gemma będzie miała dziecko, prawda?

Gemma przerwała nagłą ciszę.

–Masz rację. Żadne z nas nie pomyślało o tym – przyznała, dziwiąc się tematowi rozmowy. Fizyczne wyrażenie ich miłości wydawało się całkowicie naturalne -niezaprzeczalne i bezsporne. Możliwe rezultaty ich słodkiej bezmyślności wydawały się teraz aż nadto oczywiste.

–Zatem to dobrze, że nie możesz... – powiedziała Adria.

–Czego nie mogę? – Nowy niepokój, który ogarnął Gemmę, kazał jej zapomnieć o poprzednim.

–To cena za magię – odparła spokojnie Adria. – Z pewnością czarodzieje opowiadali ci o tym?

Gemma skinęła powoli głową, wspominając ów czas ze swego dzieciństwa, kiedy pewien czarodziej wyrzekł się swej magii, by móc zostać ojcem.

–Ale z nami... jest wszystko dobrze? – zapytał cicho Arden.

–Tak. Jesteś szczęściarzem, młody człowieku. Masz tylko radość, żadnej odpowiedzialności.

Słyszając to, Arden poderwał się na nogi, z twarzą pociemniałą od gniewu.

–Nie! – krzyknął. – Mylisz się. Nic o mnie nie wiesz, jeśli tak myślisz. Czuję się odpowiedzialny – wobec Gemmy i wobec siebie – i nigdy nie uchylę się przed tą odpowiedzialnością. Tylko, dlatego, że Gemma... że nie możemy mieć dzieci... – Przerwał nagle i prychnął z rozdrażnieniem, wpatrując się w Adrię. Stara kobieta drżała z tłumionej uciechy. Arden stopniowo odzyskiwał panowanie nad sobą i po paru chwilach uśmiechnął się.

–Czyżbym zdał egzamin? – zapytał cicho.

–O, tak – odparła Adria, wciąż chichocząc. – O, tak. Choć jest dość łatwy, prawda?

Gemma i Arden nie próbowali nawet na siebie spojrzeć, ale już wkrótce śmieli się wszyscy razem. Kiedy się uspokoili, Gemma zapytała:

–Czy kiedykolwiek będę mogła...?

–Kto wie? – odparła Adria. – Tylko czas może dać odpowiedź. Czeka cię jeszcze wiele zadań. Gdybym była w twoim wieku, chętnie znalazłabym się w twojej sytuacji. I przede wszystkim, nie musiałabym się męczyć z tymi dwiema, wielkimi niezdarami, którzy nazywają się moimi synami.

–Wiesz doskonale – powiedział Hewe, wchodząc do pokoju z tacą – że te niezdary dały ci mnóstwo radości.

–Ale ile to kosztowało – odcięła się. – Zresztą jak każdy dar pochodzący od mężczyzny.

Hewe rozdał kubki.

–Z odrobiną gałki muszkatołowej – zwrócił się do Adrii. – Tak jak lubisz.

Starła się nie okazać zadowolenia; powiedziała:

–Przypuszczam, że każdy mężczyzna ma jakieś swoje dobre strony. – Nawet ci,

którzy składają się z samych mięśni, bez krztyny mózgu – jak ten właśnie.

–Pochlebcy – odpowiedział niczym niezrażony Hewe. – O czym to

rozmawialiście, kiedy pracowałem?

–Ty byś nie pojął – odparła Adria. Gdy Gemma i Arden jęknęli słysząc jej złośliwą odpowiedź, dodała: – Jesteś największą przyzwoitką, jaką kiedykolwiek widziałam.

–To święta powinność – Hewe podjął temat. – Gdybym ich bez przerwy nie pilnował, nie mieliby sił, by podróżować.

–Proszę! – odparła z wyrzutem Adria. – Wprawiasz ich w zakłopotanie!

–To niemożliwe – sprzeciwił się Hewe. – Są bezwstydni. To doprawdy smutne. – Udał, że ociera łzę z kącika oka.

–Przestańcie! – zawołała Gemma. – Oboje!

Spojrzeni na nią szeroko otwartymi pełnymi niewinności oczami. Nie ulegało

wątpliwości, że Adria i Hewe, mimo tych niekończących się utarczek, są bardzo ze sobą związani.

–Więc opowiedzcie, co robiliście od czasu, kiedy po raz ostatni zburzyliście mój

spokój – zażądała Adria. – Po to przecież tu jesteście, prawda?

Opowiedzieli więc o podróżach, o pobycie Ardena w Mrocznym Królestwie i o konflikcie w Wielkim Nowym Porcie. Adria wiedziała już o niektórych wydarzeniach, lecz uparła się, by usłyszeć całą opowieść jeszcze raz, z pierwszej ręki. Kiedy doszło do opisu walki z Mendle'em i roli, jaką odegrały w niej magiczne kręgi, kazała Gemmie wciąż i wciąż powtarzać niektóre szczegóły. W końcu wszystko zrozumiała.

–Fascynujące! – szepnęła. – Więc pamiętałaś, co ci powiedziałam?

–Kaźde słowo – odparła Gemma. – I nawet trochę już rozumiałam – dodała, uśmiechając się.

–Wiedziałam, że jest coś niezwykłego w źródłach twojej energii – ciągnęła Adria -a teraz wiem, co. Lecz wciąż nie jestem pewna, dlaczego wykorzystanie przez ciebie energii kręgów nie osłabiło ich – ta układanka wciąż nie jest kompletna.

Chwilę milczeli, dając jej czas do zastanowienia się. Wreszcie poprosiła, by dokończyli swoją opowieść. Mówili, więc o powolnej odbudowie Wielkiego Nowego Portu i o niepokojących snach Gemmy. Gemma miała nadzieję, że być może Adria będzie mogła je wyjaśnić, lecz stara kobieta nie miała nic nowego do dodania. Potem opowiedzieli jej o decyzji, by powrócić do Doliny i o spotkaniu z “duchem” Ardena. To wydarzenie bardzo ją rozbawiło.

–Niemał widzę tych głupich mężczyzn – chichotała – stojących przed tymi, których mężczyli w przeszłości, lecz teraz oni przegrywają i ich życie zamienia się w pasmo cierpień. Prawdziwe zwycięstwo dobra nad złem!

–Nie było to przyjemne, nawet dla nas – rzekł Arden.

–Potrafię to zrozumieć – odparła poważnie. Potem uśmiechnęła się złośliwie i dodała: – To cię nauczy nie przyjmować darmowych przejazdów od obcych.

–Ale to stało się tylko dlatego, że latające miasto pomogło mu znaleźć się w odpowiednim miejscu na czas i wprowadzić myrketę – usprawiedliwiała go Gemma.

–To postawiło go podwójnie poza czasem – rzekł z namysłem Hewe.

–Postąpiłaś słusznie przekonując ducha, by odszedł w spokoju – powiedziała Adria. – Mógłby wszystko pogmatwać.

–Co najmniej! – rzucił Arden. – Już samo spotkanie z żywiołami było wystarczająco kłopotliwe...

–Gdy już o nich mówimy – przerwała mu Adria – to ty sam zdajesz się mieć pewne magiczne talenty, młody człowieku.

Zaskoczony Arden nie miał ochoty tego potwierdzać.

–Wystarczy być tylko ich przyjacielem – upierał się.

–Nie lekceważ tego – odparła. – Podejdz tutaj. Chcę cię sprawdzić. Arden spojrział z zakłopotaniem na Gemmę.

–Wiem, mówiłem, że jestem czarodziejem – zaprotestował – ale tylko żartowałem!

–Idź do niej – zachęciła go Gemma. – Nie zrobi ci krzywdy. Czy nie chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o sobie samym?

–Nie – odpowiedział wyzywająco.

–Typowy mężczyzna! – mruknęła Adria.

–To naprawdę bezbolesne, daję słowo – rzekł Hewe.

–Skąd możesz...?

–Och, przed laty Adria wejrzała we mnie – i pełna odrazy szybko się wycofała -odparł z uśmiechem wielki mężczyzna.

–Hewe jest zbyt praktyczny – wtrąciła Adria. – Jest w nim jakaś energia, ale on nie chce uznać jej istnienia w tym życiu.

Gemma pchnęła delikatnie Ardena, a on klęknął niechętnie przed fotelem Adrii. Czuł się zawstydzony, gdy stara kobieta przyłożyła swoje suche jak papier kciuki do jego skroni, a pozostałe palce wsparła na czaszce, tuż za jego uszami. Adria zamknęła oczy i pozostawała w bezruchu.

Czas mijał wolno. W końcu zdjęła ręce z jego głowy i osunęła się w głąb fotela. Westchnęła ze znużeniem.

–No? – chciał wiedzieć Arden.

–Nie mogę cię zrozumieć – odparła słabym głosem. – Już prawie coś pojmowałam, ale to wciąż umykało. A sądziłam, że to Gemma jest tajemnicą!

–Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał oszołomiony. – Nie możesz mnie z tym zostawić!

Nic nie powiedziała. Zasnęła i nawet się nie poruszyła, gdy Hewe zaniósł ją na górę i położył do łóżka.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wczesnym rankiem następnego dnia Gemma poszła na górę, by porozmawiać z Adrią, tak jak już to zrobiła wcześniej, podczas poprzedniej wizyty. Stara kobieta nie spała. Siedziała wsparta o poduszki, jak gdyby oczekując gości. Uśmiechnęła się, gdy Gemma weszła do pokoju.

–Jak to przyjął? – zapytała ze złośliwym błyskiem w oku.

–Niezbyt dobrze – przyznała Gemma. – Nie spałam pół nocy, starając się, by coś z tego zrozumiał.

–Czasem przymus znoszenia mężczyzn, którzy nie chcą zrozumieć, jest ceną, jaką musimy płacić za miłość. Wszystkie kobiety dochodzą do tego – prędzej czy później.

–Ja ją zapłacę z radością.

–Wszystkie tak robimy – westchnęła z rezygnacją Adria. – A jednak daje im to w jakiś sposób pretekst do nazywania nas słabą płcią – i nawet myślę, że mają rację, kiedy tak mówią.

–Czy w ogóle nie lubisz mężczyzn?

–Nic nie mogłoby być dalsze od prawdy! – zawołała stara kobieta. – Po prostu rozumiem ich – i ich uczucia, i umysły – nieco lepiej niż inni.

Dostrzegła powątpiewające spojrzenie Gemmy i dodała:

–Och, nie jestem aż tak stara, by nie pamiętać, co to znaczy być młodym i

zakochanym. Byłam ślepa jak my wszystkie, gdy patrzyłam na mojego mężczyznę.

Dopiero teraz widzę wszystkie jego wady. – Przerwała. – A jego największą była ta, że nie

chciał pozostać przy życiu na tyle długo, by do końca dotrzymać mi towarzystwa. – Wyraz,

jaki pojawił się w oczach Adrii, sprawił, że Gemmie ścisnęło się serce, lecz staruszka

otrząsnęła się i kiedy znowu się odezwała, jej głos brzmiał tak pogodnie jak przedtem.

–I nie jestem aż tak stara, by nie odpowiedzieć na parę pytań – stwierdziła. – Nie po to tu przyszedłś, by słuchać mojej paplaniny. Co Arden powiedział o wczorajszym wieczorze?

–Że czuł dziwne mrowienie na całym ciele i widział błyski światła.

–I?

–Nic więcej. “Po prostu niezwykle uczucia” – powiedział. Lecz gdy prosiłam, by spróbował mi

to wyjaśnić, tylko się rozdrażnił. – Gemma potrząsnęła głową i uśmiechnęła

się krzywo. – Przez chwilę był dość ponury, a potem skończył mówiąc, że n i c się nie stało. Wyglądało to tak, jakby chciał zapomnieć o całym wydarzeniu.

–Cóż, to dość typowe – stwierdziła Adria. – Ale, mówiąc całkiem szczerze, nie można go winić, że czuje się dezorientowany. Ja też nigdy się z czymś takim nie spotkałam. A on zbudował cały system obronny, by się przed tym uchronić – czymkolwiek to jest.

–Co masz na myśli?

–Jak dotąd reagował na żywy pozaświadomie i odruchowo. I być może reakcja świadoma osłabiłaby jego moc, niwecząc szansę na opanowanie tych niejasnych sił.

Przez parę chwil zastanawiała się nad tym w milczeniu, a potem Adria ciągnęła dalej.

–Energia jego umysłu jest zbyt niestabilna – w jego umyśle nie ma żadnego punktu oparcia. A on stał się biegły w ukrywaniu rzeczy, nawet przed samym sobą... – Zawahała się, widząc posmutniałą nagle twarz Gemmy. – Znasz jego historię lepiej ode mnie, moje dziecko. Nie będę się w to wtrącać. – Potem jej życzliwość i troskę zastąpił złośliwy uśmiech. – Po prostu musimy udawać, że rozumiemy się tajemnie – powiedziała. – Nie możemy przecież stracić naszej reputacji!

–Dobrze. Po prostu będę się chytrze uśmiechała i starała unikać tematu – zgodziła się Gemma, odwzajemniając uśmiech.

–To raczej on będzie unikał tego tematu w rozmowach z tobą.

Gemma skinęła głową, a potem coś innego przyszło jej do głowy.

–To coś w Ardenie – zapytała – czy nie sądzisz, że to może być dzika ziemia? Po tym, jak zjadł cały ten raellim? Jego organizm mógł się jeszcze nie oczyścić.

Gemma przypomniała sobie, jak C'tis określała dziką ziemię: po części substancja, po części energia, po części senne widziadła – a w całości niezgłębiona tajemnica. Była to siła, która krążyła w każdym, kto zjadł święte grzyby Mrocznego Królestwa, wywołujące dziwne wizje i jeszcze dziwniejsze zdolności.

–Nie wiem – odparła uczciwie Adria. – Nigdy dotychczas się z tym nie spotkałam, więc nie potrafiłabym powiedzieć, jakie to może mieć skutki.

Skończyły mówić o Ardenie, a ich rozmowa skierowała się ku bardziej ogólnym sprawom. Jakiś czas później Gemma wyszła od Adrii, pozostawiając ją w dobrym nastroju, i poszła obudzić wciąż śpiących mężczyzn. Wkrótce potem pożegnali się i rozpoczęli ostatni etap

podróży.

Tak jak przepowiedziała Adria, Arden nie chciał mówić o swoich przeżyciach, a Hewe miał dość rozumu, by nie podnosić tego tematu.

Trzy dni później dotarli do północnego urwiska Kruczej Turni. Imponującą skalną ścianę przecinała jedynie rozpadlina o pionowych ścianach, z której ciągiem wodospadów i zarzuconych głazami bystrzyn wylaniała się rzeka Doliny.

–Wygląda na nieprzebytą – zauważył Arden. – Chociaż wiele razy odwiedzał swoją ukochaną Dolinę, to jednak nigdy nie przybywał tu od strony urwiska.

–Masz rację – odpowiedział Hewe. – Tylko, dlatego, że byliśmy tak uparci i zdecydowani mogliśmy wtedy z Dałem znaleźć drogę prowadzącą pod górę.

Patrząc z dołu, stroma ścieżka, która zygzakiem wiodła na szczyt urwiska, była całkowicie niedostrzegalna; w ten sposób Dolina chroniła się przed zewnętrznym światem.

Od czasu wydarzeń, które przywróciły mieszkańcom rzekę, Arden był tutaj tylko raz, i tylko przez jedną noc. Teraz nie mógł się doczekać, by znowu zobaczyć przyjaciół i znowu rozkoszować się spokojem i pięknem tego niezwykłego miejsca. Kiedy dotarli do szczytu urwiska, Arden nie mógł już opanować podniecenia i w wielkim pośpiechu prowadził swych towarzyszy ścieżką wiodącą w dół względnie łagodnych zboczy. Jednak, gdy tylko przekroczyli niewidzialne granice Doliny, ściągnął cugle swego wierzchowca i odetchnął głęboko. Krajobraz tego miejsca, niby zielonozłoty pstrokaty kobierzec, rozciągał się przed nimi w całym swoim przepychu, ujęty w ramy gór i przepełniony spokojem. Pienięły się tu bujnie drzewa, kwiaty i krzewy wszelkich gatunków, a dzikie zwierzęta i ptaki współżyły bezkrywawo ze swoimi udomowionymi braćmi i zamieszkującymi Dolinę ludźmi.

Jechali teraz wolno, rozkoszując się każdą chwilą. Nie potrzebowali słów, by opisać opanowujące ich szczęście i radość; ale żadne z nich nie mogłoby wyjaśnić, co wywołuje te właśnie uczucia.

Synowie Mallory, Vance i Jon, byli pierwszymi, którzy ich dostrzegli, gdy się zbliżali do gospodarstwa późnym popołudniem. Chłopcy usadowili się na gałęziach drzewa, skąd mieli dobry widok na szlak prowadzący z północnego krańca Doliny. Zeskoczyli na ziemię i wbiegli do domu, krzycząc: – Przyjechali! Przyjechali!

Potem wybiegli na spotkanie przybyszom, pokrzykując z radości. Kilka chwil później z domu wyszła Mallory wspierając się na ramieniu swego męża, Kragena, i podążyła za swoimi synami, jednak znacznie wolniejszym krokiem. Jeźdźcy zeskoczyli z siodeł i przywitali się ciepło z gospodarzami.

–Zauważcie proszę, że dotrzymałem danego słowa – powiedział Hewe, całując Mallory w policzek. – Przyprowadziłem ją na czas.

–Ale ledwie zdążyłeś – dodała Gemma, spoglądając na powiększony brzuch Mallory.

–Wielki, prawda? – roześmiała się jej przyjaciółka. Gemma pomyślała, że nigdy nie widziała Mallory tak promiennej. Podzieliła się z nią tym wrażeniem.

–Dzięki ci za życzliwe słowa – odpowiedziała Mallory – ale czuję się tak duża jak ten dom! Teraz jednak nie potrwa to już długo. Czy zrobisz to dla mnie i spojrzysz na nią?

Gdy Gemma ujęła wyciągnięte ku niej ręce Mallory, pozostali umilkli. Zamknęła oczy i pozwoliła, by jej szczególne wewnętrzne zmysły przeniosły ją do ciała przyjaciółki, badając jego zdrowie i witalność. Gemmę zaskoczyło uczucie, jakie odebrała od znajdującego się w łonie dziecka – z jaką niecierpliwością oczekiwało swego przyjścia na świat! Wydawało się, że robi wszystko, by być gotowe przed czasem. Temu dziecku nie będzie brakowało zdecydowania – było to jasne, jeszcze zanim się urodziło.

–Jest piękna – westchnęła Gemma.

–Ma to po matce – stwierdził Kragen, lecz Gemma nie słyszała go. Spłynęła na nią fala świadomości, w której najpierw ujrzała znaną sobie scenę:

obraz dziecka – nienarodzona córka Mallory – które spogląda na świat z ogromnej wysokości. Wyglądało to tak, jakby stało na szczycie góry. Gemma widziała tę scenę kilka miesięcy wcześniej, a później w swoich snach, lecz tym razem wizja nie rozwiała się. W Dolinie u stóp góry rozwarła się ogromna rozpadlina, plująca ogniem i lawą. Wówczas dziecko machnęło małą rączką i płomień zniknął. Teraz Dolinę wypełniała woda, tworząc spokojne, bezdenne, błękitne jezioro, którego krańce ginęły w zamglonej dali. Wszystko to błysnęło w umyśle Gemmy w ułamku chwili i szybkość tej wizji sprawiła, że Gemma zadrżała. Nie zdołała ukryć przed przyjaciółką swego chwilowego niepokoju. W oczach Mallory widać było pytania, lecz nie wypowiedziała ich głośno. Zamiast tego zapytała tylko o zdrowie swego dziecka i Gemma była szczęśliwa, że może ją uspokoić; reszta mogła poczekać, zanim nie uda im się porozmawiać na osobności.

–Wejdźmy do środka – zaproponował Kragen. – Posiłek czeka.

–W sam czas! – przyklasnął Hewe. – Podróżowanie zawsze wzmacnia mój apetyt.

–To nie było takie trudne, by w porę przygotować jedzenie – odparł Kragen. – Wiedzieliśmy, że przybywacie. A Winder widział was, jak zjeżdżaliście z Kruczej Turni. “Galopują, jak gdyby goniły ich demony” – tak właśnie powiedział.

–Widzieliśmy demony – roześmiał się Arden – ale nie tutaj.

–Wyszlibyśmy wam, naprzeciw, ale... – Mallory dotknęła brzucha.

Było dla wszystkich oczywiste, że wiadomość o przybyciu Gemmy Ardena i

Hewe'a zdążyła już dotrzeć do wszystkich mieszkańców Doliny. Miejscową społeczność łączył rodzaj szczególnej mentalnej osmozy, którą nazywali "poznaniem". Jeśli coś ich interesowało, wystarczyło, by tylko jedna osoba dowiedziała się o tym, a już w niecałą godzinę później wszyscy inni też wiedzieli – nie korzystając z żadnego z tradycyjnych sposobów porozumiewania się. Nie była to myślomowa, sposób, który pozwalał porozumiewać się Gemmie i myrketom, lecz coś mniej intymnego, bardziej ogólnego. To wspólne poznawanie stanowiło jeszcze jedną cechę Doliny, która czyniła z niej tak wyjątkowe miejsce.

Posiłek miał uroczysty charakter. Podano wyśmienite jedzenie, piwo i wino. Jak zwykle nie jedli mięsa; mieszkańcy Doliny woleli dzielić swój dom ze zwierzętami i żywić się płodami swej ziemi.

Początkowo wydawało się, że Gemma i Arden będą musieli spędzić cały wieczór rozmawiając, lecz w końcu Hewe przerwał potok pytań, wyjaśniając, że nazajutrz musi wyjechać.

–Dlaczego nie możesz zostać dłużej? – zaprotestowała Mallory.

–Wiesz, że jesteśmy szczęśliwi widząc cię tutaj – dodał jej mąż.

–Dziękuję wam, ale muszę wracać – odparł Hewe. – Czeka mnie jeszcze wizyta w Altonbridge, a Jordan nie potrafi obejść się beze mnie zbyt długo. A oni mogą opowiedzieć wam o swoich przygodach już po moim wyjeździe. Ale przedtem, chciałbym się dowiedzieć, jak mają się sprawy tutaj, w Dolinie. Jordan chciał, bym złożył mu szczegółowe sprawozdanie, a jeśli mam zapamiętać cokolwiek z tego, co mi powiecie, lepiej będzie, gdy usłyszę to zanim uraczę się większą ilością tego... – Uniósł na w pół opróżnioną szklankę i błysnął zębami w uśmiechu. – Zatem – co też wydarzyło się od czasu mojej ostatniej wizyty?

–Są ryby! – zawołał Jon z entuzjazmem pięciolatka. – Wielkie różowe i małe srebrzyste. W rzece – dodał wyjaśniając.

–Głupi, on nie chce wiedzieć takich rzeczy – odezwał się pogardliwie starszy Vance, popisując się większym doświadczeniem.

–Chcę wiedzieć wszystko – zwrócił się Hewe do młodszego chłopca. – Teraz pozwól, by mówili twoi rodzice, a ty jutro pokażesz ryby Gemmie i Ardenowi.

Chłopcy umilkli i czekali na to, co powiedzą rodzice.

–Wieści są dobre – rzekł Kragen, jak zwykle wolno i spokojnie. – A najlepsze dotyczą rzeki. Wciąż płynie obficie, choć mamy już późną jesień. W poprzednich latach -przed suszą – teraz właśnie powinna wyschnąć już, a na pewno nie powinno być w niej ryb. – Uśmiechnął się do synów.

–Oczywiście nie ma w niej tyle wody, ile było wiosną – wtrąciła Mallory – ale jeśli nic się nie

zmieni, zmagazynujemy dość wody na cały rok!

– Nawet gdyby poprzedni wzór wrócił znowu i rzeka mogłaby płynąć tylko, co drugi rok... – powiedział Kragen.

– Co by znaczyło, że rzeka wyschnie w połowie zimy – wtrąciła Mallory.

– ...wciąż będziemy zabezpieczeni na następny rok – zakończył Kragen. – Nasze zbiorniki są pełne, a system nawadniający działa lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Myśli Gemmy powędrowały do kołyszącego się kamienia pośrodku Diamentowej Pustyni. Czy poruszy się, kiedy reszta klanu myrketów zaśpiewa w tym roku? Wówczas góra przesunie się, a rzeka skieruje się z doliny do Mrocznego Królestwa. Aż do następnego roku. Czy naprawdę minął zaledwie niecały rok, odkąd przywróciłam ten czar?

Zatopiona w myślach nie słuchała, o czym mówią, i nagle dobiegł ją głos Mallory.

– Występują pewne długotrwałe skutki suszy, które wymagają dłuższych zabiegów, ale na ogół mieliśmy piękne lato.

– Żniwa były udane – dodał Kragen – a kiedy nadejdzie pora, tegoroczne winobranie powinno być najlepsze ze wszystkich.

– W takim razie przypomnij mi, że bym was znowu odwiedził – powiedział Hewe.

– Nie omieszkam – odparł gospodarz.

– Nasze zdrowie powraca do stanu sprzed suszy – ciągnęła Mallory. – Nawet starzy ludzie są znowu pełni energii. Oczywiście nikt nie zastąpi nam tych, którzy odeszli przedwcześnie...

– Ale powrócili niektórzy z tych, którzy opuścili Dolinę w najcięższym czasie – powiedział Kragen. – Chorowali, ale teraz dochodzą do siebie.

– Poznanie znowu działa z dawną siłą – mówiła z zadumą Mallory. – Dopiero, kiedy zaczęło zanikać, zrozumieliśmy, jak bardzo było dla nas ważne.

– A co z Krisem? – spytał Arden.

– W porządku – odparła Mallory. – Wciąż jest nieco wytrącony z równowagi

wizjami Gemmy, ale poza tym miewa się tak jak zwykle.

– Mną również wstrząsnęły te wizje – powiedział Arden spoglądając na Gemmę, a z

jego oczu wyczytać można było ulgę, że jego ukochana jest teraz bezpieczna. – Ale wiemy

przynajmniej, jak je interpretować.

–Chciałabym porozmawiać z Krisem – powiedziała Gemma. – O wielu rzeczach.

–W tej chwili właśnie wędruje – odpowiedziała Mallory – ale bym się nie zdziwiła, gdyby wkrótce nas odwiedził.

–To dobrze.

–Zatem wszystko jest w porządku – zakończył Hewe. – Cieszę się, że takie wieści będę mógł zawieźć Jordanowi. – Przerwał, a potem osuszył swoją szklankę. – A jakie były starsze winobrania? – zapytał niewinnie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Hewe wyjechał następnego ranka, szczęśliwy, że wszystko w dolinie toczy się pomyślnie. Jego dwoje przyjaciół zaczynało już korzystać z dobrodziejstw spokojnej atmosfery doliny.

– Nawet nie myślcie o powrocie, dopóki nie będziecie gotowi – powiedział im. – Zapracowaliście na wakacje. Jeśli coś się zdarzy i będziemy was rozpaczliwie potrzebowali, prześlemy wiadomość.

– Dzięki za wszystko, Hewe – odparła Gemma. – Spokojnej podróży.

– Bez zamieszania, jakie robicie, będzie bardzo nudno – odpowiedział uśmiechając się, a potem zwrócił się do Mallory i Kragena. – Jeszcze raz dziękuję wam za gościnność – powiedział. – I za opiekę nad nimi.

– Jesteś tu zawsze mile widziany – odpowiedziała Mallory. – Wracaj szybko.

– Mam taki zamiar.

– Kiedy? – naciskała. – Gemma będzie tutaj, co najmniej przez półtora miesiąca. Przyjechała, by ujrzeć narodziny swojej imienniczki, pamiętasz?

Gemmę zakłopotaly słowa Mallory – była pewna, że dziecko nie będzie czekało aż tak długo – lecz nic nie powiedziała. Nie teraz.

Pokryta bliznami twarz Hewe’a ściągnęła się w skupieniu, gdy udawał, że zastanawia się nad pytaniem Mallory.

– Więc powiadasz, że kiedy będzie gotowe tegoroczne winobranie? – zapytał w końcu.

– Dopiero za kilka miesięcy – odparł Kragen, uśmiechając się.

– Zatem oczekujcie mnie wówczas – stwierdził Hewe. – Wszystkiego dobrego.

Odjechał wśród chóru pożegnalnych okrzyków, a dwaj chłopcy biegli przez chwilę u boku wierzchowca.

– A teraz – powiedziała Mallory zwracając się ku Gemmie – mamy parę poważnych spraw do omówienia!

– Widzisz, więc – zakończyła Gemma kilka godzin później – że to jeszcze nie koniec. Wygraliśmy bitwę, ale wojna trwa dalej. Nie poradziłeś sobie jeszcze z tym, co zagraża z Dalekiego Południa.

–Gdy tylko Jordan zaprowadzi porządek w Kleve – dodał Arden – będzie mógł

prysłać ludzi, by pomogli nam rozwiązać tę tajemnicę. Ale czekają go jeszcze miesiące ciężkiej pracy.

Słuchaczy oczarowała ich opowieść. Nawet dwaj chłopcy, zwykle tak ożywieni, siedzieli skupieni słuchając tej historii o magii, bitwach, wielkich miastach i monstrialnej, metalowej wieży.

–Nic dziwnego, że Hewe powiedział, iż zapracowaliście sobie na wakacje w dolinie! – zauważył Kragen. – To najbardziej niewiarygodna historia, jaką kiedykolwiek słyszałem. – Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

–Najbardziej podobało mi się to o myrketach – powiedział z ożywieniem Jon. – Chciałbym, żebyśmy mogli je poznać. – Jona i jego brata zawsze fascynowali ci mali przyjaciele Gemmy.

–Wszyscy chcielibyśmy je poznać – powiedział jego ojciec, uśmiechając się. – Chodźcie, chłopcy. Dzień ma się ku końcowi, a na nas wciąż czeka praca. Gospodarstwo nie zadba o siebie samo.

–Skończyliście już? – zapytał szybko Vance, zaniepokojony, by czegoś nie opuścić z tej fascynującej opowieści.

–Skończyliśmy – odparł Arden. – Chodźmy. Pomogę wam przy pracy – w ten sposób uporamy się z tym szybciej.

Gdy wyszli, chłopcy zasypali Ardena pytaniami, udzielali też porad, jak najlepiej wykonać czekające go zadania.

–Urośli – powiedziała z czułością Gemma, wspominając małe, blade dzieci, które poznała podczas swej pierwszej wizyty w dolinie.

–Czyż wszyscy nie urośliśmy? – odparła Mallory, kładąc ręce na swym

nabrziałym brzuchu. Od jakiegoś czasu milczała i teraz jej uśmiech wydawał się nieco wymuszony. Gemma nic nie powiedziała, wiedząc, że musi czekać na to, co powie jej przyjaciółka.

–Najbardziej zdumiewające jest to, że tamte wydarzenia na nas nie wpłynęły w żaden sposób. Odkąd wróciła rzeka, Dolina jest tak spokojna i piękna, jak była zawsze. A jednak poza Doliną miały miejsce wszystkie te wstrząsające wypadki.

–To oddalenie jest jednym z powodów, dla których to miejsce jest tak wyjątkowe -odparła

Gemma.

–Tak, ale czy my się po prostu nie ukrywamy? Wydaje się, że prędzej czy później świat nas dopadnie – już próbuje to robić. Jak długo potrwa nasz spokój?

–Nie wiem – odparła poważnie Gemma. – Ale z drugiej strony wiem, że wiele ludzi

–nie tylko ja i Arden – będzie walczyło, by utrzymać Dolinę taką, jaka jest teraz. –

–Już tego dowiedziacie – powiedziała Mallory. – Nie wątpię w was ani w innych, takich jak Hewe, ale pojawiły się nowe problemy – Mroczne Królestwo, całe Kleve, Dalekie Południe. Wydaje się tak bardzo niesprawiedliwe, że mimo tych gwałtownych wstrząsów wszędzie, wokół nas, my żyjemy dalej szczęśliwie w naszej odosobnionej, doskonałej przystani. To przepełnia mnie wielkim poczuciem winy.

–Być może zostaniecie w to wciągnięci później – przyznała Gemma – ale teraz musicie docenić to, co macie. Ja z pewnością doceniam!

Ale Mallory nie dała się zbić z tropu.

–Dalekie Południe – powiedziała z zadumą. – To stamtąd wszystko przychodzi -skażenie pod ziemią, pożeracze nieba, moce Mendle’a...

–Tak, i prawdopodobnie tama, która pozbawiła was rzeki.

–A syreni śpiew? – zapytała cicho Mallory.

–To też.

–Lecz jak ta zła moc, czymkolwiek jest, może być źródłem tak pięknej pieśni? – Mallory słyszała tę niezemską muzykę tylko raz, w górach, nigdy w Dolinie, lecz ta pieśń wciąż dźwięczała w jej wspomnieniu. – Musisz zastanowić się poważnie nad tym związkiem, Gemmo. To właśnie ta pieśń przywołała cię do nas.

–Tak – odparła Gemma. – I mam zamiar dowiedzieć się dlaczego. Lecz tutaj nie może mnie dręczyć.

–Czy słyszałaś ją ostatnio?

–Tylko raz, w drodze do Nowego Portu, kiedy byłam z Hewe’em i Ashlinem. – Gemma przerwała. – Potem – już tylko w snach.

–To musiało być straszne – powiedziała przerażona Mallory.

–Bardziej niż zwykle! Przez chwilę milczały.

–Tak bardzo zasmuciły mnie wieści o Ashlinie – powiedziała cicho Mallory.

–Wiem. Gdybym mu nie pozwoliła iść ze mną...

–Sam wybrał. Gemma skinęła smutno głową.

–Był dzielny. Powiedzieli mi, że zginął próbując mnie ratować. Będę musiała jutro odwiedzić jego rodzinę.

Mallory wstała podpierając się rękoma.

–Lepiej przygotuję coś do zjedzenia. Będą głodni po pracy.

–Pozwól mi się tym zająć – zaprotestowała Gemma. – Powinnaś odpocząć.

–Nie jestem kaleką! – odparła jej przyjaciółka. – Minie jeszcze trochę czasu, zanim pojawi się ta dziewczynka.

–Mniej niż sądzisz – powiedziała jej Gemma.

–Co masz na myśli? Przecież potrafię liczyć.

–Cóż, myślę, że mała Gemma może się odrobinę pospieszyć – powiedziała Gemma. – Wyczułam jej niecierpliwość.

–Zatem jak długo to potrwa?

–Jakiś miesiąc, może krócej.

–Czy to wszystko, co wyczułaś?

Gemma zawahała się, lecz rozumiała, że dalsze wykręty nie mają sensu.

Opowiedziała więc o swej wizji.

–Co to znaczy? – chciała wiedzieć Mallory. Gemma wzruszyła ramionami.

–Wiem, że będzie kimś wyjątkowym. Poza tym, wiem tyle samo co ty.

–Wyjątkowym... w czynieniu dobra czy zła? – zastanowiła się Mallory.

–Żadne dziecko z tej Doliny – a szczególnie żadne twoje dziecko – nie mogłoby być

zmuszone do czynienia czegokolwiek innego niż dobro – stwierdziła stanowczo Gemma. –

Nie musisz się tym martwić.

Mallory skinęła głową, choć niezupełnie przekonana.

Potem obie zajęły się przygotowaniem posiłku, szukając w codziennych zajęciach ucieczki od niepokojących myśli. Gdy nadszedł wieczór, wrócili Arden i reszta. Byli w doskonałych nastrojach, chłopcy zaś rozprawiali o planach na następny dzień. Posiłek i rozmowa pomogły Gemmie i Mallory odprężyć się i uspokoić, z większą odwagą patrzeć w przyszłość.

Dolina utkała wokół zasłonę ze swej przyjaznej ludzior magii.

Następnego ranka Gemma poszła złożyć wizytę rodzicom Ashlina. Wieść o jego śmierci dosłownie ich zmiażdżyła i choć Gemma nie szczędziła pochwał dla niego i jego odwagi, nic nie było w stanie uśmierzyć ich cierpienia. Przedtem nie mogli zrozumieć, dlaczego odszedł, a teraz, dlaczego zginął walcząc z czymś, co było dalekie od Doliny. Był przynajmniej powód jego poprzedniej wyprawy – mówili. Pomagał odzyskać rzekę dla Doliny. Ale potem... to było bezsensowne.

Gorzkie i bezlitosne słowa mieszały się ze łzami i Gemma nie umiała powiedzieć

niczego, co mogłoby przynieść im ukojenie. Zdawała sobie sprawę, że nie ponosi winy za śmierć Ashlina, ale rozumiała, że jego rodzina ją właśnie obwinia. Cieszyła się, że nie ma z nią Ardena. Rozgniewałyby go kierowane wobec niej oskarżenia i broniłby jej zbyt gwałtownie – prawdopodobnie z fatalnym skutkiem. Opuściła ich dom przybita i ucieszyła się, gdy zobaczyła zbliżającego się Krisa. Jeśli ktokolwiek mógł im pomóc, to tylko on.

Gemma pomachała ręką do kalekiego mężczyzny, który pewnie, choć wolno, zbliżał się do zagrody. Kris odpowiedział na jej powitanie, lecz nie zatrzymał się i, chociaż Gemma chciała z nim porozmawiać, ucieszył ją jego pośpiech.

Potrzebują go bardziej niż ja - pomyślała ze smutkiem i ruszyła w swoją stronę. Nie przyszło jej do głowy dziwić się, że pojawił się właśnie teraz.

Znalazła Ardena siedzącego na brzegu rzeki razem z Vance'em i Jonem. Wody w rzece wciąż było pod dostatkiem.

–Tam! Jest tam! – krzyczał podniecony Jon. Gemma podbiegła i pod powierzchnią wody dostrzegła błysk dużej ryby.

Arden spojrział na nią i pod jej uśmiechem ujrzał ból.

–Wszystko w porządku? – zapytał łagodnie. Skinęła głową, ujęła jego rękę i ścisnęła mocno. Arden przyciągnął ją do siebie i pocałował.

–Powinnaś pozwolić mi, bym poszedł z tobą – szepnął jej do ucha.

–Nie. Musiałam zrobić to sama. A teraz jest z nimi Kris.

–To dobrze. Pomówimy o tym później.

Gemma poczuła rumieniec na policzkach, gdy dostrzegła ciekawość na twarzach chłopców. Uśmiechając się szeroko, Arden puścił ją.

–Vance, czy to ty mówiłeś, że w pobliżu widziałeś małe lisięta?

Chłopiec skinął głową.

–W lesie – odparł, wciąż spoglądając na Gemmę. – Myślę, że teraz będą już całkiem dorosłe – dodał niepewnie.

–Mimo wszystko chciałabym je zobaczyć – powiedziała Gemma zachęcając chłopca. – Pokażesz mi je?

Podjęto, więc wyprawę i wkrótce już Vance i Jon tryskali swoim zwykłym ożywieniem. Gemma i Arden podążali za nimi nieco wolniej, zaśmiewając się z ich błazeństw i rozkoszując się własną bliskością. Arden ujął jej dłoń, a ona uśmiechnęła się szczęśliwie.

Kris pojawił się w gospodarstwie Kragena tego wieczoru, w porze posiłku. Każdy dom w Dolinie miał zawsze w pogotowiu wolne miejsce przy stole i łóżko dla Krisa, na wypadek, gdyby ów przybył niespodziewanie. Choć nie przewyższał wzrostem dziecka, a jego kręgosłup i członki były potwornie zniekształcone, nie było w nim ani odrobiny smutku. Niezmiennie obdarzał uczuciem ciepła i szczęścia tych, z którymi przebywał, i dlatego właśnie, oraz z powodu jego zdolności do wywoływania wizji i sporadycznego przewidywania przyszłości – tak bardzo go szanowano.

Po posiłku Gemmie udało się porozmawiać na osobności tylko z nim i z Mallory. Kris znał już większą część jej opowieści, lecz chciał zadać jeszcze kilka dodatkowych pytań. Sam nie potrafił mówić i porozumiewał się z mieszkańcami doliny językiem znaków, który w razie konieczności Mallory mogłaby tłumaczyć Gemmie. Jednak, zanim Gemma zaczęła swoją opowieść, Kris wychylił się ze swego krzesła i ujął obie jej dłonie w swoje. Poczuła ogarniającą ją falę radości, tak intensywnej, że niemal krzyknęła. Obrazy ludzi świętujących razem jakąś uroczystość wypełniły jej umysł; wśród nich ujrzała rodziców Ashlina – szczęśliwych i roześmianych. Kris ukazał jej przyszłe przebaczenie.

Gemma spojrzała w pionowe źrenice Krisa i podziękowała mu w duchu. *Nic dziwnego, że tak bardzo cię kochają* - pomyślała. Gdy Kris cofnął ręce i odprężył się, u jego boku pojawił się Kragen i podał mu szklankę wina; potem przyniósł jeszcze dwie -dla Gemmy i Mallory.

–Nie martwcie się – powiedział. – Zostawimy was samych. – Mallory odprowadziła go uśmiechem, gdy wracał do kuchni.

Kris, trzymając niezdarnie szklankę w pokrzywionych palcach, napił się z wyraźną przyjemnością.

–Wiem, że może to być dla ciebie nieprzyjemne – zaczęła Gemma – i przepraszam cię za to. Lecz czy nie zechciałbyś mi opowiedzieć o wizji, którą pokazałeś Ardenowi?

Kris przez chwilę wyglądał na niezadowolonego i nie odpowiadał. Potem bardzo ostrożnie odstawił szklankę z winem i jego dłonie zatrzępotały tak szybko, że Gemma nie zrozumiała części z tego, co powiedział.

–Mówi, że między tobą a Ardenem istnieje bardzo silna więź – przetłumaczyła Mallory. – I właśnie ta więź była źródłem wizji o tobie. Lecz w grę musi tu wchodzić wyższa moc, ponieważ była to jedyna wizja, jaką Kris miał kiedykolwiek o czymś spoza Doliny.

–Jaka wyższa moc?

Kris wzruszył ramionami i potrząsnął głową. Te gesty nie wymagały już interpretacji.

–Czy wiesz o kręgach magii? – zapytała Gemma, zmieniając temat.

Ptasie dłonie przemówiły znowu.

–Dolina jest jak krąg? – domyśliła się Gemma, szukając potwierdzenia u Mallory. – Ale czy naprawdę nigdy nie widziałeś niczego innego spoza Doliny?

–Nie. To był ten jeden jedyny raz – powiedziała Mallory obserwując palce Krisa. – Naprawdę.

–Och. – Nadzieje Gemmy legły w gruzach. Potem opisała wizję małej Gemmy na szczycie góry i zapytała Krisa o Dalekie Południe i syreni śpiew, lecz on niczego nie umiał wyjaśnić. Stwierdził, że nie ujrzał niczego niezwykłego w przyszłości Mallory i jej dziecka. Obrazy, które Gemma widziała, były dla niego zagadką, podobnie jak wszystko, co dotyczyło Dalekiego Południa. Wydawał się przybity rozczarowaniem Gemmy, lecz gdy przeszli do innych, przyjemniejszych tematów, jego kokon ciepła i zadowolenia znów szczelnie go otulił.

–Kris powiedział, że istnieje między nami silna więź – powiedziała Gemma do Ardena, gdy leżała tej nocy w jego objęciach.

–Powiedz mi coś, czego nie wiem – odpowiedział sennie. – Przeszliśmy przez to wszystko razem, jak więc może być inaczej?

–Mmm – przytuliła się do niego mocniej.

–Chcesz zalegalizować tę więź? – wymruczał Arden.

–Co masz na myśli?

–Za parę dni w Nizszej Dolinie odbędzie się rada – odparł. – A w Dolinie jest to czas i miejsce na zawieranie małżeństw.

Gemma zamilkła. Myśl o małżeństwie nie przysła jej dotąd do głowy. Czowała tylko ulgę i ciepło, płynące z tego, że znowu – czego tak bardzo pragnęła – są razem. Słowa Ardena poruszyły ją, więc w dwójnasób.

Odsunął się odrobinę, by spojrzeć na nią.

–Powiedz coś! – zażądał. – Wiem, że powinienem upaść na kolana... ale woląłem być tu z tobą. Wiem, że nie mam wiele do zaoferowania...

–Bądź cicho! – przerwała mu Gemma, śmiejąc się. – Oczywiście, że za ciebie wyjdę!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dwanaście dni później wioska Niższej Doliny zatłoczona była ludźmi przybyłymi na zgromadzenie rady. Wszystko tonęło w świątecznej atmosferze. Dzień był chłodny, a niebo nad Doliną jasne i pogodne. Krótkie urzędowe sprawy załatwiono, więc na zebraniu pod gołym niebem. Potem podjęto sprawy, które stanowiły istotny powód zwołania rady. Najpierw pełni dumy rodzice przedstawili i nadali imiona dwojgu dzieciom, które ostatnio przyszły na świat, a potem rozpoczęła się uroczystość, która ściągnęła tutaj mieszkańców najodleglejszych nawet zakątków Doliny.

Znakomita większość mieszkańców traktowała Gemmę i Ardena jak bohaterów. Byli pierwszymi ludźmi z zewnątrz, którzy mieli pobrać się w Dolinie – te dwa powody sprawiły, że uroczystość cieszyła się wielkim zainteresowaniem.

Przysięga małżeńska złożona przez młodożeńców poważnym i pełnym przejęcia głosem została wysłuchana w pełnym czci milczeniu przez wszystkich obecnych. Po wzajemnym ślubowaniu pod niebo wzbiły się radosne okrzyki, a potem rozpoczęła się prawdziwa uroczystość.

Mieszkańcy Doliny zawsze cieszyli się, gdy nadarzył im się jakiś powód do świętowania, a ślub Gemmy i Ardena dostarczył szczególnie wspaniałej okazji. Dolina kwitła, a ci dwoje, którzy najbardziej przyczynili się do tego cudu, wrócili tu wreszcie bezpiecznie – i w dodatku świętują swój ślub. Uroczystość przeciągnęła się do późnej nocy.

Porwana w wir radosnej zabawy Gemma nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek była szczęśliwsza. Uchwyciła wzrokiem rodziców Ashlina, rozbawionych i roześmianych, i kiedy później, tej nocy rozmawiali z nią życzliwie, zrozumiała, że wybaczenie znalazło drogę do ich serc.

Nawet Mallory pozwoliła sobie na wolny taniec.

– Tym razem przynajmniej nie będziesz mi deptał po palcach – powiedziała do Ardena. – Nawet byś do nich nie dosięgnął!

Kiedy uroczystości dobiegły wreszcie końca, Kragen zabrał ich do wozu i wolno ruszyli do domu. Gemma była zmęczona, lecz jej oczy wciąż lśniły, gdy siedziała otoczona ramieniem Ardena. Za nimi, Vance i Jon spali mocno, wtuleni w nabrzmiałe nowym życiem ciało ich matki. W czasie jazdy Gemma i Arden przysłuchiwali się, jak Kragen

śpiewa – co zdarzało się bardzo rzadko. Była to wolna i prosta piosenka, której tempo harmonizowało ze statecznym krokiem koni.

Zimą – śpimy, Wiosną – siejemy, Latem – zbieramy, Jesienią – rośniemy.

Gdy ostatnie dźwięczne tony umilkły, Gemma poruszyła sennie głową wspartą na ramieniu męża, które jak zawsze, wydało jej się wygodniejsze od najwspanialszej poduszki.

Dolina jest jak krąg. Cały i skończony. Oby taka pozostała.

Z przekorą właściwą wielu dzieciom, córka Mallory postanowiła przyjść na świat w najbardziej ponurej porze – tuż przed świtem, porze, którą mieszkańcy ojczystych wysp Gemmy nazywali “wilczym czasem”.

Gemma spała, lecz gdy jej sny wypełniły się obrazami krwi, przebudziła się, oszołomiona i przestraszona. Śpiący obok niej Arden poruszył się.

–O co chodzi? – wymruczał.

–Dziecko – uświadomiła sobie. – Rodzi się. Wskoczyła z łóżka i właśnie ubierała się pospiesznie, gdy rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Kragen.

–Mallory zaczęła... – powiedział, a potem zobaczył, że Gemma jest już na nogach.

–Wiem – odparła. – Już idę.

–Mogę jakoś pomóc? – Arden otrząsnął się już ze snu.

–Czy mógłbyś pójść do pokoju chłopców? – poprosiła go Gemma. – Z pewnością obudzą się, a nie chcę, żeby się przestraszyli.

Arden z wyraźną ulgą wygramolił się z łóżka. Gemma uśmiechnęła się, gdy ziewnął rozdzierająco. Gdy wyszła z Krageniem na korytarz, ten skierował się do swojego pokoju. Gemma zatrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu.

–Sprowadź Klarę, dobrze? – poprosiła go. Kragen zdawał się zakłopotany.

–Wiesz przecież, że Mallory nie chce żadnej innej lekarki oprócz ciebie –

powiedział wolno. – Dlaczego...?

–Wiem, ale nigdy nie byłam przy porodzie – wyjaśniła mu Gemma. – A Klara tak, i

jej pomoc może być mi potrzebna. Prawdę mówiąc, jeśli dalej będę czuła się tak jak teraz, może nie być ze mnie żadnego pożytku.

–Dlaczego? Co się stało? – Niepokój odmalował się na twarzy Kragena.

–Nie wiem – odparła, próbując to zrozumieć. Zasypywała ją lawina obrazów i emocji. – Kręci mi się w głowie. – Było to dalekie od dokładnego określenia tego, co naprawdę się z nią działo, ale w tej chwili mogła tylko tak to nazwać.

Kragen położył swoje wielkie dłonie na jej ramionach i zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

–Dojdiesz jakoś do siebie? – zapytał. – Czy może sprowadzić Ardena?

–Nie, wszystko będzie w porządku. Wezwij tylko Klarę. Ja zostanę z Mallory. Po chwili wahania Kragen odszedł, zbiegając po trzy stopnie naraz. Gdy Gemma

zbliżyła się do pokoju Mallory, jej umysł wypełniły pytania. Pytania, na które nie potrafiła odpowiedzieć. Pytania, o których nie miała nawet pojęcia, że je zadaje!

Czy już czas? Czy czekanie już się skończyło?

Twarze dawnych przyjaciół i nowych, nieznane i znajome, twarze ludzkie i zwierzęce pyski. Głosy, młode i stare, dźwięczne i drżące, pieśni domowego ogniska i pieśni dziczy.

Czy są już wszyscy? Możemy zaczynać?

Światło i ciemność. Mróz i upał. Pustynne ścieżki i górskie zbocza. Blask słońca na wodzie, błysk gwiazd na śniegu.

Opuszczasz nas? Czy to już koniec?

Radość i smutek. Miłość i gniew. Pokolenia odchodzące wraz z upływającym czasem. Kręgi wewnątrz kręgów.

Przestańcie! Jestem w Dolinie!

Zgiełk w jej głowie przycichł, stał się mniej natarczywy. Odczuła niewielką ulgę. Zatrzymała się przed drzwiami pokoju Mallory, kładąc dłoń na klamce. Potrzebowała całej swojej siły, by zdecydować się ją nacisnąć i wejść do środka.

Mallory spojrzała na Gemmę szeroko otwartymi z bólu i wysiłku oczami.

–To już nie potrwa długo – jęknęła, zdobywając się na uśmiech. – Miałas rację...

jest niecierpliwa!

Gemma podeszła do przyjaciółki i ujęła jej wyciągniętą rękę. Pod wpływem tego dotyku Mallory westchnęła z ulgą i odprężyła się wyraźnie, gdy Gemma odruchowo użyła swych zdolności, by jej pomóc.

–Tak się cieszę, że tu jesteś – powiedziała Mallory. – Teraz wszystko będzie dobrze.

–Co to za krzyki? – Vance był zaintrygowany.

–To rodzi się wasza siostrzyczka – odparł Arden. – Mama musi tak krzyczeć – to jej pomaga.

– Miał nadzieję, że się nie myli.

–Czy możemy pójść i popatrzeć? – z nadzieją w głosie zapytał Jon.

–Nie. Tylko byśmy przeszkadzali. Wasz ojciec i Gemma już tam są.

–Więc wszystko w porządku – powiedział Jon, okazując absolutne zaufanie co do umiejętności Gemmy.

Klara spokojnie przyjęła wczesną pobudkę i ubrała się prędko. Była najbieglejszą lekarką w Dolinie oraz doświadczoną położną. Wezwanie potraktowała jak coś zwykłego, i szybko udało jej się uspokoić zaniepokojonego Kragena. Pospieszyli do gospodarstwa i zanim tam dotarli, Klara miała już wszystkie informacje, jakich potrzebowała. Kiedy weszli do pokoju, Mallory oddychała głęboko i głośno, reagując na częste i silne skurcze porodowe.

Lecz uśmiechała się, gdy czuła, jak nowe życie w jej wnętrzu walczy o swą niezależność. Gemma wciąż trzymała jej rękę, stojąc bez ruchu z nieobecny wyrazem twarzy.

Klara z dużą wprawą zajęła się Mallory, dodając jej odwagi i kierując jej oddechem. Kragen otarł pot z czoła żony, pocałował ją, a potem spojrział na Gemmę.

–Dobrze się czujesz? – zapytał, lecz Gemma nie odpowiedziała.

–Gemma? – Jej milczenie zaniepokoiło Kragena i ruszył ku niej.

–Zostaw ją! – rozkazała Klara. – Przejmuje ból Mallory. A dziecko jest już w drodze.

Gemme kręciło się w głowie. Jakaś jej część “widziała” postępujący poród i mogła chronić Mallory przed najsilniejszymi bólami. Jej instynkt lekarki był jedyną częścią jej osobowości, która pozostała przy zdrowych zmysłach. Cała reszta pogrzażyła się w szaleństwie.

Czy już? Czy to już czas?

Błyski światła. Wieczne ognie.

Czy to jej? Chronisz ją?

Miłość i gniew.

Zostawcie ją! - krzyknęła Gemma. Nie jest jeszcze gotowa!

Wpatrzone oczy. Rozwierające się usta. Języki splatające dźwięki. Znikające w ciemności. Rozczarowanie i strach.

Zostawcie nas!

Kręgi.

W jakimś dalekim świecie czuła rozpoczynające się nowe życie, słyszała krzyki protestu i powitania. Jej dłoń rozwarła się sama.

Cisza.

Gemma westchnęła głęboko i zemdląa.

Klara ułożyła noworodka w ramionach matki, popchnęła ku niej Kragena i odeszła, by zająć się Gemmą.

–Czy stało się jej coś złego? – zapytała Mallory głosem, w którym wyczerpanie mieszało się z niepokojem.

–Zemdląa – powiedziała lekarka – ale wkrótce dojdzie do siebie. Choć może mieć guza na głowie.

–Wszystko stało się tak szybko – ciągnęła Mallory. – Nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Kiedy wzięła moją rękę...

–Ma niezwykły talent – powiedziała z namysłem położna – wyjątkowy... Jeśli mogła zapanować nad twoim bólem, to, dlaczego nie potrafiła zapanować nad własnym organizmem?

–Sprowadzę Ardena – powiedział Kragen. – Położymy ją do łóżka. – Pocałował delikatnie żonę i wyszedł.

Mallory spojrzała w przepastne, brązowe oczy swojej córki.

–No, moja małeńka Gem, nie wiem, co zrobiłaś mojej przyjaciółce – szepnęła – ale lepiej przygotuj sobie jakieś usprawiedliwienie, kiedy dojdzie do siebie. Gemma nie jest kimś, z kogo można sobie żartować!

Dziecko przyglądało się jej poważnie, sprawiając wrażenie, że już teraz zastanawia się nad swoją obroną.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

–Przypuszczałem, że istnieją ludzie, którzy wtedy właśnie mdleją. – Arden

uśmiechnął się, zadowolony z widoku rumieńców powracających na policzki Gemmy.

Byli sami w swoim pokoju. Kragen odszedł, by przedstawić synom ich nową siostrzyczkę, a Klara, zadowolona ze stanu wszystkich swoich podopiecznych, zeszła na dół, by odpocząć i napić się czegoś ciepłego. Gemma odzyskała przytomność zaraz po tym, jak położono ją do łóżka, i teraz, z wyjątkiem tępego bólu głowy, czuła się znowu prawie sobą. Wciąż jednak była oszołomiona i stwierdziła, że nie umie wytłumaczyć tego, co się stało.

–Wiem – powiedziała. – Okazałam się wybitnym lekarzem, mdlejąc w takiej chwili. – Potrzęsnęła głową, żalując natychmiast, że nią poruszyła.

–Zrobiłaś wielkie wrażenie na Klarze. Powiedziała, że osłoniłaś Mallory przed bólem – zaprotestował Arden. – Może właśnie, dlatego straciłaś przytomność.

–Nie. To było łatwe. – Gemma przerwała i starała się przypomnieć sobie wszystko, co tylko możliwe. – Cieszę się, że mogłam pomóc Mallory – przecież po to tam byłam! To te głosy sprawiły, że zemdlalam.

–Jakie głosy?

–Zadawały pytania. Całe mnóstwo pytań! – Gemma spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczyma.

–W tym, co mówisz, nie ma sensu, kochanie.

–Wiem. Te pytania też nie miały sensu. – Po chwili spróbowała wyjaśnić. – To było podobne do tej chwili na wieży, z Mendle’em – kiedy wszystkie kręgi magii otworzyły się dla mnie. Tylko tym razem obrazy nie były wyraźne, zamazywały się nawzajem. I wszystkie zadawały pytania.

–O czym?

–O czasie. O początkach i końcach. O małej Gemmie, tak myślę.

–Pytały o dziecko?

–Z jakiegoś powodu jest dla nich bardzo ważna – ale to za wcześnie! Nie jest jeszcze gotowa! – Gemma była podniecona, niemal krzyczała.

–Ciszej – powiedział Arden, starając się ją uspokoić. Ujął jej dłonie. – Dziecko jest

wspaniałe. Jest bezpieczna – nikt jej tutaj nie dosięgnie.

–Tak właśnie myślałam – odparła Gemma – ale teraz nie jestem tego taka pewna. Jesteśmy w Dolinie, Ardenie.

–Wiem. – Uśmiechnął się, mimo przejęcia, z jakim mówiła.

–Ale czy nie rozumiesz, co to znaczy? – obstawała przy swoim. – Kręgi magii – jeśli to były one – nie powinny mnie tutaj osiągnąć. Dolina zawsze stanowiła zaporę – dla Kaia, dla śpiewu z Południa, dla wszystkiego, co jest związane z magią. Dlaczego więc teraz nie?

–Mnie o to pytasz?

–Znasz Dolinę lepiej niż ktokolwiek inny – upierała się Gemma.

–Tak, ale trudno nazwać mnie biegłym w sprawach magii!

–Przecież mówiłeś, że jesteś czarodziejem – powiedziała oskarżycielskim tonem, uśmiechając się pomimo dręczącego ją niepokoju.

–A ty mi uwierzyłaś? – zapytał, unosząc brwi. – Czyż wyglądam jak Wynut albo Shanti?

Gemma roześmiała się.

–Nie. Dzięki bogom! – Potem zobaczyła, że zmarszczył brwi. – O co chodzi?

–Usiłuję sobie przypomnieć coś, co oni powiedzieli – odparł wciąż marszcząc brwi. Gemma czekała niecierpliwie.

–Tłumaczyli sprawy związane z przetrwaniem i z przyszłością magii – powiedział wolno. – Wynut stwierdził, że teraz ty jesteś kluczem, a drugi – Mallory – reprezentuje przyszłość.

–Przyszły Klucz do Snu? – szepnęła Gemma. – Dziecko?

Arden wzruszył ramionami, gdy przypomniał sobie więcej.

–Powiedział jeszcze, że wy obie jesteście najważniejsze – tak właśnie to ujął – ale że wasze oddziaływanie może być albo dobre, albo złe.

–Och. – Jego słowa zaskoczyły Gemmę. – Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

–Kiedy? W całym tym zamieszaniu po prostu zapomniałem. Od tego czasu mieliśmy przecież tyle spraw na głowie – zaprotestował Arden.

–Przepraszam – powiedziała cicho. Wiedziała, że Arden ma rację.

Upłynęło kilka chwil w ciszy.

–Sama mówiłaś, że mała Gemma będzie kimś wyjątkowym. Może to twoja

obecność przy jej narodzinach tak spotęgowała moc, że umożliwiło to kręgom przedarcie się do Doliny – zasugerował Arden.

–To strasznie zagmatwane – poskarżyła się Gemma. – Mam nadzieję, że masz rację.

Arden skinął głową, rozumiejąc jej obawy. Jeśli jego wyjaśnienie nie jest

prawdziwe, wówczas może to oznaczać tylko tyle, że Dolina straciła dla nich swą siłę spokojnej i cichej przystani. Wynikające z tego skutki nie były czymś, nad czym chcieliby się zastanawiać.

–Nie martw się tym teraz – powiedział do niej łagodnie. – Czy czujesz się na tyle dobrze, by pójść i ją zobaczyć?

–Oczywiście.

Arden pomógł Gemmie wstać z łóżka i trzymając ją pod ramię przeprowadził do pokoju Mallory.

Ostatnim życzeniem Gemmy, zanim weszła do środka, było – bez względu na to, jaki los czekał jej imienniczkę – aby mała Gem mogła przynajmniej dorastać w spokojnym domu, który prawnie do niej należałby. Alternatywa była zbyt straszna, by ją rozważać.

Dziecko przyszło na świat w miesiąc po powrocie Gemmy i Ardena do Doliny. Był to dla nich prawdziwie idylliczny czas – cieszyli się niezrównanym pięknem i spokojem tego miejsca, szczerze ofiarowywaną gościnnością jego mieszkańców. Byli wolni od odpowiedzialności za sprawy zewnętrznego świata, a wzajemna bliskość cieszyła ich jak nigdy przedtem.

Chociaż wiedzieli, że kiedyś musi się to skończyć, nie byli przygotowani na to, co miało się stać. Patrząc wstecz, wyglądało to tak, jak gdyby narodziny Gem wyzwoliły całe pasmo późniejszych klęsk. Wówczas jednak wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Dziecko cieszyło się wspaniałym zdrowiem; Mallory i Kragen zachwycali się nią, a chłopcy, dalecy od uczucia zazdrości, gorąco kochali swoją małą siostrzyczkę i troskliwie się nią opiekowali. Gemmę opuściły wizje i szybko odzyskiwała siły.

Kolejny miesiąc minął tak samo spokojnie. Gemma spędzała wiele czasu z dzieckiem. Patrzyła, jak dziewczynka rośnie i spoglądając w jej szeroko rozwarte brązowe oczy zastanawiała się, co też dzieje się w tej małej główce. Wydawało się, że żaden zły los nie ciąży na małej Gem.

Lecz właśnie, gdy skończyła miesiąc, nadeszły pierwsze złe wieści. Kilka osób

zamieszkujących południowe, wyżej położone rubieże Doliny zaczęło chorować. Było to niezwykle, mieszkańcy Doliny, bowiem cieszyli się z zasady nadzwyczaj dobrym zdrowiem. Co gorsza jednak, miejscowi lekarze nie potrafili odkryć przyczyn tego stanu. Minęło trochę czasu, zanim uświadomili sobie, że wszystkie ofiary choroby mieszkają w

południu; wówczas jednak wystąpiły już inne, bardziej widoczne symptomy złego samopoczucia Doliny.

W nocy po otrzymaniu wieści o tajemniczej chorobie, po raz pierwszy od czasu powrotu, Gemma śniła o pieczarach i bogu Raelu. Obudziła się i przez jakiś czas leżała dręczona nieokreślonym lękiem.

Następnego dnia stan chorych pogorszył się, a choroba zaczęła się szybko rozprzestrzeniać. Przyczyna epidemii pozostawała tajemnicą. Tak masowych zachorowań nie było nigdy przedtem, nawet w czasie suszy. Gemma i Mallory nieustannie spoglądały z niepokojem na dzieci, i były wdzięczne, że najdotkliwsze przypadki choroby występują na razie jedynie na południu.

Jon był tym, który odkrył całą groźbę sytuacji. Bawił się z bratem nad rzeką, która wciąż obficie toczyła wody, choć od dnia zimowego przesilenia dzieliło ich niecałe pół miesiąca. Chłopcy spostrzegli dużą rybę, a potem uświadomili sobie, że nie jest taka jak inne, które widzieli. Było w niej coś dziwnego.

Jon, którego zawsze fascynowały te nieuchwytnie, srebrzyste stworzenia, wszedł do wody, by przyjrzeć się bliżej. Ryba unosiła się bokiem na wodzie i nie próbowała odpłynąć. Jon wyciągnął ostrożnie rękę i chwycił rybę za ogon, a potem uniósł niestawiające oporu stworzenie. Ryba wciąż się nie poruszała.

–Nie żyje – zauważył z brzegu Vance.

–Ma dziwne oczy – stwierdził Jon. – Mleczne. Klepnął rybę wolną ręką i z jej ciała odpadło kilka łusek, które uniósł prąd.

–Musiała strasznie dużo zjeść – powiedział, spoglądając na wzdęty brzuch ryby.

–Przynieś ją tutaj – polecił mu Vance.

–Zabierzemy ją do domu i pokażemy Ardenowi – postanowił Jon. – Zna się na dziwnych zwierzętach. – Brodząc w wodzie wyszedł na brzeg i ruszyli przez pola do domu.

–Brzydko pachnie – powiedział Vance, gdy zbliżyli się do podwórza. – Lepiej nie wnoś jej do środka.

Jon uznał, że brat ma rację, położył rybę na ziemi i wbiegł do domu.

–Chodźcie i zobaczcie, co przyniosłem! – zawołał i wkrótce jego matka, Arden oraz

Gemma wyszli za nim na zewnątrz. Jon wskazał rybę.

–Teraz nie wygląda tak ładnie – powiedział smutno. – Przedtem błyszcziała.

Zanim dorośli zdolali się odezwać, Jon podniósł patyk i szturchnął swoją zdobycz –

jakby karząc ją za to, że nie jest już taka piękna. Nagle cofnął się z okrzykiem obrzydzenia.

Brzuch ryby pękł, rzygając cuchnącą fontanną jelit. Wnętrznosci lśniły fosforyzującą zielenią.

Arden musiał walczyć ze sobą, by nie wymiotować. Zaczerpnął gwałtownie powietrza, mając znowu przed oczyma zatruty strumień w Mrocznym Królestwie, martwą rybę niesioną z prądem, bezlitośnie rozprzestrzeniającą się jadowitą zielenią.

–Nie! – krzyknął. – Nie tutaj! Proszę, nie tutaj!

Jon podbiegł do matki i wybuchnął płaczem.

–Nie zbliżajcie się do tego! – ostrzegła ich Gemma, a jej twarz zrobiła się biała jak papier.

–Vance, sprowadź ojca – poleciła Mallory.

–Niech nikt tego nie dotyka – mówiła Gemma nieco spokojniejszym głosem. – Trzeba wziąć łopate, włożyć to do jakiegoś pojemnika, a potem głęboko zakopać. – Nawet z daleka wyczuła emanację zła. Zadrżała.

–To nic nie da. – Twarz Ardena, gdy odwrócił się do niej, była ściągnięta i blada. – Nie rozumiesz? To rzeka! Jeśli rzeka jest zatruta, wówczas całą Dolinę czeka zagłada.

Skulony w matczyńskich ramionach, Jon zaniósł się jeszcze gwałtowniejszym płaczem.

W ciągu kilku następnych dni Dolinę dotknęły kolejne nieszczęścia. Choroba szerzyła się coraz gwałtowniej, rośliny w pobliżu rzeki brązowiały i usychały; drzewa zaczynały gnić od korzeni. Rzeką sływały martwe ryby i zwierzęta.

Mieszkańcy Doliny robili, co mogli. Zamykali zbiorniki, by zabezpieczyć zapasy słodkiej wody i przenosili się z całymi rodzinami jak najdalej od rzeki, na wyższe zbocza. Jednak poza tym niewiele mogli zrobić; pozostawało tylko żywić nadzieję, że zło przeminie – albo rzeka wyschnie na zimowe przesilenie, od którego teraz dzieliło ich zaledwie kilka dni.

Arden popadał na przemian we wściekłość wywoływaną własną bezsilnością, i głęboką depresję na myśl, że Dolina, którą tak bardzo kochał, może zginąć. Myślał, żeby wyruszyć w góry do źródeł rzeki, albo wracać do Nowego Portu i szukać pomocy u Jordana, lub prosić o radę mieszkańców Mrocznego Królestwa. Chciał zrobić coś ważnego. Jednak wszystkie te

pomysły obracały się w proch – i zostawał, pomagając jak tylko mógł.

Rzecz naturalna, że w tej sytuacji talenty Gemmy stały się bardzo potrzebne. Potrafiła uśmierzyć niektóre z objawów zielonej choroby, ale nie umiała jej leczyć, nie zdołała też odkryć jej przyczyny. Pracowała bez chwili wytchnienia. Każdego wieczoru

wracała do domu pełna obaw, że ktoś z rodziny Mallory stanie się kolejną ofiarą epidemii. Największą troską napawał ją Jon, lecz po czterech dniach od znalezienia ryby wciąż był zdrowy – choć bardzo blady i cichy.

Pewnego popołudnia Gemma zeszła do kuchni, by porozmawiać z Mallory.

–Z chłopcami wszystko w porządku – szepnęła, nie chcąc rozbudzić małej Gem,

która spała w swoim łóżeczku w pobliżu ognia. – Bardzo bym chciała powiedzieć to samo o wszystkich mieszkańcach Doliny.

–Pogarsza się? – zapytała Mallory.

Gemma skinęła głową i miała właśnie jeszcze coś powiedzieć, gdy nagle problemy

Doliny uleciały z jej myśli. Nieprzytomnymi oczami spojrzała na Mallory i zobaczyła, że twarz przyjaciółki odzwierciedla to samo – zachwyt i grozę.

Syrenia pieśń rozbrzmiewała w ich duszach i umysłach – niewypowiedzianie słodka, pełna tęsknoty i zachęty, ale teraz pełna grozy i przerażenia.

Dolina przestała być schronieniem.

Gdy umysły obu kobiet walczyły o zrozumienie, zostały niemal pokonane przez piękną, śmiertelną muzykę. A potem usłyszały inny dźwięk.

Mała Gem przebudziła się i leżała z wyrazem błogości na uśmiechniętej twarzyczce, śpiewając cicho do siebie.

Część trzecia

Światło z Północy

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Samotny pasażer, który zszedł na brzeg z handlowego statku, nie wydawał się kimś godnym szczególnej uwagi. Ostatnimi czasy portowe miasto Altonbridge, leżące we wschodnim Kleve, witało i żegnało bardziej niezwykle osobistości. Minęło już niemal pięć miesięcy od czasu obalenia Gildii. Podziemie, podążając za przykładem swoich towarzyszy z Wielkiego Nowego Portu, przystąpiło do obalenia starych władz miejskich. Chaos pierwszych dni był już opanowany, lecz wciąż widoczne były ślady walki i zamieszania. Przybysz był tylko jedną cienką nitką w ogromnym i nieustannie zmieniającym się gobelinie. Nikt, więc nie zwrócił na niego większej uwagi.

A nawet gdyby, to jego powierzchowność wywołałaby raczej niewielkie zdziwienie. Był młody, o pociągającej chłopięcej urodzie. Proste, brązowe włosy nosił przycięte nieco dłużej niż mieszkańcy Kleve. Był drobnej budowy. Miał ze sobą tylko mały worek przerzucony przez ramię i drewniane pudło o osobliwej konstrukcji.

Jednak uważny obserwator mógłby dostrzec coś interesującego. Młodzieńczą twarz podróżnego przecinały zmarszczki zatroskania, które nie pasowały do kogoś tak młodego. Jego zielone oczy wyglądały staro i kryły w sobie tajony smutek; niektórzy określiliby je jako nawiedzone.

I – co najdziwniejsze – z drewnianego pudła wydobywał się cichy, bzycający dźwięk.

Jakiś czas stał niepewnie na nabrzeżu, spoglądając na wypełnione krzątaniną doki, pobliskie budynki – niektóre wciąż w ruinach – i na ludzką ciżbę. Wydawało się, jakby jedynym celem jego życia było dotarcie do tego miejsca, a teraz, kiedy już tu był, wyglądał na zagubionego i dezorientowanego. Oszłomienie mieszało się ze smutkiem wyzierającym z jego oczu.

Ale za chwilę otrząsnął się i ruszył zwawym krokiem, niosąc swoje brzemie z łatwością, która przeczyła jego drobnej budowie. Wypytyując o drogę przechodniów, ruszył prosto do najbliższej tawerny i wynajął pokój. Nie pofatygował się nawet, by sprawdzić, czy mu odpowiada. Był zmęczony po bardzo długiej podróży i bardzo potrzebował odpoczynku. Chociaż do stałego gruntu pod nogami musiał przywyknąć, myśl o łóżku,

które nie będzie chybotać, pociągała go nieodparcie. Teraz, kiedy – wreszcie! – naprawdę! – znalazł się na tym legendarnym południowym kontynencie, czuł, że może odłożyć swoje poszukiwania do jutra.

Choć zapadał dopiero wczesny zmierzch, podróżny położył swój worek na podłodze, troskliwie ustawił pudło na stole, rozebrał się i z westchnieniem ulgi położył do łóżka. Gdy już leżał wygodnie wyciągnięty i odprężony, przypomniał sobie, że nie zamknął drzwi na klucz. Wiedział, że w tym obcym mieście powinien strzec się przed nieproszonymi gośćmi, lecz ciepłe i wygodne łóżko już kołysało go do snu. Wbił wzrok w klucz, marszcząc gniewnie brwi, potem wymruczał kilka słów i uczynił nieznaczny gest dłonią.

Po drugiej stronie pokoju klucz przekręcił się wolno w zamku, rozległo się głośne “klik”. Przybysz roześmiał się.

Przez wszystkie te lata wypierałeś się swego talentu tylko po to, by w końcu posłużyć się nim do czegoś tak przyjemnego. Co za marnotrawstwo! A co więcej, zupełnie o to nie dbam!

Uśmiechnięty zapadł w sen.

Kai znał Gemmę, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Już wtedy byli wielkimi przyjaciółmi i czarodziej stał się największym ulubieńcem młodej księżniczki. Zawsze chętnie się bawił i opowiadał o tym wszystkim, czego inni dorośli nie rozumieli albo nie chcieli tłumaczyć. Jego rój był dla Gemmy nieustannym źródłem zachwytu i fascynacji. Wszyscy wiedzieli, że każdy czarodziej ma swojego przyjaciela, lecz Kai był wyjątkiem. Jego przyjacielem nie było jedno zwierzę, ale istota składająca się z wielu jednostek zgrupowanych w roju. Porozumiewał się z rojem, a nie z poszczególnymi pszczołami. Ludzie obawiali się pszczół, niektórzy wręcz bali – lecz nie Gemma.

Ze swej strony Kai uważał swoją małą przyjaciółkę za osobę niezwykle zajmującą i zadziwiająco spostrzegawczą. W owych czasach wielką przyjemność sprawiało mu bliskie towarzystwo wielu raczej starszych kobiet, ale zawsze znajdował czas dla Gemmy. I wreszcie, pewne powszechnie znane zdarzenie dało mu aż nadto powodów do wdzięczności za jej wierną przyjaźń. Podczas niebezpiecznego, lecz ważnego magicznego eksperymentu, rój gwałtownie zareagował na stan swojego czarodzieja i wymknął się spod jego kontroli, terroryzując pałac. Kai leżał wtedy nieprzytomny. Gemma, choć miała zaledwie siedem lat, uspokoiła oszalałe i udręczone pszczoły i doprowadziła je z powrotem do Kaia, ratując mu w ten sposób życie i umożliwiając zakończenie magicznego procesu.

Potem rozmawiali o tych dramatycznych wydarzeniach i fragment tej rozmowy wciąż jeszcze, po tylu latach, brzmiał wyraźnie w jego umyśle.

*–Wcale nie będę zdziwiony, jeśli któregoś dnia sama zostaniesz czarodziejką -
powiedział jej.*

–Czy wtedy się ze mną ożenisz? – odpowiedziała natychmiast.

Nie był to pierwszy raz, kiedy dziewczynka zadała mu to pytanie, ale okazał się

ostatni. Dni jej niewinności były policzone i wkrótce potem straszliwy wstrząs Zniszczenia zmienił wszystko. Dla Kaia oznaczał tragiczny koniec jego wiary w magię – od tego czasu nie uważał się już za czarodzieja.

Gdy Gemma wyrosła na piękną, młodą kobietę, sprawa magii stała się jedyną przyczyną tarc pomiędzy nimi. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego musi zginąć również dobro, które można było czynić za sprawą czarodziejstwa, skoro został już zniszczony potencjał magii do czynienia zła.

Kai tłumaczył, że magia ma dwie strony, i że skoro raz stała się źródłem zła, nie można wykorzystywać jej dla żadnych, nawet najszlachetniejszych celów. Wpadał w gniew, kiedy wykazywała, że wciąż używa swoich talentów leczniczych, że się nie starzeje jak inni ludzie i że pszczoły z nim pozostały. Kai bronił się najlepiej jak umiał, tłumacząc jej swoją niekonsekwencję i jednocześnie sobą gardząc. Teraz zrozumiał, że się mylił, i ta wiedza była źródłem jego głębokiego i gorzkiego żalu. Tak wiele spraw mogłoby potoczyć się inaczej. Gdyby tylko...

Wciąż jednak byli wiernymi przyjaciółmi i często mylnie brano ich za kochanków. Ciało Kaia pozostało ciałem gibkiego i przystojnego dwudziestolatka, choć naprawdę był dwa razy starszy. Pokochał Gemmę, lecz nigdy się do tego nie przyznał.

Z powodu bliskości, która wciąż ich łączyła, jej tajemniczy wyjazd bardzo go zabolął. Przepędzał go gniewem, poczuciem zdrady i wielką samotnością i wciąż nie mógł znaleźć ukojenia. Stał się jak gdyby dwiema osobami; za dnia pozornie szczęśliwy i nieco roztargniony, cieszył się miłością wszystkich mieszkańców dworu, nocą zaś stawał się znowu czarodziejem, bez względu na to, jak bardzo starał się temu zaprzeczać. Wciąż nawiedzały go sny i zmuszały do ponownego przeżywania tragicznych wydarzeń z przeszłości. Nieobecność Gemmy sprawiła, że te sny stały się jeszcze bardziej bolesne. W miarę jak mijały miesiące, a ona nie wracała, coraz więcej czasu spędzał w swej odległej górskiej samotni. Tam szukał spokoju.

A potem, pewnej wstrząsającej nocy, nowy, niezwykle wyraźny sen zburzył cały jego świat. Gemma pojawiła się jak duch w jego komnacie i Kaia ogarnął strach, dopóki nie zrozumiał, jak bardzo odległa i jak bardzo potężna stała się jego przyjaciółka. Był bezradny, lecz jego słabość okazała się dla niej darem – jedyną rzeczą, jaką miał jeszcze do zaoferowania – ponieważ przejęła od niego tajemnice, które od tak dawna ukrywał. Nawet we śnie nie był w stanie jej powiedzieć, że ją kocha.

Kontakty z Gemmą nie były częste, lecz niezwykle realne. Mógł z nią rozmawiać, choć nie zawsze był zdolny, by powiedzieć jej to wszystko, co pragnął. Stała się trwałą, choć straszliwie daleką częścią jego umysłu – z wyjątkiem chwil, kiedy znikala w tym “tajemnym miejscu”, które, ku jego udręce, ukrywało ją przed nim. Te chwile, kiedy mógł się z nią porozumiewać – tak nieliczne i odległe stały się czymś najcenniejszym w czasie jego życia.

Pierwszy raz spotkał się z Gemmą, gdy ratowała dwoje chorych dzieci. Wiedział, że jego talent nigdy nie był aż tak potężny. Kierował nią wówczas widząc, że potrzebuje pomocy, bo jej wiedza nie dorównuje jej sile. Przekonał się, że nie jest to prawdziwa magia, lecz tylko zdolności lecznicze – a zatem coś, w czym chciał uczestniczyć.

Następny kontakt był nieskończenie bardziej przerażający. Gemma leciała latawcem, tak jak kiedyś, w dzieciństwie. Ale ta jej podróż była samobójcza. Kai pozostał przy niej najdłużej jak mógł, lecz w końcu ogarnęła go rozpacz, wywołana przekonaniem, że Gemma zmierza ku śmierci. Więc ją opuścił, mówiąc wiele rzeczy, których później żałował. Lecz jego ostatnie

słowa były tymi, które chciał powiedzieć.

–Spraw, by oni wszyscy byli z ciebie dumni. Tak jak ja. Zawsze cię kochałem,

Gemmo. Nie wspominaj mnie źle.

Jego przekonanie o śmierci Gemmy zdawało się potwierdzać jej zniknięcie na kilka miesięcy. Kai niemal stracił nadzieję, aż nagle bez żadnego ostrzeżenia – miał wyraźny i bez wątpienia szczęśliwy sen o Gemmie. Następnego dnia przekonał się, że może znów rozmawiać z jej przebudzonym na nowo duchem. To wówczas dowiedział się o jej kryjówce i o nauczycielce, która wyjaśniła jej tak wiele.

–Mogłeś mnie nauczyć – powiedziała z żalem. Zaprzeczył, wzywając na pomoc

swoją upadłą wiarę, lecz Gemma nie chciała ustąpić, pytając, czy nie ma żadnych szans na odzyskanie magii.

–Może ty będziesz mogła to sprawić – odparł.

Zaczął wierzyć, że to jest możliwe.

Ale to dwie ostatnie wizje tak naprawdę ożywiły jego nadzieje – i spotęgowały przerażenie.

W pierwszej stała przed ścianą błękitnych płomieni prastarej, tajemnej mocy. Kai wiedział, że Gemma ma sprzymierzeńców, sam również z ufnością zaoferował jej swą pomoc. Jej siła woli, wspomagana przez niego i wzmocniona naukami Adrii, pozwoliła jej przedrzeć się przez ścianę, lecz potem – ku swojemu przerażeniu – stracił z nią kontakt, aż do rozstrzygającej bitwy na wieży. Tam znowu mógł jej pomóc i – mimo jej gwałtownego oporu – zmusił ją do przyjęcia swojej pomocy – podobnie jak inni sprzymierzeńcy. Jednak szybko zrozumiał, że dzieje się coś straszliwie złego. Ogarnął go porażający lęk. Rój wzbil się w powietrze, otaczając jego głowę brzęczącą gniewnie chmurą. Czuł zbliżające się szaleństwo, w miarę jak tracił siły, lecz wówczas, w taki sam tajemniczy sposób, w jaki pozbawiano go mocy, zwrócono mu ją. Wiedział, że Gemma przeżyła, lecz wszystko inne otaczał całun tajemnicy i czekał na próżno, by móc znowu do niej przemówić.

Wreszcie podjął decyzję, do której jego serce wyrywało się już od miesięcy. Popłynie na południe i spróbuje odnaleźć Gemmę.

Teraz, blisko pięć miesięcy później, po niezliczonych opóźnieniach i podróżach, które zawiodły go do niemal wszystkich wysp znanego świata, dotarł do krainy, gdzie -jeśli jest gdziekolwiek – musi być jego zagubiona uczennica.

Martwiło go tylko, że przez ostatni miesiąc Gemma znowu była niedostępna.

Jak cię odnajdę, jeśli nie możesz do mnie mówić? Ten kraj jest taki ogromny.

Odkładając tę sprawę do rana, Kai przesłał kilka uspokajających słów pszczołom w ich podróżnym ulu, potem zapadł w głęboki, mroczny sen.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Koszmar zaczął się o wilczej porze, choć Kai uświadomił to sobie, gdy już minął, a on leżał zlany potem i przerażony, obserwując, jak światło na powrót zalewa świat.

Krótkotrwałe, nieokreślone obrazy pełne krwi zastąpiło uczucie oszołomienia. Kai wiedział, że ośrodkiem jego snu była Gemma, choć nie mógł zobaczyć jej wyraźnie. Wszystko było zamazane, nieostre i odległe. Działy się ważne rzeczy, lecz ukryte za niedostępną dlań zasłoną. Pograżał się w rozpacz, wykrzykując pytania, które ginęły w głębi nocy, a niepokój przeszywał go jak ostrze miecza.

Wypełniał go wir sprzecznych uczuć. Potem, w jednej jedynej chwili jasności, zobaczył swoje oszołomienie odbite w oczach Gemmy. Zawołał do niej i choć nie zdołał usłyszeć, co odpowiedziała, wiedział, że chce, by ją opuścił. Wycofał się, przestraszony i zawstydzony.

Teraz w jego śnie znalazła się inna kobieta. Krew i ból pochodziły od niej, lecz Kai czuł, że to brzemie bierze na siebie Gemma. Gdy Gemma ponownie odtrąciła jego obecność, uświadomił sobie, że nie jest to tylko jego sen. Znowu byli tam inni, jak wówczas na wieży. I tak samo odlegli i oszołomieni jak on. To objawienie trwało zaledwie jedną chwilę.

Usłyszał płacz protestu i powitania; płacz, który wywołał złe przeczucia. A potem zapadła cisza. I czarna pustka – nieruchoma i bezkresna jak śmierć.

Czuł się jak szmaciana lalka, którą wykąpano w lodowatej wodzie, a potem wyżęto. Choć skąpany w pocie – drżał. Serce waliło w piersi i był tak słaby, że nie mógł ruszyć nawet palcem. Leżał bez ruchu, wspominając każdy obraz ze straszliwej nocnej wizji.

Gemma go odtrąciła i to wstrząsnęło nim do głębi. W przeszłości zdawała się z taką radością witać jego odległą obecność – nie mogła chyba udawać tamtych wcześniejszych radosnych odpowiedzi. *Dlaczego więc tym razem było inaczej? Czuł się zagubiony i przygnębiony. Jeśli Gemma go nie chciała, nie potrzebowała... Czyżby na próżno odbył tę długą i męczącą podróż?*

Krew i ból. W myślach usłyszał znowu płacz dziecka i doznał gwałtownych i sprzecznych uczuć – zdumienie nowym życiem, miłość do dziecka, nienawiść i zazdrość

do jego ojca. Potem zrozumiał, że to nie jest dziecko Gemmy. *Zatem czyje – i dlaczego jego narodziny są tak ważne? Co Gemma ma z tym wspólnego?*

Kai pragnął jeszcze raz poczuć jej obecność, pragnął z nią porozmawiać – lecz nic takiego się nie stało.

Czarna pustka, nieruchoma i bezkresna jak śmierć.

Zaprzeczenie wezbrało w nim spontanicznie. Gemma żyje! A jego pewność nie była tylko

irracjonalną tęsknotą. Spotkanie z nią, choć tak bardzo wstrząsające, miało miejsce w rzeczywistości. Potem zrozumiał, że Gemma musi być teraz w swym “ukrytym miejscu”, gdzie dziejące się wydarzenia nie są przeznaczone dla oczu z zewnętrznego świata. To, dlatego odprawiła ich wszystkich!

Jego nastrój zmieniał się gwałtownie, teraz niemal wybuchnął śmiechem. Zobaczył ją, a więc musi być gdzieś blisko! Nie podróżował na próżno.

–Jeśli przebywasz w tej krainie, Gemmo, odnajdę cię – obiecał głośno.

Potem przyszła mu do głowy nowa myśl i uspokoił się, zastanawiając się nad tym. Cokolwiek zdarzyło się tej nocy, było jednoznaczną wskazówką, że działają potężne siły. Siły magii. Chodziło o coś więcej, niż tylko o los jednej zaginionej księżniczki.

Kai uśmiechnął się gorzko. Przez ostatnie piętnaście lat z całą mocą odrzucał od siebie myśl, że magia wciąż istnieje, a swoje własne zdolności uważał za anachronizmy, pozostałości z czasów wielkiego zła. Gemma była jedną jedyną osobą, która otwarcie się z nim nie zgadzała, a ich kłótnie często bywały przepojone goryczą. Przemocą usiłował wcisnąć swój świat w formę, do której nie pasował – nadać mu kształt, w jakim chciał go widzieć. Wiedział to teraz, w głębi serca wiedział to od owego pierwszego wstrząsającego snu o Gemmie, ale dopiero bitwa na wieży zmusiła go, by się odważył do tego przyznać.

Przeżywał to jak porażkę. Przez znaczną część swojej podróży był głęboko nieszczęśliwy, przerażony myślą, że magia znowu żyje – i że on jest jej częścią. Mimo to zmusił się, by przypomnieć sobie dawne umiejętności i ponowne praktyki magiczne przyniosły mu pewną ulgę. Niespełnione możliwości jego umysłu ciążyły mu w ciągu ostatnich lat, a teraz ostatecznie odrzucił ten balast.

Kai porozumiał się z rojem. Pszczoły wyłoniły się z małych otworów wywierconych w ich ruchomym ulu i wzleciały okrążając pokój. Czarodziej przyglądał się im z błyskiem szczęścia w oczach. Teraz przynajmniej nie musiał czuć się winny, że porozumiewa się z nimi. Kiedy rozpocznie poszukiwania, nie będzie ich ukrywał, będą u jego boku, tam gdzie powinien być przyjaciel czarodzieja.

Kai uśmiechnął się i wstał z łóżka. Choć wciąż czuł się słaby i drżał w chłodzie

wczesnego ranka, był zdecydowany, a jego serce przepelniała nadzieja. Ubrał się szybko, gotów rozpocząć poszukiwania.

Tym razem obywatele Altonbridge zwrócili uwagę na przybysza. Jego wygląd nie zmienił się, lecz teraz towarzyszyła mu mała czarna chmura, która unosiła się nad jego głową, brzęcząc złowieszczo. Rój nie był niebezpieczny, ale niektórzy woleli szybko usunąć się im z drogi. Ci, którzy zadali sobie trud, by przyjrzeć się uważniej człowiekowi, nad którym unosiły się pszczoły – mogli zobaczyć w jego zielonych oczach niezłomne zdecydowanie. Niekiedy dostrzegali w nich nawet iskielki wesołości. Po raz pierwszy od wielu lat Kai cieszył się ze

swoich pszczoł – i efektu, jaki dawała ich obecność.

Kroczył zdecydowanie przez ulice zalane porannym słońcem, otulony czarnym płaszczem chroniącym przed rzadką, zimną mgłą, która unosiła się znad zatoki. Właściciel tawerny poradził mu, by skontaktował się z człowiekiem imieniem Chad, i powiedział mu, jak ma trafić do jego domu. Wszystko wskazywało na to, że ów człowiek jest jednym z ważniejszych członków ugrupowania zwanego Podziemiem. Według słów właściciela tawerny, Podziemie było najbliższe temu, co pełniło teraz w mieście rolę rządu.

Podziemie. Czy to są ludzie, którym Gemma chciała pomóc? Czy może są tymi, którym chciała się przeciwstawić?

Chciał teraz dowiedzieć się od niej czegoś więcej, ale tamte, pierwsze ich kontakty były tak boleśnie krótkie! Instynkt podpowiadał mu, że Podziemie jest sprzymierzeńcem Gemmy, ale nie mógł się upewnić. Jego gospodarz opowiedział mu trochę o walce o władzę, jaka niedawno toczyła się w Altonbridge, ale przecież relacja jednego człowieka nie mogła dać pełnego obrazu.

Postępuj ostrożnie - sam siebie ostrzegał.

Odnalazł dom, którego szukał, i zastukał śmiało. Drzwi otworzyły się po chwili i wyjrzał zza nich jakiś człowiek. W prawej ręce trzymał kromkę chleba i żuł z widocznym apetytem. Kiedy zobaczył gościa, jego szczęka znieruchomiała, a on sam spojrzał podejrzliwie na rój.

Kai uśmiechnął się szeroko.

–Czy to ty jesteś Chad?

Mężczyzna skinął głową, wciąż patrząc uparcie.

–Nazywam się Kai. Jestem czarodziejem z północnych wysp. – Uśmiech Kaia stał się jeszcze szerszy. *Tak oto wygląda moje ostrożne postępowanie!* - pomyślał z rozbawieniem.

Chad przelknął i opuścił wzrok na twarz przybysza.

–Mogę kazać im odlecieć, jeśli sprawiają ci kłopot – powiedział Kai. Chad nie odpowiedział. – Czy mogę wejść? – zapytał Kai. – Mam parę pytań, na które muszę znaleźć odpowiedź, a powiedziano mi, że ty możesz mi pomóc.

Chad zdołał się opanować.

–Przepraszam – powiedział. – Zwykle nie ociągami się tak z powitaniem. Wejdz. –

Skinął na Kaia kromką chleba. – Ale zostaw pszczoły na zewnątrz.

–Oczywiście.

Kai wszedł za gospodarzem do ciemnego pokoju. Na prostym drewnianym stole leżało jedzenie.

–Właśnie jadłem śniadanie. Czy zechcesz mi towarzyszyć?

–Nie, dzięki – odparł Kai. – Już jadłem.

–Wcześniej wstajesz – zauważył Chad, wskazując krzesło dla gościa. – Wybacz, że zostawię cię na chwilę samego.

Wyszedł do przyległego pokoju i Kai usłyszał krótką, prowadzoną szeptem rozmowę. Potem rozległ się szmer otwieranych i zamykanych cicho drzwi, i Chad wrócił do pokoju.

–Czy pozwolisz, że skończę śniadanie? – zapytał, siadając przy stole. – Oczekuję gości.

–Nie przeszkadzaj sobie.

–Co to za pytania, na które szukasz odpowiedzi?

–Wiem trochę o ostatnich wydarzeniach w mieście – zaczął Kai – ale chciałbym usłyszeć więcej od kogoś, kto był na pierwszej linii.

–To będzie trudne – z powątpiewaniem powiedział Chad.

–Ale ty jesteś członkiem Podziemia?

–Tak, ale tylko zwykłym żołnierzem, nie generałem.

–Sądzę, że jesteś zbyt skromny – powiedział Kai. Chad wzruszył tylko ramionami. – Słyszałem, że rozstrzygająca bitwa odbyła się na wielkiej wieży – ciągnął czarodziej.

Chad ugryzł kęs i żuł wolno, potem przełknął i spojrzał na Kaia z prawdziwym zaciekawieniem.

–To było w Nowym Porcie, nie tutaj – powiedział.

–Wybacz mi. Jestem tu obcy – odparł czarodziej. – Gdzie to jest?

–Wielki Nowy Port to stolica Kleve. Jakies siedemdziesiąt lig na zachód stąd - poinformował

gospodarz. – Nabrzeżną drogą.

–Kobieta imieniem Gemma brała udział w tej bitwie, prawda? – zapytał Kai, a jego serce zabiło szybciej.

–Kim dla ciebie jest Gemma? – zapytał Chad podejrzliwie.

–Przyjacielem – odparł szczerze Kai, nie zachowując ostrożności, pomimo rezerwy drugiego mężczyzny. Ten człowiek zna Gemmę! Kai poczuł nareszcie, że jest wśród przyjaciół – jej przyjaciół – i że wkrótce ją odnajdzie.

–Znałem ją od dziecka – ciągnął. – Czy wiesz, gdzie ona jest teraz? Chad potrząsnął głową.

–Ale pomożesz mi ją znaleźć?

–A dlaczego chcesz ją odnaleźć? Kai wolał uniknąć prawdy. Powiedział, więc Chadowi to, co sam sobie powtarzał

usprawiedliwiając swoją podróż.

–Ważne wydarzenia dzieją się w waszym kraju. Główną rolę gra w nich Gemma – a zatem i magia. Jako jej przyjaciel i jako czarodziej ja też mam tu rolę do odegrania.

Najpierw jednak muszę odnaleźć Gemmę. Przebyłem tak długą drogę...

Przerwało mu pukanie do drzwi.

–Wejść! – zawołał z widoczną ulgą Chad. Do pokoju wszedł szczupły, żyłasty mężczyzna. Odrzucił przemoczony mgłą kaptur, skinął głową Chadowi, a potem odwrócił się do Kaia, który podniósł się z krzesła.

–Więc jesteś czarodziejem? – odezwał się gość. Kai skinął głową.

–Tak.

–Twierdzi, że zna Gemmę – wtrącił Chad. – Mówi, że razem dorastali.

Niezupełnie - pomyślał Kai, lecz nie poprawił zrozumiałej zresztą pomyłki.

–Nie powiedziałem mu nic, co nie byłoby powszechnie znane – rzucił Chad tonem usprawiedliwienia.

Nie mogę mieć do nich pretensji za to, że mi nie ufają - pomyślał Kai. Był jednak zawiedziony.

Tak blisko, a jednak...

–Wybacz nam, ale mamy powody, by nie ufać obcym – rzekł, jak gdyby odpowiadając na niewypowiedziane słowa Kaia. – Nazywam się Dale.

–A ja Kai.

–Słyszałem o tobie.

–Znasz zatem Gemmę?! – zawołał Kai.

–Być może. – Dale był wciąż ostrożny; nie mógł przypomnieć sobie, by Gemma wspominała o Kaiu podczas ich podróży z doliny do Altonbridge, lecz to imię pojawiło się w późniejszych rozmowach z Hewe'em. Bez skutku próbował sobie przypomnieć, co

wówczas mówili.

–Proszę – powiedział Kai – czy możesz mi powiedzieć, gdzie ona teraz jest? Dale odpowiedział pytaniem na pytanie.

–Czy możesz udowodnić, że jesteś jej przyjacielem? Czarodziej westchnął. Rzeczywiście. Linia obrony Gemmy była nie do zdobycia.

–Mogę powiedzieć wam wszystko o jej dawnym życiu – powiedział. – To ja

nauczyłem ją latać latawcem. I wiem, że wykorzystwała tę umiejętność podczas pobytu tutaj.

Dale zmierzył go nieufnym spojrzeniem.

–Nie wiem nic o jej życiu przed przybyciem do Kleve – powiedział. – Opisz mi ją.

–Ma czerwonorude włosy – zaczął Kai.

–Wszyscy to wiedzą – mruknął Chad, lecz Dale machnięciem ręki nakazał mu ciszę, podczas gdy Kai mówił dalej:

–Cerę ma jasną i pokrytą piegami. Jej oczy są szare.

–Ma dwadzieścia jeden lat, teraz już prawie dwadzieścia dwa. I jest piękna. Dale skinął głową.

–Skąd wiesz o tym, czego tutaj dokonała? – zapytał.

–Nasze umysły czasem się łączą – odparł czarodziej. – Rzadko i tylko na krótko. Lecz widziałem ją przez chwilę, gdy leciała z gór, i widziałem ją, jak pokonywała błękitną ścianę. I tę bitwę na wieży... – Cofnął się myślami. – I to, jak uzdrowiła dzieci w Keld.

–Te historie są powszechnie znane – odparł Dale nie okazując zdziwienia. – Mogłeś usłyszeć je w każdej tawernie.

–Ale dlaczego miałbym to robić? – zapytał z rozpaczą Kai – - Co mógłbym zyskać utrzymując niezgodnie z prawdą, że znam Gemmę? I czego chcecie, bym was przekonał, że jestem jej przyjacielem?

Mężczyzna nic nie odpowiedział, więc czarodziej spróbował znowu. Skontaktowałem się z nią jeszcze raz – powiedział. – Po tym jak spotkała się z nauczycielem.

–Z kim?

–Ze starą kobietą, która jej pomogła. Z Adrią. Kai zauważył chwilowe zmieszanie Dale’a i to dało mu nadzieję.

–Pokazała Gemmie, w jaki sposób ma korzystać ze swych magicznych zdolności –

ciągnął. – To zdarzyło się wkrótce po opuszczeniu przez Gemmę tego, co nazywa

“ukrytym miejscem”. – Przyglądał się uważnie mężczyźnie, pragnąc, by ten go

zaakceptował. Mijały długie chwile ciszy.

Dale myślał intensywnie. On i Hewe byli z Gemmą, kiedy spotkała się z Adrią, i wiedział, że nikomu o tym spotkaniu nie mówili. Choć wciąż był pełen podejrzeń, to jednak czuł, że to, co mówi obcy, zaczyna robić na nim wrażenie.

–Czy możesz udowodnić, że jesteś czarodziejem? – zapytał nagle.

Kai namyślał się przez chwilę.

–Nie lubię używać magii z byle powodu – rzekł – ale sądzę, że ten nie jest błahy. –

Strzelił palcami i stojąca na stole świeca zapłonęła. Machnął ręką i płomień zgasł. Chad

głośno westchnął, lecz twarz Dale’a pozostała wciąż obojętna – Zobaczmy, więc, co

powiecie na to – pomyślał Kai złośliwie, bo podejrzliwość mężczyzn zaczęła go już

męczyć. Zobaczył, że jest otwarte okno i przesłał przez nie wiadomość dla roju. W chwilę

później pszczoły wleciały do pokoju. Chad i Dale próbowali gdzieś się schronić –

przerażeni gniewnym brzęczeniem roju, spotęgowanym przez niewielką przestrzeń pomieszczenia.

Pszczoły wolno gromadziły się na ścianie i głośnie brzęczenie zamieniło się teraz w niskie buczenie. Dwaj członkowie Podziemia spojrzeli ze zdumieniem na ścianę. Małeńkie owady ułożyły się w błyszczące litery z żywego złota i czerni.

SZUKACIE DOWODU? – pytały.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Krocząc żwawo, Dale prowadził Kaia przez labirynt uliczek, a rój wzbijał się nad ich głowami. Wiele spraw, za które Dale był odpowiedzialny, wymagało jego uwagi, i teraz, pobudzony do działania ostatnim pokazem czarodzieja, dostrzegł możliwość upieczenia dwóch pieczeni na jednym ogniu, nie rezygnując jednocześnie z czujności, która była najlepszą bronią przeciwko zdradzie. Czuł instynktowną sympatię do przybysza z północy, lecz ostatnio widział zbyt wiele oszustw, by komukolwiek ufać.

–Dokąd idziemy? – zapytał Kai. Opuścili dom Chada w pośpiechu, a Dale nie wyjaśnił, dokąd się udają.

–Chciałbym, abyś kogoś poznał – powiedział teraz. – To dziewczyna, pracuje w naszej kwaterze głównej, niedaleko śródmieścia.

–Czy ona wie, gdzie jest teraz Gemma? – zapytał szybko Kai.

–Wie tyle samo, co ja – odpowiedział Dale.

–Więc jak może pomóc?

–Ona też chce odnaleźć Gemmę i spotkać się z nią znowu.

–Znowu?

–Zana przybyła do Kleve razem z Gemmą, były w tej samej grupie. Wkrótce potem rozdzieliły się, lecz ona od miesięcy dręczy mnie, bym pozwolił jej spotkać się z Gemmą.

–Zatem wiesz, gdzie ona jest! – zawołał Kai, podniecony i zirytowany.

Dale potrząsnął głową.

–Pozwól mi wyjaśnić – zaczął cierpliwie. – Po bitwie na wieży Gemma pozostała w Nowym Porcie przez kilka miesięcy, lecz ostatnio słyszałem, że wyjechała, by odpocząć.

–Dokąd? – zapytał czarodziej. Był pewien, że chodzi o “ukryte miejsce” Gemmy.

–Nie wiem – odparł Dale. Choć mogę się domyślać – dodał w duchu. – Powiedziano mi, że Gemma i Arden są w bezpiecznym miejscu i że nie należy im przeszkadzać, chyba, że zajdzie bezwzględna konieczność.

–Kto to jest Arden?

–To jej przyjaciel. Uratował jej kiedyś życie...

Kaia wypełniło uczucie, w którym nie chciał rozpoznać zazdrości, odepchnął je, więc od siebie i zapytał:

–Skąd masz te informacje?

–Od mojego towarzysza, Hewe’a. Przypuszczam, że teraz jest właśnie w Nowym Porcie. I tam chcę wysłać ciebie i Zanę.

***No cóż, przynajmniej jakiś postęp* - pomyślał Kai. Zastanowił się krótko, czy Dale czegoś przed nim nie ukrywa.**

–W każdym razie – ciągnął dalej południowiec – niedługo minie miesiąc od czasu,

kiedy Hewe był tu po raz ostatni, jest, więc całkiem możliwe, że Gemma wróciła już do

Nowego Portu.

Ta myśl wyraźnie uradowała Kaia.

–A nawet jak nie – powinienesz przynajmniej zdobyć o niej jakieś wieści –

zakończył Dale. A jeśli nie jesteś tym, za kogo się podajesz, Jordan i Hewe szybko się z

tobą rozprawią – dodał sam do siebie. Nie miał zamiaru zaprowadzić obcego do Doliny,

gdzie w razie niebezpieczeństwa Gemma byłaby pozbawiona potężnej ochrony Podziemia.

Ich kwatery w Altonbridge mieściły się w zatłoczonym jak królikarnia budynku, w którym niegdyś miała swoje biura Gildia. Dale wprowadził Kaia do małego pokoju, niemal w całości wypełnionego ogromnym biurkiem, za którym siedziała piękna, ciemnowłosa kobieta. Mówiła do młodego mężczyzny, który stał obok niej.

–Nie. Nie. Nie! Powinni pójść tam. – Dla podkreślenia swoich słów stuknęła

wskazującym palcem w jakiś papier leżący na biurku. Uniosła wzrok na przybyszy,

zauważając ich obecność, lecz nie przerwała swojego wywodu. – Brygada z ulicy Krętej

ma dość dachówek na dwa miesiące pracy, ale jeśli domy w północnej dzielnicy nie

zostaną szybko odbudowane, zgniją do wiosny. Idź i przekaz to Bevinowi, i upewnij się, że

wie, dokąd ma iść.

Młodzieniec wyszedł pospiesznie, uśmiechając się przepaszająco do dwóch mężczyzn.

–Mam nadzieję, że przyprowadziłeś posiłki – powiedziała do Dale’a kobieta. – Nikt tutaj nie ma najmniejszego pojęcia, jak funkcjonuje miasto.

–Cóż byśmy bez ciebie zrobili, Zano? – Dale uśmiechnął się.

–Prawdopodobnie o wiele mniej – odparła, potrząsając głową z uśmiechem. – Któż to jest?

–Przyjaciel Gemmy.

–Och. – Zana ze zdumieniem spojrzała na Kaia. – Zatem nie pomocnik?

–Nie byłoby chyba ze mnie większego pożytku, jeśli chodzi o sprawy organizacyjne – rzekł Kai.

–On jest czarodziejem – dodał wyjaśniając Dale.

–Och – powtórzyła Zana. Zapadła chwila ciszy. – Czy coś jeszcze powinnam wiedzieć?

–Tak – powiedział jej Dale. – Razem z nim jedziesz do Nowego Portu.

Cztery godziny później Kai i Zana spotkali się, tak jak zostało wcześniej uzgodnione, w pobliskiej tawernie. Dale wyjaśnił krótko sytuację Zanie, a potem pozostawił ich, by sami uzgodnili dalsze plany. Zana skwapliwie skorzystała z możliwości wyprawy do Nowego Portu, widząc w tym sposób uwolnienia się od niekończącej się harówki związanej z odbudową Altonbridge. Miała również nadzieję, że wreszcie spotka się z Gemmą. Dale powiedział jej na osobności, by uważnie obserwowała przybysza, lecz to nie zmniejszyło jej entuzjazmu.

Kai był już na miejscu, gdy zjawiła się w tawernie wkrótce po południu. Szynkarz pozdrowił ją ciepło i nieproszony nalał jej wina. Zana skinęła ręką kilku innym klientom, gdy zmierzała do stołu czarodzieja.

–Twoje zdrowie – powiedziała i z zadowoleniem pociągnęła łyk. – Najlepsze wino w mieście. – Wyciągnęła się wygodnie na krześle i zmierzyła Kaia z ciekawym spojrzeniem. – Gdzie są pszczoły?

–Na dachu – odparł. – Nie sądzę, by właściciel był z nich zadowolony...

–Masz rację – zgodziła się. Uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział jej tym samym.

–Kiedy wyruszamy? – zapytał Kai.

–Spieszno ci – zauważyła.

–Przebyłem długą drogę – i powinienem być tu dużo wcześniej. Zana z namysłem skinęła głową.

–Cóż, będę potrzebowała paru dni, by uporządkować swoje sprawy – stwierdziła. – Nie mogę tak nagle wszystkiego zostawić – wyjaśniła, widząc jego przygnębioną minę. – Powstałby znowu chaos. – Przerwała. – Lub raczej jeszcze większy niż ten, który już tu panuje. Będziemy, więc mogli – zanim wyjedziemy – poznać się trochę lepiej. Gdzie się zatrzymałeś?

–W Delfinie. To pierwsza tawerna, jaką znalazłem.

–Miałeś szczęście – powiedziała. – To dobry zajazd.

–Wydajesz się dobrze poinformowana... – zauważył.

–Zanim przybyłam tutaj, prowadziłam własną tawernę na Haele – wyjaśniła Zana.

–Więc to tam nauczyłaś się prowadzić interesy.

–Ha! Pomoc w odbudowie miasta wygląda odrobinę inaczej.

–Dale powiedział, że przybyłaś na tym samym statku, co Gemma.

–To prawda. Należała do tych, którzy nazywali siebie Jaskółkami. Pomogłam im znaleźć statek – i była to niedźwiedzia przysługa, jak się później okazało.

–Dlaczego?

Zana opowiedziała mu o śmierci pijanego kapitana, o późniejszej katastrofie statku, która spowodowała wyrzucenie ich na pustynne obszary wybrzeża Kleve, i próbach znalezienia jakiegoś schronienia, i wreszcie – o tajemniczym zniknięciu Gemmy.

–Przez wiele miesięcy sądziłam, że ona nie żyje, lecz potem usłyszałam różne plotki i pogłoski o niej. Teraz jest naprawdę sławna. – Opowiedziała Kaiowi to, czego dowiedziała się o Gemmie, a on stwierdził, że wiele z tego zgadza się z jego własną wiedzą.

–Założę się, że część tych opowieści to barwne dodatki – zakończyła Zana – lecz jeśli nawet, to i tak Gemma jest kimś wyjątkowym.

Kai skinął głową. Nikt nie musiał go przekonywać.

–Kiedy dowiedziałam się, że żyje, natychmiast chciałam wyruszyć i spotkać się z nią – ciągnęła Zana – ale wcześniej zdążyłam już wplątać się w to wszystko. – Machnęła ręką wokół siebie.

–Dlaczego przybyłaś tutaj? – zapytał Kai. – Czy czułaś to samo, co ci, zwani Jaskółkami?

–Nie. Powód, dla którego wyruszyłam, był bardziej przyziemny – odparła z ponurym uśmiechem. – Nie mam rodziny, a jedyny mężczyzna mojego życia wyruszył na południe – usłyszał zew.

–Odnalazłaś go?

–Nie – i nie sądzę, by mi się to kiedykolwiek udało. Nawet, jeśli jest jeszcze w Kleve, to ruszył dalej na południe. A ta kraina jest po prostu zbyt ogromna – mogłabym szukać całymi latami i wciąż na próżno. To nie są wyspy.

–Przykro mi. – Kai chciał jej powiedzieć, że i jego na ten południowy kontynent sprowadziła miłość, lecz nie mógł się na to zdobyć. Mimo to czuł, że łączy ich jakaś niewypowiedziana więź – oboje przybyli tutaj w tym samym celu, szukając swoich

utraconych obiektów miłości.

–Tak czy inaczej był to głupi pomysł – powiedziała Zana. – Zrozumiałam to, zanim jeszcze tutaj przybyłam.

–Głupi to nie jest właściwe słowo – odezwał się cicho Kai. – Ludzki, być może.

–To to samo – odparła. – Spójrz, co wydarzyło się w tym kraju. – Jeśli to nie wyraz ludzkiej głupoty, to już sama nie wiem, czego.

Zamówiła jeszcze jeden kubek wina i pijąc wolno opowiedziała Kaiowi o swoim przybyciu do Altonbridge z resztkami grupy Jaskółek. Długie miesiące mieszkała w nędznym mieście ruder poza murami miasta, uwięziona tam przez swoje ubóstwo. Reszta Jaskółek rozproszyła się wkrótce po przybyciu do Altonbridge, była, więc samotna i opuszczona. Potem zbliżyła się do Podziemia i stwierdziła, że działanie w ich sprawie pozwala jej zapomnieć o beznadziejnych poszukiwaniach utraconego kochanka. Jej inteligencja i zdolności sprawiły, że wkrótce stała się ważnym członkiem organizacji. Ale tak naprawdę jej umiejętności zostały docenione dopiero po rewolucji. Ktoś musiał zaprowadzić porządek w chaosie, w jakim znalazło się Altonbridge, i Zana podjęła się tego zadania ochoczo, pracując długo i wytrwale. Jej zręczliwość była tylko na pokaz.

Zana mówiła o sobie ze skromnością, lecz Kai dostrzegł jej niewątpliwą inteligencję i nie zdziwiło go to wszystko, czego dokonała w odbudowie miasta. Dostrzegł też jej skrywane cierpienie i zastanowił się nad jej przeszłością. Nie mam rodziny. Czuję, że chce jej pomóc, uleczyć te wewnętrzne rany, lecz wiedział, że najpierw musi uleczyć samego siebie. Pomimo całego swojego zdecydowania Kai potrafił dostrzec własne ograniczenia.

–Pozbycie się Gildii i zepsucia, jakie szerzyła, było najlepszą rzeczą, jaka mogła

przydarzyć się temu miastu – zakończyła Zana. – Lecz straszne jest to, że osiągnięcie tego

celu dokonało się poprzez rozlew krwi i cierpienie. Mogę tylko pomóc w odbudowie na tyle, na ile potrafię.

–Zbyt nisko się oceniasz – powiedział poważnie Kai. Zana wzruszyła ramionami.

–Tyle o mnie – powiedziała. – Opowiedz teraz o sobie, czarodzieju. Kai skrzywił się.

–Przez wiele lat nikt mnie tak nie nazywał – zaczął, a potem, widząc jej zmieszanie, dodał: – Sam tego chciałem. – Powiedziałem Chadowi, by go przekonać o mojej szczerości. Chciałem, by zaprowadził mnie do kogoś, kto będzie mi mógł pomóc.

–Więc jesteś czarodziejem, czy nie? – zapytała rozbawiona.

–Jestem. Lecz wolałbym, żebyś mnie tak nie nazywała. – Długie lata życia bez magii sprawiły, że Kai czuł niechęć do tego tytułu, choć zaakceptował już swoje zdolności.

–W porządku. Opowiedz mi o swoim życiu, zanim wyjechała Gemma. Kai jakiś czas milczał.

–Czy dużo ci mówiła o swoim życiu, o mnie? – zapytał w końcu.

–Raczej nie – odparła Zana. – Ale wtedy nikt z grupy Jaskółek nie mówił wiele o swojej przeszłości. Wszyscy byli opętani myślą o przyszłości, o dotarciu tutaj – bogowie wiedzą, dlaczego. Ja nie spieszyłabym się tak bardzo – pomyślała – gdybym porzucała tak przystojnego mężczyznę.

–Znam Gemmę od czasu, kiedy była małą dziewczynką – zaczął Kai. – Byłem mieszkańcem... ekspertem na dworze jej ojca na Healdzie.

–Dworze jej ojca...?

–Jest księżniczką, choć wydaje się, że nigdy nie przywiązywała do tego znaczenia. Jej brat wciąż włada wyspą – a nawet tym, czym się stała.

–Na skutek Zniszczenia?

–Tak. Katastrofa zmieniła wiele, nie tylko kształt lądów. – Wspomnienia Kaia z tego czasu były niezwykle bolesne.

–Na Heale również – przytaknęła Zana, wspominając te straszne chwile, gdy wybuch wulkanu wypchnął wyspę spod wody, tak, że stała się dwadzieścia razy większa.

–Po tym – ciągnął Kai, nie wspominając o swojej i Gemmy roli w tej katastrofie -zostaliśmy przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi. Tylko zawsze kłóciliśmy się w jednej sprawie.

Zana uniosła brwi w niemym pytaniu.

–W sprawie magii – powiedział cicho. – Ja upierałem się, że zginęła, ona zaś uważała inaczej. Dlatego wyjechała. – Zana współczuła Kaiowi – był taki smutny.

–A teraz zmieniłeś zdanie?

–Tak.

–Dlaczego?

–Jej wyjazd stał się dla mnie wielkim wstrząsem i zmusił mnie do przemyślenia wielu spraw. – Z twarzy Kaia zniknęła powaga i uśmiechnął się szeroko. – Chodziłem pogrążony w myślach, przeklinałem niewinne, martwe przedmioty... Potem pewne wydarzenia przekonały mnie, by uznać prawdę. Mimo to bardzo długo nie mogłem się zdecydować, by wyjechać. Także Gemma to na mnie wymusiła.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

Kai opowiedział jej o snach, w których kontaktował się z Gemmą, i o swoim przekonaniu, że nadchodzi czas ważnych wydarzeń.

–Mogę spróbować jej pomóc – zakończył. – Na tyle, na ile potrafię. Uśmiechnęli się do siebie poprzez stół.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Jesteś zupełnie pewna, że chcesz wyruszyć z nim sama? – Dale był zatroskany i chciał mieć pewność, że Zana jest zadowolona z takiego obrotu rzeczy.

– Tak – uspokoiła go. – Nie sądzę, byśmy napotkali jakieś niebezpieczeństwo. Droga jest teraz o wiele bezpieczniejsza. A poza tym wiesz przecież, że nie masz ludzi do eskorty.

– Miałem raczej na myśli jego, nie drogę – wyjaśnił Dale.

– Lubię go – odpowiedziała z prostotą. – Zaryzykuję. – W ciągu ostatnich dwóch dni kilkakrotnie spotkała się z Kaiem i nigdy nie poczuła się w żaden sposób zagrożona. Jego zachowanie wobec niej zawsze cechowała uprzejmość i delikatność, a ogień w jego oczach zapalał się tylko wówczas, gdy mówił o Gemmie. Przedstawił ją nawet rojowi, tak, więc nie obawiała się już pszczoł – a przynajmniej nie bardzo.

– Wszyscy cię lubimy i jesteś nam potrzebna – powiedział Dale, wciąż niepewny. – Nie chciałbym, żeby przydarzyło ci się coś złego.

– To miło z twojej strony, że się o mnie martwisz – odparła, uśmiechając się – ale wszystko będzie dobrze.

W duchu pomyślała, że Dale prawdopodobnie bardziej martwi się utratą zdolnego administratora niż o nią, o Zane. Myślał tylko o pracy – i nigdy niczym nie pokazał, że uważa ją też za kobietę. Przynajmniej Kai to zauważył! Kilka razy wyraził się pochlebnie o jej urodzie. Takie słowa, nawet, kiedy była zmęczona i zatroskana po dniu wypełnionym ciężką pracą, sprawiały jej wielką przyjemność. Była to tylko drobnostka, ale drobnostka, którą doceniała.

– Poza tym – ciągnęła – jeśli jest czarodziejem i ma prawdziwą moc, niewielki byłby pożytek z kilku uzbrojonych ludzi!

– Jak dotąd pokazał tylko parę sztuczek – zwrócił uwagę Dale.

– Musisz się zdecydować – powiedziała Zana, śmiejąc się. – Jeśli jest tylko

sztukmistrzem, wówczas nie stanowi żadnego realnego zagrożenia, a ja będę mogła sama zatroszczyć się o siebie. Jeśli jest potężnym czarodziejem, wówczas straż i tak mi nie pomoże.

– Dobrze, już dobrze. – Dale uniósł obie ręce w obronnym geście. – Po prostu bądź ostrożna – to wszystko. Pamiętaj, że to właśnie ty zaprowadzisz go do Gemmy. Upewnij się, że on o tym wie. Nie będzie mógł zbliżyć się do Jordana ani do Hewe'a, jeśli za niego nie poręczysz.

–Będę ostrożna – obiecała. I nie powiedziała, że prawdziwy czarodziej i bez jej pomocy może osiągnąć swój cel...

Teraz, kiedy decyzja została podjęta, Dale znów stał się praktyczny. Przekazał Zanie wiadomości dla Jordana i polecił miejsca, gdzie mogą się zatrzymać po drodze oraz gdzie mają szukać schronienia, gdyby postój wypadł poza którąś z wiosek.

–Wasze konie i ekwipunek są już gotowe – zakończył. – Możemy dać wam tylko dwa, nie będziecie więc mogli ich przemęczać.

Zana skinęła głową. Myślała o mających nadejść nocach i wyobrażała sobie światło gwiazd odbijające się w zielonych oczach Kaia. Znowu ujrzała smutek, który zawsze w nim był, mimo wszystkich jego uśmiechów. I po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać nad powodami, dla których tak ochoczo zgodziła się na tę podróż.

–Czy pokażesz mi trochę magii?

–Nie! Natychmiastowa i gniewna odpowiedź Kaia zabolala ją. Pytanie zadała

niefrasobliwym tonem, powodowana ciekawością i pogłębiającym się uczuciem przyjaźni. Podróżowali już od czterech dni i przebyli prawie połowę drogi do Wielkiego Nowego Portu. Ta noc miała być pierwszą spędzoną pod gołym niebem i odludzie, na którym obozowali, ośmieliło ją do wyrażenia swej prośby. Teraz siedziała wpatrując się w ogień i zastanawiała się, czy nie pomyliła się w ocenie czarodzieja. Dni wspólnej podróży mijały szybko, ożywiane rozmowami. Jednak Kaiowi zawsze udawało się umknąć przed tematami dotyczącymi jego przeszłości. Zamiast mówienia o sobie, nakłaniał Zanę do dalszych opowieści o kraju, przez który wędrowali. Sam słuchał uważnie, zadając wiele pytań, które porządkowały również jej własne sądy o Kleve. Interesowało go wszystko, co dotyczyło tego regionu – polityka i historia, geografia i mieszkańcy. Zafascynowały go wierzenia religijne, rytuały i kultury. Zana opowiedziała mu wszystko to, co sama wiedziała o Szarych Jeźdźcach, sekcje błękitnego płomienia i prastarym Opactwie. Często żałowała, że wie tak niewiele, co jakiś czas musiała mu przypominać, że, podobnie jak on, przybyła z północy i że fakty, które relacjonuje, zna tylko z opowieści.

Kaia szczególnie zainteresował opis żywiołów.

–Mam nadzieję, że spotkamy jakieś po drodze – stwierdził.

Zana nie dzieliła jego entuzjazmu, lecz swoje myśli zachowała dla siebie.

Podczas podróży Kai zachowywał się wobec niej taktownie i okazywał jej wszelkie

należne względy. Gdy zatrzymywali się na odpoczynek w wiejskich gospodach, pozostawiał rój poza zasięgiem wzroku i starał się zapewnić swej towarzyszce wszystkie dostępne wygody.

Zaczynała żywić przekonanie, że chyba musi ją lubić – przynajmniej trochę.

Teraz jednak wydawało się, że popsuła wszystko swoją niezręczną prośbą, której natychmiast pożałowała. *Nie tak to sobie wyobrażałam* - pomyślała z goryczą, otulając się szczelniej płaszczem. Na czystym niebie, wśród chłodnej nocy, lśniły dalekie gwiazdy. Skuliła się przy ognisku.

–Przepraszam – powiedział cicho Kai. Zauważył, że sprawił jej przykrość, lecz nie potrafił słowami wyrazić swoich uczuć. Zana spojrzała na niego i nic nie powiedziała. A ból wyzierający z jej oczu zmusił go do próby usprawiedliwienia się.

–Magia nigdy nie powinna być wykorzystywana dla błahostek – powiedział cichym głosem, przypominając sobie z zakłopotaniem klucz przekręcający się wolno w zamku. – Jej waga, jej doniosłość, nie pozwalają na to. Nadużywanie magii może doprowadzić do straszliwych następstw. – Przerwał. – Nie chciałem cię dotknąć. To, że tak długo wypierałem się magii, sprawia, że nawet rozmowa o tym przychodzi mi z trudem.

–Wybacz mi – szepnęła Zana. – Nie rozumiałam tego.

Jej bezwzględna akceptacja jego słów sprawiła, że poczuł się zobowiązany

wyjaśnić więcej i po chwili przyłapał się na tym, że mówi o czarodziejstwie – a przecież kiedyś przysiągł sobie...!

–Magia jest formą energii – powiedział jej, wspominając własne pierwsze lekcje. – Przechowywana jest tutaj – ciągnął, wskazując na czoło. – Każdy ludzki umysł potrafi o wiele więcej niż to, do czego się go zwykle wykorzystuje.

–Chcesz powiedzieć, że każdy może zostać czarodziejem? – zapytała zaskoczona Zana.

–Chyba nie – odparł. – Trzeba mieć szczególne uzdolnienia i umiejętności. Lecz każdy ma w sobie magię, tylko, że większość ludzi nie potrafi jej wykorzystać w żaden znaczący sposób. Sztuczka czarodzieja – uśmiechnął się ponuro, słysząc własne słowa -polega na przechowaniu, a następnie na skierowaniu dostatecznej energii na świat, by

wywołać w nim zauważalne skutki. Wymaga to ogromnej wiedzy, cierpliwości i ciężkiej pracy.

–Więc możliwe, że ja również mogłabym zaczarować, lecz byłoby to tak znikome, że w rzeczywistości nic by się nie zmieniło?

–Świat jest pełen magii, lecz większość czarów jest niedostrzegalna, właśnie, dlatego. Pomyśl o niej jak o młocie i gwoździu. Połóż młot na gwoździu i nic się nie stanie. Opuść go gwałtownie – gwóźdź się wbije. Jednak jest to ten sam młot i ten sam gwóźdź. Zmienia się tylko ilość włożonej w tę czynność energii.

–Byłbyś dobrym nauczycielem – zauważyła Zana. Przypomniał sobie słowa Gemmy

–Mogłeś mnie nauczyć. To wspomnienie przywołało dręczące go wątpliwości.

–Przynajmniej tak było kiedyś – powiedział poważnym tonem.

–Co masz na myśli?

–Cóż, teraz jest coś nowego – odparł. – Starzy czarodzieje odeszli – poza mną. Nie wiem, dlaczego przeżyłem, ani też, dlaczego zachowałem swoją moc.

–Więc na wyspach nie ma już czarodziei?

–Przynajmniej nie ma takich, jakich znałem – odpowiedział Kai. – Zniszczenie wszystko zmieniło. Być może Gemma będzie umiała to wyjaśnić.

–Jedyny czarodziej? – Zana wciągnęła powietrze. – Czy to nie sprawia, że czujesz się...

–Samotnie? – dokończył Kai. – Tak.

Zapadła chwila ciszy, gdy Zana na próżno szukała jakichś słów otuchy. Potem Kai

mówił dalej:

–Szczególnie, dlatego, że znienawidziłem wszystko, co było związane z magią. Widziałem tylko zło, jakie przyniosła, i broniłem się, by przyznać, że wciąż może czynić dobro.

–Biedaku – powiedziała łagodnie Zana. W blasku ogniska, ze spuszczonej oczyma, Kai wyglądał tak młodo i tak przerażająco smutno, że zapragnęła przytulić go do siebie i pocieszyć – jak matka syna. Potem obrazy w jej głowie nagle się zmieniły i Zana zmusiła się, by przypomnieć sobie, po co przybyła do Kleve. Pomyślała o dawnym ukochanym, pytała samą siebie, czy on jeszcze żyje.

–To była moja wina – przyznał z goryczą Kai. – Powiniennem być posłuchać Gemmy.

–Znajdziemy ją – stwierdziła z przekonaniem. – Musimy.

Nagle to, by Kai był szczęśliwy, stało się dla niej bardzo ważne.

Wstali wcześniej rano, gdy słońce wysuwało się zza wschodniego horyzontu.

Szybko zjedli śniadanie, potem zwinęli obóz i mieli właśnie wsiadać na konie, kiedy Zana jęknęła.

–Moje ciało nie jest przyzwyczajone do ciągłej jazdy – poskarżyła się. – Wszystko mnie boli.

–Przepraszam – powiedział Kai z widocznym zatroskaniem. – Powiniennem być o tym pomyśleć.
– Podeszedł do niej. – Podaj mi ręce.

Zrobiła to, o co ją prosił, zastanawiając się, co też zamierza. Ich oczy spotkały się, gdy moc czarodzieja zaczęła przez nią przepływać, ogrzewając zziębnięte członki i uśmierzając ból.

–Lepiej? – zapytał po chwili.

Skinęła głową, oniemiała ze zdumienia. Czuła się zdrowiej, żywiej. Tak świetnie nie czuła się od lat.

–Chodźmy, więc – powiedział i pomógł jej dosiąść konia.

Zanim przejechali krótki odcinek dzielący ich od nabrzeżnej drogi, Zana zdołała się opanować.

–To było zdumiewające – powiedziała. – Dziękuję ci.

–To dość proste, naprawdę – odparł z uśmiechem. – Po prostu pomogłem twojemu ciału zrobić to, co i tak w końcu by zrobiło.

–Właśnie mi udowodniłeś, że magia niewątpliwie może być wykorzystywana do czynienia dobra – stwierdziła Zana, odwzajemniając uśmiech. – Dobroczynny skutek jest wyraźnie zauważalny.

–Dawno już nikt mi tak nie pochlebił – roześmiał się Kai. – Chyba mi się to podoba.

–To nie były pochlebstwa – odparła. – Każde moje słowo było prawdziwe. I jestem pewna, że wszystkie kobiety mają dla ciebie tylko słowa pochwały.

–Och, kiedyś tak było – odpowiedział – ale dawno, bardzo dawno temu.

Zana spojrzała na niego z zaciekawieniem.

–Właśnie chciałam cię zapytać... Powiedziałeś mi, że kiedy Gemma była dzieckiem, ty już byłeś czarodziejem. Ale...

–Nie jestem taki młody, na jakiego wyglądam – przerwał jej. – Rozumiesz, próżność to jeden z atrybutów czarodzieja. Czy tego chce, czy nie.

Zana ucieszyła się, że Kai może z tego żartować, lecz wciąż była oszołomiona.

–Jestem dwa razy starszy od Gemmy – wyjaśnił Kai. – Mój wygląd to jedna z

dodatkowych korzyści.

–Och. – Zana poczuła, że się rumieni.

Tego dnia jechali pod czystym, bladym niebem. Minęli słone moczary i zbliżali się

właśnie do jałowych obszarów, gdzie nadbrzeżna droga okrążała Diamentową Pustynię. Wiatr wiał od południowego zachodu – dokładnie od strony pustyni – i bezchmurne niebo było czymś naturalnym.

Oboje byli pochłonięci własnymi myślami. Zana uważnie obserwowała skały i piaszczyste wydmy; pamiętała, że to właśnie tutaj Jaskółki spotkały po raz pierwszy żywioty, a potem groźnych Szarych Jeźdźców. Kai wiedział, jak przykre wspomnienia łączyły się dla niej z tą okolicą; sam także odczuwał wyraźny niepokój. Było tu coś niepokojącego – czuł się coraz bardziej spięty, miał wrażenie jakiegoś ciężaru, spoczywającego na piersiach, a jego serce biło gwałtownie. Gdyby ta myśl nie była tak absurdalna, mógłby przypuszczać, że zbliża się gwałtowna burza. Rozglądał się z niepokojem, lecz nie dostrzegał niczego, co mogłoby wyjaśnić jego złe przeczucia.

Kiedy pożeracze nieba, niby zwiastuny zguby, przemknęły z rykiem nad ich głowami, Kai i Zana zadrżeli gwałtownie, tak że omal nie spadli z wierzchowców. Lecz zanim zdążyli uspokoić przerażone konie, stało się jasne, że ogromne metalowe ptaki nie interesują się nimi. Po chwili pożeracze nieba były już daleko nad morzem, poruszając się z tak wielką prędkością, że ich ryk był już teraz nieprzyjemnym brzęczeniem.

–Lecą do tamtej chmury – powiedziała Zana, wyęzając wzrok.

Kai nie odpowiedział, ogłuszony rykiem wzbudzających grozę pożeraczy nieba.

–W tej chmurze jest coś dziwnego – ciągnęła Zana. – Nie było jej tam przedtem – w jej środku rozbłyskuje jakiś błękit – jak błyskawice.

Kai wyęzył wzrok i zobaczył, że jest tak w istocie.

–Ale przecież błyskawica nie pojawiłaby się w pojedynczej chmurze odparł. – Nie usłyszeliśmy też żadnego grzmotu.

–Pożeracze nieba zbliżają się do niej! – zawołała Zana. – Patrz! – Przyglądali się w milczeniu, jak pod chmurą rozkwita krzak żółtego światła. Potem niebo błysnęło raz jeszcze, rzucając przerażające cienie wokół całej chmury. Minęły długie chwile, nim huk eksplozji dotarł do przyglądających się z niedowierzaniem wędrowców.

–Co to jest? – szepnęła Zana, lecz Kai nie odpowiedział.

Całą jego uwagę przykuwała odległa bitwa.

Pożeracze nieba były prawie niewidoczne, lecz jeszcze dostrzegalne – unosiły się

brzęcząc gniewnie wokół chmury, jak rozgniewane owady. Nastąpiły kolejne eksplozje. Potem, nagle, bez żadnego ostrzeżenia, ogromna kula jasno-pomarańczowego płomienia ogarnęła chmurę i trzy pożeracze nieba. Kai i Zana zakryli oczy, chroniąc je przed oślepiającą jasnością. Trwało to zaledwie kilka chwil.

Podnieśli wzrok, gdy po niebie przetaczał się dźwięk największej eksplozji. Chmura zdawała się niezmienną atakiem pożeraczy nieba, lecz po agresorach nie pozostał żaden ślad.

Kai i Zana przez jakiś czas zajęci byli uspokajaniem swoich wierzchowców, lecz potem, gdy spojrzeli na siebie, dostrzegli w swoich oczach lęk i oszołomienie.

–Te moce przekraczają moje rozumienie – rzekł Kai. – Nie chciałbym tam być.

–Ja też – przytaknęła bez tchu Zana. – Czy to już się skończyło?

–Mam nadzieję! Ruszyli, więc dalej w drogę, co jakiś czas spoglądając trwożliwie na morze. Minęło

pół godziny, nim ośmielili się wyrazić to, co w tej samej chwili przyszło im do głowy.

–Zbliża się – powiedziała Zana, dusząc w sobie przerażenie.

–Wiem – odparł Kai, udając spokój. – Nie mogę tego zrozumieć – ta chmura porusza się pod wiatr. – Ogarnęło go przeczucie zbliżającego się nieszczęścia.

–Czy możemy ją ominąć?

–Mam nadzieję. Według swojego kursu, powinna przejść przed nami. Poczekamy tu jakiś czas i pozwolimy jej przejść.

Zeskoczyli z siodła, uspokoiли wciąż zaniepokojone konie, a potem usiedli milcząc na ziemi i przyglądali się chmurze. Wciąż rozbłyskiwało w jej wnętrzu niesamowite błękitne światło, i teraz rozbłyski te można już było zobaczyć wyraźnie.

Jednocześnie zrozumieli, co się dzieje, i spojrzeli na siebie z przerażeniem. Słowa nie były potrzebne. Skoczyli na siodła, przynaglając niespokojne konie do dzikiego galopu. Chmura zmieniła kierunek i zmierzała wprost do miejsca, w którym siedzieli. Gdyby nie umknęli w porę, prawdopodobnie przeszłaby wprost nad ich głowami.

Konie pędziły waląc kopytami, gnane strachem – własnym i jeźdźców. Ale nie mogli uciec.

–Nadchodzi! – zawołała Zana przekrzykując szum wiatru. Nad nimi majaczyła wielka chmura,

zasłaniając słońce. Nagle zrobiło się zimno.

–Nie zatrzymuj się! – odkrzyknął Kai. – Może jeszcze się uda! – Ale następna chwila dowiodła, że się mylił.

W jednej chwili galopowali, a już w drugiej niewidzialne ręce wyrwały ich z siodel

i, oszalałych z przerażenia, uniosły w powietrze. Ziemia zawirowała, gdy jakaś niewidzialna siła ciągnęła Kaia i Zanę do góry. A potem ziemia zniknęła. Znaleźli się w chmurze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Chmura ich pochłonęła... lecz byli w niej zaledwie parę chwil. Potem, oszołomieni i dezorientowani, znaleźli się nagle w holu wykwintnej, staromodnej rezydencji. Ich niespodziewane przybycie nie zakończyło się wstrząsem lądowania, jakiego oczekiwali - rozległ się tylko cichy trzask – lecz oboje drżeli i z przerażeniem rozglądali się wokół siebie szeroko rozwartymi oczami. Kierowani odruchem, wyciągnęli ręce i objęli się mocno. Zana zamknęła oczy, odgradzając się od wszystkiego, co było wokół niej, i ukryła twarz na ramieniu Kaia. On rozglądał się ze zdumieniem, próbując zmusić swój mózg do pracy. Serce waliło mu nieprzerwanie, lecz dręczące uczucie nadchodzącego nieszczęścia odeszło. Wyglądało na to, że zdarzyło się to, na co czekał, i teraz nie miał innego wyboru, jak tylko stawić temu czoło najlepiej, jak mógł. To z pewnością magia, ale o ileż potężniejsza niż wszystko, o czym kiedykolwiek mogłem marzyć.

Znajome brzęczenie oderwało go od tych myśli i spojrzał w górę. Rój został przeniesiony wraz z nim. Przekazał pszczołom parę uspokajających słów. Ich odpowiedź zaskoczyła go i pomogła uspokoić roztrzęsione nerwy.

Ten ul jest zdrowy. Rój jest zadowolony.

I rzeczywiście, pszczoły zachowywały się normalnie i spokojnie.

Komórki są nienaruszone, ale niekompletne - dodały tajemniczo.

Kai wypytywał je, ale nie dostał odpowiedzi.

Rozejrzał się po ogromnym, wyłożonym płytami holu. Był pusty – poza nimi nie było tu nikogo. Kilka drzwi prowadziło do innych pomieszczeń, lecz wszystkie zdawały się dobrze zamknięte. Spiralne schody wiodły na balkon z drewnianą balustradą. W cieniach piętra dostrzegł jeszcze jedne drzwi.

Objęta jego ramionami Zana trochę się uspokoiła. Przyjrzał się jej uważnie, gdy uniosła pobladłą twarz.

–Czujesz się dobrze? – zapytał cicho.

–Oczywiście, nie! – odparła nerwowo i zbyt głośno. Potem się roześmiała. – Gdzie my jesteśmy?

–Nie mam pojęcia. Lecz ktokolwiek sprowadził nas tutaj, musiał mieć w tym jakiś cel.

–To brzmi złowieszczo – powiedziała. Jej głos wciąż drżał.

–Pszczoly nie są przestraszone – pocieszył ją Kai. – A to dobry znak. Uniosła wzrok, gotowa uchwycić się czegokolwiek, co mogło dać nadzieję. *Dalej! Jesteś czarodziejem. Zaczynaj więc*

działać jak czarodziej!

–Rozejrzymy się? – zaproponował głośno.

–Dobrze – wyszeptała. Niechętnie myślała o rozłączeniu się z nim i choć się odsunęła, ich ręce wciąż

pozostały złączone.

–Od czego zaczniemy? – zapytał Kai.

–Nie... – zaczęła Zana, lecz przerwała i krzyknęła cicho, gdy jedne z drzwi

otworzyły się gwałtownie. Przerażona, schowała się za swego towarzysza.

Z otwartych drzwi dobył się śmiech i wkrótce potem pojawiły się dwie dziwaczne postaci. Pierwsza przewyższała go o głowę, podczas gdy druga sięgała mu niewiele wyżej pasa. Poza tym przybysze byli identyczni. Obaj nosili bezkształtne, brunatne szaty i ogromne, zwisające wokół twarzy skórzane kapelusze. Mieli długie, spiczaste nosy, a ich jasne oczy lśniły w półmroku. Dziwaczno efektu dopełniały zmierzwione siwe brody, które opadały im niemal do pasa. Mniejszy z mężczyzn w długopalcej, gruzłowatej dłoni trzymał księgę, lecz teraz jej nie studiował. Teraz się śmiał.

–Jak ćmy latające wokół płomienia! – zawołał wysoki.

–Niewidzialnego płomienia – odparł drugi i znów wybuchnęli śmiechem. – Strzelać tymi ich żalnymi fajerwerkami w nas. Jaka strata ich cennego czasu!

–Nie czasu! – Ta uwaga wywołała taki wybuch wesołości, że obaj zgięli się wpół, trzymając pod boki i z trudem łapiąc oddech.

–A potem zderzyły się! – pisnął mały. – Sszuu! Buch! I nie ma.

Mężczyźni objęli się i odtańczyli jakiś dziwaczny taniec, a potem rozdzielili się i starali uspokoić, ścierając z policzków łzy śmiechu.

Kai i Zana obserwowali to niezwykle przedstawienie w niemym zdumieniu. Wiedzieli, że tamci ich zauważą, gdy tylko się trochę uspokoją.

–Ee... – zaczął Kai, odchrząkując. Przybysze odwrócili się, by spojrzeć na niego.

–Na wszystkie tomy wieczności! – odezwał się wysoki. – Wreszcie tutaj dotarłeś!

–I mniej więcej na czas – dodał zrzędlawie drugi. – Potrzebowaliśmy prawdziwego

fachowca.

–Mówiłem ci, że przybędzie.

–Pamiętam. Po prostu cieszę się, że twoje badania dały wreszcie oczekiwany wynik.

Ta sprzeczka była ostatnią kroplą i opanowanie Kaia nagle gdzieś przepadło.

–Kim jesteście?! – ryknął.

Mężczyźni spojrzeli na niego z widocznym zaskoczeniem.

–Ja jestem Wynut – powiedział Wysoki. – A mój przyjaciel to Shanti. – Zabrzmiało to nieoczekiwanie oficjalnie.

–Ja jestem... – zaczął Kai.

–Wiemy, kim jesteś – warknął Shanti z wyraźnym rozdrażnieniem. – Wszędzie za tobą goniliśmy.

–Za mną?

–Tak, za tobą! Dlaczego się dziwisz? Jesteś ostatnim czarodziejem, prawda? – Iskry w ukrytych w półmroku oczach rozbłysły jaśniej.

–Ja... przypuszczam... zapewne – wyjąkał Kai, zbity z tropu tym gniewnym pytaniem.

–Ale nie wiemy – wtrącił Wynut – kim jest ta osoba. – Wskazał na miejsce za Kaiem.

–To Zana, moja przyjaciółka i przewodnik.

–Czy można jej zaufać? – zapytał ostro Shanti.

–Oczywiście! – Teraz rozgniewał się Kai. – A czy wam można? – rzucił podniesionym tonem.

Jego zuchwałe pytanie wywołało u obu magów zupełnie różne reakcje. Twarz Shantiego najpierw stała się czerwona, potem purpurowa i wydawało się, że za chwilę trafi go apopleksja. Wynut, po chwili zaskoczenia, zachichotał radośnie.

–To dobre pytanie – stwierdził. – Można nam zaufać – i mam nadzieję, że zdołamy wam to udowodnić.

–Dobrze – rzekł natychmiast Kai. – Może nam wyjaśnicie, dlaczego zostaliśmy porwani w tak absurdalny sposób? Mogliśmy się zabić! I gdzie teraz jesteśmy?

–I kiedy będziemy mogli wrócić do domu? – szepnęła Zana.

Kai ucieszył się, że jej głos brzmi względnie normalnie, i odwrócił się, by posłać jej uśmiech.

–Przepraszam was, że stało się to wszystko odparł Wynut, poważniejąc. – Niestety, to było konieczne. Nie zawsze potrafimy dokładnie kontrolować naturę miejsca styku.

–Jesteś czarodziejem, prawda? – wtrącił Shanti. – Powinieneś znać się na takich sprawach. – Choć ton zrzędlivosti w jego głosie był wyraźny, jego twarz przybrała na powrót normalną barwę.

–Nigdy nie wykorzystywałem magii do takich celów – odciął się Kai. – Jaki to rodzaj magii? – Zana ścisnęła jego ramię, dodając mu pewności siebie.

Ramiona Shantiego opadły, a jego twarz przybrała ponury wyraz.

–Co to jest miejsce styku? – zapytała niespodziewanie Zana i trzej mężczyźni spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

–To granica pomiędzy skalami czasu – odparł Wynut. – Płaszczyzna oddzielająca przeszłość od przyszłości lub – tak jak w waszym przypadku – wasz czas od bezczasu. Rozumiecie, to miejsce dryfuje w czasie. – Rozpostarł szeroko ramiona, spodziewając się, że ta odpowiedź ją zadowoli.

–Lepiej, gdybym nie pytała – szepnęła Zana. Kai uśmiechnął się, a potem wrócił do poprzednich pytań.

–Dlaczego mnie ścigaliście? – zapytał.

–Chcesz powiedzieć, że nie wiesz? – Shanti wyglądał, jak gdyby zaraz miał wybuchnąć ze złości, lecz jego towarzysz był dalej spokojny.

–Odpowiedzieliśmy już na zbyt wiele waszych pytań – rzekł spokojnie. – Jestem pewien, że jako specjalista zdajesz sobie sprawę z konsekwencji tego, co może być interpretowane jako wtrącanie się.

Mag uniósł rękę, zanim Kai zdążył odpowiedzieć.

–Proszę – powiedział. – Chodźcie z nami. Wyjaśnimy tyle, ile możemy. Tak będzie lepiej.

–Byłoby łatwiej bez niej – sarknął Shanti.

–Zana zostanie ze mną – sprzeciwił się Kai.

–Doskonale – zgodził się po chwili Wynut. – Musimy bardzo uważać, lecz chodźcie teraz ze mną – spróbujemy wszystko wyjaśnić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Zana przytrzymała Kaia przez chwilę.

–To na pewno to latające miasto – wyszeptała. – Pamiętasz – opowiadałam ci o nim. Tych dwóch pomogło Gemmie i Ardenowi.

–Miejmy nadzieję, że nam też pomogą – odparł cicho. – Czy naprawdę sądzisz, że potrafią?

–Podziemie szuka tego miejsca od wieków – ciągnęła Zana. – Są tutaj biblioteki z książkami o historii, która się jeszcze nie wydarzyła. To znaczy, o wszystkim, co mogłoby się wydarzyć... tak myślę. – Zmarszczyła brwi. – Nigdy do końca nie rozumiałam tej części opowieści. Niektóre pogłoski o tym miejscu są naprawdę szalone.

–Wcale mnie to nie dziwi – zauważył sucho Kai.

–Może tutaj czas mija inaczej... – zawołał z przyległego pokoju Wynut. – Ale to nie znaczy, by go tracić!

–Chodźmy – powiedziała Zana, popychając delikatnie Kaia.

Weszli do pokoju wyłożonego od podłogi po strop książkami; jedynym

umeblowaniem było ogromne biurko, otoczone kilkoma wygodnymi fotelami. Wszystko oświetlały jasne kule, zawieszane pod sufitem. Kai spojrzał na niezliczone rzędy książek i zastanowił się, jaką to przeszłość – lub przyszłość – opisują.

Shanti ułożył poduszki na krześle stojącym za biurkiem, a potem usiadł na nim, podczas gdy Wynut zajął miejsce w jednym z foteli i skinął na Zanę i Kaia, by uczynili to samo. Kiedy wszyscy już siedzieli, zaczął Wynut. Mówił wolno i spokojnie, jakby wyjaśniał coś dziecku, lecz w jego głosie pobrzmiwało podniecenie.

–Proszę, wysłuchajcie mnie i oprzyjcie się pokusie zadawania pytań – zaczął. –

Uwierzcie mi, to konieczne. – Przerwał i gestem wskazał wokół. – Jesteśmy tutaj anomalią

–stwierdził. Potem dodał: – Kiedy rozpoczął się Wiek Chaosu i zginęła magia, zostaliśmy

rzuceni na łaskę wiatru i fal przez siły potężniejsze niż te, które stworzyły nasz świat. Jako

czarodzieje nie mogliśmy istnieć, a jednak istnieliśmy. Nie było czasu, do którego

moglibyśmy należeć, więc znaleźliśmy się poza czasem. – Sprawilo nam to wiele

kłopotów, lecz w końcu dostrześliśmy pewne możliwości. Podróżowaliśmy wiele, i były to

dalekie podróże. Wiele się dowiedzieliśmy. Wciąż wierzyliśmy, że zdołamy zmienić bieg

rzeczy i odbudować magię, a tym samym uzyskać możliwość powrotu do świata. Jednak to zadanie nie jest łatwe, gdy wziąć pod uwagę, że niezliczone gałęzie czasu rozdzielają się z upływem każdej chwili.

–Daj sobie z tym spokój – warknął Shanti. – Nie potrzebujemy lekcji chronologii. Każda chwila ich pobytu tutaj coraz bardziej narusza równowagę.

–To ryzyko, które musimy podjąć – sprzeciwił się Wynut. – Czy muszę ci przypominać, że błąd popełniony teraz oznacza przekreślenie szansy! – Odpowiedzi nie było, więc ciągnął dalej, ważąc każde słowo. – Rozumiecie oczywiście, że jesteśmy ograniczeni w naszych możliwościach ingerencji w realny upływ czasu. Te granice są bezwzględne – i właśnie, dlatego wasze pytania są niebezpieczne, i dla was, i dla nas. Jeśli posuniemy się za daleko, rozerwie to strukturę czasu i przestrzeni, a skutków tego nie można sobie wyobrazić – dosłownie. Dlatego musimy postępować z wielką ostrożnością. Dotychczas nasze kontakty ograniczały się do działań o mniejszym znaczeniu podejmowanych przez kilka ważnych osób. Każde działanie niesie ze sobą wielość możliwych następstw, z których nie wszystkie są przewidywalne i które, jak dotąd, były tylko działaniami obronnymi, opóźniającymi nieunikniony, ostateczny konflikt. Teraz to się zmieniło. Cała przyszłość świata jest zagrożona i decyzja musi być podjęta szybko. I właśnie, dlatego ty znalazłeś się tutaj.

–To się nawet zgadza, nie sądzisz? – zauważył pogardliwie Shanti. – Ostatni czarodziej rozpoczynający ostatnią bitwę.

W pierwszej chwili ich słowa nie miały sensu. Potem Kai zrozumiał i ogarnęło go przerażenie. *Z pewnością nie może być tym, kogo szukają! Nie jest ważny; jest tutaj tylko po to, by odnaleźć Gemę.* Chciał zaprzeczyć, ale nie mógł wydobyć słowa przez ściśnięte gardło. Z trudem oddychał.

–Wielkie niebezpieczeństwo zawisło nad światem – rzekł Wynut. –

Niebezpieczeństwo zniszczenia na straszliwą, niespotykaną dotąd skalę.

Zniszczenie - pomyślał Kai. To nie może się powtórzyć!

–Ale tym razem – dodał Wynut, jakby czytając w myślach Kaia – nikt nie przeżyje.

Kai zastygł w przerażeniu. *Nikt?*

–Nikt, z wyjątkiem, być może, nas – rzekł Shanti. – A nasza nieśmiertelność będzie przekleństwem gorszym niż najstraszliwsza ze śmierci. – Głos maga przepełniał niewysłowny smutek; dziwnie kontrastujący z jego wcześniejszą zręcznością.

Kai usłyszał szloch i odwrócił się do Zany. Wpatrywała się w niego ze zgrozą i przerażeniem w oczach; łzy spływały po jej poszarzałych policzkach. Próbował się

uśmiechnąć, ale twarz miał jak z kamienia. Pszczoły latały tam i z powrotem, odzwierciedlając zamieszanie panujące w myślach czarodzieja.

–Ale chyba... – zaczął Kai, potem przerwał, gdy Wynut uniósł rękę, nakazując ciszę.

–Wciąż istnieje nadzieja – powiedział wyższy mag, przywracając odrobinę ładu myślom Kaia.
–Lecz z każdym dniem maleje i tylko znając całe zło, któremu stawiasz czoło, możesz mieć nadzieję na jego pokonanie.

Ja? - pomyślał z rozpaczą Kai. *To niemożliwe.* Jednak zmusił się, by pamiętać, że istnieje nadzieja. Od początku wierzył Wynutowi; jeśli klęska byłaby przesądzona, to przecież mag niczego by nie mówił. Z wysiłkiem odrzucił od siebie obawy, gotów słuchać dalej.

–Choć istnieje możliwość, że do zniszczenia, którego się obawiamy, nigdy nie dojdzie – rzekł Wynut – nie zwalnia nas ona jednak z podjęcia działań. Sam fakt, że niebezpieczeństwo istnieje, może wystarczyć, by zgładzić nas wszystkich. Musisz zapobiec nie tylko spełnieniu się niebezpieczeństwa, ale również wykluczyć możliwość, by kiedykolwiek się wydarzyło.

W umyśle Kaia pojawiły się pytania, lecz milczał, wiedząc, że nie może ich zadać. Wówczas odezwał się Shanti, recytując coś, co najwyraźniej było jakimś cytatem, ale Kai nie domyślał się nawet, skąd może pochodzić.

Zapamiętaj Sen I to, skąd przychodzi. Szaleństwo dla Jednego Oznacza Śmierć dla wszystkich.

Gdy te słowa zadźwięczały w uszach Kaia, zrozumiał, że będzie słyszał je zawsze; że będą płonęły w jego pamięci aż po ostatnią chwilę jego życia.

Cisza ogarnęła pokój. Zana przestała płakać, a pszczoły usadowiły się znowu spokojnie na książkach.

To nie może być koniec! - pomyślał Kai, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. *Nie możecie tego tak zostawić!* Jednak nic nie wskazywało na to, że któryś z magów powie coś jeszcze, a Kai nie był w stanie poprosić o pomoc, której tak rozpaczliwie potrzebował.

Ale nie Zana.

–Co mamy robić? – wybuchnęła.

Trzej mężczyźni spojrzeli na nią ze zdumieniem różniącym się jedynie stopniem natężenia.

–Musi istnieć... – spróbowała znowu, lecz przerwał jej Shanti, który krzyknął:

–Cisza! – Drobny czarodziej podniósł się i stał teraz na krześle za biurkiem. Wyglądałby komicznie, gdyby nie powaga sytuacji i siła uczuć, jakie nim zawładnęły. – Twoja głupota zniszczy nas wszystkich! – Zwrócił się do Kaia. – Czy nie możesz jej przypilnować?

–To nie w porządku – ochryplym szeptem poskarżyła się Zana. – Musi być coś, co możecie nam powiedzieć. Jak dotąd to były tylko zagadki.

–Zana, proszę – wyszeptał błagalnie Kai. – Nic innego nie mogą zrobić.

–Cokolwiek – upierała się. – Tylko jeden, jedyny najdrobniejszy fakt, którego moglibyśmy się uchwycić.

Wynut i Shanti wymienili zaniepokojone spojrzenia. Chwilę później podjęli decyzję – i z błyskiem zniknęli.

–Nie! Wróćcie! – Zana krzyknęła zawiedziona, potem zwinęła się w fotelu i znowu zaczęła płakać. Kai podszedł do niej i kojącem gestem objął za ramiona.

–Jestem pewien, że powiedzieli nam wszystko, co mogli – rzekł łagodnie. – To nie zależy od nich.

–Myślę, że trzeba być czarodziejem, żeby to zrozumieć – odparła z goryczą, ocierając łzy.

–Ja naprawdę tego nie rozumiem – przyznał Kai – ale wiem, że mówili prawdę.

–Lecz to, co powiedzieli, nie ma sensu – sprzeciwiła się. – To wszystko brzmiało tak przerażająco – a potem mówią, że to zależy od ciebie, że ty masz wszystko naprawić -ale nie mówią jak! – Ogarnął ją gniew. – Czy właśnie to nazywają pomocą?

–Być może później to wszystko stanie się jaśniejsze – odparł, lecz w jego głosie oprócz nadziei słychać było powątpiewanie. – Wiem tak niewiele o tym kraju – może, kiedy pomówię z Gemmą...

–Wszystkie swoje nadzieje wiążesz z tą biedną dziewczyną – zauważyła Zana. – Czy nie sądzisz, że to zbyt wielki ciężar jak na barki jednego człowieka?

Kai nie odpowiedział. *A jeśli jej nie odnajdę? Co wtedy?* Rozpoczął swoją długą podróż niemal w rozpaczy, ale w ciągu tygodni jego nadzieje powoli, lecz ciągle rosły. Wszystko zdawało się

zmierzać we właściwym kierunku – lecz teraz obudziły się znowu

wszystkie jego wątpliwości i – nowe obawy. *Ostatni czarodziej rozpoczynający ostatnią bitwę.* Jeszcze raz umknął przed wnioskami płynącymi z tego stwierdzenia, szukając schronienia w działaniu.

–Chodźmy – powiedział z zdecydowanym tonem. – Wydostaśmy się stąd.

–Och, wystarczy, że wyjdziemy przez frontowe drzwi, jak sądzisz? – odparła z sarkazmem Zana. – Jesteśmy w chmurze, pamiętasz?

Obrazy z przyprawiającego ich o zawrót głowy wniebowstąpienia przemknęły mu przed oczyma i jego twarz na chwilę przybrała wyraz zagubienia i niepewności. Przygnębienie Zany zmieniło się teraz w czułość. Wśród całego tego szaleństwa było jednak coś prawdziwego, coś ludzkiego – coś, z czym potrafiła sobie poradzić.

–Jesteś pewien, że masz tyle lat, ile utrzymujesz, że masz? – zapytała. – Bo teraz wyglądasz jak mały chłopiec.

Kai potrząsnął głową, uśmiechając się blado.

–Wróćmy do holu – zaproponował. – Tam byliśmy na początku, więc może, jeśli tam wrócimy, będziemy mogli opuścić to miejsce.

Zana powstrzymała się przed uwagą, że ta żelazna logika raczej nie przystaje do tego, w co zostali wplątani, i wstała z fotela. Opuścili bibliotekę wolno, stawiając ostrożne kroki, jakby się spodziewali, że za chwilę pogrążą się w podłozę. Drzwi same zamknęły się za nimi. Rój brzęczał spokojnie nad ich głowami, poza tym hol był pograżony w ciszy.

–Wszystkie drzwi oznaczone są rzeźbionymi symbolami – zauważyła Zana. – Z wyjątkiem tamtych wielkich.

Obeszli hol, przyglądając się symbolom: żołądź, listek koniczyny, róża, sokół. Przez szczelinę wokół nieoznaczonych drzwi przenikał chłód, lecz nie ośmielili się dotknąć klamki.

–Co teraz? – zapytała Zana, lecz Kai przyłożył palec do ust. Z góry dochodziły stłumione głosy. Gdy odwrócili się, by spojrzeć na schody, na balkonie otworzyły się drzwi i wyszedł z nich Wynut. Spojrzał przez balustradę, obejmując swoimi długimi palcami poręcz. Jednak nim zdążył się odezwać, dobiegł ich głos Shantiego.

–Powinien już to wiedzieć! – krzyknął gniewnie. – To nie może nas zatrzymać. Musiałeś się pomylić w obliczeniach. – Zaczął coś mruzczyć ze złością.

Wynut zignorował przyjaciela i zwrócił się do Kaia i Zany.

–Cudotwórstwo nigdy nie było mocną stroną Shantiego – zauważył, wzruszając z rezygnacją ramionami. – Przepraszam za opóźnienie. Coś powstrzymuje wasz powrót do świata, a my nie wiemy, co.

–Cudownie – jęknęła Zana.

–Ale pracujemy nad tym – mówił dalej Wynut. – Proszę, okażcie nam wyrozumiałość. – Odwrócił się i pomaszerował z powrotem do pokoju. – Normalna komunikacja zostanie podjęta tak szybko jak to tylko możliwe. – Zachichotał.

–Nie rozumiem, z czego się śmiesz – usłyszeli głos Shantiego, potem drzwi zamknęły się i hol ponownie pogrążył się w ciszy.

–Oni są szaleni – powiedziała Zana. – Całkowicie, zupełnie szaleni.

–Nie sądzę – odparł ostrożnie Kai. – Po prostu widzą świat inaczej niż my.

–Możesz to sobie powtarzać – powiedziała, potrząsając w oszołomieniu głową. Potem odchrząknęła. – Nie wiem jak ty, ale ja nie miałabym nic przeciwko szklaneczce czegoś mocniejszego.

–Spróbuj tego, moja droga – odezwał się radośnie jakiś głos. – To przywróci rumieńce twoim policzkom.

Zdumieni, odwrócili się, by spojrzeć na przybysza; stała przed nimi pulchna, stateczna kobieta. Trzymała tacę, na której stały dwie szklanki ze lśniącem, bursztynowym płynem.

–To naprawdę dobre – nalegała, uśmiechając się zachęcająco. – Choć nie wypada mi tak mówić. To wino z odrobiną czegoś jeszcze – czegoś specjalnego.

Kai pierwszy doszedł do siebie po tym kolejnym wstrząsie.

–Czy wolno mi wiedzieć, kim jesteś? – zapytał, biorąc oferowaną szklankę.

–Ja? Jestem tylko gospodynią – roześmiała się. – Nikim ważnym.

–Czy wiesz, o czym mówiło tym tych dwóch? – zapytała Zana, spoglądając na balkon.

–Wielkie nieba, nie. Wciąż zabawiają się magią i innymi podobnymi bzdurami. Tak ich to

zajmuje, że gdybym się nimi nie opiekowała, zapominaliby nawet o jedzeniu. Mam nadzieję, że wino będzie wam smakowało.

Po czym odwróciła się i odeszła kołysząc się w biodrach.

–Nie odchódź! – krzyknęła Zana, lecz drzwi zamknęły się już za gospodynią. Zana próbowała pójść za nią, lecz drzwi nie dały się otworzyć.

–To jest naprawdę wyśmienite – stwierdził Kai. – Spróbuj. Ostatecznie to ty jesteś naszym ekspertem w dziedzinie trunków.

–Nie myślę, żeby sprowadzono mnie tutaj, bym kosztowała wina! – odcięła się Zana, niemniej jednak pociągnęła łyk ze swojej szklanki. Napój był zimny, aromatyczny i bardzo mocny. – Z drugiej strony – powiedziała, łyknąwszy znowu – ten trunek może mi

pomóc zrozumieć to miejsce.

Uśmiechnęli się do siebie, zadowoleni, że odzyskali, choć trochę opanowania. Potem, w milczącym porozumieniu, podeszli do schodów, usiedli na ostatnim stopniu i dalej raczyli się trunkiem.

–Zastanawiam się, co też stało się z końmi – powiedziała Zana. – Musiały się przerazić, kiedy nagle zamieniliśmy się w ptaki.

Kai przyglądał się swej szklance. Wydawało się, że jej zawartość znika zastraszająco szybko.

–Być może nawet tego nie zauważyły – rzekł z namysłem. – Ostatecznie, kiedy tutaj jesteśmy, znajdujemy się poza czasem.

–Nie zaczynaj – błagalnym tonem powiedziała Zana.

–To dlatego pożeracze nieba nie mogły zniszczyć chmury – ciągnął czarodziej, jakby wyjaśniając to samemu sobie.

–Może, więc powinniśmy przekonać wszystkich, by zamieszkali tutaj –

zapropnowała Zana. – W prawdziwym świecie nie tak łatwo ukryć się przed pożeraczami nieba. – Pamiętała, jakie zniszczenia spowodowały w Altonbridge. Opróżniła już niemal swoją szklankę. Uniosła wolną rękę i strzeliła palcami. – Kelner!

Ich śmiech zagłuszył jakiś nieludzki krzyk, który rozległ się w odpowiedzi; odwrócili się, by spojrzeć na ostatniego z dziwnych mieszkańców tego dziwnego miejsca.

Ogromny kot w kolorze szylkretu siedział na jednym ze szczytowych stopni, z ogonem schludnie owiniętym wokół łap. Minęło dokładnie tyle czasu, ile zajęła im obserwacja szczegółów jego wyglądu, gdy uświadomili sobie, że miauknięcie nie cichnie, ale odwrotnie – rozbrzmiewa echem i coraz nowymi tonami, z każdą chwilą osiągając inną barwę dźwięku i modulację. Zdumieni wpatrywali się w kota, gdy wydawane przez niego dźwięki stopniowo zmieniały się w zrozumiałą mowę.

–Poczucie równowagi jest ważne dla wszystkich istot. A z drugiej strony, upadek jest po prostu jednym ze sposobów odzyskania równowagi.

Poruszone pszczoły brzęczały wokół nich, a Kai i Zana nie mogli wydobyć z siebie głosu. Kot spojrzał na rój, lecz najwyraźniej uznał, że nie stanowi żadnego zagrożenia. Miauknął znowu, potem polizał przednią łapę i zaczął myć sobie pyszczek. I znowu -długi, ciągnący się okrzyk przeistoczył się w zrozumiałe słowa. Choć tym razem Kai i Zana byli już na to przygotowani, wciąż jednak sprawiało to wrażenie najdziwniejszej rzeczy, jaką kiedykolwiek słyszeli.

–Klucz otworzy drzwi - powiedział kot. – A z drugiej strony, zamki mogą być zmienione.

Kai i Zana spojrzeli po sobie, zupełnie już zbici z tropu.

–Co t o znaczy? – zastanowił się głośno Kai. Kolejne obłąkane zagadki – mruknęła z odrazą Zana, gdy kot miauknął znowu.

–Starość może rozmawiać z młodością. Ale wiadomo, że niewinność jest siłą.

Zana gwałtownie uniosła ręce i zatkała sobie uszy; jej szklanka spadła na podłogę i rozbila się.

–Nie wytrzymam tego! – krzyknęła.

Kai był natomiast zafascynowany. Słowa kota niewiele dlań znaczyły, lecz w jego

umyśle coś się poruszyło. Miał właśnie zadać pytanie, kiedy usłyszał wznoszący się tryumfalnie głos Shantiego.

–Widzisz! Znowu się ruszamy. To tyle, jeżeli chodzi o twoje obliczenia.

Wynut mruknął coś w odpowiedzi, lecz Kai już nie słuchał. Ściany i podłoga rozplynęły się i wszystko wokół nich stało się zamglone i nierealne.

–Poczekaj! – zawołał do siedzącego nieporuszenie kota. – Nie odchodź!

Ale było już za późno. Rezydencja zniknęła, a Kai i Zana zawiśli w stanie nieważkości we mgle, wypełnionej rozbłyskami tajemniczego, błękitnego światła.

Gdy zobaczyła światło dzienne, Zana krzyknęła. Daleko, niezmiernie daleko w dole wirowała ziemia, a oni spadali.

W tych mijających błyskawicznie, przerażających chwilach oboje byli przekonani, że zginą. W rzeczywistości jakaś niewidzialna ręka posadziła ich delikatnie na siodła pędzących koni, które galopowały, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Udało im się utrzymać równowagę i opanować zdenerwowane wierzchowce. Zobaczyli, że chmura oddala się na południowy zachód.

Kiedy zsiadli z koni, pod Zaną ugięły się nogi i usiadła na ziemi z głośnym klapnięciem. Kai zatoczył się niepewnie i usiadł obok niej.

–Wróciliśmy! – wyszeptała, jak gdyby nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. Skinął głową, czując taką samą ulgę jak ona.

–Czy to się naprawdę wydarzyło? – zapytała.

–Jeśli nie – odparł – to znaczy, że upiliśmy się samym powietrzem.

–Niemożliwe – powiedziała stanowczo. – I mówię to jako człowiek, który zna się na rzeczy. Wielka szkoda, że nie mogliśmy zabrać tego wina ze sobą – naprawdę, przydałoby mi się teraz.

Rozbili obóz tam, gdzie się zatrzymali, zbyt wyczerpani, by podróżować dalej lub

szukać kryjówki. Rozpalili ognisko i ugotowali jedzenie, lecz niewiele jedli – Przegadali parę godzin usiłując, bezskutecznie, znaleźć jakiś sens w tym, czego doświadczyli. Wiedzieli, że było to ważne, lecz żadne z nich nie umiało tego zinterpretować.

Tej nocy spali w jednym namiocie, wdzięczni za wzajemną bliskość i ciepło.

W swoim śnie Kai był znowu w latającym mieście; biegł od drzwi do drzwi i otwierał je gwałtownie. Za progiem witała go zawsze ta sama scena, lecz on wciąż biegł, biegł bez końca, mając nadzieję, że za następnymi będzie inaczej.

Wreszcie, wyczerpany i przestraszony, zbliżył się do ostatnich drzwi – swojej ostatniej szansy – Symbol wyrzeźbiony w drewnie przedstawiał wagę, przechyloną na jedną stronę przez coś, co

wyglądało jak ryba. Nie wiedział, dlaczego, ale odebrało mu to resztki odwagi. Wyciągnął drżącą rękę i otworzył drzwi.

Lecz zastał to samo, co za wszystkimi pozostałymi. Biblioteka zniknęła, a na jej miejscu rozciągał się spustoszony krajobraz. Wszystko spowijała zasłona z popiołu i dymu, unosząca się bezwładnie nad spękanymi i szerniałymi skałami. W oddali syczały płomienie, a stopiona lawa rzygała ku niebu na spotkanie posepnych, ciemnych chmur. Był to obraz zupełnego zniszczenia, całkowicie pozbawiony życia.

Obudził się zlany potem, w objęciach szaleństwa.

–Nie – jęknął. – Nie.

–Co się stało? – zapytała Zana, przestraszona tonem jego głosu.

–Widziałem koniec świata – rzekł, z trudem łapiąc oddech.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Pięć dni później Kai i Zana dotarli do Wielkiego Nowego Portu. Zana wyjaśniła wartownikom przy bramie, kim są i skąd przybywają, i poprosiła, by zaprowadzono ich do Jordana i Hewe'a. Nie miała już żadnych wątpliwości, co do Kaia i ufała mu całkowicie. Miała listy dla Jordana, lecz to Hewe był tym, z kim ona i Kai pragnęli się spotkać. Wiedzieli, że to właśnie Hewe towarzyszył Gemmie i Ardenowi do "ukrytego miejsca", a zatem najprawdopodobniej będzie wiedział, gdzie jest teraz Gemma.

Prowadzono ich przez zatłoczone ulice ku centrum miasta. Z powodu pszczoł przez jakiś czas stanowili obiekt znacznego zainteresowania, lecz mieszkańcy Nowego Portu w ciągu ostatnich paru miesięcy byli świadkami wielu dziwnych wydarzeń, więc wkrótce powrócili do własnych zajęć.

Na Zanie zrobił wrażenie postęp, jakiego dokonało miasto w odbudowie zniszczeń. Być może z powodu znaczenia, jakie miał Wielki Nowy Port, jego odbudowa postępowała szybciej niż w Altonbridge. Zana słyszała o ogromnych stratach spowodowanych zarówno przez wrogą wieżę, jak i pożeracze nieba, tak więc jeszcze bardziej zaskoczyło ją to, jak wiele zdołano osiągnąć.

Wszędzie wznoszono nowe budynki, a z własnego doświadczenia wiedziała, jak trudno jest zorganizować masowe budownictwo.

Lecz najbardziej uderzająca była determinacja widoczna na twarzach mijających ich ludzi. Odnosiło się wrażenie, że nikt nie próżnuje, a na każdym kroku można było dostrzec podnoszącą na duchu atmosferę współpracy. Choć Zana widziała zaledwie małą cząstkę tego, co działo się w Nowym Porcie, już to wystarczyło, by odzyskała wiarę i nadzieję. To, że takie zmiany mogły zajść w mieście, niegdyś tak podzielonym i ciemnym, było zasługą Jordana i jego Podziemia.

Przewodnik zaprowadził ich do okazałej budowli na Rynku, wziął listy polecające i pozostawił ich, by czekali w holu. Kai nie potrafił ukryć zniecierpliwienia i jego pszczoły stawały się coraz bardziej niespokojne. Usadowiły się wysoko na stropie, lecz mimo to ich brzęczenie rozbrzmiewało głośno w małej przestrzeni i przechodzący ludzie rzucali w ich kierunku niespokojne spojrzenia. Nawet Zanę, która zdążyła już przywyknąć do pszczoł, ogarnął lekki niepokój. Kai zdawał się niczego nie zauważać. Zajęty swoimi myślami nie

usłyszał kroków małego chłopca, który zbliżył się do nich. *Czy to twoje pszczoły, panie?*

Chłopiec pociągnął jedną ręką rękaw Kaia, podczas gdy drugą wskazywał w górę. Głowę miał uniesioną i mógł obserwować owady.

Czarodziej spojrział w dół, a potem przeniósł roztargniony wzrok na sufit, jakby nie mając pewności, czy to rzeczywiście jego pszczoły. Myślami był gdzie indziej i potrzebował paru chwil, by uświadomić sobie, gdzie jest.

–Tak – rzekł w końcu. – To moje pszczoły.

–Są głośne, prawda?

–Myślę, że tak. – Kai nawet tego nie zauważył. Przesłał pszczołom parę uspokajających słów i brzęczenie przycichło nieco.

–Ty to zrobiłeś? – zapytał chłopiec, najwyraźniej głęboko poruszony.

–Tak.

–Kaź zrobić im coś innego.

–Jak masz na imię? – zapytał Kai, rozbawiony entuzjazmem chłopca.

–Mark. Pszczoły rozpełzły się po suficie i chwilę później wszyscy mogli zobaczyć tam imię Marka, wypisane literami z czerni i złota.

–Ojej! – Oczy chłopca rozjaśniły się, gdy wstrzymując oddech wpatrywał się w rój.

–Poczekaj, dopóki nie powiem o tym innym!

Rzucił ostatnie spojrzenie pszczołom, spojrzął na ich pana, a potem wybiegł z budynku tak szybko, jak pozwalały mu na to jego krótkie nogi. Kai odprowadzał go wzrokiem, myśląc z czułością o innym małym dziecku, które niegdyś jego przyjaciel wprawiał w taki sam zachwyt.

–To naprawdę zadziwiające – odezwał się dźwięczny głos z drugiej strony holu i Kai odwrócił się gwałtownie. Ujrzał wysokiego, szerokiego w ramionach mężczyznę, którego czarna skóra wyróżniała się swoją barwą nawet w tych południowych krainach.

–Ty jesteś Jordan? – zapytał Kai.

–Tak. – Mężczyzna postąpił naprzód i wyciągnął rękę do powitania. – Radzi jesteśmy cię tu widzieć, Kaiu. – Ciemne oczy zmierzyły czarodzieja od stóp do głów, a potem Jordan zwrócił się do Zany. – I ciebie również, Zana. Dale wielce cię chwali. Dlatego podwójnie cieszymy się z twojego przybycia.

–Wygląda na to, że sami całkiem nieźle dajecie sobie radę – odparła, potrząsając jego ręką.

–Być może. Lecz wciąż jeszcze mamy bardzo dużo do zrobienia.

–Daj mi znać, jeśli będę mogła w czymś pomóc – powiedziała, uśmiechając się. – To było głupie z mojej strony sądzić, że naprawdę uda mi się oderwać od pracy!

–Najpierw musisz odpocząć – zapewnił ją Jordan. – Istotnie, udało nam się dokonać paru

rzeczy...

–Na przykład nauczyć tego chłopca czytać, prawda?

–Szpitale i szkoły są na pierwszym miejscu – odparł. – Nasze dzieci to nasza przyszłość. – Przerwał, a potem dodał: – Kiedy będziesz chciała – ale tylko i wyłącznie wtedy – znajdzie się praca i dla ciebie. Twoje doświadczenie będzie mi bardzo pomocne. Ale najpierw chcę wysłuchać wieści, jakie przywozisz, i porozmawiać z Kaiem.

A ja z tobą! - pomyślał czarodziej. *Wreszcie!* Postawa i zachowanie Jordana wzbudzały szacunek, a jego spokój nie pozwolił Kaiowi wyrazić głośno swojej niecierpliwości. Zrozumiał teraz, dlaczego przywódca Podziemia cieszył się tak wielkim uznaniem.

–Chodźcie – zwrócił się do nich Jordan. – Z pewnością jesteście zmęczeni i głodni po podróży. Przygotowałem dla was posiłek.

Podążyli za nim mrocznym, wyłożonym ciemną boazerią korytarzem, szli w górę jakimiś schodami, a potem znaleźli się w jasnym, przestronnym pokoju. Stół zastawiony był prostymi potrawami i Jordan wskazał im krzesła. Pszczoły usadowiły się tuż obok na ścianie.

–Czy Hewe przyjdzie? – zapytał Kai, stwierdzając, iż teraz nie może myśleć o jedzeniu.

–Posłałem mu wiadomość – odparł Jordan. – Wkrótce tu przybędzie.

–A czy ty wiesz, gdzie teraz jest Gemma?

–Teoretycznie, tak.

–A co to znaczy? – zapytał Kai, z błyskiem gniewu w oczach.

–Teraz jej tutaj nie ma, ale spodziewamy się jej – i to wkrótce – odpowiedział spokojnie Jordan.

–Jak szybko? Gdzie jest teraz? – Ta informacja podniosła Kaia na duchu.

–Nie wiem dokładnie, kiedy tu wróci – ciągnął Jordan. – Teraz jest w Dolinie. Nie wiem, gdzie to jest – nigdy tam nie byłem i sam nie umiałbym tam trafić.

–Ale Hewe zna drogę? – nie ustępował Kai.

–Być może.

–Ale...

–Dlaczego pragniesz ją odnaleźć? – zapytał Jordan, ucinając sprzeciw Kaia.

Czarodziej zawahał się. *Ile razy jeszcze będę musiał odpowiadać na to pytanie?* -jęknął w duchu.

–Czy Dale nie napisał o tym w swoim liście? – zapytał.

–Tak – powiedział Jordan. – Ale chciałbym usłyszeć to od ciebie. Ostrożność Dale’a przynosi mu chlubę. Wygląda na to, że pewne fragmenty twojej opowieści uznał za trochę niewiarygodne.

Kai milczał przez chwilę. *Więc wciąż muszę udowadniać, kim jestem* - pomyślał gorzko. Wypełniały go sprzeczne uczucia.

–To, że Zana przybyła tutaj bezpiecznie, przemawia na twoją korzyść –

kontynuował Jordan – i wydaje się, że obdarzyła cię swoim zaufaniem, ale ja sam chciałbym poznać cię lepiej. Gemma jest naszym najlepszym przyjacielem, a my chcemy chronić ją przed wszystkimi niebezpieczeństwami.

Jordan przerwał, pozwalając, by znaczenie jego słów dotarło do wszystkich.

–Chyba nie sądzisz, że chcę ją skrzywdzić! – wybuchnął Kai, unosząc się na krześle i rzucając pełne wściekłości spojrzenie.

–Wybacz mi – rzekł spokojnie ciemnoskóry mężczyzna, z twarzą niezdradzającą żadnych uczuć. – Nic o tobie nie wiem. A chciałbym się dowiedzieć.

Kai z wysiłkiem odprężył się i opadł powoli na krzesło. Nabral głęboko powietrza i zaczął mówić. W ciągu niecałej godziny opowiedział Jordanowi o swojej przeszłości czarodzieja, o swoich związkach z Gemmą, o ostatniej podróży i – co najważniejsze – o swych straszliwych przeczuciach. Szczegółowa relacja o jego duchowych kontaktach z Gemmą zrobiła najwyraźniej wrażenie na Jordanie i czarnoskóry mężczyzna wielokrotnie kiwał głową, jak gdyby potwierdzając niektóre z przypuszczeń czarodzieja.

W końcu Kai przeszedł do spotkania z latającym miastem i zainteresowanie Jordana wzrosło w dwójnasób. Kai, uciekając się do pomocy Zany, opowiedział mu o ich niezwyklej przygodzie. Powtórzył dosłownie ich rozmowę z Wynutem i Shantim oraz tajemnicze oświadczenia kota.

Kiedy skończył, Jordan przez długi czas się nie odzywał, zmrożony słowami maga. *Lecz tym razem nikt nie przeżyje.* Było tu wiele niejasności, lecz on nie potrafił ich rozwiązać – choć to i owo przychodziło mu do głowy.

–Musisz zapobiec nie tylko spełnieniu się niebezpieczeństwa, ale również

wykluczyć możliwość, by kiedykolwiek się wydarzyło – zacytował. – To dość trudne,

nawet, kiedy się wie, czym jest ta możliwość.

Wówczas Kai opowiedział Jordanowi o swoim śnie. W filozofii, którą kierował się

Jordan, było miejsce zarówno na sprawy życia codziennego, jak i na rzeczy tajemne. Nie należał do ludzi, którzy odrzuciliby wizję czarodzieja tylko, dlatego, że przybrała formę sennego koszmaru.

– Nawet Zrównanie nie doprowadziło do takiego zniszczenia – powiedział wolno,

potem otrząsnął się i dodał: – Teraz moja kolej, by powiedzieć ci parę rzeczy. – Gdy

przemówił, uświadomił sobie, że Kai zdobył już jego zaufanie. Wydawało mu się

niemożliwe, by ktokolwiek był zdolny do aż tak misternego i przekonywającego kłamstwa.

Musiałby też zniewolić Zanę... Ale jeśli tak – wszyscy jesteśmy zgubieni. Tylko Gemma

może za niego poręczyć – a ona wróci dopiero za jakiś czas. Postanowił, więc pogodzić się

z osądem swej podświadomości.

Podszedł do ściany i pociągnął za sznur od dzwonka. Gdy wrócił do stołu, przyglądał się przez chwilę Kaiowi.

– Gemma uważa, że niebezpieczeństwo nadciągnie z Dalekiego Południa – zaczął.

Potem opowiedział o odkryciu przez nią beczasowej księgi w komnacie błękitnego

plamienia pod wieżą i o przepowiedni zagłady, jaką zawierała. Dodał szybko, że ich

działania już raz zmieniły księgę, i Gemma sądzi, że może stać się tak jeszcze raz.

Wciąż istnieje nadzieja - przypomniał sobie Kai.

– Logiczne wydaje się przypuszczenie – ciągnął Jordan – że chodzi o to samo

niebezpieczeństwo, o którym mówił jeden z magów. Jednak trudno uwierzyć, że bronie,

które mogą dotrzeć tutaj z południa – pożeracze nieba i promienie wieży – choć o strasznej

sile zniszczenia – mogłyby doprowadzić do unicestwienia, jakie widziałeś w swoim śnie.

Ostatecznie, te bronie wydają się dziełem człowieka, a nie tworem magii.

Przerwał, gdy do pokoju wszedł Hewe. Przyjaciel Jordana miał na sobie swój zwykły czarny strój, a jego pokrytą bliznami twarz rozjaśniał uśmiech.

–Dzwoniłeś, panie? – zapytał.

–Hewe, to jest Kai i Zana – przedstawił ich Jordan. – Siadaj z nami.

–Zanę miałem już okazję poznać – rzekł ogromny mężczyzna, sięgając po krzesło. – Miło widzieć cię znowu.

–Czy wiesz, gdzie jest Gemma? – zapytał Kai.

–Wiem, gdzie była – odparł Hewe. – Lecz nie wiem, czy wciąż tam jest. – Już to, że Hewe znajdował się w tym pokoju, dawało dowód temu, że Jordan postanowił zaufać Kaiowi.

–Masz na myśli Dolinę?

Hewe skinął głową.

–Zaprowadzisz mnie tam? – W głosie Kaia brzmiała natarczywość. Hewe spojrział na Jordana, który rzekł:

–Wyprawa do Doliny może okazać się chybioną decyzją.

–Dlaczego?

–Gemma przybyła do Doliny jakieś... półtora miesiąca temu. – Jordan spojrział na Hewe'a, który to potwierdził. – I przez cały ten czas nie mieliśmy od niej żadnej wiadomości.

Ja też - pomyślał Kai.

–Wciąż jednak sądzimy, że nie ma powodu, by się czymkolwiek martwić – ciągnął

Jordan. – Dolina to społeczność samowystarczalna – utrzymuje niewielki lub żaden kontakt z zewnętrznym światem. Jednak Gemma pojechała tam nie tylko po to, by odpocząć, lecz również, by towarzyszyć przy narodzinach dziecka przyjaciółki.

Dziecka? – Kai przypomniał sobie swój ostatni kontakt z Gemmą, ów zagmatwany i oszalamiający sen o krwi i bólu – oraz gniewne odrzucenie jego obecności. Oczywiście!

–Kim jest ta przyjaciółka? – zapytał.

–To Mallory – odparł Hewe. – Wieloletnia przyjaciółka Ardena. Dźwięk imienia Ardena spowodował, że Kai się wzdrygnął, lecz ukrył swoje

uczucie i nic nie powiedział.

–Dziecko powinno wkrótce przyjść na świat – wtrącił Jordan.

–Lada dzień potwierdził jego zastępcę. *Urodziło się dwanaście dni temu* - pomyślał Kai, lecz nie powiedział tego głośno.

–Gemma powiedziała nam, że wróci, gdy tylko się upewni, że Mallory i dziecko czują się dobrze.

–Ile czasu zająłby jej powrót tutaj? – zapytał szybko Kai.

–Okolo dziesięciu dni – odpowiedział mu Hewe.

–Moim zdaniem – rzekł Jordan – jeśli teraz wyruszysz, możesz się z nią minąć. Lepiej zrobiłbyś, czekając tutaj. Możemy przecież wysłać do niej posłańca, tak na wszelki wypadek.

To brzmiało sensownie. Jeśli dziecko rzeczywiście urodziło się dwanaście dni temu, o czym był przekonany, wówczas Gemma niemal na pewno wyruszyła już w drogę powrotną.

–Muszę przyznać, że miałem swój cel, proponując ci, byś tutaj pozostał – wyjął

Jordan. – Mamy w naszej organizacji kilka osób obdarzonych magicznym talentem.

Wybacz, co powiem, ale jeśli naprawdę jesteś czarodziejem, wówczas ich zdolności okażą się doprawdy niewielkie w porównaniu z twoimi.

Ostatnim czarodziejem - pomyślał Kai, zaskoczony, że pozorne powątpiewanie brzmiące w słowach Jordana nie rozgniewało go.

–Twoje czarodziejstwo jest obce tej krainie – rzekł czarnoskóry mężczyzna. – I jeśli zechciałbyś nam pomóc, wiele moglibyśmy się od ciebie nauczyć.

Mogłeś mnie nauczyć - Kai skrzywił się, gdy przypomniał sobie pełne żalu słowa Gemmy. Dalej milczał.

–Szczególnie – ciągnął Jordan – chciałbym, abyś zobaczył komnatę błękitnych płomieni. Odkąd wyjechała Gemma, nie możemy się tam dostać i jeśli mamy planować wyprawę na Dalekie Południe, chciałbym zobaczyć, co teraz mówi księga.

Wzmianka o komnacie błękitnych płomieni wielce zainteresowała Kaia. Jordan miał nadzieję, że skłoni go to do pozostania w Nowym Porcie. Był przekonany, że wiele mogą nauczyć się od

czarodzieja.

–Zatem planujecie wyprawę na południe? – zapytał Kai.

–Tak. Obiecałem Gemmie, że gdy tylko zakończymy odbudowę, wyprawimy się na południe – odparł Jordan. – A to jeszcze jeden powód, by sądzić, że wkrótce tu będzie. – Przerwał. – Są jeszcze inne powody przemawiające za wyprawą, o których chciałbym ci opowiedzieć – dodał.

–Zostaję – stwierdził nagle Kai. – Czy możecie wysłać posłańca z wiadomością ode mnie, jeszcze dzisiaj?

–Dopilnuję tego – rzekł Hewe i wyszedł, by poczynić odpowiednie przygotowania.

Jordan uśmiechnął się szeroko. Wziął szklanekę i wznosił toast.

–Witamy w Wielkim Nowym Porcie i w tutejszej organizacji Podziemia –

powiedział oficjalnym tonem. – Oby nasza przyjaźń była długa i nawzajem korzystna.

Kai uniósł szklanekę i spełnił toast. Nagle poczuł głód i gdy zaczął jeść, Jordan i Zana uśmiechnęli się do siebie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

–To jest Wray – powiedział Hewe. – Biadolący, mały łajdak, ale jest dla nas przydatny.

Oczy Wraya miały wyraz oczu zaszczutego zwierzęcia, a on sam wzdrygnął się, gdy ich zauważył. Choć spędzał niewiele czasu ze swymi dawnymi towarzyszami z kompanii jeźdźców, wciąż nosił szare szaty. Był to jego jedyny akt sprzeciwu wobec świata, który teraz traktował go z pogardą.

Wray przybył do Wielkiego Nowego Portu blisko półtora miesiąca temu i choć początkowa reakcja Podziemia na jego obecność daleka była od serdeczności, zaszyfrowana wiadomość od Hewe'a pozwoliła mu wejść do miasta. Skontaktował się z Jordanem, przyznał do swojego dawnego fanatyzmu i poprosił o danie mu szansy. Wielu ludzi wciąż odnosiło się podejrzliwie do Szarych Jeźdźców. Nawet szczerą pomoc Galara nie mogła zmienić tego nastawienia. Ostrzegano Jordana, by nie ufał Wrayowi. Prawda o wszystkich jego występkach nigdy nie zostanie ujawniona – dowodzili – a Wray był znany ze szczególnego okrucieństwa – brał udział w handlu niebezpiecznymi nasionami smoczego kwiecia i w porwaniach. Sugerowano, że dla takiego człowieka nie może być miejsca w ich Podziemiu.

Jordan uznał jednak, że skrucha Wraya jest prawdziwa. Niedawne upokorzenie, jakiego doznał od Ardena, Gemmy i Hewe'a, oraz odrzucenie przez dawnych towarzyszy złamało go. Nawet jego zdolność kontrolowania żywiołów – talent, który dał mu władzę -została mu odebrana. Jego poczucie własnej godności legło w gruzach; bał się – dosłownie niemal – własnego cienia.

Duża grupa Szarych Jeźdźców założyła stały obóz na zachód od Nowego Portu. Teraz, kiedy opuścili pustynne jaskinie Mrocznego Królestwa, obóz stał się ich kwaterą główną. Kilkakrotnie dowiedli, że są prawdziwymi sprzymierzeńcami, działając jako zwiadowcy oraz eskortując konwoje z dostawami idące nabrzeżną drogą. Wielu ludzi wciąż z obawą reagowało na ich złowieszczy wygląd i z trudem hamowaną porywczosć, lecz Jeźdźcy zrobili naprawdę dużo, by poprawić swoją reputację – gwałtowników i fanatyków.

Otrzeźwienie spłynęło na Galara i jego młodego zastępcę – Tomasa, jak również na wielu ich towarzyszy. Ta grupa potrafiła okiełznać swych, co dzikszych współbraci.

Jednak bezczynność przygnębiała wielu Jeźdźców. Nie mając, z kim walczyć – teraz, kiedy przybysze z północy nie byli już wrogami – tęsknili za dniem, kiedy będą mogli wyruszyć na południe. To tam właśnie, z czym wszyscy się zgadzali, znajdowała się siedziba ich prawdziwego wroga.

Ich obóz był często głośnym, hałaśliwym miejscem, wrzącym namiętными kłótniami i scysjami, lecz w zasadzie Jeźdźcy zamykali się w swoim kręgu i wychodzili do miasta tylko wówczas, kiedy ich o to poproszono.

Jordan nie chciał, aby Wray przebywał w obozie. Jego dawny fanatyzm mógłby łatwo obudzić się na nowo, a on sam mógłby stać się obiektem wielu uraz, tak, więc postanowił zaufać własnemu osądowi. Wykorzystał wiedzę Wraya i polecił mu, by zajął się badaniem ściany błękitnych płomieni pod ruinami wieży. Nikt nie był w stanie wejść do tej komnaty, odkąd opuściła ją Gemma, Arden i myrkety, a Jordan pragnął skorzystać z każdej możliwości, która umożliwiłaby mu przeczytanie czegoś jeszcze z tajemniczej księgi.

Wray skwapliwie skorzystał z tej szansy, choć utracił już wiarę we własne zdolności. Jego pierwsze próby skończyły się niepowodzeniem, wzmogło to jednak determinację i Wray zamknął się w miejskich archiwach wyszukując stare zapiski dotyczące żywiołów, ukrytej komnaty i wszystkiego, co choć w najmniejszym stopniu wiązało się z jej tajemnicą. Co jakiś czas wracał do lśniącej ściany i sprawdzał nową teorię, lecz jak dotąd, jego wysiłki okazywały się bezowocne.

Teraz został wezwany na spotkanie z Hewe'em i jakimś obcym przybyszem. Czekał w komnacie tuż przy zaczarowanej ścianie i by nie tracić czasu, postanowił wypróbować swoje ostatnie odkrycie: tak zwaną kartę mocy, którą znalazł w pewnym liczącym całe wieki tomie. Jednak ściana pozostała nieprzenikniona.

Hewe przemówił i na dźwięk jego głosu Wray podskoczył. Ów podobny do niedźwiedzia mężczyzna zawsze napawał go lękiem, lecz tym razem jeszcze większa groźba kryła się w jego słowach.

–To jest Kai. Jest czarodziejem – z północnych wysp.

–Ja... nigdy nie chciałem ich krzywdzić – wyjąkał Wray. – Wprowadzono mnie w błąd, okłamano. Teraz wiem, że prawdziwy wróg jest na południu. Ludzie z północy są naszymi przyjaciółmi!

Kai przeniósł wzrok z przerażonego mężczyzny na Hewe'a.

–Nie zawsze mówił tak mądrze jak teraz – stwierdził zastępca Jordana. – Bogowie wiedzą, co miał na sumieniu, nim został oświecony.

–Nic! Nic! – zaprotestował piskliwym głosem Wray.

–Być może powinienem pozwolić, by Kai przeczytał twoje myśli – zasugerował Hewe, uśmiechając się. – Wówczas dowiedzielibyśmy się, co też naprawdę zawiera twoja pamięć.

Panika ukazała się w oczach Wraya, a Kai – obserwując go – zastanawiał się, jakież to pożytek może sobą przedstawiać to żalodne stworzenie. Czarodziej starał się, by przerażenie, wywołane sugestią Hewe'a, nie odbiło się także na jego twarzy. Wielki mężczyzna najwyraźniej niewiele wiedział o zasadach magii. Ingerencja w umysł innej ludzkiej istoty, poza wyjątkowymi przypadkami – była niedopuszczalna, wręcz nie do pomyślenia.

–Ale nie martw się – rzekł radośnie Hewe. – Kai nie będzie marnował na ciebie ani czasu, ani energii. Przybył tutaj, by dostać się tam – i Hewe wskazał ścianę błękitnych płomieni. – Czy poczyniłeś jakieś postępy?

–Nie! – odkrzyknął Wray, nie mając pewności, czy czuć wdzięczność, czy też urazę za to, że czarodziej przejmuje jego zadanie. – One mnie nienawidzą.

–Kto cię nienawidzi? – zapytał Kai.

–One – odparł, a jego twarz skurczyła się. – Żywioly, które tam są. Stłoczone są tak ciasno, są takie zimne i twarde... nie potrafię ich poruszyć.

–Siedzi tu od wielu dni i nic nie osiągnął – rzekł Hewe. – Choć, przypuszczam, to go powstrzymuje przed robieniem innych głupstw. Zajmuj się tym dalej. Nie sprawisz Kaiowi żadnych kłopotów, prawda, człowieczku?

Wray potrząsnął gwałtownie głową.

–Zawiadom mnie, gdybyś czegoś potrzebował – zwrócił się Hewe do Kaia i odszedł.

Dwaj mężczyźni stali przez chwilę w milczeniu, Kai – obserwując gwałtowne zawirowania bariery, a Wray – Kaia.

–Powiedz, czy potrafisz porozumieć się z żywiołami? – odezwał się w końcu Kai.

–Nie z tymi – odparł Szary Jeździec. – Choć potrafiłem kontrolować te na zewnątrz, wolne. – W jego głosie zabrzmiała nuta dumy, lecz zniknęła wraz z następnym zdaniem. – Ale utraciłem tę umiejętność.

–Nigdy nie widziałem wolnego żywiołu – rzekł Kai, wciąż nie spuszczać wzroku z pulsującego ekranu. – Opowiedz mi o nich.

Wray wlepił w czarodzieja zdumione spojrzenie, jak gdyby Kai przyznał właśnie, że nigdy nie widział padającego deszczu. Żywioly od zawsze były częścią jego życia, a

przynajmniej od czasu, kiedy, jeszcze jako dziecko, odkrył, że potrafi przestraszyć innych chłopców, każąc którejs z tych dziwnych istot podążać za sobą.

–Są stworzeniami zbudowanymi z czystej energii – zaczął z wahaniem. – Potrafią poruszać się szybciej niż dźwięk i przyjmować dowolny kształt. – Zaczął opowiadać

Kaiowi to wszystko, co wiedział o tych tajemniczych istotach, zdumiony, że czarodziej

słucha tak uważnie. Przecież wszyscy to wiedzą!

–Zatem spotyka się je najczęściej na terenach najbardziej dotkniętych

Zniszczeniem...

–Zrównanie? – zapytał Kai.

–Tak. Ale mogą być wszędzie. Czarodziej zamyślił się głęboko.

–Opowiedz mi jeszcze raz, w jaki sposób je kontrolowałeś? – powiedział zamyślony.

–Siłą woli – odparł natychmiast Wray, odzyskując pewność siebie. – Nie każdy to potrafi. Po prostu musiałem im pokazać, kto jest panem, reszta była już łatwa.

–Łatwa?

–Cóż, najpierw trochę sprzeciwiały się – przyznał Wray – ale w końcu musiały się podporządkować. Tak to wyglądało.

Kai skinął z roztargnieniem głową, najwyraźniej myśląc o czymś innym.

–A te? – zapytał, wskazując na błękitną ścianę.

–Te nic – odparł Wray. – Są niewzruszone. Początkowo myślałem, że musiano wykorzystać tutaj inną formę mocy, ale wszystkie stare zapiski, jakie znalazłem, wskazują, że to są żywioly. Siła, której musiano użyć, by je zespolić, jest niewiarygodna!

Kai podszedł wolno ku migoczącej barierze. Gdy się zbliżył, stwierdził, że nie może skupić wzroku na jasnych, wirujących wzorach, lecz uczucie wielkiej mocy było niewątpliwe. Starożytni mistrzowie, którzy stworzyli tę komnatę, zagrodzili do niej drogę z niespotykaną nigdy potem zręcznością i okrutną precyzją. A jednak bariera nic była nieprzenikniona. Gemma zdołała do niej wejść.

I Arden.

Jak?

W miarę jak narastała w nim niechęć do tajemniczego towarzysza Gemmy, pulsowanie ekranu stawało się coraz jaśniejsze. Ekran odrzucał go. Czuł to wyraźnie jako narastający ucisk w piersiach.

Sprzeciwiały się trochę.

Kai tak się zamyślił, że nie zauważył przybycia roju. Pszczoły odpowiedziały na jego podświadome wezwanie, opuściły ul i podążyły za nim labiryntem tuneli rozciągającym się pod miastem. Wraya ogarnęło przerażenie i umknął do wejścia po drugiej stronie komnaty. Zdjęty strachem przyglądał się, jak pszczoły krążyły nad głową niezaniepokojonego niczym czarodzieja.

Strach i nienawiść. Tym jest ta siła - rozmyślał Kai. A co jeśli...?

Sięgnął pamięcią wstecz, by odnaleźć coś, co było mu teraz potrzebne. I znalazł to w śmiechu małej dziewczynki sprzed wielu, wielu lat. Rój pochwycił jego myśli i wzmocnił je, rozjaśniając obrazy z przeszłości. Pszczoły również lubiły wspomnienia o Gemmie.

Kai postąpił naprzód. Napotkał tak silną falę nienawiści, że niemal się zachwiał. Wypełniały go mieszane uczucia, zagrażając wyparciem radości, jaką znalazł we wspomnieniach o księżniczce. Wówczas pszczoły jeszcze raz rozjaśniły jego pamięć -odpychający go ucisk zmniejszył się i mógł teraz skoncentrować się na uczuciach emanujących od uwięzionych żywiołów. Znowu krok naprzód – i znalazł się w marmurowej komnacie.

Kai odwrócił się, by jeszcze raz zbadać błękitny ekran, przerażony bezlitosnym okrucieństwem wynikającym z samego faktu jego istnienia.

To są żywe istoty!

Myśl o ich wiecznym uwięzieniu okazała się dlań niemal nie do zniesienia.

Nic dziwnego, że strach i nienawiść są tak silne.

Ostatnie pszczoły dołączyły do niego, przenikając przez ścianę jak bańki powietrza przez wodę. Ruszyli razem, by zbadać komnatę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Sala była niemal pusta. Marmurowe płyty ścian, podłogi i stropu ułożono w zimne, bezosobowe szeregi. Jedyne meblowanie stanowił marmurowy stół, ustawiony w głębi pomieszczenia. A na nim leżała wielka księga. Kai poczuł dziwną niechęć, by do niej zajrzeć. Ruszył, więc wzdłuż ścian, udając, że bada ich konstrukcję. Pszczoły były mądrzejsze – poleciały prosto do stołu, osiadając zawiłym, pełzającym wzorem na jego blacie. Kai zaniechał udawania i zbliżył się do księgi z sercem przepełnionym lękiem.

Czy naprawdę chcę to przeczytać? A jeśli ta księga opowiada o klęsce Gemmy? Albo mojej? Czy nie lepiej czekać, nic nie wiedząc, na to, co przyniesie los, lub stawić mu otwarcie czoło, choćby tylko z odrobiną nadziei w sercu?

Spojrzał na otwarte stronicę, pochylił głowę i przeczytał opis bitwy, jaką Gemma stoczyła na wieży, która niegdyś wznosiła się nad tą komnatą. Po raz pierwszy uświadomił sobie wagę tego konfliktu – i zrozumiał, jak niewiele dzieliło Gemmę od porażki. Wciąż nie potrafił do końca zrozumieć, w jaki sposób udało się jej pokonać przeciwnika, lecz wiedział, że to nie on jej pomógł.

–“Tylko jedna siła mogła go powstrzymać, a ona – z powodu swej niewiedzy i upartego trwania przy przestarzałych ideałach – niemal zawiodła” – przeczytał.

Zabrzmiało to niepokojąco. Kai zebrał całą odwagę i czytał dalej.

–“W końcu jednak Słudzy Ziemi osiągnęli chwilowe zwycięstwo, kiedy

Strażniczce Klucza do Snu...”

Słowa te poruszyły umysł czarodzieja. Natrętne wspomnienia próbowały zawładnąć jego pamięcią, lecz najgłośniejsz rozbrzmiewały słowa: “Klucz do Snu”. *Gdzie już to słyszałem?* Przelotna myśl skojarzyła dwa fakty. Shanti zaczął swój cytat od słów:

Zapamiętaj Sen

I to, skąd przychodzi.

A potem kot zauważył: “Klucz otworzy drzwi. Ale wiadomo, że zamki mogą być zmienione”.

Ani jedno, ani drugie nie miało wówczas sensu.

Czy to może się ze sobą łączyć? Kluczem do Snu jest Gemma – to oczywiste, ale...

Czytał dalej, wciąż nie mogąc do siebie dopasować kawałków układanki.

“...uwięzionej w stalowej twierdzy, udało się wskrzесиć doktryny magii i skierować moc Zwiastuna Zguby przeciwko niemu samemu”.

“Jednakże to niepowodzenie pobudziło tylko siły Dalekiego Południa do jeszcze większych wysiłków. Ich eksperymenty szybko zaczęły dawać rezultaty i wkrótce mogli porzucić wykorzystywanie starożytnej mocy, zastępując ją nową nauką, którą stworzyli. Dotychczasowi przeciwnicy nie potrafili się im przeciwstawić i wkrótce ich wpływy objęły cały świat. Stary porządek został zniszczony”.

“Rozpoczął się Wiek Chaosu”.

Kai, czując, jak łomocze mu serce, wyciągnął rękę i ujął skraj kartki, chwytając ją kciukiem i palcem wskazującym. Papier sprawiał wrażenie grubego, lecz kruchego -niemal oczekiwał, że rozpadnie się w proch, gdy przewracał stronę.

Najpierw pomyślał, że następna strona jest pusta, lecz potem zobaczył litery. Nie układały się jednak w słowa – nieuchwytnie i migoczące przesuwwały się przed jego oczami. Wpatrywał się w nie, lecz to nic nie dało, i czuł, że wraz z oszołomieniem rośnie w nim gniew. Rój odpowiedział zaniepokojonym brzęczeniem.

Kai zamknął oczy, starając się uspokoić. Długie lata władzy nad swoją magiczną mocą obdarzyły go umiejętnością samokontroli i opanowywania uczuć. Uspokoił się, pozwalając, by iskry energii wzniosły się i połączyły na jego rozkaz.

Jestem czarodziejem - powtarzał.

Ostatnim czarodziejem - zakpił cichy głos.

Przeczytam tę księgę - upierał się, starając się wzmocnić swoją wiarę.

Kiedy Kai otworzył oczy i spojrzał ponownie na leżącą przed nim rozwartą księgę, to co ujrzał, wprowadziło go w zdumienie. Pszczoły pokryły całą księgę łagodnie falującym kobiercem czerni i złota.

Co robicie? - zapytał, mając nadzieję, że instynktownie znalazły odpowiedź.

Rysujemy obrazki - zabrzmiało zagadkowo.

W pełzającej masie owadów otworzyło się okienko. Kai obserwował, jak królowa porusza się niespiesznie, jakby z rozmysłem tam i z powrotem po wolnej od owadów powierzchni. Na odsłoniętym fragmencie stronicy pojawiały się wtedy słowa. Jednak po

paru chwilach delikatne pismo zaczynało niknąć; czarodziej pochylił się nad księgą i odczytał z niepokojem.

Rzeki kamienia.

To wszystko? - zapytał szybko.

Królowa przesunęła się ku następnemu okienku, które właśnie otworzyło się w masie pszczoł. Cały proces powtórzył się.

Ognie na niebie.

A potem:

Długa, zimna ciemność.

To ponowne Zniszczenie - pomyślał Kai, czując, jak ogarnia go przerażenie.

Następna wiadomość była mniej apokaliptyczna – lecz tym bardziej niezrozumiała.

Po Jeden stanie się wieloma pojawiły się słowa: przypadkowe podziały... nie do przebycia.

Następna fraza miała przynajmniej odrobinę sensu.

Powstrzymać ognie żywiołów.

Kai czekał na kolejne informacje, lecz pszczoły opuściły już księgę, rozpełzły się po stole i wzleciały w powietrze. Przyglądał im się z rozpaczą.

Czy nie możecie pokazać mi niczego więcej? - zapytał błagalnym tonem.

Niektórych obrazków nie można narysować - odparł rój, a jego, złożony z wielu tonów, głos zabrzmiał smutno.

Nie przyszedłem tutaj po to, by przeczytać kilka niezrozumiałych i bezsensownych zdań. To nie może być wszystko!

Pszczoły były już w powietrzu i stronicy księgi stały się znowu nieczytelne. Jeśli mógł cokolwiek zobaczyć, było to jeszcze bardziej rozchwiane i nieuchwytnie – jakby prastary tom czuł urazę za wymuszone – choć częściowe – odsłonięcie jego tajemnic.

Kai przewrócił stronę. Jego spojrzenie zatrzymało się na czystej kartce, potem na kilku następnych. Cofnął się i ponownie odczytał fragment o “chwilowym zwycięstwie” Gemmy. Potem, kierowany odruchem, cofnął się do samego początku i znowu przebiegł wzrokiem początkowe wersy.

Popłynęły słowa z mitów i legend, słowa z książek i opowieści, lecz gdy tylko skończył zdanie, uświadomił sobie, że nie pamięta tego, co przeczytał, więc zaczął od nowa. Słowa były jasne i zrozumiałe, lecz prześlizgiwały się przez jego umysł jak żywe srebro.

Spróbował ponownie z następną stroną – było tak samo. Zaczęła go potwornie

boleć głowa, a wzrok mu się zamglił.

Widziałeś to, co miałeś zobaczyć.

Myśl pojawiła się nieproszona. W pierwszym odruchu uznał, że to rój, lecz potem uświadomił sobie, że pszczoły milczą. Zadrżał, nagle zziębnięty, i poczuł, jak chłód marmurowych stuleci sączy się w jego kości.

Delikatnie zamknął księgę. Spodziewał się, że ujrzy obłok wzbijającego się kurzu, lecz nie zobaczył ani pyłka. Cały jego rozum mówił mu, że nie dowie się tu już niczego więcej; skądkolwiek pochodziła ta wiadomość, jej ostateczność była niewątpliwa.

Kiedy się odwrócił, by spojrzeć na barierę błękitnych płomieni, pszczoły uprzedziły jego kolejny ruch i przeleciały obok niego, kierując się w stronę tajemnego wyjścia.

Powstrzymać ogień żywiołów.

Dopiero teraz Kai zaczął się zastanawiać, jak wydostać się na zewnątrz. W swej niewiedzy zdołał przedrzeć się przez ścianę żywiołów, kształtując swoje myśli i uczucia w sposób, który spotęgował jego własne możliwości. Lecz teraz znał już prawdziwą naturę bariery. Gwałtowna zmiana nastroju i sprzeciw wobec sposobu, w jaki ją zbudowano, uniemożliwiały mu przywołanie tych pozytywnych uczuć, które były konieczne, by otworzyć przejście. Bezduzna logika, z jaką zaprojektowano gorejącą ścianę, budziła zarówno podziw, jak i odrazę. Skazując żywioły na wieczne, znieprawione uwięzienie, starożytni czarodzieje sprawili, że wzbudzały one strach, nienawiść i grozę, a te emocje uniemożliwiały pokonanie straszliwej przeszkody.

Kai nienawidził czarów, które uwięziły żywioły, i pragnął zakończyć ich męczarnię – lecz wiedział, że taki akt przekracza jego możliwości.

Pszczoły doleciały do bariery, zaczęły krążyć wokół, czekając na swego pana. Kai stał niepewnie pośrodku komnaty.

Czy nie ma stąd innego wyjścia?

Choć nie skierował tego pytania bezpośrednio do pszczoł, rój odpowiedział.

Jest. Ale tylko gdybyś potrafił latać.

Kai uniósł wzrok na wysoki sufit i zrozumiał, co miały na myśli. Widniał tam, wycięty z wielką precyzją w marmurze, kwadratowy otwór, za nim zaś panowała absolutna ciemność. Pszczoły wzleciały w górę, by go zbadać, a część z nich zniknęła w ciemności.

Jest zamknięty - zameldował ich wielotonalny głos. Czarny metal.

Zwiadowcy wyłonili się z otworu.

Więc tam znajdowało się wejście z wieży na górze - pomyślał Kai, zastanawiając się, co Mendle zdołał przeczytać z książki. W jaki sposób ta książka decyduje, co powinna

ujawnić – i komu? Czarodziej potrząsnął głową. Zbyt wiele pytań i tak mało odpowiedzi, a on wciąż tu tkwił, nie potrafiąc rozwiązać problemu, jak się wydostać.

W jaki sposób przedostajecie się przez błękitny płomień? - zapytał pszczoły.

Miodowe śmiejące się zdrowe komórki - odparły. Rój się odnawia.

Kai potrzebował trochę czasu, by to zrozumieć. Jego rozmowy z pszczołami zazwyczaj bywały jasne, proste i zrozumiałe. Ich pszczela natura z rzadka tylko dochodziła do głosu, a kiedy się to działo, ludzkie analogie były zwykle oczywiste. Tym razem było jednak inaczej. Rój najwyraźniej przywoływał wspomnienia rodowe i próbował wyrazić je najlepiej jak umiał. Sięgając do samych podstaw swej egzystencji, pszczoły potrafiły nadać odpowiednie zabarwienie własnym, prostym uczuciom – i w ten sposób wpływać na uczucia żywiołów. Przynajmniej raz zachowywały się jak pszczoły – a nie jak przyjaciel czarodzieja.

Po raz pierwszy w życiu Kai zadał sobie pytanie, czy pszczoły odnoszą korzyść z ich związku. Kiedy odnalazł rój, jego radość i zdumienie były tak przemożne – oczekiwane pojawienie się pierwszego przyjaciela czarodzieja zawsze było chwilą wielkiej radości i wzruszenia – że nawet nie przyszło mu do głowy zastanowić się nad ich stosunkiem do siebie. Zawsze zdawały się dzielić jego szczęście, lecz teraz zaczął zastanawiać się nad tym, z ilu rzeczy muszą zrezygnować, szczególnie wówczas, kiedy – tak jak teraz – zmusił je do tak dalekich podróży.

Pokaż mi, poprosił nieśmiało.

Rój podleciał do swego pana i zaczął okręgać jego głowę w zawrotnym wirze przezroczystych skrzydeł. Wkrótce ich bzyczenie stało się jedynym słyszalnym dźwiękiem, i choć Kai nie bał się, to jednak był oszołomiony. Nigdy przedtem pszczoły nie traktowały go w ten sposób. Zamknął oczy i zmusił się do przyjęcia wszystkiego, co usiłuje zrobić rój, by on mógł stać się jego częścią.

Stał się częścią roju.

Instynkt przebudził się w nim jak nagły wybuch ognia. Lot stał się czymś naturalnym, porozumiewanie się pustym pojęciem. Cała wiedza roju stała się jego udziałem. Obowiązek, ochrona, poczucie porządku – jak geometryczna perfekcja komórki w ulu - ułożyły się w jego umyśle. Miodowe śmiejące się zdrowe komórki.

Gdzieś tam, jakiś człowiek imieniem Kai uśmiechnął się nad prostotą tego wszystkiego. Rój się odnawia. Nieskończone pokolenia, wciąż zmieniające się, zawsze niezmiennie. Bezinteresowna, radosna nieśmiertelność.

Zawsze latałeś z nami. Głos roju zabrzmiał głośno w jego głowie. Ale dopiero teraz to dostrzegłeś.

Dlaczego nigdy przedtem nie pokazałyście mi tego?

Nigdy o to nie prosiłeś. Było to proste stwierdzenie faktu, bez śladu wyrzutu.

Jak wiele mnie ominęło? - zastanowił się Kai.

Otworzył oczy – i stwierdził, że patrzy wprost w zdumioną twarz Wraya.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Za Kaiem rozległ się głośny trzask i czarodziej odwrócił się, by spojrzeć na ścianę błękitnych płomieni – zimną i potężną jak zwykle. A jednak przedostał się! Nie doznawał żadnego uczucia ruchu, kiedy leciał z rojem, ale przecież udało mu się dokonać niemożliwego.

–Myślałem, że zniszczyłeś ją – powiedział cicho Wray. *Zniszczyłem ją?* - pomyślał ze zdumieniem Kai, odwracając się do Jeźdźca.

–Co tu się działo? – zapytał.

–Przez jakiś czas, nic – odparł Wray. – Byłeś tam przynajmniej godzinę. – Przerwał, mając nadzieję, że Kai opowie mu, co odkrył w komnacie, lecz czarodziej milczał, nieobecny i oszołomiony. Wray przezwyciężył, więc ciekawość i mówił dalej: – Potem pszczoły zaczęły wynurzać się ze ściany i zanurzać z powrotem tak szybko, że nie mogłem nadążyć za nimi wzrokiem. Ściana zaczęła chwiać się pośrodku, potem nagle nie było tam już nic. Zupełnie nic! Wyplynałeś z komnaty z zamkniętymi oczami – byłeś tak nieruchomy, że pomyślałem, że zmieniłeś się w kamień.

Wyplynałem?

–Potem otworzyłeś oczy i – huk! – ściana znowu się pojawiła – zakończył Wray. –

Jak gdyby nic się nie stało. – Spojrzał pytająco.

Co się wydarzyło? - zastanawiał się Kai, wciąż pogrążony w myślach.

–Widziałem marmurową komnatę – rzucił niecierpliwie Wray, lecz czarodziej milczał. – Czy to, co leżało za tobą, to była książka? Przeczytałeś ją? – Jeździec próbował bezskutecznie ukryć swoją rosnącą ciekawość i jego głos przybrał jękliwy, płaczliwy ton. –

Jak poruszyłeś ścianę? Muszę to wiedzieć! – Zrobił krok w stronę Kaia, w jego oczach błysnął cień dawnego fanatyzmu. – Powiedz mi!

Kai ocknął się wreszcie z zamyślenia i zobaczył przycajonego jak do ataku Wraya. Oczy czarodzieja zapłonęły blaskiem mocy i Wray zatrzymał się w miejscu.

–Powiem ci – rzekł Kai – ale nie jestem pewien, czy zrozumiesz. Sam nie wiem, czy
zrozumiałem.

–Jak Wray przyjął twoje wyjaśnienia? – zapytał Jordan.

–Niezbyt dobrze – odpowiedział Kai. – Nie potrafi pogodzić swojej dawnej dominacji nad
żywołami z tym, co teraz jest potrzebne, by je okiełznać – radością i szczęściem. Mówił, że w
starych zapiskach o niczym takim nie wspomniano.

–Przypuszczam, że czarodzieje, którzy zbudowali barierę, dobrze o to zadbali – rzekł z
namysłem Jordan.

–W końcu straciłem do niego cierpliwość – przyznał Kai.

–Nie ty pierwszy – zauważył Hewe. – To mała, nędzna kreatura.

–Ale jest pracowity i wszystko wskazuje na to, że potrzebuje pomocy – podkreślił Jordan. –
Być może, kiedy zrozumie to, co naprawdę uczynił Kai, będzie to dla niego pierwszy krok na
drodze do przyzwoitości.

Hewe tylko chrząknął.

Kai opowiedział przywódcom Podziemia wszystko, co wydarzyło się w komnacie błękitnych
płomieni, potem opisał reakcję Wraya. Jordan i Hewe słuchali w milczeniu, a ich twarze nie
zdradzały zdziwienia nawet wtedy, kiedy Kai niepewnym głosem opisał swój 1 o t. Najbardziej
zaciekało ich jego przejście przez ścianę żywołów oraz – rzecz oczywista – owe fragmenty
księgi, które zdołał przeczytać. Bystry umysł Jordana od razu spróbował złożyć układankę,
dodając odkryte właśnie ślady do tych, które już znał.

–Pierwsze trzy wzmianki to zwykły opis – rzekł wolno. – Na pierwszy rzut oka jest to opis
tego samego spustoszenia, o którym mówili Wynut i Shanti – i które widziałeś w swoim śnie.

–Mam nadzieję, że Gemma nie myliła się mówiąc, że znowu możemy zmienić tę księgę –
zauważył Hewe. – Jak dotąd, nie wynika z niej, żeby nasza przyszłość była zbyt radosna.

Uśmiechnął się, i Kaia zdumiała jego pozorna nonszalancja.

–Brak wyobraźni, oto mój problem – przyznał radośnie Hewe. – Bycie tępym ma
niekiedy swoje dobre strony.

Kai wiedział doskonale, że można było o nim powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest tępym.
Milczał, podziwiając sposób, w jaki ci dwaj mężczyźni potrafią żartować z najbardziej
przeróżających spraw. Była to jakaś forma odwagi, i to taka, o której wiedział, że nie potrafi
jej naśladować.

–Czy mam zacząć zbierać grupę do wyprawy na południe? – zapytał Hewe. –

Trochę czasu zajmie przygotowanie koni i zapasów – i musimy w końcu zdecydować, kto wyruszy.

–Dobra myśl – rzekł natychmiast Jordan. – Nie ma sensu czekać chwili dłużej.

–Galar będzie zadowolony – powiedział Hewe. – Naprawdę zdumiewa mnie, że dotąd potrafił powstrzymać swoich ludzi przed wyruszeniem bez nas.

–Podróżowanie z nimi powinno być interesujące – zauważył sucho Jordan. –

Musimy się upewnić, że mamy dość własnych ochotników, by zapanować nad nimi w razie potrzeby. Ilu możemy zabrać?

–Szczere?

–Oczywiście.

–Ani jednego – stwierdził Hewe. – Ale czy to kiedykolwiek powstrzymało nas przed działaniem? – I zastępca Jordana wyszedł zdecydowanym krokiem.

–Co z Gemmą? – zapytał z niepokojem Kai.

–Zanim będziemy gotowi do drogi, minie parę dni – uspokoił go Jordan. – Posłaniec wyjechał dziś wczesnym rankiem, prawdopodobnie, więc Gemma wróci, zanim wyruszymy. Poza tym, chciałbym, byś zrobił coś jeszcze – jeśli zechcesz.

–Cóż takiego?

–Chciałbym, abyś wybrał się na zachód – odpowiedział Jordan. – Do Klevemouth.

Kai wyglądał na przygnębionego.

–Wrócisz tutaj przed powrotem Gemmy – dodał czarnoskóry mężczyzna, właściwie oceniając przyczynę obaw czarodzieja.

–Dlaczego do Klevemouth? – zapytał Kai.

Jordan nie odpowiedział od razu, zamiast tego podszedł do okna i wyglądał przez nie przez parę chwil. Potem powiedział:

–Chodź ze mną. Chciałbym ci coś pokazać.

Wyprowadził Kaia z budynku, a potem skierował się na zachód. Ich droga wiodła

obok poskręcanych i szerniałych szczątków wieży Mendle'a, ale żaden z nich nie zwrócił uwagi na makabryczne ruiny. Jordan stawiał wielkie kroki i Kai musiał się spieszyć, by nie zostać w tyle, gdy przemierzali uliczki i aleje.

–Dokąd idziemy?

–Do miejskich murów – odparł Jordan. – Do wieży przy zachodniej bramie. – Nie powiedział nic więcej.

Rój unosił się ponad nimi jak mała i głośna chmura, wywołując zdumienie wśród przechodniów. Kilka osób pozdrowiło Jordana, który odpowiadał serdecznie, lecz nikt nie zapytał o jego dziwnego towarzysza. Każdy mieszkaniec Nowego Portu wiedział, że Jordan nie robi niczego bez powodu, nikt się, więc nie wtrącał.

Pół godziny później dwaj mężczyźni stali na szczycie zachodniej wieży. Przed nimi ginęła w oddali wielka nabrzeżna droga, a trochę na południe Kai zobaczył obóz Szarych Jeźdźców. Na północy morze lśniło w promieniach zachodzącego słońca.

Jordan osłonił ręką oczy i zmrużył powieki, wpatrując się w dal. Kai powtórzył jego gest, zastanawiając się, czego wypatrują.

–Widzisz to? – zapytał Jordan. – Wkrótce będzie silniejsze, ale i teraz można to zobaczyć.

Kai nie wiedział, o czym mówi Jordan, dopiero po chwili zauważył słabą, zieloną obwódkę wokół słońca.

Gdy blask przygasł, korona stała się wyraźniejsza. Ognistą kulę otaczał pierścień zieleni, który przechodził w świetlisto-błękitny zewnętrzny krąg. Parę chwil później słońce przybrało kolor krwistej czerwieni, a zieleń zastąpiły różne odcienie purpury, lecz błękit nieba trwał niezmiennie. W końcu słońce zniknęło za horyzontem, lecz widnokrąg nie stracił swojej barwy.

–Kilka lig za Klevemouth – odezwał się Jordan, przełamując hipnotyczny czar zachodzącego słońca – wznosi się ogromna ściana żywiołów. Jest tak wielka, że – jak sam widziałeś – załamuje promienie słoneczne. W żaden sposób nie można się przez nią przedostać i nikt nie wie, co znajduje się po drugiej stronie. Wiemy, co tam kiedyś było, lecz teraz...

–“Przypadkowe podziały... nie do przebycia” – zacytował szeptem Kai. – Wobec ogromu tej bariery, ściana błękitnych płomieni w komnacie pod wieżą wydaje się drobnostką.

–Pomyślałem dokładnie to samo – rzekł Jordan.

Wpatrywali się w zachodni horyzont, póki przed ich oczami nie zaczęły tańczyć

kolorowe plamki.

–Jakiś czas temu ściana przestała się przesuwac – ciągnął przywódca Podziemia. –

Była nieruchoma. Ale właśnie otrzymałem wiadomość, że znowu ruszyła – w stronę

Klevemouth.

Kai wiedział aż nadto dobrze, czym to grozi – chaos i zniszczenie. Odwrócił się do swojego towarzysza i w jego oczach ujrzał odbicie własnych myśli.

Powstrzymać ogień żywiołów.

–Chciałbym, abys razem z Wrayem udał się tam i sprawdził wszystko na miejscu –

rzekł cicho Jordan. – Większość ludzi nie chce się nawet zbliżyć do ściany, a wy dwaj

jesteście naszymi jedynymi ekspertami.

–Pojadę – zapewnił go Kai – ale nie mam pojęcia, czy będę w stanie cokolwiek zrobić. Jeśli mam być szczery – wątpię. Jak daleko stąd do Klevemouth?

–W linii prostej jakieś pięćdziesiąt lig, ale podróżując drogą musisz dodać jeszcze niemal połowę tej odległości – powiedział mu Jordan.

Kai potrząsnął głową ze zdziwieniem. Tak daleko, a jednak tak wyraźnie widoczne!

–Może uda ci się przynajmniej zdobyć jakieś cenne informacje – rzekł Jordan,

widząc niedowierzanie w oczach czarodzieja. – Kto wie, jeśli to, co powiedział ci Wray,

jest prawdą, może będziesz mógł sprawić, by tamta bariera również zniknęła! –

Uśmiechnął się, lecz Kai nie zwrócił na to uwagi.

Przybyłem tu, by odnaleźć Gemmę, a nie po to, by ingerować w siły, których nie potrafię pojąć.

–Chodźmy – powiedział Jordan, przyjacielskim gestem kładąc rękę na ramieniu czarodzieja. – Dzisiaj nic już nie zdołamy zrobić. Chodźmy stąd i zjedzmy coś. – Ruszył przodem po spiralnych, kamiennych schodach. – Czy chciałbyś wziąć ze sobą jeszcze kogoś?

–Zanę – odparł natychmiast Kai, nieco zdziwiony własną stanowczością. – Ona... jest moim przewodnikiem po tej krainie – dodał.

–Dobrze – zgodził się Jordan. – Miałem nadzieję wykorzystać jej zdolności tutaj, ale jakoś poradzimy sobie i bez niej. Jestem pewien, że Hewe będzie chciał wyruszyć z tobą. – Kaia ucieszyła ta wiadomość. Obecność wielkiego mężczyzny z pewnością będzie działała uspokajająco. – Sam chciałbym ci towarzyszyć – dodał Jordan – ale jestem potrzebny tutaj. – Nie była to przechwałka ani fałszywa skromność, po prostu -stwierdzenie faktu.

Kolację zjedli razem w pokoju Jordana, dzieląc się prostym, lecz smacznym jedzeniem.

–Dlaczego zdecydowałeś się wysłać swoich ludzi na południe właśnie teraz? – zapytał w pewnej chwili Kai.

–Cóż, wiedziałem, że prędzej czy później będziemy musieli tam wyruszyć – odparł Jordan. – Ale fragmenty tego, co przeczytałeś w księdze, przechyliły szalę.

–Cóż takiego? – zapytał zaintrygowany Kai.

–Zdania: “ich eksperymenty szybko zaczęły dawać rezultaty” – odpowiedział

Jordan. – I: “nowa nauka, którą stworzyli”. – Przerwał. – Nie było ich w księdze, kiedy czytała ją Gemma.

–Och. – Kai zmagał się z wynikającymi z tego implikacjami. – Więc zmieniła się, i tym razem na gorsze?

Jordan skinął głową.

–Wydaje się, że niebezpieczeństwo jest coraz bliższe, coraz bardziej wyraźne -powiedział. – Biorąc pod uwagę księgę i to, co powiedział ci Wynut, jest oczywiste, że mamy coraz mniej czasu. Mówiąc uczciwie nie możemy dłużej oczekiwać od ludzi pracy, która może okazać się daremnym trudem, a z drugiej strony – musimy pracować dalej. Obawiam się, że nie wolno nam czekać dłużej – nawet, jeśli miałyby to być tylko pusty gest.

–Może uda się przynajmniej zdobyć jakieś cenne informacje – powiedział Kai, zaskoczony ponurym tonem Jordana.

–Najwyraźniej cytujesz jakiegoś mędrca – odparł Jordan, uśmiechając się. –

Przyjmuję twoją naganę.

Kai uśmiechnął się i Jordan widział przez chwilę w oczach czarodzieja iskierki dawnej wesołości i chłopięcej zuchowatości. Potem, tak samo szybko, jak się pojawiły, zniknęły i twarz Kaia znowu stała się poważna.

–To wszystko jest ze sobą połączone, prawda? – rzekł cicho czarodziej. – Wszystko – księga,

żywiły, Dalekie Południe, pożeracze nieba... – Jego głos zamarł, przytłoczony ogromem problemu. – Gdybym tylko potrafił coś z tego zrozumieć!

–Możemy spróbować – powiedział Jordan.

–Jak? – chciał wiedzieć Kai.

–Czy wierzysz w bogów? – zapytał cicho Jordan.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

–Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc bogowie – rzekł Kai. – Od czasu, gdy przybyłem do tej krainy, słyszę, jak ludzie o nich mówią, ale ja tego nie rozumiem. – Spojrzał wyczekująco na Jordana.

–Z natury jestem sceptykiem – zaczął przywódca Podziemia – ale zawsze fascynowały mnie wierzenia ludzi. Na tyle, na ile to mogę pojąć, bogowie są potężnymi istnieniami, które w jakiś sposób władają naszym losem. Wielu z nich jest czczonych w tym kraju. Niektórzy nie mają ciał i istnieją tylko jako duchy, podczas gdy inni przyjmują rzekomo postać ogromnych bestii. Niektórzy są wszytkowidzący i wszechobecni, inni zaś bardziej ograniczeni. Istnieją ludzie, którzy czczą wielu bogów, oraz inni, którzy kategorycznie twierdzą, że ich bóg jest jednym jedynym.

–Niczego takiego nie było na wyspach – powiedział Kai, próbując wyobrazić sobie te nadistoty, o których opowiadał Jordan. – Mamy Duszę Ziemi – dodał niemal z wahaniem. – Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą. Przywódca Podziemia uśmiechnął się.

–Jakbym słyszał prawdziwego fanatyka – powiedział. – Nie, proszę, nie obrażaj się – dodał szybko. – Po prostu jest tak, że gdy w grę wchodzi ludzkie wierzenia, tolerancja staje się trudno dostępnym towarem. I jestem pewien, że twoja żarliwość wynika z czego innego. – Uniósł ręce, by uprzeczyć to, co Kai chciał powiedzieć. – Gemma opowiedziała mi trochę o Umyśle Ziemi, a poza tym słyszałem jeszcze inne wersje bardzo podobnej idei. Proszę, popraw mnie, jeśli coś źle zrozumiałem.

Kai odchylił się na krześle i słuchał, zastanawiając się, do czego zmierza Jordan. Na razie nie potrafił dojść do żadnych wniosków, skoncentrował się, więc na jego słowach.

–Dusza Ziemi jest tak potężna, że jej sny stają się dla nas rzeczywistością i cały nasz świat zawiera się w sennych wizjach jej odwiecznego snu. Istnieje wiele ścieżek wewnątrz tego snu i ludzie mają moc wybierania pomiędzy nimi, lecz podstawowa struktura naszego świata i same ścieżki tworzone są przez Duszę Ziemi. – Jordan przerwał i Kai skinął potakująco głową. – Dusza Ziemi jest pojedynczą istotą – dodał Jordan – od której zależy istnienie nas wszystkich.

Zamilkli. Potem znowu odezwał się Jordan, recytując słowa, które Kai znał na pamięć, lecz które teraz zabrzmiały jeszcze bardziej złowieszczo.

Zapamiętaj Sen I to, skąd przychodzi. Szaleństwo dla Jednego Oznacza śmierć dla wszystkich.

Panika trzepotała w sercu czarodzieja, jak uwięziony w klatce ptak. W jego umyśle rodziły się myśli, których nieprawdopodobieństwo jeszcze chwilę przedtem byłoby oczywiste. Walczył z nimi, lecz nie potrafił pokonać ich nieubłaganej logiki. Zbyt wiele kawałków układanki pasowało teraz do siebie.

–Dusza Ziemi wpada w obłąd – szepnął.

Jordan milczał, podczas gdy Kai przesiewał swoje wspomnienia, układając je we wzory, które go zatrzażały, lecz których nie mógł teraz odrzucić.

–“Jeden staje się wieloma” – zacytował Kai. – To było w księdze.

–I jest to wcale dokładne określenie szaleństwa – zauważył rzeczowym tonem Jordan.

Kai przyłapał się na tym, że powtarza radę Wynuta, słowo za słowem.

–Wielkie niebezpieczeństwo zawisło nad światem. Niebezpieczeństwo zniszczenia na straszliwą, niespotykaną dotąd skalę... Choć jest możliwość, że do zniszczenia, którego się obawiamy, nigdy w rzeczywistości nie dojdzie, to nas nie uratuje. Obawa, że ono istnieje, może wystarczyć, by zgładzić nas wszystkich.

–Coś w przyszłości... – zaczął Jordan.

–W jednej z możliwych przyszłości – poprawił go Kai.

–...jest tak przerażające, że sama myśl o tym doprowadza Duszę Ziemi do szaleństwa.

–Więc nawet jeśli nie nastąpi – zakończył Kai – wciąż стоимy w obliczu nowego Zniszczenia.

–Wiek Chaosu – rzekł Jordan.

–“Musisz zapobiec nie tylko spełnieniu się niebezpieczeństwa, ale również wykluczyć możliwość, by kiedykolwiek się wydarzyło” – zacytował Kai. – Ale jak?

–Istnieją tylko dwa miejsca, które mogą nam dać odpowiedź – rzekł przywódca Podziemia. – Pierwsze to ściana żywiołów, a...

–A drugie to Dalekie Południe – wtrącił czarodziej.

–Właśnie – powiedział Jordan.

Tak, więc, trzy dni po przybyciu do Wielkiego Nowego Portu, Kai znowu wyruszył w drogę, towarzyszyli mu Zana, Hewe i Wray. Opuszczał miasto z mieszanymi uczuciami, przeczuwając, że wyprawa do Klevemouth to tylko jedno z wielu straszliwych wydarzeń, które ogarniają świat, i że prawdziwe odpowiedzi znajdują się na Dalekim Południu. Z drugiej strony ani on, ani

Jordan nie chcieli, by wyprawa wyruszyła, zanim nie otrzymają wiadomości od Gemmy. Przy odrobinie szczęścia istniała nadzieja, że Gemma powróci do Nowego Portu, nim Kai zakończy swą misję. Wówczas mogliby wyruszyć na południe razem, wspólnie stawiając czoło temu, co tam ich czeka – bez względu na to, czym to coś może być.

Perspektywa spotkania z ogromną ścianą żywiołów pociągała go, jak i odpychała jednocześnie. Nie ulegało wątpliwości, że będzie to widok wzbudzający grozę i cześć swoim majestatem, ale myśl o mocy rozpętanej na tak ogromną skalę była przerażająca. Kai potrzebował wsparcia roju, by przedrzeć się przez maleńką barierę, a teraz przygotowywał się, by przeciwstawić się czemuś nieporównywalnie bardziej potężnemu.

Od czasu swej rozmowy z Jordanem, Kai zebrał wszystkie dostępne wiadomości o ścianie błękitnych płomieni. Rozmawiał z tymi, którzy ją widzieli, i wysłuchiwał rozmaitych teorii o jej naturze i pochodzeniu. Jeszcze parę dni temu niektóre z nich brzmiałyby dla niego zupełnie niedorzecznie, lecz teraz wywoływały uczucie niepewności zamiast budzić śmiech i rozbawienie. Najpowszechniejsza z teorii mówiła, że ściana jest granicą pomiędzy światami. Nikt tak naprawdę nie wiedział, co się za nią znajduje -wierzono jedynie, że jest inaczej. I tworzono barwne hipotezy, poczynając od tej o wiecznych ogniach, a kończąc na opowieści o rozległych, nagich lodowych pustkowiach.

Tak naprawdę nikt, jak dotąd, nie przedostał się przez barierę, lecz pewien kapitan utrzymywał, że widział ptaki przelatujące nad nią i delfiny nurkujące pod nią. Kai powątpiewał w prawdziwość żeglarza, lecz wysłuchał jego opowieści o wyprawie podjętej na północ, która miała sprawdzić, jak daleko sięga bariera. Z powodu wyczerpania zapasów statek musiał zawrócić, zanim dotarł do kresu ściany, i przeto tylko jako niczym nie popartą opinię kapitana można było traktować stwierdzenie, że ściana biegnie wzdłuż całej ziemi. Podobnie, nie było żadnych doniesień o jej południowym końcu. W obliczu tak oczywistego ogromu ściany, Kai nabrał jeszcze większej pewności, że nic nie mógł zrobić. Jednak planowana podróż miała jakiś konkretny cel – i dawała mu czas do namysłu. Po wszystkich tych okropnych przecuciach, jakich doznawał przez ostatnie dni, chwila spokoju da mu wytchnienie, szczególnie w towarzystwie Zany, którą ucieszyła możliwość

podróżowania wraz z nim, oraz Hewe'a, jedyne go członka grupy, który zdawał się nie przejmować celem podróży. Jego optymizm, niezawodny humor oraz doskonała znajomość szlaku i zwyczajów panujących w tej krainie czyniły zeń idealnego towarzysza podróży. Kai już uważał go za swojego przyjaciela. Nie mógł jednak tego powiedzieć o Wrayu. Dawny Jeździec był milczący i zamknięty w sobie – nie reagował na próby Kaia wciągnięcia go do rozmowy ani też na zgryźliwe uwagi Hewe'a, komentujące jego bezużyteczność. Kai zastanawiał się, dlaczego Jordan obstawał, by Wray wyruszył wraz z nimi. Jeździec sprawiał wrażenie, że nie ma zamiaru podjąć jakiegokolwiek aktywności, pozostając ponurym i trzymając się na uboczu.

Szlak do Klevemouth wiódł wielką nabrzeżną drogą. Choć nie była najkrótsza, lepiej było nią podróżować, niż przemierzać jałowe, skaliste doliny, które tworzyły północny skraj Zachodniej

Pustyni. Na ogół droga była łatwa, lecz często zakręcała i zawracała wzdłuż nierównej linii brzegowej, którą tworzyły niezliczone zatoki, zatoczki i półwyspy. Co kilka lig natrafiali na rybackie i rolnicze wioski. Ich mieszkańcy przywykli do kupców przybywających z miast, toteż pojawienie się podróżnych nie wywoływało raczej większych komentarzy. Tubylcy zarabiali na przyjezdnych, dostarczając im żywność i zapewniając nocleg. Kai starał się, by jego pszczoły nie rzuciły się w oczy, i trzymał je w przenośnym "ulu", przymocowanym do siodła. Jednak, kiedy już je zauważono, nie zwracano na nie szczególniejszej uwagi. Mieszkańcy wiosek byli przyzwyczajeni do obcowania z różnymi zwierzętami.

Dotarcie do Klevemouth zajęło im siedem dni. Każdego dnia o zachodzie słońca błękitno-zielona poświata stawała się coraz wyraźniejsza. Widoczne z zachodnich murów Klevemouth światło nie gasło przez całą noc, rzucając upiorny poblask na pogrążony w ciszy krajobraz.

–Jak daleko jesteście od ściany żywiołów? – To pytanie zadał Kai Kielowi,

organizatorowi struktur Podziemia w Klevemouth, którego przydzielono podróżnym jako przewodnika i który dołączył do nich, gdy już przybyli do miasta.

–Trzy ligi, nie więcej – odpowiedział.

–Czy jutro udasz się tam z nami? – zapytała Zana.

–Jeśli sobie tego zażycycie. To niewiele ponad godzinę jazdy stąd i nie da się jej ominąć – odparł oschle Kiel. – Wszystkie odcinki są do siebie podobne, tak, że nie ma sensu kierować się do jakiegoś wybranego miejsca.

–Więc widziałeś ją na własne oczy? – zapytał Hewe.

–Niemał wszyscy tutaj ją widzieli – rzekł Kiel. – To imponujący widok. Ponieważ

od paru miesięcy trwała nieruchomo, zaczęliśmy ją traktować jak coś naturalnego. Przed rewolucją przesuwała się niemal bez przerwy. Kraina rozciągająca się przed nią jest nieurodzajna, mało, kto tam mieszka, pierwsze doniesienia były, więc niejasne, ale kiedyś ściana znajdowała się ponad dziesięć lig stąd. – Kiel przerwał, wracając myślami do przeszłości. – Niektórzy rolnicy uciekli przed nią w panice, podczas gdy innych po prostu wchłonęła. Całe wioski zniknęły w... w tym, co się za nią znajduje.

–Przeraża mnie myśl o tym, co się zdarzy, jeśli dotrze do miasta – powiedziała cicho Zana.

–Raz nawet myśleliśmy, że do tego dojdzie – rzekł Kiel. – Ale od czasu, gdy pozbyliśmy się Gildii, ściana zamarała – i już od dawna się nie przesuwa.

–Spróbujemy przekonać się, czy wciąż tak jest – odezwał się Hewe. – I jeśli nie udasz się tam z nami jutro – zrozumiemy.

Wray w milczeniu wpatrywał się w zachodni widnokrąg; jeśli jego ponure oblicze kryło jakieś myśli, to zachował je dla siebie.

Pierwsze, co zauważyli – to ogrom ściany. Porównanie jej z barierą strzegącą wejścia do komnaty pod Nowym Portem było jak porównanie wszystkich oceanów świata do wiadra wody. Migotliwa, błękitna powierzchnia ciągnęła się tak daleko jak tylko mogli sięgnąć wzrokiem – na północ i na południe – i jeszcze w górę, zlewając się z błękitem porannego nieba.

Drugie, co ich uderzyło – to cisza. Na krótko przedtem, zanim ich wierzchowce zaczęły okazywać zdenerwowanie, zeskoczyli z siodeł i ostatnie pół ligi przebyli pieszo. W tej odległości jedynym słyszalnym dźwiękiem był odgłos ich własnych kroków. Żaden ptak nie śpiewał, nie odezwało się żadne zwierzę, nawet wiatr nie poruszał gałęziami nagich drzew i kępami trawy. Kaiowi wydawało się, że tej strasznej mocy powinien towarzyszyć ryk gromów lub jakaś nieziemska muzyka. A jednak wokół była cisza. Podróżnicy zbliżyli się do ściany i wbili weń wzrok, słuchając bicia własnych serc. Nawet Hewe nie potrafił wydusić z siebie ani słowa.

Z oddali ściana wydawała się płaska i prosta, lecz teraz mogli zobaczyć, że jest ruchoma – poruszają ją powolne, leniwe fale – wyglądało to jak łagodne falowanie niemożliwego, pionowego morza. Kai w jakimś odrętwiającym urzeczeniu obserwował, jak to błękitne morze najpierw pochłania, a potem uwalnia gałęzie drzewa. Nie wydawały się zmienione; po prostu przestawały istnieć, a potem materializowały się znowu.

Od podstawy ściany dzieliło ich teraz tylko jakieś pięćdziesiąt kroków i każde z nich odczuwało jej obecność inaczej. Dla Hewe'a była czymś niepojętym, podobnie jak

nocne niebo – odległe i nic nieznaczące. Jeśli już to zjawisko pojawiło się w jego świecie, pragnął, by ktoś inny się tym zajął. On może jedynie obserwować.

Zana odczuwała bezradność wobec tak niezaprzeczalnej potęgi. Wobec niej człowiek wydawał się czymś niemal niestosownym. Doświadczyła podobnych przeżyć, gdy podczas Zniszczenia na jej rodzinnej wyspie wybuchł wulkan, uwalniając moc ziemi na zgubę mieszkańców Haele. Wielu ludzi wtedy zginęło, lecz inni – przypadkowo wybrani – przeżyli, by odbudować swoje domy na nowej, o wiele większej teraz, wyspie. Zadrżała na to wspomnienie, i na wspomnienie niedawnej przepowiedni. Lecz tym razem nikt nie przeżyje.

Kai wiedział, że jest bezsilny. Wiedział – i nie musiał tego sprawdzać – że jego umiejętności magiczne byłyby całkowicie nieskuteczne, gdyby spróbował zmierzyć się z tą potęgą. Niby krewetka atakująca wieloryby – atak nie zostałby nawet zauważony i nie miałby żadnych szans na sukces. Wpatrując się w migoczącą powierzchnię ściany, czarodziej uświadomił sobie nagle, co ludzie rozumieją pod pojęciem “bogowie”. Tylko Dusza Ziemi mogła stworzyć tak olbrzymi pomnik. Pomnik własnego szaleństwa?

Stał bez ruchu i obserwował. *Może uda ci się przynajmniej zdobyć jakieś cenne informacje.* Kai

wspomniał optymistyczne słowa Jordana i uśmiechnął się ponuro. *To wszystko, co mogę zrobić.*

Stopniowo narastało w nim przekonanie, że ta ściana naprawdę składa się z żywiołów. Lecz w grę wchodziła tak ogromna skala, że dopiero po pewnym czasie zaczął dostrzegać drobne różnice pomiędzy nią a jej maleńką kopią w podziemiach Wielkiego Nowego Portu. Tamten ekran został stworzony przez obcą mu magię – okrutną i precyzyjną – dla określonego celu łączącą energię kilku żywiołów. Ta ściana nie była ani ograniczona, ani precyzyjna. Istniała jako całość, a nie jako suma składników. Nie miała innego celu poza własnym istnieniem – była nieubłagana i nieprzenikniona.

Była też szalona.

Pojmował to z wolna, stopniowo, i ta wiedza sączyła się do jego umysłu, jak wolno działający jad zatrujący krwiobieg. Wystarczyło odrobinę za długo przypatrywać się ścianie, by popaść w szaleństwo. Przerażająca realność szaleństwa Duszy Ziemi zbliżyła się o krok i Kai otrząsnął się z trudem.

–Chodźmy – powiedział, a jego głos zadźwięczał zbyt głośno w głębokiej ciszy. – Nic tu po nas. Zostawmy...

Nie dokończył. Wray rzucił się ku ścianie, jak gdyby słowa czarodzieja zerwały jego tajemne pęta.

Podczas gdy inni przyglądali się ścianie ze zgrozą, we Wrayu wzbierały tłumione urazy, aż wreszcie wybuchnęły w szale wściekłości.

Kiedyś potrafiłem kontrolować żywioły... a teraz wiem o wiele więcej. Dni cierpliwych poszukiwań w archiwach odniosły teraz triumf: starożytne teksty, zaklęcia łączące i wiążące, inwokacje... Przeznaczeniem ludzi jest władać tymi stworzeniami - pomyślał, na wpół z tryumfem, na wpół szyderczo. A teraz wiem więcej niż ktokolwiek inny na świecie. Więcej niż ten głupi czarodziej z północy, który chce zająć moje miejsce, odebrać mi moją moc. Wciąż czuł zawiść wobec Kaia. Ale tamto, ściana błękitnych płomieni w komnacie u stóp wieży, nie mogło równać się tej mocy. Zapanuj nad nią, a będziesz władał całym światem!

Złość, strach i żądza władzy stanowiły pożywkę dla jego złudzeń, budząc dawny fanatyzm i uniemożliwiając racjonalne myślenie. I kiedy Kai przerwał długą chwilę ciszy, Wray zareagował natychmiast. Jego niezrównoważony umysł zapanował nad ciałem -rzucił je naprzód, każąc językowi formułować zniekształcone wersje prastarych zaklęć.

Inni stali jak ogłuszeni, przez parę chwil niezdolni do jakiegokolwiek reakcji. Potem, przewyciężając strach, ruszył za nim Kai.

–Nie! – krzyknął ostrzegawczo.

–Zostaw go! – ryknął Hewe, lecz pędzący co sił Kai zlekceważył jego słowa. Hewe i Zana

spojrzeli na siebie, potem pełni obaw pobiegli za nimi.

Element zaskoczenia dał Wrayowi przewagę na starcie i Jeździec zdołał dotrzeć do podstawy ściany, zanim Kai mógł go pochwycić. Rzucił się naprzód, w ścianę, wciąż krzycząc.

Pochłonęła go bez reszty. W migotliwym błękitcie pojawiło się na chwilę zawirowanie opalizującej zieleni, by zaraz rozpląnąć się w łagodnym falowaniu ściany. Przeróżliwy wrzask rozdarł powietrze, a potem nagle ucichł.

Kai zatrzymał się z trudem kilka kroków przed ścianą. Pszczoły wirowały wokół niego w jakimś lunatycznym tańcu. Hewe i Zana zblizali się ostrożnie, lecz nim dotarli do niego, Kai już podjął decyzję. Postąpił naprzód, otoczony rojem. Brzęczenie rozbrzmiewało głośniejsz niż kiedykolwiek przedtem.

–Kai! Nie! – krzyknęła Zana, a Hewe zaklął gwałtownie, rzucając się naprzód, by go powstrzymać. Lecz spóźnili się i czarodziej zniknął w nierzeczywistej głębi.

Kaia otaczała mroźna, biała mgła. Mróz skrzył się na jego ubraniu i włosach; słyszał, jak pszczoły skarżą się na zimno, czuł, że słabną. Umrą – pomyślał beznamietnie. Muszę się spieszyć. Rozejrzał się, lecz niczego nie mógł dostrzec – nawet ziemi pod stopami.

Zrobił jeszcze jeden krok i zauważył szarą plamę wśród bieli. Wray zwinął się w kłębek, zakrywając rękoma oczy. Kai chwycił go pod ramiona i zaczął ciągnąć do tyłu. Rój użyczył mu odrobinę ze swej ginącej siły, lecz on tylko zataczał się słabo, czując na sobie ciężar niewidzialnych mocy.

Zebrał całą swoją siłę, by spróbować jeszcze raz. Gdy jego mięśnie stężały, powiedział sobie: *teraz albo nigdy.*

A potem mgła odpłynęła. Kai spojrział z rozpaczliwą ulgą na świat za ścianą i...

...nic nie zobaczył.

Krzyknął i przewrócił się, pociągając za sobą bezwładne ciało Wraya. Rój brzęczał nad jego głową, a dojmujące zimno ustąpiło miejsca ciepłu poranka. Usłyszał pełne rozpaczy pytanie Zany:

–Czy nic ci nie jest? – Lecz nie miał siły odpowiedzieć. Potem poczuł, że ktoś go podnosi i gdzieś niesie. Ułożono go delikatnie na ziemi.

–Pójdę po Wraya – powiedział Hewe, a z jego tonu wynikało, że nie miałby nic przeciwko temu, by pozostawić Jeźdźca bez pomocy. – Daj mu coś do picia. – Odgłosy ciężkich kroków oddaliły się.

–Masz – powiedziała Zana. Po chwili dodała: – Nie chcesz?

Kai nie zareagował. Gdy nie poruszył się, by wziąć manierkę, ani nawet by na nią spojrzeć, straszliwe podejrzenie zakiełkowało w umyśle Zany.

–Kai – szepnęła, klękając przy nim i ujmując jego dłonie. – Czy ty mnie widzisz?

Czarodziej potrząsnął wolno głową, z oczyma utkwionymi w jakiś punkt gdzieś nad jej lewym ramieniem. Był ślepy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Powrotna droga do Nowego Portu stała się teraz koszmarem. Nagłe kalectwo Kaia wstrząsnęło jego towarzyszami. Niemal na każdym kroku potrzebował teraz pomocy. Utrata wzroku najbardziej zdumiewała jego samego. Zawsze cieszył się doskonałym zdrowiem, właściwym czarodziejom, nawet w okresie, kiedy wypierał się swych magicznych talentów. Fakt, że jest bezsilny wobec swojej ślepoty, sprawiał, że jeszcze trudniej godził się z kalectwem. W rezultacie obiektem jego rozdrażnienia bywała Zana, która go nie odstępowała. Nienawidził siebie za swoją nieuprzejmość i często przeproszał, wiedząc, że jest ona ostatnią osobą, która powinna doświadczać jego złości. Ze swej strony, Zana odczuwała smutek i przygnębienie, lecz uparcie wykonywała swoje obowiązki, wybacząc Kaiowi natychmiast i tłumacząc jego zachowanie cierpieniem i wstrząsem, jakiego doznał. Nigdy nie obdarzała nikogo lekkomyślnie swoją przyjaźnią i parę szorstkich słów nie mogło sprawić, by się jej wyrzekła.

Wray w żaden widoczny sposób nie ucierpiał fizycznie w wyniku spotkania ze ścianą żywiołów, lecz jego umysł pogrążył się w zupełnym chaosie. Reagował na obecność innych, wykonując ich polecenia, lecz odzywał się rzadko – a kiedy już to czynił, z jego ust wydobywały się bełkotliwe sylaby, które bardziej przypominały głosy zwierząt i ptaków niż ludzką mowę. Wypytywanie go okazało się bezcelowe i Hewe w końcu stracił cierpliwość. Wray kulił się i kwilił, aż zawiedziony Hewe cisnął nim brutalnie o ziemię. Bez skrupułów pozostawiłby Wraya samemu sobie, lecz Kai sprzeciwiał się temu.

– Tam coś się z nim stało – wyjaśnił czarodziej. – To może być ważne – i musimy próbować dowiedzieć się, co to było.

– Przez tę nędzną kreaturę coś stało się tobie – odparował Hewe. – A poza tym, jaki jest z niego teraz pożytek? Jest po prostu obłąkany!

I rzeczywiście, odnosiło się wrażenie, że przeczuwany przez Kaia obłąd dotknął Wraya. Oprócz tego, że stracił zdolność artykułowanej mowy, toczył dziko oczyma i wymachiwał rękoma, wskazując bezładnie wybrane na chybił trafił przedmioty. W czasie powrotnej drogi do Nowego Portu starannie unikał Hewe'a, doprowadzając tego ostatniego do stwierdzenia, że trochę rozumu szaleńcowi jeszcze pozostało. Wray zwracał się niemal zawsze do Kaia, co zaskoczony czarodziej niejednokrotnie odbierał ze wzdrygnięciem. Jakby Wray usiłował coś mu powiedzieć, lecz Kai, choć słuchał uważnie, nie potrafił

zrozumieć dziwnego bełkotu.

Najlepsi uzdrowiciele w Klevemouth nie potrafili znaleźć niczego nieprawidłowego w oczach Kaia i jego ślepotą stanowiła dla nich całkowitą zagadkę. Nie spodziewał się niczego innego i po bezowocnym dniu spędzonym w mieście uparł się, by ruszyć w powrotną drogę do Nowego Portu. Miał teraz jeszcze jeden powód, by spotkać się z Gemmą. Podczas jednego z nią kontaktów był świadkiem narodzin jej uzdrowicielskich zdolności i wiedział, że jeśli ktokolwiek

potrafi mu pomóc, to tylko ona. Myślał o niej coraz więcej i więcej, w miarę jak z wolna pozostawiali za sobą dzielące ich od Nowego Portu ligi.

W czasie drogi powrotnej siła i wiedza Hewe'a okazały się niezbędne, a on sam stał się niekwestionowanym przywódcą. Niekiedy posuwali się naprzód z bolesną powolnością, lecz bez niego znosiliby tę podróż jeszcze gorzej.

Wciąż dzieliły ich od Nowego Portu dwa dni drogi, kiedy Kai obudził się rankiem z przenikającym go uczuciem przerażenia. W swych snach dalej widział, więc poranki były dlań szczególnie trudne, gdy uzyskiwał na nowo gorzką świadomość własnego kalectwa. Lecz tym razem czuł się jeszcze gorzej niż zwykle.

–Zana! – zawołał cicho. – Czy to już ranek?

–Ledwie świta – odparła sennie ze swego łóżka, stojącego po drugiej stronie wspólnego pokoju. – Śpij dalej.

–Coś się dzieje – powiedział. – Coś strasznego.

–Co masz na myśli? – zapytała, usiłując otrząsnąć się z resztek snu. – Gdzie? W wioskowej tawernie panowała cisza.

–Nie wiem – przyznał.

–Czy mam pójść po Hewe'a?

–Nie... to tylko przeczucie. Niech śpi. Milczeli przez jakiś czas, lecz żadne z nich nie próbowało znowu zasnąć.

–Czy zrozumiałeś coś z tego, co ci się tam przydarzyło? – zapytała Zana.

–Nie. Wciąż o tym myślę, ale dalej nie mogę przypomnieć sobie niczego, co mogłoby mi pomóc.

–Pytałeś o to pszczoły?

–Oczywiście. Ale nie potrafią mi nic powiedzieć. Pamiętają tylko zimno i widok zwiniętego w kłębek Wraya.

–Dlaczego Wray również nie oślepl?

–Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to to, że nie próbował spojrzeć na świat za ścianą. Kiedy go znalazłem, leżał na ziemi zakrywając oczy rękoma.

W ciągu ostatnich dni rój był dla Kaia niezastąpionym źródłem pociechy. Na szczęście,

pszczoły wyszły ze spotkania ze ścianą nietkniętą i kontakt z nimi dawał mu poczucie łączności z pogrążonym w ciemności światem. Wyczuwał je teraz – odpoczywały spokojnie, niezaniepokojone przeczuciami ich pana w najmniejszym stopniu.

Wyczuwacie coś dziwnego? - zapytał.

Ruch. Sygnały. Daleko - usłyszał ich rozbrzmiewającą wieloma głosami odpowiedź.

Kai miał je właśnie prosić o wyjaśnienie, kiedy z sąsiedniego pokoju doszedł ich nagły hałas. Najpierw usłyszeli niezrozumiałe okrzyki Wraya, potem gniewny głos Hewe'a. Następnie rozległy się odgłosy walki, którym towarzyszyły jakieś zwierzęce odgłosy i wreszcie łomot padającego na podłogę ciała.

–Zobaczę, co się tam dzieje – powiedziała szybko Zana. Wstała i otuliła się suknią. Gdy wyszła na korytarz, od razu natknęła się na Hewe'a.

–Wiedziałem, że wspólny pokój z tym obłąkanym fanatykiem to błąd – powiedział, krzywiąc się. – Zupełnie oszalał. Wymachiwał rękoma i skrzeczał – przysięgłbym, że próbuje pofrunąć.

–Co się stało?

–Nie wiem. Spałem, aż nagle on zaczął miotać się po pokoju, wrzeszcząc tak, że obudziłby zmarłego. Poprosiłem go, by przestał – grzecznie – ale on nie chciał, więc musiałem wyrazić swoją prośbę bardziej przekonywająco – zakończył, pocierając kłykcie.

Zana minęła go i weszła do jego pokoju. Wray leżał rozciągnięty na deskach podłogi.

–Jest ranny? – jęknęła.

–Och, żyje – odparł niemal z żalem Hewe. – Ale przez jakiś czas może go boleć głowa. Czy z Kaiem wszystko w porządku?

–Tak – odpowiedziała, klękając obok nieprzytomnego Wraya. – Ale czuje, że dzieje się coś złego. Właśnie dzisiaj.

–Nie on jeden – zauważył Hewe.

Daleko na południu ostatni uczestnik zgromadzenia zajął swoje miejsce. Stali w zwartych szeregach, czekając niewzruszenie w przejmującym chłodzie. Każda z metalowych twarzy zwrócona była na zachód, spoglądając na górskie Pasma Kalura. Poranne słońce oświetlało inkrustowane śniegiem, otulone całunem mgieł szczyty. Spoglądali na zachód z dogodnego miejsca na górskim zboczu, z którego mogli dostrzec najwyższy szczyt pasma, Dar Emberoth, w którego sercu – jak mówiły legendy – ukryty został najwspanialszy klejnot świata, bezcenny, niewyobrażalny skarb. Lecz umysły kryjące się za metalowymi maskami były nieporuszone. Nie zadawały pytań. Wielki Przywódca wyjaśni wszystko w odpowiednim czasie. Był to

podstawowy pewnik ich doskonale uporządkowanego życia.

Teraz jego głos przetoczył się nad tłumem – donośny i wspaniały, witany z radością, docierający bez trudu do każdego uczestnika zgromadzenia. Był to głos ich boga. – Zostaliście wezwani tutaj, by zobaczyć moc, potęgę, która umożliwi mi zwycięski marsz naprzód. Jestem niezwykły, niezrównany, absolutnie potężny. – Nastąpiła chwila ciszy, nim mówca podjął na nowo, lecz jego słuchacze nie poruszyli się, nie rozległ się najcichszy szmer. – Jesteście tutaj, by zobaczyć, że wasza wiara może poruszyć góry! Patrzcie, więc!

Rozległ się odległy grzmot. Potem, nagle, powietrze przeszył oślepiający błysk światła, który sprawił, że słońce za ich plecami wydawało się teraz ledwie tłącą się świeczką. Optyczne czujniki w maskach widzów zareagowały natychmiast, chroniąc ich wzrok przed porażającym oczy blaskiem i umożliwiając obserwowanie, jak błysk rozprzestrzenia się i nabiera przepychu. Potem ogień zgasł, a na jego miejscu wyrzuciła się ogromna, pałubiasta chmura, pędząca w górę, wypełniając sobą pół zachodniego nieboskłonu. Kłęby szarości i brązu unosiły się w powietrzu – niczym monstrualne drzewo, którego korzenie sięgają do samego środka ziemi.

Westchnęli ze zdumienia, ogarnięci nabożną czią wywołaną wspaniałością widowiska. Potem dotarła do nich fala dźwięku. Był to głęboki, gardłowy ryk, który trwał i trwał – jakby chcąc zagłuszyć wszystkie inne dźwięki świata.

Kiedy ryk w końcu ucichł, nad zgromadzeniem powiał wiatr. Był to ciepły, łagodny podmuch.

Ogromna chmura zdążyła już osiągnąć maksymalną wielkość i zaczęła tracić połączenie z ziemią. Gdy dolne części ciężkiego całunu przerzedziły się, przez zgromadzonych przebiegła kolejna fala zdumienia. Ich doskonały wzrok ujawnił, że rozciągający się przed nimi krajobraz zmienił się zupełnie. Tam, gdzie niegdyś stała góra,

widniała teraz tylko dymiąca dolina. Dar Emberoth przestała istnieć.

Wray ujrzał to pierwszy, lecz nie zrobił nic, by zwrócić na to uwagę kogokolwiek, gdy włókł się z tyłu, pieszcząc swoją zranioną dumę i spuchniętą szczękę. Jego zmętławy umysł w jakiś sposób wiedział, że Kai pragnąłby poznać jego odkrycie, i czerpał złośliwą radość z ukrywania go przed czarodziejem, a jeszcze bardziej przed Hewe'em i Zaną. Gardził nimi wszystkimi. *Ten wielki głupi człowiek, który traktuje mnie z taką lekceważącą pogardą, ma więcej rozumu w pięściach niż w głowie. Ta mizdrząca się kobieta nie ma żadnego znaczenia. I czarodziej, który nie potrafił nawet uratować własnego wzroku, kiedy stanął przed czymś, co widziałem tylko ja! Myśli, że mnie uratował! Mnie! Kogoś, kto nie potrzebował żadnej pomocy, kto przeszedł przez ścianę żywiołów sam jeden, o własnych siłach. Jeszcze im pokażę! Mój czas dopiero nadejdzie.* Znowu spojrział na południe. Wciąż tam była.

Zachichotał i zaraz skrzywił się z bólu, gdy jego posiniaczona twarz zaprotestowała. Kiedy Zana obejrzała się, szybko się odwrócił, by nie zdradzić tajemnicy, lecz było już za późno. Zana spojrziała na południe i natychmiast ją zobaczyła. Zawołała do Hewe'a, który jechał nieco przed

nimi.

–Hewe, czy widzisz coś – tam na południu? Nieznacznie odwrócił głowę.

–Pustynię – rzekł obojętnie.

–Dalej. Na niebie. Hewe odwrócił się niechętnie, by spojrzeć we wskazanym kierunku. Pragnął tylko,

by ta podróż już się skończyła, i nieustannie myślał o chwili, kiedy przybędą do Wielkiego Nowego Portu. Podróż i nowe towarzystwo zwykle bardzo cieszyły Hewe'a – lecz tym razem było inaczej. Najpierw musiał się pogodzić z własną bezradnością wobec ściany żywiołów, a teraz okazywało się, że nie może poradzić sobie ze ślepym czarodziejem i szalonym Szarym Jeźdźcem. Posłuchał jednak Zany – i ściągnął cugle swego wierzchowca.

–Jakaś chmura – powiedział niepewnie.

–Nigdy takiej nie widziałam – odparła.

–Co to jest? O czym rozmawiacie? – zapytał Kai.

–Widać ogromną chmurę, daleko nad południowym horyzontem – wyjaśniła. – Nie wygląda naturalnie.

–Opisz mi ją – polecił czarodziej.

–Wygląda jak ogromne drzewo – odparła powoli. – Szersza na górze, zwężająca się ku dołowi.

–Jest brunatna – dodał Hewe. – I oprócz niej nie widać innych chmur.

Wray niespodziewanie wydobył z siebie dziki odgłos, wymachując jedną ręką. Nim ktokolwiek zdolał zareagować, spiął ostrogami swego wierzchowca i ruszył galopem w stronę Nowego Portu.

–Zostawmy go – rzekł z odrazą Hewe. – Przy odrobinie szczęścia spadnie z konia i złamie sobie kark, zanim dotrze do miasta.

Kai zadygotał, czując w żołądku lodowaty ucisk. Zana spojrzała na niego z niepokojem.

–Czy to ma coś wspólnego z twoimi porannymi przeczuciami? – zapytała.

–Nie mam pojęcia – odparł czarodziej. – Po prostu nie wiem. Jadąc dalej, Hewe i Zana co jakiś czas spoglądali na południe. Dzień upływał, a

tajemnicza chmura powoli rozpraszała się, przyjmując kolejne, dziwaczne kształty, w miarę jak wiatry rozwiewały ją w rozmaitych kierunkach.

Po południu odnaleźli Wraya. Stał zmieszany przy wyczerpanym koniu. Hewe nie zwrócił na niego uwagi i po prostu przejechał obok. Wray dosiadł wierzchowca i potulnie dołączył do reszty.

I dopiero gdy nadciągnęła ciemność, Kai przypomniał sobie słowa, które wciąż tkwiły w jego podświadomości, odkąd usłyszał o chmurze.

„Jednakże to niepowodzenie pobudziło tylko siły Dalekiego Południa do jeszcze większych wysiłków. Ich eksperymenty szybko zaczęły dawać rezultaty...”

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Gdy dotarli w końcu do stolicy Kleve, wiadomość o tym, że Gemma jeszcze nie wróciła, napełniła Kaia trwogą. Nie wrócił też posłaniec i chociaż jego nieobecność zaczynała niepokoić Jordana, niewiele mógł na to poradzić. Hewe zaoferował się, że sam pojedzie do Doliny – on jeden był tam już przedtem – lecz wszystko jakby się zmówiło, by uniemożliwić ten plan.

–Jest wiele powodów, które mogły go zatrzymać – powiedział Jordan, usiłując pocieszyć przygnębionego, ślepego czarodzieja.

–Rymer jest bystry – wtrącił Hewe – a ja dałem mu dokładne wskazówki, lecz Dolina ma swoje własne sposoby, by chronić się przed ludźmi z zewnątrz. Gemma powiedziała kiedyś, że odnalazłem ją tylko, dlatego, że miałem ją odnaleźć. Być może tym razem miało stać się inaczej.

–Dlaczego? – zapytał Kai. – Przecież Gemma musi wiedzieć, jak bardzo jej potrzebujemy. – Lecz potem uświadomił sobie, że wcale nie musi tak być; co więcej, przypomniał sobie, że Gemma odrzuciła jego ostatnią próbę kontaktu z nią. *Być może dalej ochrania dziecko - pomyślał bezradnie. Co ja teraz zrobię?*

Dużo później dowiedzieli się, że Rymer nawet nie dotarł do Doliny. Jednak do tego czasu wydarzyło się tak wiele, że ta informacja okazała się tylko krótkim przypisem w kronice tych doniosłych chwil. Rymer wędrował przez kilka dni, zgodnie ze wskazówkami Hewe'a, lecz za każdym razem, kiedy sądził, że zbliża się do Doliny, krajobraz zdawał się zmieniać, nigdy, więc nie miał pewności, czy idzie w dobrym kierunku. Błąkał się bezradnie przez kilka dni, nim w końcu poddał się i wrócił do Nowego Portu, by zameldować o swoim niepowodzeniu.

Wkrótce dla Jordana i jego towarzyszy stało się jasne, że nie mogą już dłużej czekać na Gemmę. Wydarzenia biegnęły zbyt szybko. Dziwną chmurę dostrzeżono również w Nowym Porcie. Jej widok wywołał wiele spekulacji. Szczególnie wielkie poruszenie sprawiła w obozie Szarych Jeźdźców, którzy zaczęli głosić, że jest to znak obwieszczający początek ich wielkiej wyprawy. Stali się jeszcze bardziej niespokojni i wkrótce po powrocie Kaia rozniecili ogromne

ognisko niedaleko swojej siedziby, wrzucając w nie cały

swój dobytek, nieużyteczny w podróży – symbolizując w ten sposób swe oddanie sprawie.

–Jeszcze trochę, a nie zdołam ich powstrzymać – stwierdził Jordan. – Jeśli nie

będziemy ostrożni, wybuchnie otwarta rebelia.

Kilka następnych dni dowiodło, że wyprawa na południe jest absolutnie konieczna. Choć w dalszym ciągu nie było żadnych wiadomości od Gemmy, to z innych źródeł wciąż nadchodziły nowe – i wszystkie były złe. Początkowo wydawało się, że to tylko plotki, lecz doniesienia powtarzały się tak uporczywie, że w końcu musieli zacząć traktować je poważnie. Nieoczekiwane przypyły nękały linię brzegową, a wiele morskich stworzeń osiadało na plażach w zamiarze popełnienia zbiorowego samobójstwa. Delfiny, ogromne ośmiornice, nawet wieloryby, jak również niezliczone mniejsze stworzenia umierały z niewyjaśnionych powodów. Wyspa Jed znowu zaczęła zachowywać się kapryśnie -jednego dnia pojawiała się, drugiego nieoczekiwanie znikać. Widziano wiele pożeraczy nieba, szczególnie nocą, a daleko na północy zauważono rozbłyski oślepiająco jasnego światła. Niewielu marynarzy ośmielało się opuszczać zacisze portów.

Każdy meldunek dodawał coś nowego do tego obrazu. Złowieszcze słowa “Wiek Chaosu” zdawały się coraz bardziej odpowiadać rzeczywistości i Jordan w końcu zgodził się wyznaczyć datę wymarszu swoich wojsk na południe. Wciąż jeszcze spierano się, kto weźmie udział w wyprawie, lecz wymarsz był już sprawą pewną. Dwie niezwiązane ze sobą, lecz równie rozpaczliwe prośby o pomoc, przynaglały przywódcę Podziemia.

Z pierwszą przybył wyczerpany, brudny i zarośnięty jeździec z Klevemouth. Pojawił się zaledwie w cztery dni po powrocie grupy Kaia – lecz jakże wiele zmieniło się w jego mieście w tak krótkim czasie. Sześć dni przedtem ściana żywiołów ruszyła w kierunku Kleve. Przesuwała się wolno, lecz bez przerwy, i większość mieszkańców rzuciła się do ucieczki nabrzeżną drogą. Posłaniec łkał mówiąc, że również jego dom został już pochłonięty przez niepokonaną błękitną ścianę. Niewiele widział z samej ewakuacji, lecz parę szczegółów, które zapamiętał, było przerażających. Jordan uspokoił go i odesłał, by coś zjadł i odpoczął.

–To załatwia sprawę – stwierdził przywódca Podziemia. – Kiedy możemy wyruszyć!?

–Jutro – poinformował go Hewe. – Ale wolałbym mieć jeszcze jeden dzień na przygotowania. – Hewe, Kai i Zana, teraz już stała towarzyszką czarodzieja, słuchali przygnębiającej opowieści z narastającą grozą. Dobrze wiedzieli, jak przytłaczające może być oddziaływanie ściany żywiołów. Szaleństwo ogarnęło kraj.

–Co możemy zrobić? – zapytała bezradnie Zana.

–Niewiele – odpowiedział Jordan. – Możemy przygotować się na przyjęcie

uchodźców i spróbować im pomóc. I możemy wysłać posiłki dla tych, którzy pozostali z tyłu. Wioski wkrótce będą przepełnione. – Przerwał. – Zrobimy dla nich wszystko, co w naszej mocy, ale teraz naszą jedyną szansą jest odnalezienie korzeni zła i zniszczenie ich. Żałuję tylko, że czekaliśmy tak długo. Bez względu na Gemnę.

–Być może Jeźdźcy od samego początku mieli rację – zasugerował ponuro Hewe.

–Zdaje się, że ściana zaczęła się przesuwać wraz z pojawieniem się tamtej ogromnej chmury – rzekł cicho Kai.

–Tak, też na to zwróciłem uwagę – przerwał Jordan. – Teraz mamy przynajmniej jakieś pojęcie, w jakim kierunku wyruszyć!

Drugą prośbę o pomoc przekazano im następnego dnia rano. Jordan otrzymał wiadomość, że dwóch wojowników z Mrocznego Królestwa przybyło do miasta i pilnie pragnie się z nim zobaczyć. Pospieszył, więc do podziemnych tuneli, wiedząc, że przybyszom będzie o wiele łatwiej rozmawiać w panującym tam mroku. Kai pragnął pójść z nim, zafascynowany opowieściami o podziemnym królestwie i jego mieszkańcach. Jednak odradzono mu to. Choć czuł się już lepiej, wciąż jednak poruszanie się po nieznanym terenie sprawiało mu trudność i zabierało wiele czasu. Poczul się zawiedziony, lecz Jordan obiecał mu zdać dokładne sprawozdanie po swoim powrocie.

–Podstawowe fakty wyglądają następująco – powiedział później. – Trucizna

rozprzestrzenia się w ich kraju od południa. Wysłali, więc kilka oddziałów – grup

zwiadowczych – do najbardziej niebezpiecznych regionów, by określić możliwie dokładnie

źródło skażenia, tak byśmy my mieli możliwość zlokalizowania go na powierzchni.

Osiągnęli pewien sukces, ale o tym za chwilę. Parę dni temu wszystkie południowe grupy

zameldowały o drganiach, obsunięciach skał i pęknięciach, zakłócających normalny

przepływ podziemnych rzek. Zaskoczyło ich to, niektóre szczegóły są, więc odrobinę

niejasne, lecz ogólny efekt nie podlega raczej dyskusji. Tempo rozprzestrzeniania się

trucizny wzrosło gwałtownie, co zostało spowodowane nagłym przyborem wody na

niektórych odcinkach rzeki. Powódź zniszczyła wiele osiedli i odcięła niektóre z grup

zwiadowczych. – Jordan westchnął ciężko, myśląc o swoich przyjaciółach w podziemnym

królestwie. – Prorocy przesłali wiadomość, że jeśli źródło skażenia nie zostanie szybko zlokalizowane i zniszczone, to z ich krainy niewiele pozostanie do uratowania. Zielona choroba już zbiera obfite żniwo. – Głos Jordana niebezpiecznie zadrżał i Hewe odwrócił wzrok. Nigdy przedtem nie widział swojego przywódcy bliskiego łez, a nie był to widok, którym mógłby się rozkoszować.

–Zatem mamy kolejny powód, by wyruszyć jak najprędzej – rzekł Kai.

–Tak – zgodził się Jordan, odzyskując równowagę. – Chcą, byśmy wysłali na południe naszą armię i przynajmniej do tego mogłem się zobowiązać. Szkoda tylko, że nie wyruszyliśmy wcześniej!

–Stało się jak się stało – zwróciła się doń współczująco Zana. Ona również zauważyła rozpacz Jordana i zrozumiała, jak bardzo musi być związany z owym dziwnym Mrocznym Królestwem. – Teraz ważna jest tylko przyszłość.

–Masz rację – odparł. Choć uśmiechnął się do niej z wdzięcznością, smutek nie zniknął z jego oczu. – Lecz czasami musimy żyć z przeszłością przez długi, długi czas.

Zapadła chwila ciszy, podczas której każde z nich odkrywało swoją własną prawdę w tym stwierdzeniu. Potem Jordan złamał rzucony przez siebie czar.

–Wystarczy tego – rzekł zdecydowanie. – Teraz zajmijmy się pracą. Dzięki zwiadowcom z Mrocznego Królestwa wiemy już, dokąd się udać.

–Zatem dokąd? – zapytał szybko Hewe, zadowolony, że rozmowa kieruje się znowu ku praktycznym sprawom.

–Istnieją trzy możliwości – odparł Jordan. – Pierwsza to Wodospad, miejsce, o którym opowiadał nam Arden, tam gdzie przesuwa się góra. To miejsce wydaje się jednym ze źródeł skażenia, a nasi przyjaciele z Mrocznego Królestwa znaleźli drogę prowadzącą na powierzchnię, będziemy, więc mogli spotkać się tam z grupą zwiadowców. Istnieje jeszcze drugie wejście, jakieś siedem lig na zachód, choć wydaje się, że nie ma ono żadnego związku ze skażeniem. Ich ludzie będą czekali w obu miejscach.

–A trzecie?

–Jakieś pięćdziesiąt lig na południe od Wodospadu. Nie mogli zbliżyć się w tej okolicy do powierzchni, ponieważ skażenie jest tam szczególnie stężone.

–Jak daleko znajdują się te punkty od miejsca, w którym widzieliście chmurę? – zapytał Kai.

–Nie wiemy – odpowiedział Jordan. – I dopóki tam nie dotrzemy, nie mamy

możliwości, by się tego dowiedzieć.

–Zatem im szybciej wyruszymy, tym lepiej – stwierdził czarodziej.

–My? Jesteś pewien, że tego chcesz?

–Spróbuj mnie zatrzymać! – odparł czarodziej, a zdecydowanie brzmiące w jego głosie nie pozostawiało wątpliwości, że wszelkie próby powstrzymania go z góry są skazane na niepowodzenie. – Może jestem ślepy, ale wciąż jestem czarodziejem... i nie przebyłem całej tej drogi tylko po to, żeby tu siedzieć bezczynnie!

Jordan spojrział na Zanę.

Skinęła głową, odpowiadając na jego niewypowiedziane pytanie.

–To może być niełatwa podróż – zauważył Hewe. W odpowiedzi spotkał tak miazdzące spojrzenia, że aż uniósł ręce w obronnym geście. – Nic nie mówiłem -odpowiedział, uśmiechając się szeroko.

Korpus ekspedycyjny, który opuścił Wielki Nowy Port następnego dnia o świcie, liczył około osiemdziesięciu osób. Ponad połowę stanowili Szarzy Jeźdźcy, którymi dowodził Galar i Tomas. Ich radosny nastrój kontrastował wyraźnie z pełną powagi postawą reszty grupy, na czele, której stali Jordan i Hewe. Miasto pozostawiono w rękach ich zdolnych i odpowiedzialnych zastępców – Egana i Ambrosa. Nowi przywódcy czuli się pokrzywdzeni decyzją o pozostawieniu ich w mieście, ale w głębi duszy odczuwali też pewną ulgę.

Kai uparł się, by Wray wyruszył razem z nimi. Jeździec wciąż nie potrafił mówić zrozumiale i niemal wszyscy traktowali go z podejrzliwością i pogardą. Resztę grupy stanowili członkowie Podziemia, wybrani z uwagi na wytrzymałość, umiejętność radzenia sobie w trudnych warunkach oraz zdolności bojowe. W skład oddziału wchodził również uzdrowiciele i zielarze.

Wielu mieszkańców miasta obserwowało wymarsz w posępnym milczeniu. Był to dla nich przygnębiający widok, znak, że czekają ich kolejne wstrząsy i cierpienia.

Siła Jordana i jego ludzi wydawała się żałośnie mała w porównaniu z nieznanym, lecz bez wątpienia potężnym wrogiem. Teraz było to jednak wszystko, na co mogli się zdobyć. Zapewnienie prowiantu dla większej armii było niemożliwe. Planowano wyszkolenie większej liczby żołnierzy i zgromadzenie zapasów dla drugiej grupy, lecz realizacja tego projektu wybiegała daleko w przyszłość. Jordan wiedział zaś, że działanie potrzebne jest już teraz.

Marszruta wiodła najpierw dokładnie na południe, przecinając niegościnnie, choć zamieszkany obszar kraju, rozciągający się pomiędzy dwiema wielkimi pustyniami Kleve. Po jego przebyciu mieli ruszyć pogórzem i skierować się na południowy wschód. Szlak ten zaprowadziłby ich w

okolicie umówionych miejsc, w których czekać mieli zwiadowcy Mrocznego Królestwa. Znaczna część ich drogi miała biec przez nieznanne tereny -przestudiowali wcześniej wszystkie dostępne mapy, liczyli też na pomoc mieszkańców leżących wzdłuż szlaku wiossek. O reszcie postanowiono zdecydować już w drodze.

Długa kolumna koni poruszała się niespiesznym krokiem, ludzie niewiele rozmawiali. Grupa Jeźdźców chciała wysforować się naprzód, jako zwiadowcy-ochotnicy, lecz Jordan nakazał im oszczędzać konie.

Zimowy chłód umożliwił jazdę bez odpoczynków przez cały pierwszy dzień od opuszczenia Wielkiego Nowego Portu. Od zimowego przesilenia dzieliło ich tylko sześć dni, światło dzienne utrzymywało się, więc wiele godzin i mogli jechać bez przeszkód. Południowy posiłek składający się z chleba i suszonego mięsa zjedli na końskich grzbietach i aż do późnego popołudnia posuwali się nieprzerwanie naprzód.

Kai jechał obok Zany, tak by w razie potrzeby mogła poprowadzić jego wierzchowca. Kiedy więc usłyszał kobiecy głos, w pierwszej chwili pomyślał, że to głos Zany. Zaraz jednak zrozumiał swoją pomyłkę.

Kai. Czy to ty, Kai?

–Gemma!?! – Zaskoczony i uradowany, wykrzyknął jej imię głośno i Zana nie była jedyną osobą, która spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Gemma, gdzie jesteś? Jak to dobrze znowu słyszeć twój głos!

Jestem w Dolinie - odparła, lecz w jej głosie brzmiało coś, co sprawiło, że radość Kaia raptownie zgasła.

W twoim ukrytym miejscu? – zapytał niepewnie.

Tak - odpowiedziała – *lecz ono mnie już nie chroni! Rzeka jest zatruta, a dziś po południu słyszałam syreni śpiew. Kaiu, dzieje się coś strasznego!*

Jej głos był przepojony takim smutkiem, że Kai nie mógł wydobyć słowa.

Jesteś tam jeszcze? - zapytała z niepokojem.

Tak.

Muszę wyruszyć na Dalekie Południe. Czy mi pomożesz?

Oczywiście - odpowiedział. *Właśnie jadę na południe z Jordanem. Spotkamy się tam.*

Jesteś w Kleve?! - zawołała Gemma, ze zdumienia i radości zapominając o przygnębieniu.

Chyba nie myślałaś, że zawsze będę daleko od ciebie! Jego ironia – choć ledwie słyszalna – sprawiła, że Gemma roześmiała się.

Zatem spotkamy się przy Wodospadzie - powiedziała. Właśnie udajemy się tam z Ardenem.

Spotkamy się, ale cię nie zobaczę.

Dlaczego? Co się stało? - zapytała z niepokojem.

Jestem ślepy, Gemmo.

Na krótko zapadła cisza, a potem Gemma odezwała się znowu.

Masz przecież inne oczy - powiedziała. – Spójrz!

Wówczas, choć Kai wciąż siedział mocno w siodle, stwierdził, że równocześnie spogląda z góry na długą linię koni. Widział wszystko, ale jakby z innej perspektywy -przesuwającej się i wielofasetowej, więc dopiero po chwili pojął, co ma przed oczami.

Muszę już kończyć - powiedziała Gemma ze śmiechem i obawą w głosie. – Powodzenia, Kai.

Nie! - krzyknął. Nie odchodź!

Ale już było za późno. Kai jechał dalej, zdezorientowany nadmiarem nowych doznań.

Witamy w roju - powiedziały pszczoły. – Nasze oczy są twoimi oczami.

Część czwarta

Sny kamienia

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

W chłodnym, wczesnoporannym świetle zimowego dnia Klan Kamienia zebrał się, by wypełnić swój święty obowiązek. Myrkety utworzyły szeroki krąg wokół szarego monolitu, który wznosił się w samym sercu Diamentowej Pustyni. Kierował nimi tajemniczy impuls, który rozpoznawał najkrótszy dzień roku – myrkety zwały go czasem zmieniających się wiatrów. Od czasu, kiedy plemię rozdzieliło się na dwie grupy, po tym, kiedy Gemma wraz z nimi spełniła zimowy obrzęd, Od zdobył pozycję dominującego samca. Cechowała go powaga i choć czasem jego zachowaniem kierował dogmatyzm, cieszył się dużym autorytetem, był silny i zdecydowany. Klan czuł się bezpieczny pod jego przywództwem.

Był również tym, od którego pozostałe myrkety oczekiwały wskazówek we wszystkich sprawach związanych z monolitem. Tego dnia jednak kierował nimi instynkt i obywały się bez jego telepatycznych przekazów. Niemniej jednak, okazując wagę swej funkcji, uwijał się wśród klanu, sprawdzając, czy myrkety zajęły właściwe miejsca w kręgu i czy najmłodsze z nich traktują obrzęd z odpowiednim szacunkiem. W końcu uznał, że wszystko jest w porządku, i żywo podskakując podbiegł do wyznaczonego dla siebie miejsca, zamykając krąg. Potem stanął na tylnych łapach, z wysoko uniesioną głową i zwisającymi długimi pazurkami przednich łap. Rzucił ostatecznie spojrzenie na zgromadzone myrkety, jeszcze raz upewnił się, że wszystko jest gotowe. Teraz zwrócił swój spiczasty nos i błyszczące, obramowane czarną obwódką oczy w stronę *ognistego-kamienia-niebiańskiego-boga*. Poczuł ciężar odpowiedzialności i nagłą dumę z klanu. Martwił się, że ich mniejsza liczba może utrudnić zadanie i urazić kamień, lecz teraz wszystkie wątpliwości zniknęły.

Śpiewamy.

Klan zareagował na jego milczące wezwanie i wszystkie myrkety poczuły muzykę wzbierającą w ich małych piersiach. Nawet szczenięta, zbyt młode, by kiedykolwiek słyszeć pieśń, przyłączyły się do innych, kierowane wskazówkami starszych i własną wrażliwością.

Ich piskliwe głosy rozbrzmiewały ostro w spokojnym, pustynnym powietrzu. Wszystkie znały swoją partię w cyklu pazura – pięć przeplatających się nitek dźwięku, tworzących złożoną, dysonansową osnowę – i każdy myrket śpiewał, by wypełnić swoją

obietnicę złożoną bogowi zamieszkującemu kamień – tak jak żądała tego tradycja. Tego roku śpiewały również dla swych braci z klanu, których nie było już z nimi, dla Wędrowców. Klan Kamienia pragnął okazać się godnym ich zaufania. Dziwna muzyka wznosiła się ku niebu, w miarę jak słońce podnosiło się na wschodnim nieboskłonie.

Tylko Gemma słyszała śpiew myrketów do kamienia. Dla większości ludzi ich muzyka – o całej światay odległa od konwencjonalnych wyobrażeń o kanonach muzycznego piękna – brzmiałaby zgrzytliwie i nieprzyjemnie. Jednak jej rozdzierające dysonanse przekazywały niezaprzeczalną siłę uczuć i choć słowa były nierozpoznawalne dla ludzkich uszu, posłanie potężniało i drgało w powietrzu. Proś mego brata, by się przesunął, Gdyż rok cały już minął.

Potem, wcześniej niż się spodziewały, monolit zaczął się pochylać i głosy myrketów zabrzmiały głośniejsz, wyrażając radość i szczęście.

Powoli, cicho, kołyszący się kamień przechylił się i wreszcie z ledwie słyszalnym trzaskiem spoczął w nowej pozycji. Po wykonaniu zadania myrketę złamały krąg, popiskując z radości i podskakując na wyprostowanych łapach. Jedynie Od pozostał nieruchomy na swoim miejscu, dumny po wypełnieniu obrzędu. Zastanawiał się teraz, co ich radosne święto przyniesie światu, światu poza ich terytorium, Gemmie i Wędrowcom -gdziekolwiek by byli.

Gdy klan Kamienia świętował, znajomy dudniący huk przetoczył się przez skały pod ich stopami.

Daleko na południu, w odpowiedzi na podziemny, magiczny sygnał, inny kołyszący się kamień zmienił swoją pozycję. Lecz Od nie uznałby tego za rezultat pieśni swego klanu. Ten kamień miał rozmiary góry i ogromna skalna masa przesuwawała się ze straszliwym, ciężkim zgrzytem. Efekt był podobny do małego trzęsienia ziemi; grunt drżał w promieniu paru lig, wywołując wiele niedużych skalnych obsunięć. Jednak najważniejszym skutkiem ruchu skalnego masywu była zmiana biegu rzeki, która wpadała do głębokiej sadzawki położonej na południe od góry. Wcześniej wody Kaskady spływały do doliny leżącej na zachód, teraz wlewały się do świeżo otwartego wąwozu, biegnącego na wschód od góry. Trzy dni później mieszkańcy Doliny Poznania zauważą, że poziom ich rzeki gwałtownie opada. A jeszcze za parę dni łożysko rzeki będzie już zupełnie suche. Ta nowa i upragniona susza da im nową nadzieję, nadzieję, że dręcząca ich epidemia sama wygaśnie.

Teraz rzeka niosła swój śmiercionośny ładunek gdzie indziej.

Kiedy wstrząsy ustały, okazało się, że zwiadowcza grupa D'vora została rozdzielona. Straszliwy hałas i wstrząsy spowodowały kilka niewielkich lawin w otaczających ich jaskiniach i tunelach. C'lin i V'dal zostali uwięzieni w jednym z nich.

J'vina zareagowała pierwsza, wołając zaginionych towarzyszy próbowała wdrapać się na leżące teraz na ziemi głazy, by znaleźć przez nie drogę.

–Ostrożnie! – ostrzegł D'vor. – Skały są wciąż niestabilne.

–I nie rozedrzyj rybiego jedwabiu – dodała C'tis, jak zawsze pamiętając przede wszystkim o swoich obowiązkach lekarza. – Skażenie jest tutaj tak silne, że nawet niewielki kontakt z trucizną może być bardzo niebezpieczny.

J'vina zignorowała obie rady i wspinała się wyżej, mając tuż za sobą myrketę. Wędrowcy przebywali w rozległej podziemnej dziedzinie, znanej dla mieszkańców nadziemnia jako Mroczne Królestwo. Jakiś szósty zmysł doprowadził ich do J'viny, ich przyjaciółki-wojowniczk, którą poznały w Wielkim Nowym Porcie. Od chwili przybycia do Mrocznego Królestwa pomiędzy klanem i wojowniczką powstała jakaś szczególna więź i teraz już

instynktownie reagowali na swoje wzajemne pragnienia. Myrkety nie porozumiewały się z nią myślowo, tak jak z Gemmą, ale wobec jej nieobecności J'vina stała się ich najlepszą przyjaciółką.

–V'dal! C'lin! Słyszycie mnie? Nic wam nie jest? – Wysiłki J'viny nagrodziła oczekiwana odpowiedź.

–Nie jesteśmy ranni! – Usłyszeli głos V'dala, stłumiony przez skały.

Pozostali członkowie grupy odetchnęli z ulgą.

–Czy możemy się do was przedostać?! – zawołał D'vor, przesuwając się ostrożnie do J'viny.

–Nie. Skały zatarasowały cały tunel, a szczeliny są zbyt małe, by przez nie przejść -nawet dla myrketów.

–Czy istnieje jakaś okrężna droga?

–Tak. Jeśli inne tunele nie zostały zablokowane. – W głosie V'dala, przewodnika grupy, brzmiała pewność siebie. – Ale być może będziemy musieli cofnąć się dość daleko i może to potrwać jakiś czas. Co chcecie zrobić?

–Zostaniemy tutaj – zdecydował D'vor. – Zaczekamy na was.

–Doskonale. Do zobaczenia wkrótce. – W głosie C'lina brzmiało ożywienie, jakby cieszył się z czekającej ich przygody.

–Uważajcie na siebie! – przestrzegła ich C'tis.

–W czym możemy wam pomóc? – zapytała J'vina.

–Rozpalcie ognisko – odparł V'dal. – I wołajcie, co jakiś czas. Łatwiej was wtedy znajdziemy.

–Tak słodko, jak potraficie, żeby przy okazji ostrzec wszystkie możliwe paskudztwa czyhające w okolicy – dodał C'lin.

–Pilnuj, żeby ten żartowniś nie zrobił sobie jakiejś krzywdy! – odcięła się J'vina. – Potrzebujemy jego mięśni, by uzupełnić nimi nasze mózgi.

–Zrobię, co w mojej mocy – odpowiedział V'dal i wraz z jego głosem dobiegł ich śmiech stojącego przy nim C'lina. – Zróbcie nam coś gorącego do picia, a będziemy tam jeszcze szybciej.

–Załatwione.

Czekali, nasłuchując słabych odgłosów, które cichły, w miarę jak V'dal i C'lin

oddalali się. Kiedy J'vina i D'vor dołączyli do swoich towarzyszy, rozbili czasowy obóz w części jaskini nienaruszonej przez trzęsienie ziemi.

Rozpalili ognisko, używając specjalnego paliwa, które żarzyło się i wydzielало ciepło nie wybuchając płomieniem.

–Sądzicie, że się przedostaną? – zapytała T'via.

–Jeśli to jest tylko możliwe, V'dal na pewno się przedostanie – odpowiedział poważnie D'vor. V'dal ze swoją fenomenalną pamięcią i wiedzą, obejmującą wszystkie znane tunele i systemy jaskiń ich podziemnego świata, górował nad innymi. Nawet tutaj, w stosunkowo słabo poznanych regionach, jego wyczucie kierunku i zdolność odtwarzania w pamięci przebytej drogi, czyniły zeń niedoścignionego przewodnika.

–Miejmy nadzieję, że tak się stanie – zauważyła J'vina z typowym dla niej fatalizmem. – Nie jestem pewna, czy ktokolwiek z nas potrafiłby znaleźć wyjście z tej szczurzej dziury.

–Jak sądzicie, co wywołało to trzęsienie? – zapytała C'tis, gdy raczyli się gorącym napojem.

–Najkrótszy dzień – odparł D'vor. – Czas, kiedy zmienia się bieg rzeki. Mógł to być wynik tego samego procesu. – Choć dzień i noc w podziemiu określano raczej wedle kryteriów działania i spoczynku niż światła i ciemności, to jednak istnienie kryształowych żył, które pozwalały części słonecznego światła sączyć się w głąb, powodowało, że cykl dobowy mieszkańców Mrocznego Królestwa związany był z następstwem dnia i nocy na

powierzchni. – Kołyszący się kamień – Arden opowiadał nam o nim, pamiętacie?

–Tak, lecz to nigdy nie wywoływało czegoś takiego – powiedziała J'vina.

–Nikt przedtem nie był tak daleko na południu, gdy to się działo – zauważyła C'tis.

–I nikt rozsądnie myślący nie chciałby tu być – dorzuciła J'vina.

–Nie zawsze tak było – odezwała się cicho T'via. – Przypomnijcie sobie Wieżę Dusz.

Znajdowali się w miejscu odległym o dzień drogi na południe od jaskini zwanej Wieżą Dusz. Niegdyś znajdowała się ona w obrębie granic ich kraju, lecz teraz leżała w głębi skażonych obszarów, zamknięta metalowymi drzwiami i odizolowana strefami ochronnymi. Niewielu odważyło się zapuścić w jej pobliże, a już od wielu cykli rzeki nikt nie zdołał dotrzeć na południe od Wieży.

Napawało to smutkiem wszystkich mieszkańców Mrocznego Królestwa, szczególnie zaś

proroków i ich akolitów. T'via pamiętała z dzieciństwa niewyraźny obraz Wieży Dusz i pragnęła zobaczyć ją znowu. Pieczara była świątynią Raelu, Boga Mieszkającego Pod, i właśnie tam rosły w obfitości grzyby raellim. Spożywanie raellimu było niebezpieczne, lecz prorocy poszukiwali grzybów, gdyż wytwarzały osobliwą substancję zwaną dziką ziemią, która umożliwiała postrzeganie życzeń boga. Niekiedy dzika ziemia pomagała również spojrzeć w przyszłość. Wieża Dusz była przerażającym i cudownym miejscem, a teraz – wydawało się – utracili ją na zawsze.

–Arden powiedział nam, że Wieża Dusz leży niemal bezpośrednio pod Kaskadą – wtrąciła C'tis. – A ona była centrum wstrząsu, który spowodował zmianę biegu rzeki.

–Droga na północ może być, więc teraz zupełnie inna – powiedziała J'vina, wyrażając to, o czym myśleli wszyscy. Na północy leżał ich dom.

–Być może – rzekł D'vor. – Dowiemy się więcej, kiedy V'dal dotrze tutaj.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Dyżurny zaklął gwałtownie, wpatrując się w zmieniający się nieustannie wzór świateł i wskaźników na tablicy rozdzielczej.

–Znowu! – W jego głosie brzmiał gniew i zawód, lecz słysząc było w nim także cień strachu. Zwierzchnik zbliżył się i spojrział dyżurnemu przez ramię.

–Co to jest?

–Blokada kanałów odprowadzających. Ciśnienie wzrasta i wolę nie myśleć, co się stanie, jeśli szybko nie opadnie. Być może będziemy musieli zamknąć część zakładów.

–Nie możemy tego zrobić! To nie podlega dyskusji.

–Ale...

–Żadnych ale! Nie możemy niczego wyłączyć, to jest nieodwołalne. Natychmiast wezwij brygadę remontową i powiedz im, że muszą oczyścić te kanały – szybko!

Dyżurny odwrócił się, by wykonać polecenie. Nie mógł zgadnąć, co każe jego zwierzchnikowi działać – wydawało się – tak nierozważnie. Po raz pierwszy też zadał sobie pytanie, czy jego własna wysoka pozycja w sieci rzeczywiście jest tego warta. Być może byłoby lepiej – a z pewnością łatwiej – być kimś z niższych klas, bezmyślnie posłusznym i niewymagającym. Wydrukował odpowiedni kod zagrożenia i odwrócił się, by obserwować wskazania przyrządów na tablicy kontrolnej zasilania. Temperatura w niektórych komorach już znacznie wzrosła; pompy były przeciążone, tłocząc wypływające ciecze pod wciąż rosnącym ciśnieniem. Jeśli

temperatura będzie jeszcze wyższa... Dyżurnego przebiegł dreszcz.

Jego przełożony cofnął się nieco, nie będąc w stanie obserwować przepływu informacji, które mogły znaczyć ich zagładę. W duchu zlorzeczył na swój los. Dlaczego właśnie teraz, kiedy rozkazano nam zwiększyć dostawę wody? Wiedziałem, że system kanałów, który wprowadziliśmy po tym, jak w zeszłym roku pękła tama, nie wytrzyma, łowiłem, ale czy mnie słuchali? Oczywiście, nie! Przyglądał się schematowi układu, który pokazywał drogę, jaką posuwała się ekipa naprawcza. Spiesz się, człowieku, spiesz! Nie możemy teraz tego wyłączyć!

Rozkazy Wielkiego Przywódcy były jednoznaczne. Zakład miał osiągnąć pełną wydajność i pozostać na tym poziomie, dopóki nie będzie innych poleceń. Nieustannie wzrastające potrzeby miasta oraz jego ogromnej społeczności muszą być zaspokajane. A

poza tym, oczywiście, istniała kwestia materiałów potrzebnych do produkcji wynalezionych ostatnio broni Wielkiego Przywódcy. Zaledwie kilka dni temu spektakularna próba jednej z nich skończyła się pełnym sukcesem. Olbrzymia góra zniknęła, zmieciona ze świata jednym dotknięciem guzika. Ich Przywódca cieszył się, lecz ów tryumf wzmógł tylko jego niecierpliwość. Jeszcze setki, tysiące nowych broni trzeba będzie stworzyć – powiedział im. Tylko wtedy ich sen panowaniu może się spełnić.

I tylko przy wykorzystaniu całego potencjału energetycznego można było myśleć o wytwarzaniu lotnych i potencjalnie niebezpiecznych substancji niezbędnych do produkcji broni.

Wielu zajmujących wyższe stanowiska w sieci odczuło już gniew Wielkiego Przywódcy. Nie tolerował żadnych awarii i karał winnych uchybieniom z okrutną surowością. Szef Sekcji Zasilania nie miał zamiaru stać się kolejną ofiarą.

–Poruszają się za wolno! – warknął, przypatrując się schematowi sieci. – Powiedz im, żeby się pospieszyli, albo ich wszystkich przeprogramuję. I włącz awaryjny układ chłodzenia.

Wreszcie zobaczył sygnał oznaczający, że brygada remontowa jest już w pojeździe inspekcyjnym i zmierza w kierunku uszkodzonego kanału.

Dalej! – ponaglał niewidoczną załogę. Ruszajcie się!

Czterech członków grupy remontowej ledwie zdążyło zapiąć pasy w pojeździe inspekcyjnym, zanim wystartował, gwałtownie nabierając prędkości, w miarę jak pędził tunelem biegnącym równoległe do kanałów odprowadzających. Pospiesznie wykonane kombinezony ochronne były niewygodne, lecz nie wątpili w pilność swej misji i nikt nie narzekał.

Odkrycie, że do zbudowanych według precyzyjnego systemu jaskiń rozciągających się pod miastem można wpompować dowolną ilość odpadków, okazało się dla architektów wielkim dobrodziejstwem. Nie musieli się już martwić skażeniem własnego środowiska i magazynowaniem bezużytecznych, trujących odpadków. Można się było ich pozbyć w prosty sposób; pochłaniała je obojętna ziemia.

Oczywiście nie obyło się bez problemów, ale wszystkie one, w miarę upływu czasu, zostały pokonane. Wywiercono nowe tunele, by zapewnić szybki, równomierny odpływ ścieków na pierwszym odcinku podziemnego systemu zrzutowego i odwrócono bieg wielu rzek, by dostarczyć ogromnych ilości wody potrzebnych do chłodzenia i oczyszczania miasta. Tam gdzie jedno rozwiązanie zawodziło, wypróbowywano inne, aż w końcu cały system zaczął funkcjonować bezbłędnie. Aż do teraz.

Na czele grupy remontowej stał starszy inżynier, F21M. Jego zastępcą był H73F -usytuowany dwa poziomy niżej w sieci od swego zwierzchnika, jednak inteligentny i wykształcony. Towarzyszyło im dwóch mechaników z niższych rzędów, L290M i L384M, którzy mogli wspomóc zwierzchników swoją niemałą siłą fizyczną, gdyby okazało się to konieczne.

Jadąc spoglądali prosto przed siebie, a ich stalowe oblicza były puste, pozbawione wyrazu. Czasem spoglądali na tabliczki identyfikacyjne umieszczone na metalowych paskach otaczających ich lewe nadgarstki. Na tych bransoletach widniały ich numery w sieci, tuż pod nieustannie rozbłyskującą tabliczką, która pokazywała pozycję każdego z nich w całości schematu, i która – w razie potrzeby – pozwalała na przekazywanie poleceń Sekcji Kontroli. Małe czerwone światełka wskazywały, że wszystko funkcjonuje normalnie.

Szum silnika ich pojazdu cichł, w miarę jak ów zwalniał. Potem zatrzymał się przy ujściu kanału. Załoga wysiadła i F21M, skinąwszy dwóm mechanikom, by czekali, pospieszył wraz ze swoim zastępcą, by odczytać dane ze stacji kontrolnej. Wcisnął na próbę kilka guzików, a potem potrząsnął głową.

–Wygląda na to, że problem wciąż istnieje – powiedział. – W żywej skale.

H73F skinął potakująco głową, lecz nie odezwał się.

–Zawiadom Kontrolę – dodał starszy inżynier. – Dalej pójdziemy pieszo. – Gdy jego zastępca wykonywał polecenie, F21M razem z mechanikami wyładowywali z pojazdu przenośny ekwipunek.

–Kontrola potwierdza odbiór i wyraża zgodę – zameldował H37F. – Mamy odesłać pojazd, przybędą nim posiłki.

–Dobrze. Powiedz im, że prawdopodobnie będzie nam potrzebny ciężki sprzęt. Zaczynaj go już ściągać z Bazy Głównej.

–Rozkaz – odparł zastępca. Po wysłaniu odpowiednich sygnałów, kobieta, która nosiła imię H73F, odwróciła się i wzięła swoją część ekwipunku.

–Chodźmy. – F21M przeprowadził ich przez wodoszczelne zamknięcie, za którym ciągnęły się jaskinie. Gdy to uczynił, do ich uszu dobiegł ryk przepływających tuż obok ogromnych mas wody.

Skąło-mrok, podziemny odpowiednik zmięzchu, zbliżał się szybko i J'vine ogarniał coraz większy niepokój. V'dal i C'lin wciąż nie dawali znaku życia i wojowniczką zaproponowała, by wysłać kogoś na poszukiwania. D'vor sprzeciwił się temu, twierdząc, że się pogubią i zmniejszy się tylko szansa na ponowne spotkanie całej grupy. J'vina podporządkowała się tej decyzji, choć z trudem ukrywała zniecierpliwienie. Każdy przedłużający się okres bezczynności i bezruchu sprawiał, że stawała się niespokojna.

Myrkety ogarniało również coraz większe zdenerwowanie; udzielał im się nastrój ich przyjaciółki-wojowniczką. Jak dotąd, lepiej lub gorzej, ale jednak radziły sobie ze wszystkimi niebezpieczeństwami Mrocznego Królestwa. Wydawało się, że nawet skażone obszary nie wywołują u nich żadnych dolegliwości, choć C'tis nie potrafiła wciąż zrozumieć, dlaczego nie cierpią na zieloną chorobę, która bezlitośnie atakowała jej rodaków i ich zwierzęta. Myrkety chroniła gęsta sierść, ale z pewnością nie był to główny powód ich odporności. Mogła jedynie przypuszczać, że ich uformowane na powierzchni organizmy skuteczniej przeciwstawiały się chorobie – na co wskazywał już wcześniej przebieg rekonwalescencji Ardena. Mimo to C'tis martwiła się o nie, bała się, że wkrótce stracą swoją dotychczasową odporność – szczególnie jeśli będą przebywały zbyt długo na tych tak silnie skażonych terenach.

J'vina nieustannie obchodziła pieczarę, nawołując towarzyszy tak długo, dopóki nie ochrypla. Klan towarzyszył jej w tej monotonnej wędrówce, uzupełniając jej krzyki swoimi przenikliwymi odgłosami.

D'vor kwitował ów hałas grymasem twarzy.

–Być może C'lin miał rację – zauważyła C'tis, uśmiechając się. – Ten harmider odstraszy wszystko.

–Wkrótce będą musieli się zatrzymać z powodu kompletnej ciemności – odezwała się chrapliwym głosem J'vina. – Gdzie oni teraz są?

–Nie martw się, dotrą tutaj – uspokoiła ją T'via. Wojowniczką krzyknęła ponownie, potem rozkaszała się i wróciła do ogniska, wyciągając rękę po coś do picia. Pazurki myrketów zaklekotały po nagiej skale. W zapadłej teraz ciszy do ich uszu dobiegł słaby dźwięk.

–To oni!

W jednej chwili wszyscy się poderwali na nogi, nasłuchując uważnie.

–Tam – szepnęła T'via, wskazując na wylot jednego z północnych tuneli. D'vor podszedł do tunelu i zawołał. Ku ich radości, odpowiedź przyszła natychmiast.

Kilka chwil później uśmiechnięci V'dal i C'lin pojawili się w czerwonym blasku ogniska. Przywitali się beztrąsko, lecz nie ulegało wątpliwości, że odnalezienie towarzyszy przyniosło im wielką ulgę.

–Miło, że czekaliście – zauważył C’lin, starając się, by brzmiało to nonszalancko. – Zostawiliście nam coś do zjedzenia?

–A gdzie ów obiecany napitek? – zapytał V’dal. Gdy spełniono owe życzenia, D’vor zapytał, jak wygląda sytuacja w tunelach. Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie, ich twarze nagle sposepniały.

–Niezbyt dobrze – zaczął V’dal. – Poziom rzeki podniósł się gwałtownie w ciągu bardzo krótkiego czasu, lecz skutków nie da się przewidzieć. Wydaje się, że niektóre pieczary pozostały nienaruszone. Musieliśmy cofnąć się szmat drogi, żeby znaleźć właściwą drogę, widzieliśmy więc całkiem sporo. – Przerwał, jakby nie chcąc kontynuować.

–I? – naciskał J’vina.

–Cóż, nie mogę mieć pewności – powiedział V’dal – poza tym muszą być inne szlaki, które możemy zbadać, ale... wydaje się, że nie ma żadnej drogi, którą moglibyśmy przedostać się na północ.

–Jesteśmy w pułapce? – szepnęła C’tis.

–Nie wiem – odparł poważnym tonem V’dal. – Wiem tylko, że wszystkie znane mi szlaki są obecnie zalane wodą lub zatarasowane skałami.

–Musi istnieć jakaś okrężna droga – powiedziała T’via podnosząc na niego przerażone oczy.

–Prawdopodobnie – zgodził się V’dal, starając się, by zabrzmiało to optymistycznie.

–Ale żeby ją znaleźć, potrzeba czasu, prawda? – zapytał D’vor.

–Tak. Zdawali sobie sprawę z tego, co to znaczy. Mieli mało żywności, a możliwości

uzupełnienia zapasów tutaj, gdzie wszystko uległo skażeniu, były znikome. Poza tym znali opinię C’tis, iż chroniące ich taśmy z rybiego jedwabiu mogą jedynie opóźnić początek zielonej choroby. Gdyby pozostali na tych skażonych terenach za długo, brak żywności byłby najmniejszym problemem.

–Czy teraz więcej wody płynie na północ? – zapytał D’vor.

–Tak. O wiele więcej. – V’dal nabrał głęboko powietrza. – I jest mocno skażona.

Sprawdziłem parę nowych wycieków.

–Sytuacja w domu pogorszy się bardzo szybko – zauważył posępnie C’lin.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

–Zatem nie mamy wyboru, prawda? – stwierdziła ponuro J’vina. – Musimy ruszyć na południe.

–Tak – zgodził się D’vor, nie potrafiąc podważyć logiki jej wyводу. – Naszą jedyną nadzieją jest teraz znalezienie źródła skażenia i zniszczenie go.

–Nim będzie za późno – zakończyła za niego C’tis.

Przez parę chwil milczeli pogrążeni we własnych myślach. Potem stłumiony huk

odległej eksplozji wstrząsnął posępnym spokojem pieczary. Gdy skały wokół nich zadrżały, spojrzeli odruchowo w górę.

–Znowu? – szepnęła T’via.

–Nie – odpowiedział z przekonaniem V’dal. – To było o wiele słabsze. I

spowodowane przez człowieka.

Echa i wibracje zamarły, lecz powietrze w pieczarze jakby się zmieniło.

–Woda – powiedziała C’tis.

–Ktoś tutaj bawi się w poruszanie jakiejś rzeczulki – zauważył C’lin.

–Więc chodźmy. Zobaczymy, kto – powiedziała z ożywieniem J’vina. – Możemy być bliżej, niż sądziliśmy. – Powstała, a jej miecz z sykiem wysunął się z pochwy. – Którym tunelem, V’dal?

–Czekaj – polecił D’vor, również wstając. – Pójdziemy wszyscy, ale najpierw ustalmy plan działania. – Szybko wydał polecenia i grupa ruszyła tunelem, który zdawał się prowadzić prosto do miejsca, z którego rozległ się wybuch. Tunel był wąski i gdy szli, niemal dotykali głowami sklepienia.

–Mam tylko nadzieję, że nie skierują wody tutaj, w ten korytarz – odezwał się C’lin. – Byłoby za ciasno.

–Przecież umiesz pływać, prawda? – J’vina uśmiechnęła się z sarkazmem.

Wilgotny powiew owiewał ich twarze, gdy posuwali się naprzód.

F21M z satysfakcją zmierzył wzrokiem efekty swej pracy. Sekcja Kontroli będzie zadowolona. Usunęli dwa skalne zwaliska, przywracając normalne funkcjonowanie systemu odprowadzającego. Drugie zwalisko wymagało więcej pracy, lecz ładunki wybuchowe umieścili

tak perfekcyjnie, że usunęły zator nie powodując dalszych obsunięć sklepienia tunelu. Rzeka odpadów z rykiem popędziła w swoją podróż do niezbadanych

głębin ziemi.

–W porządku. Wracamy do stacji kontrolnej – rozkazał.

Idąc tunelem oświetlali drogę przed sobą potężnymi lampami. Snopy światła

wydobywały z mroku nieziemsko piękne skalne formacje, które zdobiły strop i dno tunelu i rozbłyskiwały w żyłach kryształu. Niewielu miało okazję oglądać to przedziwne zjawisko, lecz brygada remontowa nie zwracała uwagi na otoczenie, traktując je tylko jako trasę wiodącą od jednego zadania do drugiego.

Szli już tak niemal godzinę, kiedy L290M, który prowadził, zatrzymał się nagle, błyskając lampą w głąb jednego z bocznych tuneli.

–Co to było?

–Nic nie słyszałem. – F21M podszedł do mechanika i zajrzał do tunelu. Nie zauważył niczego niezwykłego.

Potem cała czwórka usłyszała coś, co niewątpliwie było odgłosem uderzenia metalu o kamień.

–Może to inny zespół – szepnęła H73F. I w tej właśnie chwili ze straszliwą jasnością uświadomili sobie, że przybysze nie są członkami sekcji remontowej.

Dwa niezwykle, wysokie stworzenia wyskoczyły zza stalagmitów. Choć ich błyszczące głowy zdawały się nie mieć rysów, wydawały przerażające okrzyki i wymachiwały prymitywnym stalowym orężem.

–Intruzi! – krzyknął F21M sięgając po broń i pragnąc w tej chwili, by inni byli w nią również zaopatrzeni.

Jednak L290M zareagował szybciej, unosząc katapultę i strzelając z tej zaimprovizowanej broni do jednego z przybyszów. Samodetonujący, metalowy pocisk uderzył dziwne stworzenie prosto w pierś i eksplodował, wyrwijąc ogromną, krwawą dziurę. Kiedy tamto upadło na ziemię, na L290M runęła druga istota i pozbawiła go życia jednym uderzeniem miecza, oddzielając niemal głowę od karku.

Można teraz było odnieść wrażenie, że ogromne, czarne i pozbawione twarzy potwory są wszędzie, a ich jedynym celem jest zabijanie. F21M miał zaledwie tyle czasu, by zobaczyć, jak giną jego dwaj towarzysze, nim zamajaczył przed nim pierwszy napastnik, wykopując mu broń

z ręki i unosząc miecz do zadania śmiertelnego ciosu. Wyciągnął lewą rękę, by odeprzeć atak, zdając sobie sprawę z daremności swojej obrony.

Ktoś krzyknął:

–Nie! Potrzebujemy go żywego – i ostrze opadło, odcinając dłoń wraz z nadgarstkiem.

F21M wytrzeszczył oczy, wpatrując się z niedowierzaniem w tryskającą z kikuta krew. Potem zemdlał.

J’vina stała nad bezwładnym ciałem nieprzytomnego inżyniera, oddychając ciężko.

–Powinnam była cię zabić, ty bydlaku! – syknęła.

–Możesz mu jakoś pomóc? – D’vor zwrócił się do C’tis. – Musimy dowiedzieć się paru rzeczy.

–Spróbuję – powiedziała lekarka i łagodnie odsunęła J’vinę na bok. – To już koniec – zwróciła się do niej cichym głosem.

–Najpierw B’van i L’tha, teraz C’lin – rzekł ze smutkiem V’dal.

–Jeszcze wielu z nas dosięgnie śmierć, zanim to się skończy – powiedział ponuro D’vor. Śmierć towarzysza odczuł tak głęboko jak wszyscy pozostali, lecz pamiętał, że mają zadanie do wykonania. Muszą teraz wziąć odwet.

Napięcie szybko opuściło J’vinę. Szał bojowy zniknął, gdy cofnęła się i objęła wzrokiem leżące na ziemi ciała.

–Cieszę się, że założyliśmy rybi jedwab również na oczy – rzuciła w przestrzeń. –

Ich lampy były straszliwie jasne.

D’vor i V’dal uklękli, by zbadać ciała wrogów; by obejrzeć twarze, odsunęli ochronne kaptury. Żimne stalowe maski spojrzały na nich martwymi oczyma osadzonymi w metalowych oczodołach. V’dal chciał zdjąć maskę z jednego z trupów i stwierdził, że jest spojona z czaszką. Wciągnął ze zgrozą powietrze, gdy odkrył prawdę.

–Oni utracili swoje prawdziwe twarze – rzekł wstrząśnięty D’vor.

–Tak jak Mendle – szepnął V’dal.

–A to, co? – zapytała cichym głosem T’via, wskazując na metalowe paski

pobłyskujące na nadgarstkach zwłok.

Przyglądali się uważnie bransoletom, ale nie potrafili zrozumieć znaczenia świetlistych znaków, które się na nich pojawiały. Bransolet nie dało się zdjąć.

–Wygląda, jakby ktoś chciał ich zmienić w jakieś mechanizmy – powiedziała T’via. Porzucili te przerażające badania i wrócili do C’tis.

–No i? – zapytał z niecierpliwością D’vor.

–Chwilowo jego stan się nie pogarsza – tyle mogłam zrobić, ale jest w głębokim szoku – odparła lekarka. – Nie liczyłam nawet na tyle. Przy odrobinie szczęścia pożyje jeszcze jakiś czas, ale nie mam pojęcia, ile zdołasz z niego wyciągnąć, nawet, jeśli odzyska przytomność. – Zdezynfekowała i zabandażowała ranę, a potem wykorzystała swoje szczególne zdolności, by zbadać organizm nieprzytomnego mężczyzny. Był w szoku wywołanym nie tylko utratą ręki – co do tego nie miała wątpliwości.

–Rób, co możesz – polecił jej D’vor.

–Czy ten szok może mieć coś wspólnego z tym? – zapytała J’vina. Uniosła odciętą dłoń, trzymając ją w dwóch palcach. Metalowy pasek wciąż obejmował skrwawiony nadgarstek.

–Nie wiem – odpowiedziała C’tis, czując mdłości mimo swej lekarskiej praktyki.

J’vina odrzuciła rękę w jakiś ciemny kąt. Błyszczące czerwone światło bransolety zgasło na długo przedtem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

–Usiłował to uchwycić, kiedy go zaatakowałam – powiedziała J’vina, obracając w palcach dziwny, metalowy przedmiot. – Czy to jakiś rodzaj broni?

–Nie wiem – odparła T’via. – I nie jestem pewna, czy chcę się tego dowiedzieć.

Gwałtowna śmierć C’lina sprawiła, że badania części ekwipunku wrogów przeprowadzali z największą ostrożnością.

–Gdzie twój duch badacza? – zapytała wojowniczką, szybko odzyskując swoją zwykłą pewność siebie.

–Uważaj, żeby te twoje badania nie zrobiły ci dziury w mózgu – ostrzegł V’dal.

Słyszając to, T’via skrzywiła się, lecz J’vina tylko się roześmiała.

–Dobry żołnierz rzadko używa mózgu – powiedziała. – Inne części ciała przydają się bardziej. Będę ostrożna. – Spojrzała z ukosa w wylot rurki, która była jedną częścią przyrządu. – Może coś się tutaj wkłada.

–Albo coś stamtąd wychodzi – zasugerowała T’via.

–Ta część to przypuszczalnie uchwyt – ciągnęła J’vina, kładąc ją sobie na dłoni -wówczas, tak jak teraz, rurka będzie stanowiła przedłużenie ręki trzymającego, więc chyba masz rację. Tak! A wtedy mój palec trafi na tę małą dźwignię – widzisz, tutaj, pod tą małą osłoną.

–Spust? – zapytał D’vor.

–Ale gdzie są strzały? – J’vina była zaintrygowana. – Cóż, istnieje tylko jeden sposób, by się dowiedzieć.

–Nie! – krzyknął D’vor, ale się spóźnił. J’vina wycelowała już rurkę w pobliski stalaktyt i pociągnęła dźwignię. Rezultat był zdumiewający. Ze stłumionym hukim metalowy przedmiot podskoczył w rękę J’viny i wielka bryła skały runęła na ziemię. Kilka mniejszych odłamków przeleciało przez jaskinię, furkocząc jak oszalałe owady.

Zapadła głucha cisza.

–Myślę, że to zatrzymam – powiedziała zadowolona J’vina, a z jej tonu wynikało, że jest bardziej niż usatysfakcjonowana swoim eksperymentem.

–Tylko nie celuj we mnie – rzekł ostro V’ dal, wstrząśnięty i rozbawiony

jednocześnie.

–I więcej żadnych prób bez uprzedzenia, proszę – upomniął ją D’ vor.

–Odzyskuje przytomność! – zawołała nagle C’ tis i wszyscy zgromadzili się wokół

obcego, który rozwarł drżące powieki. Jęknął. Ból, strach i oszołomienie błysnęły w jego oczach, choć jego stalowe oblicze pozostało tak samo puste jak przedtem.

–Moja bransoleta – wychrypiał. – Muszę ją mieć. – Słowa wycharczał przez

nieruchome usta.

–Straciłeś rękę – odezwał się D’ vor. – Nie możemy dać ci nowej.

–Nie – szepnęła C’ tis. – On chce bransoletę, tę, którą miał na nadgarstku.

–Bez niej jestem zgubiony... schemat sieci...

–O czym on mówi? – zapytała J’ vina.

–Zgubiony... – W głosie obcego pojawiło się cierpienie i wyglądało, jakby miał się rozplakać.

–Pomożemy ci – powiedziała łagodnie C’ tis. – Co robiliście pod ziemią? Metalowa twarz odwracała się z wolna, by spojrzeć na nią.

–Macie takie wielkie oczy – powiedział ze zdumieniem.

–Skąd jesteście? – spróbowała znowu C’ tis.

–Z obsługi.

–Jak się nazywasz? – zapytał D’ vor.

–F21... – Głos mężczyzny zamarł. – Nie wiem – powiedział oszołomiony. Zwiadowcy spojrzeli po sobie.

–On się na nic nie przyda – rzuciła szorstko J’ vina. – To co mówi nie ma sensu.

–Cicho! – warknął gniewnie D’ vor. Wojowniczką odsunęła się obrażona, choć tak naprawdę daleka była od niechęci do przywódcy. – To śmieszne, nic z niego nie wyciągniemy.

–Czekajcie – powiedziała cicho C’ tis. – Chyba coś mam. – Trzymała zdrową rękę mężczyzny, rejestrując zmiany zachodzące w jego organizmie. – W jego krwiobiegu są dziwne substancje,

ale ich poziom gwałtownie opada. Być może istniały, dopóki miał opaskę, i ten wstrząs jest częściowo wywołany ich brakiem.

–Kto mógł obchodzić się tak z ludźmi? – rzuciła gwałtownie T'via. – Wyrządzono im wielkie zło.

–Tak zarządził Wielki Przywódca – padła nieoczekiwana odpowiedź. – Dla naszego własnego dobra. Posłuszeństwo jest prawem. – Przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, jakby widział ich po raz pierwszy. – Nie należycie do wybranych. – Przerwał znowu, najwyraźniej zmieszany. – Wasze twarze nie są ulepszone... – Nowe przerażenie zabrzmiało w jego głosie, gdy krzyknął wyzywająco: – Sieć ochroni nas przed bólem! – Wyrwał rękę z uścisku C'tis i uniósł ją do swej maski. Palce zbadały zimną, gładką

powierzchnię, a potem mężczyzna krzyknął. Był to przepojony cierpieniem najstraszliwszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszeli. Niósł ze sobą pełne zrozumienie ostatecznej zagłady i zakończył się bezradnym szlochem. Zapadła pełna trwogi cisza.

–Znowu zemdlął – szepnęła C'tis.

Kiedy mężczyzna ocknął się ponownie, J'vina i V'dal penetrowali już głębie

tunelu, próbując dowiedzieć się, dokąd zmierzali obcy. D'vor nie chciał rozdzielać grupy, ale wiedział, że musi dać J'vinie jakieś zadanie do wykonania, by zapobiec jej wzrastającemu zniecierpliwieniu.

C'tis poprosiła D'vora i T'vię, by przez jakiś czas nie przeszkadzali, gdy usiłowała uspokoić swego zupełnie wytrąconego z równowagi pacjenta. Mężczyzna wił się i szlochał, choć ani jedna łza nie spłynęła po jego metalowych policzkach – w końcu udało się jej go uspokoić. Wiedziała, o co ma pytać, gdy rozmowa z nim okazała się możliwa, lecz nim zdołała zacząć, mężczyzna wciągnął głęboko powietrze i powiedział wyraźnie:

–Eldrin. To było... to jest moje imię.

–Dlaczego nie mogłeś przypomnieć sobie tego wcześniej? – zapytała cicho.

–Byłem... byłem wówczas inny. Byłem kimś innym – powtórzył. Kazali mi

zapomnieć. – Jego wzrok spoczął na okaleczonej ręce i gdy poczuł ogarniającą go falę bólu, jego zdrowa ręka ścisnęła konwulsyjnie rękę lekarki. – Kiedy przybyliśmy tutaj, wszystko wyglądało tak cudownie.

–Gdzie przybyliście? – zapytała szybko C'tis.

–Do miasta. Było w nim tak wielu ludzi. I tyle energii... – Spojrzał na lekarkę smutnymi

oczyma. – Co się nie udało? – zapytał z rozpaczą.

–Co robiliście tutaj na dole, w jaskiniach?

–Przeczyszczaliśmy odpływ – odparł.

–Jaki odpływ?

–Z Sekcji Zasilania, odprowadza też miejskie ścieki.

–Truciznę.

–Tak. Ale to nie ma znaczenia. Spływa głęboko pod ziemię i tam nie może nikomu zaszkodzić.

Zamilkli. D’vor był zadowolony, że J’vina tego nie słyszała. Nie chciał myśleć o jej reakcji na słowa obcego.

–Co by się stało, gdyby odpływ został zablokowany? – zapytał cicho, C’tis

powtórzyła jego słowa głośniej.

–Musielibyśmy wyłączyć układy zasilania – powiedział. – W przeciwnym razie przegrzałyby się i musiałyby nastąpić eksplozja.

–A wtedy, co by się stało?

–Całe miasto zostałoby zniszczone – a wysoka temperatura stopiłaby skały. To nie do pomyślenia.

–Ale nie byłoby wówczas odpływu?

–Wówczas nie byłoby niczego.

D’vor z trudem mógł opanować radość. Oto ostatnia rozpaczliwa szansa, o której marzyli. Jeśli zdołają zniszczyć to wrogie miasto, wówczas być może ich podziemne królestwo zostanie uratowane. Jego grupa prawdopodobnie zginie wykonując to zadanie, lecz i tak zapłacą niską cenę za życie swoich rodaków.

–Jak dostać się stąd do miasta? – zapytała C’tis.

–Sieć cię nie wpuści – odparł Eldrin.

–A jeśli stanę się częścią sieci? – wymyśliła na oczekaniu C’tis.

–Nie! – zawołał z niespodziewaną gwałtownością. – Nie możesz... a poza tym, sieć jest... nie

jest tym, czym miała być. Jest zła. Zostaliśmy oszukani.

–Zatem pomóż nam – powiedziała C'tis. – Możemy sprawić, by wróciła do tego, czym miała być.

Nadzieja błysnęła w jego oczach, lecz zaraz zgasła.

–Nie potraficie – zaprzeczył stanowczo. – Kim jesteście?

–Jesteśmy ludźmi, którzy żyją w tych jaskiniach – odpowiedziała C'tis.

–Tu, pod ziemią? – zapytał z niekłamanym zdumieniem.

–Tak.

–Bogowie! – rzekł wówczas z rozpaczą w głosie. – Cóż uczyniliśmy?

–Pomożesz nam? Przez jakiś czas Eldrin nie odpowiadał. C'tis wyczuwała jego wewnętrzne wzburzenie; jego umysł i ciało zostały zmuszone do bolesnej weryfikacji wielu, wydawałoby się dotąd oczywistych, prawd. Ze wszystkich sił starała się powstrzymać go przed ponowną ucieczką w szok.

–Dlaczego nosiłeś tę opaskę na nadgarstku? – zapytał D'vor.

Chaos, w jakim pozostawał obcy, wyraźnie się nasilił. C'tis chciała powstrzymać

D'vora, lecz tak pochłaniało ją to, co robiła, że nie ośmieliła się odezwać, by nie utracić koncentracji.

–Moje imię... – powiedział mężczyzna... – zostało zmienione. Dla identyfikacji.

Moje miejsce w schemacie sieci. Rozkazy z Kontroli.

–A twoja twarz? – zapytał D'vor.

Nie! – krzyknęła w duchu C'tis. Nie pytaj o to! Poczuela, że Eldrin odchodzi, i

ogarnięta rozpaczą odwróciła się, by gestem nakazać D'vorowi milczenie. W tej właśnie chwili ciało obcego zrezygnowało z nierównej walki. Urazy spowodowały zaburzenia mózgu, a serce, przeciążone i pracujące na granicy wytrzymałości – pękło.

–Nie żyje – powiedziała cicho C'tis.

–Jego życie było koszmarem – pocieszyła ją T'via. – Teraz przynajmniej jest wolny. Ciszę, która zapadła po jej słowach, przerwał kilka chwil później przeraźliwy

gwizd J'viny.

–Niebezpieczeństwo – ostrzegł D'vor. – Zabierzcie tylko to, co niezbędne. Szybko!

J'vina i V'dal wpadli do pieczary.

–Nadchodzą inni! – wydyszała wojowniczką. – Jest ich całe mnóstwo. Tacy jak on.

–Wskazała palcem martwego mężczyznę. Myrkety przepychały się i podskakiwały wokół niej, sprawiając wrażenie, że podłoga jaskini ożyła. – Ale dowiedzieliśmy się, skąd przybyli.

–Dobrze – odparł D'vor. – A teraz szybko uciekajmy, zanim nas znajdą.

Wbiegli w labirynt jaskiń i tuneli i wkrótce zdystansowali swoich prześladowców,

zawierając instynktowi V'dala – i swojej własnej intuicji – że w razie potrzeby będą mogli wrócić. Wreszcie poczuli się bezpieczni i rozbili obóz w małej jaskini o nieregularnych kształtach. Tam omówili to wszystko, czego się dowiedzieli. Sposób postępowania wydawał się oczywisty – choć napawał ich przerażeniem.

–Chciałbym tylko, żeby był jakiś sposób przekazania wiadomości prorokom, żeby ludzie się dowiedzieli o naszych planach – rzekł D'vor.

–Być może istnieje – powiedziała cicho T'via i jej towarzysze odwrócili się w jej kierunku.

–Jaki? – zapytał D'vor. – Słyszałaś przecież słowa V'dala: wszystkie szlaki na północ są zablokowane.

–Możemy przekazać wiadomość za pomocą tego – odparła, unosząc odłamek przezroczystego kamienia, który trzymała pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

–Kryształowy diament? – zapytała C'tis.

T'via skinęła głową.

–To fragment większego kryształu, który P'tra przechowuje na Półwyspie. W

każdej grupie zwiadowców wybrana osoba ma jeden taki odłamek, lecz pozwolono nam to ujawnić tylko w przypadku najwyższej potrzeby.

–Cóż, cieszę się, że rozumiałaś powagę naszej sytuacji – zauważył sucho V'dal.

–Jak to działa? – zapytała zaintrygowana J’vina.

–Mam nadzieję, że ten kryształek umożliwi mi porozumienie się z P’trą – lub z jakimkolwiek innym prorokiem, który strzeże wielkiego kamienia – odparła trochę niepewnie T’via.

–Przekazywanie obrazów? Za pomocą czegoś tak małego? – C’tis była zdumiona.

–To sprawa więzi, nie wielkości. Umysłu z umysłem, kryształu z kryształem.

–Na Rael! – zawołał D’vor. – Dlaczego nikt nam o tym nie powiedział wcześniej?

–Ponieważ użycie tego sposobu jest niebezpieczne. – Głos T’vii nabrał pewności, lecz wciąż nie mogła spojrzeć mu w oczy. – Pochłania energię zarówno proroka, jak i osoby, która się z nim kontaktuje. Kontakt na dużą odległość może spowodować obrażenia... a nawet śmierć.

–Och. – Gniew D’vora osłabł.

–Obrażenia? – zapytała C’tis.

–Mojego umysłu – odparła T’via. – Jeśli nie uda mi się połączyć z prorokiem, możecie nie mieć potem ze mnie większego pożytku.

Zapadła długa chwila ciszy. Rozważali w milczeniu wszystkie za i przeciw.

–Chcę spróbować – zapewniła ich w końcu T’via. – Mimo to, że jesteśmy tak daleko? – zapytał cicho D’vor.

–Tak. To, co pragniemy zrobić, może zdecydować o losie całej naszej rasy. Czy można wyobrazić sobie lepszy powód do podjęcia ryzyka?

Nikt nie odpowiedział.

–Nieustannie ryzykujecie – ciągnęła. – Teraz moja kolej. Musimy ostrzec proroków. D’vor wahał się.

–Jesteś pewna? – zapytał w końcu.

–Oczywiście. Ale mam jeden warunek – dodała natychmiast T’via.

–Jaki?

–Jeśli... jeśli się nie uda, a mój umysł zostanie zniszczony – pomóżcie mi odejść... Byłabym tylko zawadą.

–Chcesz, byśmy cię zabili? – D’vor był przerażony.

–Nie! – wykrzyknęła C'tis.

–Prawdopodobnie do tego nie dojdzie – powiedziała T'via, próbując się

uśmiechnąć. – Ale gdyby tak się stało, nie chciałabym żyć dłużej. Musicie mi to przyrzec.

–Nie mogę ci tego obiecać – odpowiedział z rozpaczą D'vor.

–Wiem, że jeśli będzie jakakolwiek szansa, by mnie uratować, zrobicie to. Lecz jeśli nie... musicie mi przyrzec – powtórzyła.

Zapadło długie milczenie. Wreszcie D'vor podjął decyzję.

–Zgoda – rzekł cicho. – Jeśli nie będzie żadnej nadziei.

–Dobrze – powiedziała T'via i – nie dając innym szansy na zabranie głosu – mówiła dalej: – Jeśli nawiążę kontakt, będziecie musieli rozmawiać z prorokami. Cała moja energia będzie skupiona na podtrzymaniu połączenia. – Jej głos brzmiał coraz bardziej rzeczowo. – Nie wiem, ile będziecie mieli czasu, musicie, więc ustalić wcześniej, co chcecie powiedzieć i o co zapytać. Teraz muszę się skoncentrować. Zawołam was, gdy będę gotowa. Odeszła w odległy kąt pieczary.

–Chyba naprawdę nie masz zamiaru jej zabić? – wyszeptała gwałtownie C'tis.

–Nie, ale... – D'vor potrząsnął głową.

–Ale co?

–To jej decyzja. I nasza obietnica – rzekł spokojnie V'dal.

–Ale tak nie można! – Lekarka C'tis nie mogła się z tym pogodzić.

–Módlmy się, by do tego nie doszło – zakończył V'dal.

Siedzieli w milczeniu, czekając na wezwanie T'vii.

–Jestem gotowa – oświadczyła. – Gdy tylko obraz stanie się wyraźny, możecie mówić.

Przysunęli się bliżej, a D'vor pospiesznie układał w myślach meldunek.

–Nie bądź taki nieszczęśliwy – zwróciła się do niego z uśmiechem. –

Przygotowywałam się do tego całe życie.

–Powodzenia – powiedziała J’vina.

–Będę gotowa, kiedy skończysz – dodała C’tis. T’via skinęła z wdzięcznością głową, a potem zamknęła oczy.

–Gotowi? – zapytała.

–Tak. Kilka uderzeń serca, i nic się nie działo. Potem kryształ, który leżał na rozwartej

dłoni T’vii, zaczął się żarzyć. Smuga przepelnionego tajemniczą mocą oparu uniosła się w powietrze, zgęstniała i zaczęła przybierać kształt. T’via siedziała nieruchomo, gdy fragmenty tworzącego się przed nią obrazu zaczęły zlewać się w całość. Początkowo wizerunek był niewyraźny, jakby widziany przez falującą wodę, lecz wkrótce ujrzeli prorokinię P’trę. Jej długie szaty, czarne jak smoła oczy i cała postać były absolutnie

wierną kopią prawdziwej P’try. Początkowo wydawała się zdziwiona, potem zmartwiona. Wyglądała na chorą.

–T’via? Co robisz? O co chodzi?

–P’tra? – to ja D’vor. Mam parę ważnych informacji. Znaleźliśmy źródło skażenia i być może uda nam się je zniszczyć całkowicie. – Słuchała ze wzrastającą uwagą, a znużenie i ból zniknęły z jej twarzy. – Ale jesteśmy odcięci od domu i prawdopodobnie nigdy nie wrócimy. Wzniesimy ogień tak potężny, że stopi skały. Choć powinno to powstrzymać truciznę, może również zniszczyć południowe osiedla. Musicie ewakuować mieszkańców tak daleko na północ, jak tylko to możliwe.

–Przynosisz dobre wieści, D’vor – odparła P’tra – ale obawiam się, że za późno. Zielona choroba szaleje i nie przeżyjemy jej. Nie możemy się ewakuować – skażenie było zbyt szybkie, zbyt nagłe. Ale z radością będziemy oczekiwali ognia. Kto wie, może oczyści nasze Królestwo dla nowych mieszkańców, kiedyś w przyszłości...

D’vor nie mógł dobyć z siebie słowa. Serce miał jak z ołowiu. Wszystkie wysiłki na nic?

–Kontakt słabnie – ciągnęła P’tra. – Powodzenia. Macie nasze błogosławieństwo –

róbcie, co uważacie za właściwe. I opiekujcie się moją drogą T’wią. Boję się, że ona...

Obraz zafalował, a potem zniknął. T’via westchnęła i osunęła się na ziemię. C’tis podbiegła i klękła przy niej.

–To działa – szepnęła T’via pełnym zdumienia głosem. Jej oczy zaszklily się i nie powiedziała już nic więcej.

C’tis w szalonym pośpiechu starała się wykorzystać swoje talenty lecznicze, by na powrót

tchnąć życie w ciało przyjaciółki, lecz na próżno – wciąż napotykała opór.

Cała istota T’vii zamknęła się w sobie, otorbiła, a jej umysł jakby się zapadł, stając się zimną, nieprzeniknioną masą. C’tis krzyknęła w bezradnym sprzeciwie, lecz członki T’vii zwały się i zeszywniały, a całe jej ciało znieruchomiało. Tylko serce jeszcze biło, ale T’via już odeszła.

Lekarka spojrzała na pozostałych, a wyraz jej twarzy powiedział im, że stało się najgorsze. Kolejna tragedia, która przyszła tak szybko po straszliwych wieściach P’try, ogłuszyła ich. J’vina podeszła i stanęła nad ciałem T’vii.

–Nic nie możesz już zrobić? – zapytała łagodnie.

–Nie. Ona odeszła. – C’tis podniosła się. – Co teraz? – zapytała, zwracając się do D’vora.

Odpowiedział jej stłumiony dźwięk i gdy się odwróciła, zobaczyła J’vinę stojącą nad ich leżącą na ziemi przyjaciółką z metalowym przedmiotem w ręku. Mały pocisk wydrążył schludny otwór w piersi T’vii, zatrzymując jej serce na zawsze.

J’vina odwróciła się od swego przerażającego dzieła i zwróciła twarz w stronę pozostałych; po jej policzkach spływały łzy. Patrzyli na nią w ogłuszającej ciszy.

–Była najodważniejsza z nas wszystkich – powiedziała zdławionym głosem J’vina.

–Zasłużyła, byśmy dotrzyмали obietnicy.

Pierwszy zareagował V’dal. Podeszedł do niej i wziął ją w ramiona, przytulając do siebie, gdy łkała. Nikt nigdy nie widział J’viny płaczącej – i jej przyjaciele nie potrafili znaleźć żadnych słów otuchy. Wreszcie ona sama musiała złamać czar.

–Teraz pozostało nam tylko jedno do zrobienia – powiedziała zimnym głosem. –

Zemsta.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Najkrótszy Dzień Roku rozpoczął się i skończył, gdy grupa Jordana zapuszczała się coraz głębiej w góry. Poruszali się szybko, pytając o drogę w każdej mijanej osadzie, rozwiązując też na miejscu problemy związane z zaopatrzeniem. Zamierzali dotrzeć do punktu kontaktowego na zachód od Kaskady, gdzie spodziewali się wieści z Mrocznego Królestwa, i wówczas zdecydować o dalszym działaniu. Część miała jechać dalej do Kaskady na spotkanie z Gemmą i Ardenem – na razie ich plany nie wykraczały poza to.

Kilku Jeźdźców znało tę część kraju, a ich wiedza o tej górzystej okolicy w połączeniu z informacjami, jakich dostarczały zwiady, na które wytrwale i ochoczo wyprawiali się Szarzy Rycerze – pozwalała Jordanowi wierzyć, że odnajdą poszukiwane miejsce. Wejście będzie z

pewnością dobrze zamaskowane, lecz ich podziemni przyjaciele nie będą – jak niegdyś – się przed nimi ukrywali, a może nawet będą ich wypatrywać.

Podniecenie i entuzjazm ludzi Galara były zaraźliwe, pomagając łatwiej znieść długie godziny spędzane w siodle o niemal pustym żołądku. Każdy dzień przynosił nowe krajobrazy, zwiększał nadzieje i rozpalał ducha walki. Nawet Kai dał się porwać fali entuzjazmu. Nie bez wpływu na jego nastrój było to, że w jakiś sposób znowu widział oraz perspektywa spotkania z Gemmą, choć wciąż pamiętał, że zdarzenia, które miały nastąpić, będą rozstrzygały o losie świata. Jeśli jego teorie były, choć w części prawdziwe, świat nigdy nie będzie już taki, jaki był dotąd – na dobre czy na złe.

–Czasami wydaje mi się, że Jeźdźcy są szaleni – zauważył Hewe, obserwując dwóch przyodzianych w szare szaty zwiadowców, którzy oddalali się galopem, by sprawdzić szlak. – A potem uświadamiam sobie, że wszyscy jesteśmy szaleni. Jak tutaj zimno!

–Górale zawsze uważali mieszkańców wybrzeża za zniewieściałych – roześmiał się Jordan. – Ta twoja warstwa tłuszczu powinna wystarczająco chronić cię przed zimnem!

–Tłuszczu?! – wykrzyknął z udawanym gniewem Hewe. – To przecież twarde mięśnie!

–I to, co masz między uszami również, prawda? – zakpiła Zana.

–Tylko nie zaczynaj – odciął się szybko. – Myślałem, że kobiety z towarzystwa są dobrze wychowane.

Z przenośnego ula rozległo się donośne brzęczenie pszczół.

–Rój zgadza się z tobą w kwestii pogody, Hewe – rzekł Kai. – Wciąż muszę je ogrzewać. – Kai był ślepy, kiedy pszczoły znajdowały się w ulu, lecz teraz na powietrzu było dla nich za zimno, czarodziej, więc, by je chronić, chętnie godził się ze swoim czasowym kalectwem.

–Zatem mają więcej rozumu niż większość ludzi – odparł Hewe.

–Tak – rzekł poważnie Kai. – To prawda. Ich jedynym błędem było związanie się ze mną.

–Mogę wyobrazić sobie gorszy los – rzuciła Zana i speszona zamilkła.

Hewe spojrzał na nią taksująco, lecz Kai zdawał się tego nie słyszeć.

Jechali głęboką doliną, kierując się na południowy wschód. Z obu stron wznosiły

się kamieniste zbocza, a ich wierzchołki lśniły śniegiem i lodem. Rozrzedzone powietrze było zimne, a bezchmurne niebo zapowiadało kolejną mroźną noc.

–Gdybym musiał zgadywać – rzekł Hewe – to powiedziałbym, że minęliśmy już to miejsce, w którym widzieliśmy tę dziwną chmurę.

–Myślę, że masz rację – zgodził się Jordan – ale bardziej mnie martwi, czy trafimy tam, gdzie mają na nas czekać wysłannicy Mrocznego Królestwa. A ich informacje są teraz niezbędne.

–Być może chmura była jednym z eksperymentów Dalekiego Południa –

zasugerował Kai. – Rozsądek nakazywałby raczej, by przeprowadzali je z dala od swych głównych siedzib, prawda?

Jordan skinął głową.

–A może była to tylko jakaś zwykła chmura – zastanawiała się głośno Zana – i nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

–Nie – sprzeciwił się stanowczo Kai. – To jest ze sobą powiązane. Miał właśnie coś dodać, kiedy jego uwagę zwróciły krzyki powracających ze zwiadu Szarych Jeźdźców. Wymachiwali dziko rękoma.

–Dziwię się, że jeszcze nie spadli z koni – potrząsając głową zauważył Hewe, gdy Galar zbliżał się do nich.

–Wygląda na to, że chyba coś znaleźli – rzekł.

–Jeśli robią całe to zamieszanie bez powodu – odparł Hewe – osobiście dopilnuję, by spadli z siodeł!

Galar spojrział z niepokojem na Hewe’a, lecz ten tylko się uśmiechnął w odpowiedzi.

Podjechali dwaj Jeźdźcy. Ściągnęli cugle spienionych wierzchowców i zaczęli mówić równocześnie, aż Galar warknął:

–Po kolei! Omrik.

–Znaleźliśmy wejście – zameldował Jeździec.

–Jesteś pewien?

–Zgadza się dokładnie z opisem, a oznakowanie jest wystarczająco wyraźne.

–Gdzie to jest? – zapytał Jordan.

–Za tym grzbietem – odpowiedział Omrik, wskazując na niewielką przełęcz pomiędzy dwoma górskimi zboczami na południe od doliny. – Może jakieś pół ligi od szczytu. Łatwo tam dojechać. Mamy ruszyć naprzód? – Jego gotowość była porażająca.

–Nie. Pojedziemy razem. Przekażcie ludziom wiadomość. – Rozkaz został wykonany natychmiast, aczkolwiek niechętnie. – Mieliśmy szczęście – zauważył Jordan.

–Być może – rzekł Kai. – Ale podejrzewam, że idzie tu o coś więcej niż tylko szczęście.

Pozostali spojrzeli na czarodzieja, lecz nic nie powiedzieli.

–Zawiadomcie mnie, kiedy wejście znajdzie się w zasięgu wzroku – ciągnął Kai. –

Chcę je sobie obejrzeć.

–Oczywiście – odparła Zana.

Długa kolumna koni skręciła w prawo i zaczęła wspinać się na przełęcz. Tak jak

powiedział Omrik, podłoże było równe, ale stroma wspinaczka dla wielu słabszych koni okazała się męcząca. Gdy dotarli do szczytu przełęczy, Kai wypuścił rój. Jak zawsze przeżył chwilę pierwszej głębokiej dezorientacji, kiedy świat pojawił się przed nim w zawrotnym wirze.

Przed nimi rozciągała się kolejna dolina, taka sama jak poprzednie – była tylko jedna różnica – na metalowej żerdzi, sterczącej pośrodku skalistego pola, powiewała krwistoczerwona flaga.

Zbliżamy się - pomyślał Kai. Jeśli relacje były prawdziwe, od Gemmy mogło dzielić go zaledwie kilka lig. Dlaczego nie kontaktujesz się ze mną? - zapytał ją w duchu.

Ich ostatnia krótka rozmowa miała miejsce zaledwie kilka dni przedtem, lecz Kaiowi wydawało się, że minęło od niej całe życie.

Kawalkada zjechała do doliny i Jeźdźcy zgromadzili się w pobliżu skał. Jordan i Hewe z Kaiem, Zaną i Galarem zeskoczyli z koni i ruszyli dalej pieszo, przeciskając się wśród głazów, aż doszli do flagi.

–Nic nie widzę – zdziwił się Hewe, rozglądając się wokół.

–Wejścia są zamaskowane – wyjaśnił Jordan. – Musimy ich poszukać.

–Nie trzeba – zatrzymał ich Kai. – Pszczoły zrobią to za nas.

Rój wzbił się w powietrze i zaczął krążyć nad skałami. Czarodziej kołysał się lekko

w odpowiedzi na przesyłane obrazy, a potem wyciągnął rękę, gdy pszczoły zanurkowały w wąską szczelinę między skałami.

–Tam – powiedział. Wcisnęli się w szczelinę, Jordan prowadził.

–Ci ludzie muszą być ogromni! – jęknął Hewe.

–Są wysocy, nie tłuści – odparł Jordan. Gdy zdołali się precyzyjnie przemieszczać przez otwór, znaleźli się w mrocznej, niskiej pieczarze.

Brzęczenie pszczół rozbrzmiewało tu bardzo głośno.

–Hej! – Jedyłą odpowiedzią było stłumione echo. – Chodźmy głębiej – powiedział Jordan. – Może nie mogą zbliżyć się do powierzchni.

–Czy nie możemy oświetlić sobie drogi? – zapytał Hewe.

–Nie. Moglibyśmy ich oślepić. Kai, Zana, czy nie poczekalibyście tutaj?

–Nie – odparł czarodziej. – W tym świetle pszczoły widzą lepiej niż ludzie, a ja potrafię wymacać drogę tak samo, jak każdy inny.

–Myślałem, że będą na nas czekali – rzekł z powątpiewaniem Galar.

–Mogło coś się wydarzyć, co nie pozwoliło im przybyć na czas – odparła Zana.

–Zatem trzeba się dowiedzieć – rzekł Jordan i ruszyli w głąb pieczary, ostrożnie stawiając kroki w ciemności.

Okazało się, że z pieczary, oprócz wylotu, prowadzi tylko jedno inne wyjście, które znajdowało się w jej drugim końcu, ukryte w najgłębszych ciemnościach. Choć ich oczy przyzwyczajały się stopniowo do mroku, nie mogli dostrzec niczego więcej. Jordan ponownie wysunął się naprzód i posuwał się ostrożnie, pieczołowicie sprawdzając każdy punkt oparcia dla rąk i nóg. Po przebyciu paru kroków w głąb tunelu, zawołał znowu. Tym razem nadeszła słaba odpowiedź, nie była głośniejsza niż szept, lecz zachęciła ich, by iść dalej.

Po kilku kolejnych krokach zauważyli przed sobą słaby poblask i wkrótce znaleźli się w drugiej pieczarze, oświetlonej światłem sączącym się z kryształowych żył biegnących w stropie. Dwaj mężczyźni leżeli obok siebie na nierównym podłożu i nadziejczy podbiegli do nich.

–Nareszcie się zjawiliście – wydyszał jeden, spoglądając na Jordana. Jego ciało

okrywał czarny materiał, lecz blada twarz i ogromne oczy nie były niczym przesłonięte i

nawet w tym przyćmionym świetle widać było wyraźnie, że jest bardzo chory. Drugi był

martwy.

–Przybyliśmy najszybciej jak było to możliwe – odparł cicho Jordan. – Czy możesz mu pomóc, Kai? – zapytał, mając nadzieję, że błękitna ściana nie zniszczyła leczniczych talentów czarodzieja.

–Nawet nie próbuj – odpowiedział mężczyzna. – To zielona choroba. Nic już jej nie potrafi

zatrzymać. Nie traćcie sił i słuchajcie. Mam dla was wieści.

Otoczyli go, przygnębieni, lecz ciekawi tego, co miał do powiedzenia.

–Nie mamy wiele czasu – powiedział chrapliwym głosem.

Początkowo sądzili, że ma na myśli swoją chorobę, lecz zaraz stało się jasne, że chodzi mu o położenie, w jakim znalazło się całe Mroczne Królestwo.

–W ciągu ostatnich paru dni poziom skażenia bardzo się podniósł. Rzeka gwałtownie wezbrała, sięgając wyżej niż kiedykolwiek przedtem, a trucizna nigdy przedtem nie była tak zjadliwa. Zielona choroba to już epidemia. Chyba za późno, by ją zatrzymać, ale... – Słaby kaszel przerwał jego słowa.

–Ale? – powtórzył łagodnie Jordan.

–Jest jeszcze jedna szansa – ciągnął mężczyzna. – Większość zwiadowców z grup wysłanych na południe zginęła – ja jestem ostatni z naszej grupy. Zostaliśmy odcięci, lecz D’vor i jego ludzie wciąż działają. Przedostali się – i znaleźli źródło skażenia.

–Gdzie? – W głosie Jordana zabrzmiało ponaglenie.

–Zdaje się, że jakieś dwanaście lig na południe od Kaskady, może nieco mniej. Byli dokładnie pod górą, gdy ta się przesunęła. Pojmali jednego z tych bękartów z miasta... – Chory mężczyzna szybko tracił siły.

–Jakiego miasta? – szepnęła Zana, lecz mężczyzna zdawał się już nie słyszeć.

–D’vor powiedział, że blokada wywoła przegrzanie w systemie zasilania, a to spowoduje wielki pożar... tak wielki, że nawet kamienie się stopią... Zniszczcie całe miasto, zniszczcie źródło skażenia.

–Ale to zniszczy nie tylko miasto! – rzekł z przerażeniem Kai.

–Opłaci się – odparł mężczyzna. – Pomóżcie im. Są naszą jedyną nadzieją.

–Skąd wiesz to wszystko, skoro zostaliście odcięci – zapytał Hewe.

–Kryształ – odparł umierający mężczyzna. – B’sal... – wskazał towarzysza –

poświęcił życie, by zdobyć dla was tę informację. Był jednym z najlepszych wysłanych

przez proroków. – W jego słabym głosie pojawił się gniew. – Przy Kaskadzie nie ma nikogo – podjął po chwili. – Nie mogliśmy przedostać się na powierzchnię, kiedy góra ruszyła. Idźcie do miasta, pomóżcie grupie D’vora. Są naszą jedyną nadzieją – powtórzył.

–Pójdziemy – obiecał Jordan. – I zrobimy, co w naszej mocy. Wiesz, jak bardzo cenimy sobie waszą pomoc. Czy naprawdę nic nie możemy dla ciebie zrobić?

–Ty jesteś Jordan, prawda?

Czarnoskóry mężczyzna skinął głową.

–Powinniśmy byli spotkać się wcześniej... Jeśli któryś z moich rodaków przeżyje, to powiedz mu, że R’ven z radością wziął udział w tej bitwie. Chciałbym tylko... dożyć waszego zwycięstwa.

–Twoje poświęcenie nie zostanie zapomniane – rzekł Jordan, a potem zrozumiał, że R’ven już go nie słyszy. Choć nie wierzył w bogów, odmówił modlitwę za R’vena, a potem powstał i wyprowadził swoich towarzyszy na zewnątrz. W milczeniu przeciskali się przez kamienny labirynt. Gdy dołączyli do reszty oddziału, słońce zniknęło za zachodnimi górami. Wychodząc naprzeciw życzeniom przywódcy, rozbili na noc obóz i w ciepłe ogniska rozpoczęli ożywioną dyskusję.

–Wciąż musimy dotrzeć do Kaskady – rzekł Kai. – Gemma powiedziała, że tam właśnie spotka się z nami.

–Wiem – odparł Jordan. – I prawdopodobnie jest to też najkrótsza droga do miasta.

–Tym sposobem wiemy przynajmniej, w jakim kierunku mamy teraz ruszyć –stwierdził Hewe.
– Na wschód, a potem na południe.

–Prawda – przytaknął Jordan. – Nie wiem tylko, co zrobimy, kiedy już się tam znajdziemy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Gdy Jordan i jego mała armia omawiali informacje uzyskane od R'vena i przygotowywali się do snu, Gemma i Arden delektowali się wygodami domu gościnnego w Keld. Było tam czysto i sucho, a na palenisku w kamiennej ścianie buzował ogień. Chata oferowała im komfort nieporównywalny z warunkami, w jakich spędzali krótkie godziny snu podczas pospiesznej podróży z Doliny, kiedy jedyne ciepło dawała im wzajemna bliskość.

Pomimo pośpiechu, z jakim opuścili dom Mallory, mieszkańcy Doliny zadbali, by byli dobrze wyposażeni, dali im cztery konie, co bardzo ułatwiło wędrówkę. W dodatku teraz, w przeciwieństwie do poprzedniej wyprawy w góry, wiedzieli, dokąd zmierzają. Nie opóźniały ich choroby ani błędy w wyborze szlaku, w rezultacie drogę do Keld przebyli bardzo szybko. Maksymalnie wykorzystywali dzieńne światło, czasem nawet jechali w ciemnościach, gdy tylko teren na to pozwalał.

Po ośmiu dniach jazdy poziom wody w rzece, wzdłuż której podążali, opadł gwałtownie. Wkrótce potem dnem łożyska sączyła się już tylko wąska struga.

–Góra znowu się przesunęła – z nadzieją w głosie rzekł Arden. – Może teraz w Dolinie wszystko powróci do normy.

–Od nie zapomniał o swojej obietnicy – odparła Gemma, śląc w duchu słowa podziękki klanowi Kamienia. – Przynajmniej jakaś magia istnieje. – Potem pomyślała o innych skutkach działania myrketów i jej radość zgasła. – Lecz jeśli woda nie spływa do Doliny...

–Och. – Arden posmutniał. – Czy nie ma żadnego sposobu, by uratować i jednych, i drugich?

–Tym bardziej, więc należało się spieszyć.

Przybyli do Keld o zmierzchu i zostali serdecznie powitani przez uradowanych

mieszkańców wioski, pamiętających Gemmę jako uzdrowicielkę, która uratowała od śmierci dwoje ciężko chorych dzieci. Chcieli natychmiast wydać ucztę na jej cześć, ale Gemma odwiodła ich od tego, przyjmując jedynie drobną część oferowanej jej żywności i cennego górskiego miodu. Poprosiła tylko o spokojny i wygodny nocleg pod przyjaznym dachem. Jednak wieśniacy chcieli koniecznie wiedzieć, jak skończył się jej zdumiewający lot i czy osiągnęła zamierzony cel. Tak, więc nie ominęła ich długa rozmowa, zanim mogli

schronić się w domu gościnnym. Odprowadzały ich dzieci uradowane wiadomością, że ich – goście są już małżeństwem. Śmiały się i zarzucały ich pytaniami. Gdy wreszcie rozbiegły się, Gemma i Arden zamknęli za sobą drzwi z ulgą i z uśmiechem na twarzach.

–Czuję, że mogłabym przespać parę dni – powiedziała Gemma.

–To z pewnością bije na głowę nasz namiot – zgodził się Arden – ale ja będę szczęśliwy wszędzie, gdy tylko ty będziesz przy mnie.

Uśmiechnęli się do siebie, pewni swej miłości, choć w otaczającym ich świecie niewiele rzeczy było pewnych.

–To dobrzy ludzie – powiedziała Gemma.

–Tak, i mają szczególny powód, by traktować cię dobrze – odparł. – Szkoda, że nie możemy spędzić tutaj więcej czasu – chyba lubię być honorowym gościem.

–Mamy zadanie do wykonania.

–Wiem. Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, jutro powinniśmy dotrzeć do Kaskady. Jak sądzisz, czy Kai już tam będzie?

–Nie mam pojęcia – odparła. Zauważyła ledwie uchwytny ton napięcia, który zawsze krył się w głosie Ardena, ilekroć mówił o czarodzieju. – Czego się obawiasz? – objęła go i przytuliła się mocno. – Wiesz, to dziwne – ciągnęła. – Odkąd opuściliśmy Dolinę, nie wyczuwam jego obecności, nie jestem też w stanie porozumieć się z nim. Kto by pomyślał, że jest teraz tak blisko... – Przerwała, gdy wyczuła niepokój Ardena. – Kai jako przyjaciel jest mi niezwykle drogi, od bardzo dawna – wyjaśniała spokojnie. – Był moim przyjacielem w czasach, kiedy nawet nie wiedziałam o twoim istnieniu. Z jego strony nic ci nie zagraża.

Arden odwrócił wzrok, a potem ponownie spojrzał jej w oczy.

–Ale go kochałaś? – Było to na wpół pytanie, na wpół oskarżenie.

–Tak, ale tylko jako drogiego mi przyjaciela – powtórzyła.

–Ale czy on o tym wiedział? Kochał cię również, prawda?

–Tak przypuszczam.

–I jest czarodziejem. Stanowczy ton tego stwierdzenia zaskoczył Gemmę.

–Jakie to ma znaczenie? – zapytała. – A poza tym, ty też jesteś czarodziejem. – Uśmiechnęła się.

–On jest prawdziwym czarodziejem – rzucił gwałtownie. – Nie potrafię walczyć z magią, Gemmo.

–Nie będziesz musiał! – odparła równie gwałtownie. – Nie bądź tak niemądry!

Iskry gniewu w jego oczach zastąpił ponury upór. Nie odezwał się.

–Arden, proszę, zrozum. Cieszę się na spotkanie z Kaiem – mówiła, obejmując go jeszcze mocniej. – Jest przyjacielem i mam nadzieję, że pomoże nam uratować Dolinę i Mroczne Królestwo. Ale ciebie kocham i z tobą chcę zostać na zawsze. Co jeszcze muszę zrobić, by cię przekonać? Jeśli nie wiesz, co przez ten cały czas czułam, to chyba jesteś chory! – Teraz była zirytowana.

–Przepraszam – szepnął po paru chwilach Arden. – Jestem głupi. Sama myśl o nim mnie drażni.

–Poczekaj, aż go spotkasz – powiedziała szybko Gemma. – Jestem pewna, że się polubicie.

Arden skinął głową, choć wydawało się, że wciąż nie jest do końca przekonany, i Gemma pocałowała go.

–Chodźmy do łóżka – powiedziała. – Jutro musimy wyruszyć w drogę wcześniej rano.

–I musimy oszczędzać siły na podróż – dodał Arden. Oboje wybuchnęli śmiechem. Był to ich stary żart – szczególnie śmieszny teraz, kiedy oboje wiedzieli, że mają zamiar zlekceważyć tę dobrą radę.

Wyjechali o świcie następnego dnia, mimo głośnych protestów żony naczelnika, która twierdziła, że muszą koniecznie zjeść dobry, ciepły posiłek. Zgromadziła się cała wieś, by ich pożegnać; szczególnie serdecznie żegnało Gemmę dwoje dzieci, którym kiedyś uratowała życie. Odjechali wypoczęci i podniesieni na duchu, przygotowani do ostatniego etapu swej podróży i spotkania, które miało mieć tak wielkie znaczenie dla nich i ich świata.

Początkowo kierowali się na południowy wschód, okrążając podnóża góry Blenkathry i zostawiając za sobą równinę Dziewiczego Wrzosowiska. Jechali tą drogą ponad rok temu, ale tylko Ardenowi udało się wtedy dotrzeć do Kaskady.

–Miejmy nadzieję, że tym razem nie ma w pobliżu latającego miasta – powiedział.

–Nie zdołalibyśmy osiągnąć tego wszystkiego bez ich pomocy – odparła Gemma -ale teraz chyba się z tobą zgadzam. Po prostu chcę już z tym skończyć! Czy nie powinniśmy skierować się teraz na południe?

–Gdy dotrzemy do następnej doliny – odrzekł – a potem w górę, pomiędzy tymi dwiema górami.

–Jedna z nich to ta, która się przesuwa, tak? – zapytała Gemma. Mimo oczywistego dowodu tego fenomenu, którego sama doświadczyła, wciąż z trudem mogła weń uwierzyć.

–Ta z lewej – odparł Arden.

Jechali dalej, obserwując odsłaniającą się przed nimi perspektywę. Późnym popołudniem dotarli do miejsca, w którym ginęło łóżysko rzeki. Po prostu przestawało istnieć.

–Ostatnim razem niemal tu nie oszalałem – przyznał Arden. – To po prostu nie miało żadnego sensu.

I rzeczywiście, dno doliny było suche i względnie równe, a pokrywające je skalne płyty przetykała ziemia i splachetki lichej trawy. Ale teraz – ani dolina, ani nawet górskie szczyty wznoszące się od wschodu i zachodu nie były tym, co przykuło ich uwagę. Usłyszeli odległy, stłumiony grzmot i wkrótce już mogli ujrzeć stały, a jednak nieustannie zmieniający się wir mgły, który świadczył o obecności Kaskady. Ostatnie promienie zachodzącego słońca padały ukośnie przez dolinę, rozszczepiając się w wodnym pyłe i tworząc wspaniały łuk tęczy, który niby magiczny most łączył dwie góry.

Za owym tęczowym mostem skrywał się sam Wodospad. Spływał z wysokości stu łokci, zrzucając wodę z czarnego urwiska do skalnej sadzawki wypełnionej spienioną bielą. Wodospad spowijała mgła, a jego rozhukana siła i dzikie piękno hipnotyzowały każdego.

Gdy się zbliżyli, konie obezwładnione narastającym łomotem zaczęły okazywać nerwowość, a ich jeźdźcy uważali, by zachować bezpieczną odległość od pionowego słupa wody spadającego do sadzawki.

–Raz wystarczy! – zawołał Arden przekrzykując ryk wody. – Tym razem zostaję na suchym lądzie!

–Dobrze! – odkrzyknęła Gemma. – Czy kogoś zauważyłeś?

–Nie. Musimy przejechać jeszcze kawałek na zachód! – odparł, wskazując przez mgłę gęstniejący mrok zmierzchu. – Trzeba znaleźć spokojniejsze miejsce na obóz!

Konie posłuchały z radością i gdy oddalali się od przerażającej katarakty, mgła zaczęła opadać, a ryk Wodospadu zdawał się cichnąć.

–Czy to nie obozowe ogniska? – zapytała nagle Gemma, pokazując coś przed sobą.

–Być może – odparł Arden.

–Są więc tutaj! – krzyknęła radośnie i miała właśnie spiąć konia, kiedy Arden ją powstrzymał.

–Nie wiemy na pewno, czy to oni. – Przerwał. – Zachowajmy ostrożność.

Gemma skinęła głową ze zrozumieniem, choć odrobinę zirytowana. Zeskoczyli z siodeł i przez chwilę szli wolno, prowadząc wierzchowce. Nagle jakaś postać wyłoniła się z mroku.

–Witajcie, młodzi kochankowie – odezwał się radośnie jakiś głos. – Piękna noc na przechadzkę, nie uważacie?

–Hewe! – zawołała uszczęśliwiona Gemma.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Jordan uniósł wzrok, kiedy Gemma i Arden odsuwając klapę weszli do jego wielkiego namiotu.

–Co za wspaniałe wyczucie czasu – zauważył, uśmiechając się szeroko. – Sami przybyliśmy tutaj zaledwie dziś po południu.

–Gdzie jest Kai? – zapytała szybko Gemma.

–W swoim namiocie – odparł Jordan. – Hwe, pójdziesz po niego? Będzie tutaj za chwilę – dodał, zauważywszy wahanie na twarzy Gemmy. – Wejdźcie i siadajcie. Mamy mnóstwo spraw do omówienia.

–Czy wiesz, co się dzieje? – zapytał Arden.

–Niezbyt dokładnie, lecz cokolwiek to jest, wiemy teraz o wiele więcej. A wkrótce dowiemy się wszystkiego.

Kłapa namiotu odsunęła się znowu i Gemma poderwała się, gdy ujrzała Kaia. Stał przed nią młody i piękny jak zawsze, lecz jego twarz przecinały teraz zmarszczki, których nie pamiętała, a zielone oczy nie mogły jej zobaczyć. Pszczoły były wraz z nim, przelatywały nad jego głową lub przysiadły na ramionach. Ich łagodne brzęczenie obudziło stare wspomnienie.

–Cieszę się, że cię widzę, Kai – powiedziała cicho Gemma. Coś ścisnęło jej gardło.

Przez chwilę czarodziej nie odpowiadał, wyglądało, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

–Ja również się cieszę, że cię widzę, Gemmo – powiedział w końcu. – Choć wolalbym cię widzieć własnymi oczyma.

Po wielomiesięcznej rozłące czuli się niezręcznie i żadne nie wiedziało, co powiedzieć czy uczynić. Rozmawiając ze sobą przez dzielącą ich przestrzeń bywali swobodni i nieskrępowani, ale teraz, kiedy stali tak przed sobą, twarzą w twarz, podjęcie nici dawnej więzi wcale nie było takie proste. Wreszcie Gemma postąpiła nieśmiało w stronę Kaia, a on w odpowiedzi rozwarł szeroko ramiona. Wówczas podbiegła do niego z radością i padła w jego objęcia. Rój brzęczał nad ich głowami.

–Jesteś tak samo piękna jak w moich wspomnieniach – rzekł cicho.

–Czyżby nie było mnie aż tak długo? – szepnęła.

–Całe życie – odparł.

W namiocie zaległa cisza. Gdy odsunęli się od siebie, do środka weszli Hewe i Zana. Gemma ze zdumieniem rozpoznała w niej swoją dawną towarzyszkę podróży i uściskała ją gorąco, zanim odwróciła się, by przedstawić swojego towarzysza.

–To jest Arden – powiedziała. – Mój mąż.

Kai nie zareagował, lecz stojąca za nim Zana głośno wciągnęła powietrze. Hewe zachichotał.

–Cieszę się, że w końcu postanowiłaś zostać porządną kobietą – powiedział.

Arden podniósł się wolno, z twarzą bez wyrazu, i wyciągnął rękę do Kaia.

Czarodziej ujął ją, lecz żaden nie odezwał się słowem. Gemma przyglądała im się z niepokojem, rozpaczliwie pragnąc, by poczuli do siebie sympatię.

–Jesteś szczęśliwym człowiekiem, Ardenie – odezwał się Jordan.

–Wiem – odparł, wciąż spoglądając na Kaia.

–Moje gratulacje – rzekł cicho czarodziej. – Życzę wam, abyście zawsze byli szczęśliwi.

–Dziękuję ci – odpowiedział Arden. – Wiele o tobie słyszałem, Kaiu. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

Gemma uśmiechnęła się z wdzięcznością.

–Ja też jestem szczęśliwa – zwróciła się do Jordana.

–Nie wątpię – odparł. Przywódca Podziemia zdawał sobie sprawę z napięcia, jakie kryło się za słowami obu mężczyzn, lecz wiedział również, że mają bardzo wiele spraw do omówienia, a noc uciekała. – Niech wszyscy usiądą – powiedział. – Teraz, kiedy wreszcie jesteśmy już razem, musimy postanowić, co robić dalej.

Posłuchali, siadając blisko siebie. Gemma zauważyła, z jakim oddaniem Zana pomaga Kaiowi.

–Zanim zaczniemy – powiedziała – chciałabym spróbować, czy nie uda mi się wyleczyć Kaia.

Jordan skinął głową.

–Oczywiście.

Podeszła do czarodzieja i ujęła jego dłonie w swoje. Jej zmysły opuściły ją,

stopniowo wnikając w ciało czarodzieja, szukając przyczyn choroby. Ogarnęły ją wspomnienia – potężna błękitna ściana, obezwładniająca zimno i biała mgła, która nagle opadła – lecz nie potrafiła ich zrozumieć. Obrazy zniknęły, lecz ona nie przerywała, uparcie dążąc do celu. Bez powodzenia. W końcu, zgnębiona, wycofała się.

–Nie wiem, co się stało z twoimi oczyma – powiedziała. – Nie potrafię znaleźć

żadnych przyczyn twojej ślepoty. Kai uśmiechnął się smutno.

–To właśnie powiedzieli mi lekarze z Klevemouth i Nowego Portu – odparł. – Tak czy inaczej, wciąż nie widzę.

–Zatem przyczyna leży poza twoim ciałem – powiedziała zmieszana Gemma.

–Zostawmy to – rzekł czarodziej, starając się ukryć zniecierpliwienie. – Tracimy czas. Poza tym pszczoły są teraz moimi oczyma.

Gemma wróciła na swoje miejsce obok Ardena, a on objął ją i przytulił do siebie.

–Dobrze – zaczął Jordan. – Przypomnę teraz, by wprowadzić Gemmę i Ardena, to

wszystko, czegośmy się dotąd dowiedzieli. Zwróćcie mi uwagę, gdybym pominął jakiś szczegół.

Mówił aż do późnej nocy, a obraz, który odmalował, wiał grozą. Teoria Kaia o popadającej w obłąd Duszy Ziemi zabrzmiała aż nadto prawdopodobnie i Gemmę ogarnęło przerażenie, Ardena zaś najbardziej poruszyły ostatnie wieści z Mrocznego Królestwa. Trudno mu było pogodzić się z myślą, że sny mogą stać się rzeczywistością. Spędził kilka miesięcy w podziemnych pieczarach i nauczył się szanować, a nawet kochać mieszkańców tej dziwnej krainy. Ta straszna myśl, że może zostać zniszczona, wstrząsnęła nim, tym bardziej że widział już wcześniej tę zagładę w swoich snach. Świadomość, że D’vor, C’tis i pozostali wciąż walczą i są tak bliscy tego, co wydawało się ostatecznym rozwiązaniem, dawała mu nieco nadziei. Był zdecydowany pomóc im w każdy możliwy sposób – i wyraził to tak stanowczo, jak tylko potrafił.

–Wszyscy im pomożemy – zapewnił go Jordan. – Z pierwszym brzaskiem

wyruszamy na południe. Problem w tym, że nie wiemy dokładnie, co nas tam czeka. Nie

mamy dużej armii, a bronie, jakimi może dysponować to nieznane miasto, są

prawdopodobnie potężniejsze niż wszystko, co potrafimy sobie wyobrazić. Przypomnij

sobie wieżę Mendle’a!

–Możemy przynajmniej spróbować jakiegoś podstępu – odparł Arden. – I to może być wszystko, czego D’vor i jego grupa będą potrzebować, by zrealizować swój plan.

–Zdajesz sobie sprawę, że jeśli im się powiedzie, a my będziemy gdzieś w pobliżu tego miejsca, prawdopodobnie wszyscy zginemy?

–Czy mamy wybór? – rzekł Arden. – Nie możemy ich teraz opuścić. I pamiętajcie, że rozmawiamy o przyszłości całego świata!

–Wszyscy się z tym zgadzamy – odparł spokojnie Jordan. – Lecz chcę się upewnić, że naprawdę zdajecie sobie sprawę z naszego położenia.

–Pomówmy szczerze – rzekł nieco później Arden. On i Gemma byli straszliwie zmęczeni, lecz wiedzieli, że tej nocy sen prędko nie przyjdzie. Pocięą, jak zwykle, znaleźli w swoich ramionach. – Jeśli zniszczymy miasto, zniszczymy nie tylko źródło skażenia, lecz również uwolnimy świat od wszelkiego zła, które stamtąd pochodzi, unicestwimy także możliwość jego dalszego rozprzestrzeniania się, czy tak?

–Tak – szepnęła Gemma.

–A to jest właśnie tym, co doprowadza Duszę Ziemi do obłądu, zatem po zlikwidowaniu przyczyn powinna zostać uzdrowiona – i wszystkie te osobliwości – ściany żywiołów, znikające wyspy, skończą się?

–Teoretycznie tak – przyznała. – Ale nie sądzę, żeby to było takie proste, Ardenie. – W jej głosie słyhać było dręczące ją obawy.

–Nie wydaje mi się to proste – zauważył. – Co cię niepokoi?

–Wiele rzeczy.

–A co w szczególności? – zapytał, po dłuższej chwili daremnego oczekiwania na wyjaśnienie.

–Ten ogień – zaczęła z wahaniem. – Zniszczy nie tylko miasto. Słyszałeś, co mówili. Taki żar, że skały będą się topić. A co, jeśli stanie się odwrotnie – zwiększy to zasięg skażenia, zamiast je ograniczyć i zniszczyć jego źródło? A co, jeśli ogień lub wybuch są właśnie tym, czego obawia się Dusza Ziemi? Jeśli to właśnie doprowadza ją do szaleństwa, wówczas my sami doprowadzimy do tej właśnie katastrofy, której tak bardzo pragniemy zapobiec!

–Za dużo “jeśli” – odparł Arden, przestraszony jej słowami. – Co jeszcze innego możemy zrobić?

–Nie wiem – szepnęła żałośnie Gemma. – Nie rozumiem tego, co się dzieje, ani tego, co może oznaczać ta “nowa nauka”. Ledwie poradziłam sobie z magią – a teraz znowu...

–Być może uda ci się uzyskać pomoc kręgow – rzekł cicho Arden. – Kai mógłby ci pomóc. – Gemma objęła go mocniej, wiedząc doskonale, jakiego wysiłku wymagało od niego przyznanie, że czarodziej może jej pomóc bardziej niż on sam. Wiedziała, przynajmniej podświadomie, że Arden wciąż uważa Kaia za swego rywala.

–Być może – powiedziała cicho. – Rola magii w tym wszystkim musi być istotna. W przeciwnym razie, dlaczego miałabym być Strażniczką Klucza do Snu?

–Już raz zmieniłaś księgę – przypomniał jej. – Znowu możemy to zrobić. Wciąż istnieje nadzieja. Przyszłość nie musi należeć do Chaosu.

–Ciągle to powtarzam – odparła. – Ale to niewiele pomaga. – Przez jakiś czas leżeli w milczeniu, a potem Gemma dodała cicho: – Boję się.

–Wszyscy się boimy – odpowiedział.

–Boję się o nas. Mieliśmy dla siebie tak niewiele czasu.

–Ale musimy to zrobić – albo cały świat zostanie zniszczony.

–Wiem... ale nie chcę cię stracić.

–Nie stracisz – przyrzekł. – Cokolwiek się stanie, zawsze będziemy razem.

Namiot wypełniały sny.

Gemma była znowu w Dolinie, spoglądając w szeroko rozwarte, brązowe oczy swej imienniczki. Dziecko uśmiechało się, wokół rozbrzmiewała muzyka.

Mała Gem odezwała się, a jej głos brzmiał jak delikatny zaśpiew, dziecięcy i zarazem tak bardzo dojrzały.

–Chciałam cię znowu zobaczyć, ciociu Gemmo. Przepraszam – nie miałam zamiaru cię skrzywdzić. Mamusia mówi, że z tobą nie ma żartów. Dlaczego odeszłaś?

–Musiałam, maleńka.

–Mogłaś mnie zabrać w góry, wysoko.

–Nie. Jesteś zbyt mała. Za maleńka.

Poważne, brązowe oczy spoglądały na nią oskarżycielsko.

Potem obraz zmienił się nagle, przedstawiając scenę ich odjazdu. Ku jej radości

przybył również Kris, by pożegnać się z nią i z Ardenem. Kaleki mężczyzna przyniósł podarunek – ciekawą, pięknie zdobioną laskę z jakiegoś dziwnego tworzywa. Chciał, by Gemma wzięła ją ze sobą, lecz nie wyjaśnił, dlaczego. Tak, więc wetknięto ją w bagaż i ruszyli na południe, wspinając się po zboczu doliny, ku górcom. Coraz wyżej.

Namiot wypełniały sny.

Arden był częścią kręgu, kręgu ludzi. Znał ich wszystkich dobrze, lecz nie widział ich twarzy. Stało się z nimi coś złego. Wszyscy patrzyli do środka, w centrum kręgu, gdzie z ziemi sączyło się coś, co pod ich spojrzeniem przybierało kształt mężczyzny. Wraz z potężującym się uczuciem przerażenia, Arden uświadomił sobie, kto to jest.

Gemma wystąpiła z kręgu i Arden krzyknął w duchu, gdy zobaczył, że jej twarz zakrywa maska z zimnego metalu.

Kłęknięła, podając laskę mocy – symbol całej swej magii – mężczyźnie, który teraz stał przed nimi.

Ojciec Ardena, martwy od lat, przyjął ją z uśmiechem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Czterej pozostali przy życiu członkowie grupy zwiadowców od kilku dni bawili się w śmiertelną grę w chowanego. Miasto wysłało grupy żołnierzy o stalowych twarzach do pieczar, lecz pomimo lepszego wyposażenia, nie potrafili dorównać zwiadowcom w umiejętności poruszania się w labiryncie mrocznych tuneli.

Akcją wymykania się prześladowcom kierowała J'vina, choć pragnęła zostać i walczyć, wykorzystać swoją niszczycielską biegłość i wziąć, chociaż częściowy odwet na wrogach. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, co jest ważniejsze, i poświęcała swe umiejętności, by zapewnić bezpieczeństwo pozostałym. Fanatyzm J'viny napawał lękiem, lecz była perfekcyjna w tym, co robiła, i jej towarzysze bez zastrzeżeń słuchali jej poleceń.

–Rozwściekliśmy ich – zauważył V'dal w czasie jednej z krótkich chwil

wytchnienia. – Musieli bardzo cenić ludzi, których zabiliśmy.

–Nie sądzę, by o to chodziło – sprzeciwił się D'vor. – Sądzą, że jesteśmy sprawcami obsunięć skalnych, które zablokowały odpływ – oto, co ich niepokoi.

–Oczywiście – przyznał V'dal. – Powiniennem był o tym pomyśleć.

–Zatem, jak sądzisz? – ciągnął D'vor. – Czy potrafimy doprowadzić do tego, by mieli prawdziwy powód do zmartwienia?

–Myślę, że tak – odpowiedział przewodnik. – Trudno mieć pewność – jest przecież tak wiele tuneli – i funkcje kilku z nich nie są do końca jasne – lecz jeśli zaplanujemy to odpowiednio, będziemy mieli możliwość skutecznego zablokowania ich drogiego odpływu.

–To dobrze – rzekł D'vor, najwyraźniej zadowolony. – Zatem, co robimy?

Atak rozpoczęli dwa dni później, wraz z nadejściem skało-mroku. Każde z nich znało swoje zadanie, a niezbędne przygotowania zostały wcześniej poczynione. Patrole z miasta pojawiały się z rzadka – wrogowie najwyraźniej doszli do przekonania, że intruzi albo zginęli, albo w jakiś sposób udało im się uciec – tak, więc zwiadowcy mieli wolny dostęp do pieczar i tuneli przylegających do ujścia trujących ścieków.

Już kilkakrotnie brali udział w operacjach otwierania lub zamykania tuneli, lecz to, co ich teraz czekało, przewyższało pod względem stopnia trudności wszystkie poprzednie

akcje. V'dal opracował plan działania, wykorzystując swoją starannie gromadzoną wiedzę o okolicznych systemach jaskiń i skalnych formacjach. Dysponowali tylko niewielką ilością środków wybuchowych i musieli mieć pewność, że zostaną one wykorzystane tak skutecznie jak to tylko możliwe. Jednak ostatnie trzęsienie ziemi osłabiło kilka skalnych struktur i V'dal

był przekonany, że w tych okolicznościach ich atak może okazać się niszczycielski. Nie tylko zablokuje większość kanałów odprowadzających, lecz również zatarasuje wiele przyległych tuneli, praktycznie uniemożliwiając komukolwiek z miasta dotarcie do miejsc głównych obrywów.

Nadszedł skało-mrok i V'dal podpałił lonty głównego ładunku. Kiedy inni usłyszą pierwszy wybuch, podpalą swoje lonty, a potem umkną wyznaczonymi trasami. Spotkają się w pieczarze w pobliżu miejsca, w którym jak sądzili, pojawią się oddziały z miasta. Tej właśnie chwili z największą niecierpliwością oczekiwała J'vina. Czekala w milczeniu, otoczona gromadką siedmiu myrketów.

Głuche tąpnięcie i następujące po nim grzmiące wibracje były sygnałem, że moment ów nadszedł i usta J'viny, ukryte pod ochronną warstwą rybiego jedwabiu, rozciągnęły się w uśmiechu. Podpałiła lont i przez chwilę przyglądała się, jak się tli, by upewnić się, czy nie zgaśnie.

–To za was wszystkich – powiedziała głośno. – Za B'vana, L'thę i C'lina. I za

T'wię. – Szczególnie za nią. Potem wojownicza zwróciła się do myrketów. – Chodźcie – rozkazała. – Czeka nas robota!

Klan zareagował radośnie, podniecony tak samo jak J'vina, a ona śmiała się z ich błazeństw, gdy razem ruszyli w kierunku wyznaczonego miejsca.

Trzy słabsze eksplozje rozległy się niemal równocześnie; każdej towarzyszył zgrzytliwy dźwięk przesuwających się skał, odgłos będący niegdyś trwogą, teraz jednak witany z posępnym zadowoleniem.

Spotkali się, tak jak zostało to zaplanowane.

–Dobra robota – rzekł zdyszany D'vor. – Teraz musimy zadbać, by te potwory o metalowych twarzach nie zepsuły wszystkiego.

Bez słowa, J'vina poprowadziła ich na wroga. Nikt nie kwestionował jej prawa przywódcy.

Nim przekroczyli górski grzbiet, Gemma wiedziała już, że dotarli do celu – w powietrzu wyczuwała zło, niby jakąś dotykalaną siłę. Kai wyczuwał to również, a jego pszczoły brzęczały niespokojnie w swoim przenośnym ulu.

Słońce właśnie zachodziło, gdy po raz pierwszy spojrzeli z góry na miasto. Z metalowej doliny wielkie monolity strzelały w niebo, ogromne tafle stali i szkła odbijały gasnące światło dnia, niezliczone lampy i ognie samego miasta. Gigantyczne kominy rzygały kłębamii dymu i pary, a złowieszczy, tętniący dźwięk pulsował w samym sercu cuchnącej metropolii. Z oddali nie można

było dostrzec żadnego ruchu, cały kompleks wydawał się jałowy i nieludzki.

Spoglądali ze zgrozą w dolinę; nikt nie miał wątpliwości, że to właśnie jest cel ich przerażającej pielgrzymki, centrum zła, tego, co niszczy ich świat.

–To nie jest podobne do żadnego miasta, jakie kiedykolwiek widziałem – rzekł stłumionym głosem Galar.

–Nie jest podobne do jakiegokolwiek miasta, które widział świat – odpowiedział Jordan.

–W jaki sposób to zaatakujemy? – zapytał Hewe. – Skąd zaczniemy?

–Otacza je otwarty teren – zauważył Arden. – Jeśli mają coś podobnego do broni Mendle’a, wystrzelają nas bez trudu, zanim zdołamy się zbliżyć.

–Poczekajmy, aż zapadnie zmrok – rzekł Kai. Pszczoły znajdowały się teraz w powietrzu, a on – za ich pośrednictwem – wraz z innymi przyglądał się miastu. – Wówczas będziemy mieli większą szansę, by zbliżyć się niepostrzeżenie. A ja może zdołam trochę osłonić naszych ludzi. – Ostatni czarodziej rozpoczynający ostatnią bitwę.

Gemma nie odezwała się od czasu, kiedy ujrzeli miasto, i teraz zwrócili się ku niej. Jeśli Kai może wykorzystać magię, zatem ona z pewnością również to potrafi.

–Co o tym sądzisz, Gemmo? – zapytał Jordan.

Ale ona nie zareagowała. Słyszała jakieś podniecone głosy, jakieś zdania

przelatywały w jej umyśle. Było to tak oszalamiające, że nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wokół niej dzieje.

Nora zapada się. Czysto-pęd zatrzymuje się.

Idziemy za J’vi. Klan ma robotę do wykonania.

Zrzucający-czarną-skorę idą walczyć o swoje terytorium.

Gemma połączyła się z myrketami i została nagrodzona ich zdumionymi i radosnymi pozdrowieniami.

Stłumione dudnienie podziemnych eksplozji dotarło do wojowników Jordana, lecz

Gemma wciąż była skupiona na czymś innym.

–Gemma, co się stało? – zapytał z niepokojem Jordan.

–Zostaw ją – rzekł szybko Arden. – Nic jej nie jest. – Wiedział, że umysł Gemmy często

działa na różnych poziomach, z których większość na zawsze będzie dla niego niedostępna. Wiedział również, że nie grozi jej żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Gdzie jesteście? – zwróciła się Gemma do klanu.

W wielkiej norze. J’vi prowadzi nas do walki - odparł Ox. Dołączysz do nas, przyjaciółko klanu?

Jeśli mi się uda. Czy jesteście pod miastem?

Myrkety najwyraźniej nie rozumiały słowa “miasto” i po chwili wahania Av zapytała:

Mówisz o norze, skąd przychodzą lśniące twarze?

Tak - odparła Gemma, a w jej umyśle pojawiły się obrazy Mendle’a.

Jest nad nami. Idziemy tam teraz - odpowiedział Ed. Czysto-pęd zatrzymał się w środku. Wielka walka ze złym klanem.

Teraz?

Tak. Właśnie się zaczyna - rzekł z naciskiem Ox.

Gemma zerwała tak cenny dla siebie kontakt, powracając do świata, gdzie ziemia wciąż dygotała pod stopami.

Nieba! - pomyślała. Ledwie zdążyliśmy!

–Myrkety! – zaczęła. – Są teraz pod miastem, z J’viną i pozostałymi. Z jakiegoś powodu blokują tunele, nie pozwalając wypływać wodzie.

–A ja myślałem, że mają zamiar rozniecić ogień – rzekł oszołomiony Hewe.

–Bez względu na to, co robią – wtrącił Jordan – atak się rozpoczął, czy tak?

–Tak.

Ludzie tłoczyli się, by wysłuchać Gemmy, i wieści rozchodziły się lotem

błyskawicy. Okrzyki niepohamowanej radości i nawoływania do ataku rozległy się w szeregach Szarych Jeźdźców, podczas gdy Jordan i jego towarzysze zastanawiali się rozpaczliwie, co powinni zrobić. Wkrótce zostali pozbawieni możliwości podjęcia decyzji. Teraz, kiedy byli już tak blisko celu, Jeźdźców opanowała ślepa furia i choć Galar z Tomaszem próbowali ich powstrzymać, byli bezradni wobec narastającej fali fanatyzmu. Z coraz większym zapalem zaczęto wykrzykiwać swoje wojenne zawołanie, które obudziło w Gemmie straszliwe wspomnienia.

–Śmierć pomiotom demona!

–Galar nie zdoła ich powstrzymać – powiedział Hewe do Jordana.

–Wiem. Co za straszliwy bałagan. – Przywódca Podziemia zwrócił się do Kaia. – Będziemy musieli oddzielić się od Jeźdźców. Czy możesz sprawić, byśmy stali się niewidzialni dla tych z miasta?

–Przez jakiś czas – odparł czarodziej. – Zrobię, co w mojej mocy.

–Kto wie? – rzekł Jordan. – Może wystarczy, by tylko kilku z nas dostało się tam, by zmienić wszystko.

–Śmierć pomiotom demona!

Pierwsi Jeźdźcy wyrwali się z tłumu, pędząc galopem po zboczach doliny. W ciągu

paru chwil wszyscy Szarzy Jeźdźcy byli już gotowi do ataku, szarżując dziko w zapadającym mroku, a ich głosy unosiły się nad doliną w żądnym krwi chórze. Niektórzy z ludzi Jordana ruszyli razem z nimi, porwani falą bitewnego szau.

Jordan z przerażeniem obserwował samobójczy atak, a potem odwrócił się do Kaia.

–Rób, co możesz – polecił. – Nie ma sensu czekać dłużej.

Tak, więc Kai przywołał całą swoją siłę i zwrócił się o pomoc do pszczoł.

Wiedział, że to, czego próbuje dokonać, wyczerpie go. Wiedział też, że oto nadszedł czas na ostateczny, śmiertelny wysiłek. Jeśli to ma być jego wkład w walkę ze złem, niech zatem tak będzie.

Kiedy szeptane przez Kaia słowa zadźwięczały im w uszach, powietrze wokół nich zaczęło gęstnieć i ciemnieć. Otoczył ich nienaturalny opar, a roztaczającą się przed nimi panoramę zasnuła mgła.

–Ruszamy! – rozkazał Jordan i wolnym krokiem poprowadził swoich ludzi w dół zbocza. Przed nimi miasto rozbłysło jeszcze liczniejszymi światłami; niektóre z nich były jaśniejsze niż wszystko to, co kiedykolwiek przedtem widzieli. Jeźdźcy byli już w połowie drogi i wkrótce z pewnością – pomyślał – zauważą ich wrogowie. Grupa Kaia jechała dalej tym samym tempem i odległość pomiędzy nimi a Jeźdźcami zwiększała się z każdą chwilą.

–Tam! – zawołał Hewe. U podstawy najbliższego stalowego monolitu zaczęli pojawiać się ludzie. Rozbłysło jeszcze więcej światła, rozjaśniając zbocze, po którym szarżowali Jeźdźcy. Obrońcy otworzyli ogień, powalając wielu napastników. Gdy pozostali przy życiu Jeźdźcy dopadli stalowolicych, wywiązała się walka wręcz. W zamieszaniu nie można się było

zorientować, co się tam dzieje.

–Jeśli miałeś zamiar wykorzystać ich do odwrócenia uwagi – rzekł beznamiętnie Arden – lepiej się pospieszmy. Wkrótce pozostanie ich niewiele.

–Tam, pomiędzy budynkami jest szczelina – odezwał się Hewe. – I nie widzę żadnej straży. Idziemy?

–Czy ktoś ma lepszy plan? – zapytał Jordan. Nikt nie odpowiedział. – Czy możemy poruszać się trochę szybciej, Kai?

–Tak – odpowiedział z napięciem czarodziej. – Tak będzie lepiej, moja moc wkrótce się wyczerpie.

Tak, więc Jordan zawrócił i poprowadził swoich towarzyszy prosto w dół zbocza. Szli za nim z podnieceniem i strachem w sercach, widząc, że nie mają wyboru. Muszą to zrobić teraz – albo nigdy.

Miasto rozrastało się w oczach, majacząc nad nimi jak stalowa góra. Wpatrywali się w nie z przerażeniem, zastanawiając się, czy stanie się ich grobowcem.

To znaczy każdy z wyjątkiem Gemmy. Patrzyła na potworną metalową dolinę oczami kogoś innego. Wielkie brązowe oczy, o tyle młodsze niż jej własne, oglądały to, co się dzieje, z przerażeniem i oszołomieniem. Małeńka Gem, połączona ze swoją imienniczką niezwykle więzią, obserwowała ich pochód ze szczytu góry.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Dyżurni zauważyli nagłą reakcję aparatury na wstrząsy w głębi ziemi.

–Co to było?

Z niepokojem obserwowali tarcze i lampki kontrolne, a potem jeden z nich wykrzyknął z rozdrażnieniem:

–Nie wierzę! Kanały odprowadzające są znowu zablokowane!

Chwilę później drugi dodał:

–Jest jeszcze gorzej. Spójrz, jak wzrasta ciśnienie! To niewiarygodne. – Wpatrywali się w tablice kontrolne, ledwie śmiać oddychać.

–Temperatura szybko wzrasta. Będziemy musieli wyłączyć część generatorów.

Spojrzeni po sobie, próbując zgadnąć, który z nich będzie miał tyle odwagi, by zawiadomić Wielkiego Przywódcę. Ich zwierzchnik miał właśnie urlop...

–Połącz się ze Służbą Remontową – rzekł szybko pierwszy. – Powiedz im, żeby ściągnęli na dół wszystkich techników i maszyny. Zaraz. I powiedz im, żeby się pospieszyli – dla dobra nas wszystkich.

Gdy drugi mężczyzna wykonywał jego rozkaz, regulując swój komunikator podczas przekazywania poleceń, dyżurny, jak zahipnotyzowany, wciąż wpatrywał się w tarcze aparatów. Co też mogło się zdarzyć? Coś, co zaprzecza wszelkiej logice, a jednak wydarzyło się. Jeśli potrwa to zbyt długo, nastąpi eksplozja, kula ognia, która sprawi, w promieniu tysięcy lig góry zostaną zrównane z ziemią. Po jego twarzy ściekały krople potu.

Ed czekał cierpliwie w swojej kryjówce w jasnej norze zwanej stacją kontrolną. Choć całe otoczenie było dlań obce, wiedział, co powinien robić. J'vi odkryła, że włącz stacji kontrolnej można otworzyć z zewnątrz, przekręcając metalowe kółko umieszczone w ścianie. Przed przystąpieniem do zaplanowanej akcji, wprowadzili Eda do środka. Myrket trwał w absolutnym bezruchu i ciszy, świadom ciężącej na nim odpowiedzialności.

Obserwuj - odebrał sygnał od J'vi. *Zawiadam nas.*

Myrket podwoił uwagę, gdy nagły, syczący dźwięk wypełnił pomieszczenie. Pokazała się

ruchoma nora, drzwiczki otworzyły się i czterej mężczyźni podbiegli do

włazu; otworzyli go i zniknęli w pieczarach. Ed pozostał na swoim miejscu, wciąż obserwując.

Drzwiczki zamknęły się i ruchoma nora oddaliła się. Ed czekał, mając nadzieję, że jego przyjaciele wkrótce się tu pojawią. Nie minęło wiele czasu i usłyszał głos Oxa.

Klan jest tutaj. Czekamy na twój sygnał.

Ed odpowiedział, a potem znowu usłyszał syczący dźwięk.

Lśniqcolicy nadchodzą - zameldował. – Przygotujcie się.

Wszystko się powtórzyło i czterej mężczyźni wyszli przez właz. Tym razem jednak Ed wybiegł z kryjówki i podbiegł do ruchomej nory. Z zewnątrz doszły go odgłosy naglej, zacieklej walki. Parę chwil później J'vi wprowadziła resztę myrketów oraz zwiadowców przez właz do stacji kontrolnej.

–Dobra robota – pochwaliła, rozglądając się szybko wokół siebie. – Skąd przyszli?

Wejdźcie do ruchomej nory - zwrócił się Ed do klanu. – Za mną.

Myrkety posłuchały bez wahania, choć nie bardzo rozumiały, co miał na myśli.

Jednak ich podniecenie było oczywiste i J'vina właściwie odgadła ich zamiar.

–Tutaj! – zawołała, wchodząc do środka przez jedno z otwartych drzwiczek. Gdy to uczyniła, drzwiczki zaczęły same zamykać się. D'vor i V'dal skoczyli, by je przytrzymać, a J'vina zręcznie zablokowała je mieczem. Wszyscy stłoczyli się w środku i drzwiczki zatrzasnęły się za nimi.

–Co teraz? – zastanowił się głośno V'dal, rozglądając się po małym pomieszczeniu. – Stąd nie ma wyjścia.

Kryjówka odpowiedziała szarpnięciem, które sprawiło, że wszyscy się zatoczyli.

–To się rusza! – zawołała C'tis, gdy odzyskali równowagę. Wówczas zaczęli rozumieć, co się dzieje.

–To zabiera nas do miasta – rzekł ze zdumieniem D'vor.

–Dobrze – odparła J'vina. – Teraz skosztujemy odrobinę prawdziwej walki. Z tą ostatnią

grupą poradziłabym sobie sama. – Teraz już nawet C'tis godziła się na przelew krwi i nie potrafiła ukryć dziwnego ożywienia, które ją ogarnęło. Mocno ujęła swój miecz, zdecydowana nie zawieść grupy w jej ostatniej, rozpaczliwej akcji.

–Cokolwiek jeszcze się zdarzy – rzekł cicho D'vor – daliśmy z siebie wszystko. Jestem z was dumny. Rael nas błogosławi.

Pozostali powtórzyli jego wezwanie do boga, a myrkety, jak gdyby godząc się z wierzeniami ludzi, przyłączyły się swoimi piskliwymi głosami. J'vina i V'dal roześmiali się.

Przenoszące ich pomieszczenie zaczęło zwalniać.

–Zróbmy im piekło! zawołał D'vor, gdy zatrzymali się i drzwiczki rozwarły się same. Ucieszyli się, że podwójna warstwa jedwabiu dobrze chroni ich oczy, gdy zalało ich oślepiające światło. Wpadli do ogromnego pomieszczenia pełnego maszyn i ludzi.

Mechanicy, czekający w kolejce na przewiezienie do jaskini, zobaczyli nagle pozbawione twarzy potwory, odrażające czarne olbrzymy, które zaatakowały natychmiast i bez litości. Wielu z nich padło – martwych lub rannych – nim ich towarzysze zrozumieli, co się dzieje. Obce istoty wirowały wokół, a ich śmiertelne stalowe ostrza przecinały po kolei ochronne kombinezony, ciało i kości. Część załogi Służby Remontowej uciekła w panice, lecz kilku zostało. Znaleźli broń i zaczęli się bronić. Oddano kilka strzałów i, choć część metalowych pocisków chybiła, a inne powaliły jednego z broniących się, to jednak ktoś wycelował lepiej. D'vor upadł na gładką, lśniącą podłogę już jako krwawy, zmasakrowany ochłap. Kiedy J'vina wycelowała swoją zdobyczną broń w zabójcę D'vora, pozostali rzucili się w panice szukać schronienia.

W tym czasie myrkety zwiększały zamieszanie śmigając między biegającymi ludźmi. To właśnie one spostrzegły nową ruchomą norę. Kilku obrońców wbiegło do niej i próbowało zamknąć drzwi, które blokowało ciało jednego z ich martwych towarzyszy. Właśnie w chwili, gdy usiłowali odsunąć ciało, przybyli Wędrowcy – gryząc, drapiąc i piszcząc przeraźliwie. J'vina zauważyła myrkety i skinęła na V'dala i C'tis, którzy szybko usunęli znajdujących się wewnątrz ludzi. Gdy zlikwidowali przeszkodę, drzwi zamknęły się. Lecz nic się nie wydarzyło.

–Jesteśmy w pułapce? – jęknęła C'tis.

–Naciśnij jeden z tych guzików – powiedział V'dal, z trudem łapiąc powietrze.

–Który? – Na każdym widniał jakiś symbol, lecz nic nie znaczył dla mieszkańców Mrocznego Królestwa.

–Którykolwiek!

C’tis nacisnęła górny przycisk i natychmiast ruszyli. W górę. Myrkety zaświergotały z podniecenia; jechały już kiedyś windą i teraz rozpoznały

to urządzenie. Ludzie, oczywiście nie, i kolana ugięły się pod nimi, kiedy ruszyli. Ledwie starczyło im czasu, by zrozumieć, co się dzieje, gdy winda zatrzymała się z mechanicznym westchnieniem i drzwi się otworzyły. Wyskoczyli z gotowymi do walki mieczami, lecz nie napotkali żadnego oporu. Po rzezi, jaka miała miejsce na dole, pomieszczenie, do którego weszli, wydawało się ciche i spokojne.

W głębi, zwrócenii plecami do windy, siedzieli dwaj mężczyźni. Na głowach mieli

słuchawki z mikrofonem i wydawało się, że nie zauważyli obcych. Przed nimi znajdowała się ogromna tablica rozdzielcza. Za nią olbrzymie okna otwierały widok na wielką, oświetloną przyćmionym światłem grootę – pełną maszyn i ciągnących się bez końca rur.

–Będziemy musieli mu powiedzieć – rzekł jeden w chwili, kiedy V’dal pospiesznie dawał znaki swoim towarzyszom, by zachowali ciszę.

–Co robi Służba Remontowa?! – zawołał drugi. – Powinno już tam być mnóstwo ludzi.

–To na nic, nie uda im się odblokować tego na czas. Musimy teraz to wyłączyć! – W głosie mężczyzny słychać było przerażenie.

–Dobrze. Zaczynaj, a ja połączę się z Przywódcą.

–Teraz! – krzyknął V’dal i cała trójka skoczyła naprzód w chwili, gdy dwaj dyżurni odwrócili się gwałtownie, świadomi nareszcie grożącego im niebezpieczeństwa. Jeden zginął natychmiast, cięty w szyję mieczem J’viny, drugi skamieniał, gdy klinga V’dała spoczęła na jego gardle.

–Pokaż mi, jak to wyłączyć! – zażądał V’dal, nie zwracając uwagi na zdumione spojrzenia swoich towarzyszy.

–Co? – Mężczyzna zdjął słuchawki. – Wyłączyć?

Ulga odmalowała się na jego twarzy, gdy odwracał się na krześle z powrotem do tablicy.

–Najpierw przekręcamy te tarcze...

–Dobrze. – V’dal odepchnął mężczyznę i szybko przekręcił wszystkie tarcze w przeciwną stronę.

–Nie! Nie! – wrzasnął mężczyzna, a jego twarz stała się biała jak kreda. – Zabijesz nas wszystkich!

–Zamknij się! – warknęła J’vina, nadając większego znaczenia swoim słowom pchnięciem miecza. Dyżurny zginął, zanim jego ciało zdążyło upaść na podłogę.

Gdy V’dal skończył, na tablicy rozbłyskiwały czerwone światła, a w grocie za oknami zawyły syreny. C’tis zobaczyła ludzi tłoczących się na przejściach i biegnących ku wyjściom.

–Wspaniale, nareszcie coś się dzieje – zauważył V’dal z nienaturalnym chichotem.

Odwrócił się do swoich towarzyszek. – Wyjdźcie stąd i pomęczcie ich jeszcze trochę. Jeśli wam się uda, wyrwijcie się stamtąd – ja zostaję, żeby dopilnować, by nikt tutaj niczego nie ruszył. – Skinął ręką w stronę pulsujących świateł.

C’tis chciała zaprotestować, lecz J’vina odezwała się pierwsza.

–Nie uciekniemy – powiedziała – ale z przyjemnością ich pozabijam. Powodzenia, V’dal. Pewnie nie umrzemy razem, ale w myślach będziemy przy tobie. Niech Rael będzie z tobą. Chodźmy! – Potem się odwróciła i pobiegła do zewnętrznej sali. Myrkety w podskokach pomknęły za nią.

–Powodzenia, V’dal – powiedziała cicho C’tis. – W tych ostatnich chwilach chciałabym myśleć jak żołnierz.

–Wiem. – I nim C’tis odwróciła się, by podążyć za J’viną, V’dal wziął ją w ramiona, żegnając krótkim uściskiem, który musiał starczyć za wszystko.

–Śmierć pomiotom demona!

Bitewne zawołanie Jeźdźców wciąż rozbrzmiewało wśród walczących przed

granicami miasta. Po swej dzikiej szarzy Jeźdźcy znaleźli się wobec obrońców, których przeważająca liczba i lepsze uzbrojenie zebrały obfite żniwo, zanim atakujący zdolali wykorzystać w bezpośrednim starciu swój o wiele prymitywniejszy oręż. Ludzie i konie kręcili się w obłąkanym tańcu wrzasków, strachu i krwi. Szarzy Jeźdźcy przegrywali, lecz ich fanatyzm nie pozwalał im tego dostrzec i dalej walczyli z nieubłaganym przeciwnikiem, wznosząc ku niebu swój okrzyk.

–Śmierć pomiotom demona!

Koniec walki był już bliski, gdy nieoczekiwanie wydarzyły się dwie rzeczy. Nagle

szeregi obrońców miasta straciły zwartość i stalowolicy żołnierze zatrzymali się, rozglądając się wokół bezmyślnie, jak gdyby niespodziewanie usunięto im cel przed oczu. Jeźdźcy wykorzystali ten moment i zdwoili wysiłki.

Ale inne wydarzenie spowodowało nagły koniec bitwy. Oślepiająco jasne, pomarańczowe promienie wystrzeliły z pobliskich budynków, a ich zabójcze płomienie zamieniły ogromne połacie ziemi w żuźłowisko. Ktokolwiek został trafiony snopem upiornego światła umierał w męce – czy był to napastnik, czy obrońca. Wyglądało to tak, jakby miasto straciło cierpliwość do tego całego zamętu i postanowiło użyć swej mocy może na oślepienie, lecz stanowczo.

Kilku pozostałych przy życiu walczących uciekło w panice.

Pierwsza z wielu eksplozji targnęła sekcją zasilania. Na chwilę przed śmiercią, V' dal ujrzał pędzący ku niemu ogień i uśmiechnął się. Pożoga była nieunikniona.

Głos Wielkiego Przywódcy brzmiał w każdym budynku i na każdej ulicy, niby głos niewidzialnego boga. Nawet wśród potęgającej się paniki poddani zatrzymywali się bez zastanowienia, by wysłuchać grzmiących słów.

–Mój pierwszy wielki eksperyment dobiega końca. Skończy się ogniem, skończy się zniszczeniem większym, niż mogliśmy przewidzieć. – W jego głosie słyhać było obłąd, lecz była w nim także niezaprzeczalna, hipnotyczna siła. – To miasto stanie się ognistym pomnikiem mojej wielkości oraz świadectwem szaleństwa tych, którzy próbowali mi się przeciwstawić. Służyliście mi dobrze i mieliście zaszczyt przyczynić się do pierwszej części mojego tryumfu. Oddaję wam cześć.

Gdy znaczenie tych słów dotarło do słuchaczy, miasto ogarnęła panika. Spokój i zadowolenie zniknęły na zawsze i przerażeni ludzie zostali zmuszeni, by spojrzeć w oczy swemu przeznaczeniu. W płocho rzucili się do ucieczki.

Niektórzy z nadzorców usiłowali przedostać się do śmigaczy, zdając sobie sprawę, że jest to najpewniejszy, a być może jedyny, sposób na ocalenie. Lecz droga była zamknięta, tak więc musieli dołączyć do oszalałego tłumu pospólstwa, pędzącego ku granicom miasta i dalej – w stronę gór.

Potem Wielki Przywódca przemówił znowu.

–Przejąłem kontrolę wszystkich funkcji. Nie zdołacie uciec przed tym, co musi nadejść, ale wasza ofiara nie zostanie zapomniana. Wkrótce wystartują śmigacze, unosząc nowe bronie, które rozsieją śmierć na domy tych, którzy ośmielili się nas zaatakować.

Wasza śmierć będzie pomszczona!

Gdy przebrzmiały ostatnie słowa potężnego, bezcielesnego głosu, Hewe i Jordan spojrzeli na siebie w mroku kryjówki.

–Nowy Port? – zapytał szeptem Hewe.

–I wszystkie inne miasta w tym kraju – odparł Jordan. – Jest szalony.

–Szalony, lecz potężny – rzekł Arden. – Jeśli nie powstrzymamy tych broni, zginą miliony ludzi.

–Nie tylko to – wtrąciła niespodziewanie Gemma, odzywając się po dłuższym milczeniu – ale jeśli on użyje tych broni, Dusza Ziemi oszaleje, bez względu na to, czy zniszczymy to miejsce, czy nie.

–Jak możemy temu zapobiec? – zapytał Hewe. – Nie wiemy nawet, gdzie znajdują się te śmigacze.

–Musimy znaleźć Wielkiego Przywódcę, nie śmigacze – wtrąciła Zana. Klęczała, obejmując wyczerpanego Kaia. – Słyszeliście, co ten szaleniec powiedział. Kontroluje wszystko. Jeśli go powstrzymamy, powstrzymamy śmigacze.

–Ale wciąż nie wiemy, dokąd iść – przypomniał Hewe.

–Wieża! – zawołała Gemma. – To musi być to miejsce.

–Jaka wieża? – zapytał zaintrygowany Jordan.

–Gem widzi ją – odparła, zwiększając jego oszołomienie. – Zaprowadzi nas do niej.

Spojrzeli po sobie z niedowierzaniem, lecz podążyli za nią, gdy zdecydowanie ruszyła naprzód. Nie próbowali się już ukrywać i maszerowali teraz środkiem ulicy.

–To ta droga! – zawołała przez ramię Gemma. – Już niedaleko. – Zaczęła biec i inni przyspieszyli, by dotrzymać jej kroku, dzierżąc gotowe do użycia miecze. Gemma nie miała broni, trzymała w dłoni laskę, którą dostała od Krisa. Tego ranka, gdy przypomniała sobie sen, wyjęła ją z bagażu i zabrała ze sobą jako znak. Laska nie zmieniła się, pozornie nie było w niej niczego szczególnego, jednak Gemma ścisnęła ją mocno jak talizman.

Minęli kolejny zakręt i ujrzeli ją – ogromną wieżę z czarnego metalu, niemal niewidoczną na tle nocnego nieba. Wysoko ponad nimi zalśniło jakieś światło.

–Tam, na górze! – zawołała Gemma, przekrzykując wrzawę uciekającego tłumu i trzask płonących budynków. W jej głosie brzmiała absolutna pewność i nikomu nie przyszło do głowy, by żądać od niej wyjaśnień.

Gdy podbiegli do podstawy wieży i stłoczyli się przechodząc przez otwarte drzwi, Gemma natychmiast dostrzegła windę i poprowadziła ich do niej. Nacisnęła guzik i drzwi rozsunęły się.

–To zawiezie nas na górę – powiedziała – ale nie zmieścimy się wszyscy.

–Agrin, zastąpisz mnie tutaj – polecił Jordan. – Dopilnuj, by nikt nie przedostał się do budynku.

–Rozkaz. – Żołnierz zaczął wykrzykiwać komendy, rozstawiając swoich ludzi.

–Chodźmy już – ponaglała Gemma. Razem z Ardenem weszli już do windy. – Kai, dasz radę?

–Oczywiście – odparł cicho czarodziej. Potykając się wszedł do środka,

wspomagany przez Zanę, za nimi wcisnęli się Jordan i Hewe.

–Mam nadzieję, że ta rzecz została zbudowana tak, że wytrzyma nasz ciężar – rzekł

Hewe. – Nie chciałbym wjechać na górę, a potem się przekonać, że pękła lina.

Winda pędziła w górę, lecz wciąż nie dość szybko dla Gemmy, która niecierpliwiła się coraz wyraźniej.

Po jakimś czasie, który wydawał się całym wiekiem, maszyna zatrzymała się i drzwi rozsunęły się, odsłaniając przed nimi duży, okrągły pokój. Wskoczyli na zewnątrz, z gotową do użycia bronią, odruchowo formując łuk zwrócony w stronę mężczyzny, który stał w głębi pomieszczenia. Spoglądał na wielką tablicę, pokrytą jakimiś urządzeniami.

–Przypuszczałem, że szybko tu traficie – rzekł mężczyzna, nie odwracając się. –

Witajcie w moim gnieździe. – Jego wysoki głos brzmiał bez trosko.

Poczuł nagle, że ich ciała sztywnieją, a stopy przywierają do podłogi. Nie mogli się poruszyć, bez względu na to, jak bardzo próbowali. Z pełną grozy fascynacją przyglądali się mężczyźnie odwracającemu się z wolna w ich stronę. Ardena ogarnęło nagle przerażenie, że znowu zobaczy swego ojca – lecz ten, który ich uwięził, nie był szaleńcem. Był szczupły i miał miłą, niewinną twarz. Uśmiechnął się i dopiero wówczas w jego bladobłękitnych oczach pojawiły się iskry.

–Nie poznajecie mojego głosu? – zapytał niewinnym tonem, a potem nacisnął

przełącznik. – Czy tak lepiej? – W pokoju zahuczał znajomy głos przywódcy miasta...

Wyłączył wzmacnienie. – Jak widzicie, w tej chwili jestem dość zajęty – rzekł łagodnie. –

Dlaczego chcieliście mnie widzieć?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Trwali tak zupełnie bezradni i Wielki Przywódca trzymał ich na uwięzi bez widocznego wysiłku. Ich umysły zdawały się tak samo skamieniałe, jak ich ciała. Tylko umysł Gemmy pracował, lecz ona musiała toczyć inną bitwę – daleko od miasta.

Ciociu Gemmo, tutaj jest jakaś wielka osoba.

Nie teraz, Gem. Jestem zajęta.

Ale ja się jej boję. Myślę, że jest zła. Tak krzyczy.

Śpij, kochanie. Nie mogę ci teraz pomóc.

Dziecko zaczęło płakać i Gemmie ścisnęło się serce. *Może w przyszłości będzie Kluczem - pomyślała ze złością – ale teraz nie jest jeszcze gotowa. Dajcie jej spokój!*

Jak babcia, tylko o wiele większa - usłyszała jeszcze ciche słowa Gem, a potem jej uwagę przyciągnął ponownie kolisty pokój. Ich wróg odezwał się znowu:

–Nie będę ukrywał, że wasza pomysłowość sprawiła mi wiele kłopotów. Nie doceniłem was. To był błąd, którego już nigdy nie powtórzę. – Jego słowa mroziły tym bardziej, że wypowiadał je łagodnym tonem. – Choć ostatecznie i tak nie będzie to miało żadnego znaczenia. Nadejście Wieku Chaosu, jak go poetycko nazywacie, jest już pewne. Choć świat bardzo się zmieni, ja będę sprawował władzę najwyższą. Wasz głupi atak doprowadził właśnie do tego, czego tak rozpaczliwie próbowaliście uniknąć. Cóż za ironia, prawda? – Przerwał, spodziewając się jakiejś reakcji, lecz nie doczekawszy się żadnej, mówił dalej: – Nic dziwnego, że wasze skarłowaciałe narody nie mogą się ze mną równać -ciągnął, pałając zadowoleniem. – Spodziewałem się przynajmniej jakiejś kulturalnej rozmowy... zanim umrzecie.

–Czy o czymś nie zapomniałeś? – odezwał się w końcu Jordan. – Kiedy to miejsce wybuchnie, ty umrzesz również.

Wielki Przywódca uśmiechnął się.

–Och, nie sądzę – rzekł niedbale. – Na razie jesteśmy tutaj bezpieczni, a zanim nastąpi eksplozja, ja będę daleko stąd. Mój pożeracz nieba – tak właśnie je nazywacie, prawda? – czeka na dachu nad nami. – Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Czy ktoś miałby ochotę zabrać się ze mną? – Wrócił do tablicy i przez parę chwil przyglądał się jej w milczeniu, po czym znowu odwrócił się do nich. – Zostało mi jeszcze niemal pół

godziny, nim będę musiał was opuścić – rzekł z zadowoleniem. – Mnóstwo czasu, by

powiedzieć wam, co się stanie. – Był megalomanem rozkoszującym się widokiem swych bezradnych jeńców. – Kiedy temperatura w głównym układzie zasilania wzrośnie odpowiednio – oczywiście, mnie już tutaj dawno nie będzie – podłoże skalne, na którym go zbudowano, zacznie się topić i cały kompleks pograży się w ziemi. Kiedy dotrze do warstwy płynnej lawy, eksplozja, która nastąpi, będzie potężniejsza niż wybuch tysiąca wulkanów.

Zaną wstrząsnął suchy szloch i mężczyzna odwrócił się, by posłać jej uśmiech.

–Szczątki zostaną wyrzucone w atmosferę, rozsiewając truciznę po całym świecie. Oczywiście, niektóre miejsca będą skażone mniej, inne więcej, ale umrze wszystko. I tylko ci, którzy wraz ze mną ukryją się w podziemnym mieście, mogą być pewni, że nic im się nie stanie. Och, to miasto leży wiele, wiele lig stąd – zapewnił ich. – Zbudowałem je przed laty, myśląc o takiej właśnie możliwości. – Był coraz bardziej irytująco zadowolony z siebie. – I nie zapominajcie, że wielu moich... pracowników... będzie mogło – pomimo skażenia – działać na powierzchni. Widzicie, więc, że przeobrażenie, jakiemu ich poddałem, ma jednak swoje zalety. Będę absolutnym władcą świata!

–Władcą martwego świata! – prychnął Hewe. – Jesteś szalony!

–Och, ależ świat nie będzie tak zupełnie martwy – odparł, nieporuszony wybuchem Hewe'a. – Będzie tylko inny. Jednak muszę przyznać, że niektóre regiony będą martwe. To jest nieuniknione, i będzie przypominać tym wszystkim... Nie mogę pozwolić, by ktokolwiek sądził, że może mnie zaatakować i nie spotkać się z zasłużoną karą. – Przerwał, spoglądając kolejno na ich twarze. – Wielki Nowy Port... wasza ukochana dolina... parę niemających znaczenia wysp na północy... Wystarczy tylko, bym nacisnął ten oto guzik i lądowanie broni zostanie zakończone. Pożeracze nieba polecą ku swoim celom. To już nie potrwa długo.

–A jeśli się mylisz? – zapytał słabym głosem Kai. – Jeśli świat będzie martwy? Będziesz władał niczym. – Tym razem nikt nie przeżyje.

–Nigdy się nie mylę! – odparł gwałtownie mężczyzna, po raz pierwszy okazując gniew.

–Dlaczego to robisz? – zapytał błagalnym tonem Kai. – Jesteś czarodziejem...

–Nie! – przerwał mu z furią Wielki Przywódca. – Gardzę magią. Wykorzystałem ją, by stworzyć nową ewolucję, zaprząłem do mojej nowej nauki, by powołać syreni śpiew. To stworzyło mi ludzi, których potrzebowałem, wszystkie umysły zestrojone z moim własnym. Wiedzieliśmy, że razem potrafimy skonstruować technologię, która magię wraz z jej śmiesznymi doktrynami uczyni na zawsze czymś zbędnym. Magia jest tylko dla

słabych, dla tych, którzy potrzebują kręgow, by się podeprzeć. Ja stoję sam! – Ostatnie słowa wykrzyczał, lecz zaraz się uspokoił. – Mendle miał rację, lecz był zbyt zapalczywy. Moje zwycięstwo będzie wynikiem absolutnej dokładności i drobiazgowej dbałości o szczegóły.

Przy przełącznikach, które służyły do odpalania pożeraczy nieba, światełka zmieniły się z czerwonych na pomarańczowe; Wielki Przywódca zauważył tę zmianę i wyraz zadowolenia pojawił się na jego twarzy.

–Jeszcze tylko chwila – powiedział.

–Jednak wykorzystujesz magię – rzucił oskarżycielsko Kai, próbując poruszyć swym skamieniałym ciałem, lecz mężczyzna tylko się roześmiał.

–Nie. Jesteście unieruchomieni przez proste, lecz wybiórcze pole statyczne, które oddziałuje na wasz system nerwowy – jeśli oczywiście wiesz, co to jest. – Jak paw obnosił się ze swoją pogardą. – Mogę je kontrolować z wielką dokładnością. Właśnie, dlatego możecie mówić i widzieć, ale nie możecie się poruszać. – Zbliżył się do Kaia i wyciągnął rękę, celując palcem w jego twarz. – To ty jesteś ostatnim czarodziejem, mój przyjacielu. Ja już nigdy nie użyję magii.

Światełka zmieniły się na zielone, lecz Wielki Przywódca zdawał się tego nie zauważać.

–Nawet gdybyś mógł zostać nowym Kluczem do Snu? – zapytała szybko Gemma,

mając nadzieję odwrócić jego uwagę. Jej umysł pulsował obrazami i myślami. – Gdybyś

mógł stać się ogniskiem całej magii świata – czy to by się nie opłacało?

Ich prześladowca wbił w nią spojrzenie, podczas gdy inni spoglądali na nią z pełnym przerażenia niedowierzaniem.

Ciociu Gemmo, wielka osoba jest zła...

Powiedz jej, by się uspokoiła - odpowiedziała Gemma. Pomożemy jej później.

Dostrzegła szansę i wykorzystała ją.

–Czy już zapomniałeś, jakie to uczucie, kiedy moc magii pulsuje ci w koniuszkach palców? – zapytała. – Bez tych maszyn?

Wówczas odezwał się Arden, choć z trudem można było rozpoznać jego głos. Przeżywał jakiś sen.

–Ojciec – wychrypiał. – Magia była kiedyś w tobie – czy nie pamiętasz? Weź laskę.

Przywróć nam miłość.

Usłyszawszy jego słowa, Gemma poczuła w sobie nową falę sił. Zawołała do kręgów, a one odpowiedziały – niektóre z radością, inne z obawą, a jeszcze inne niechętnie i z przerażeniem. Kai i rój, myrkety, prorocy Mrocznego Królestwa, Jordan, Mallory i Arden, wszyscy oni byli wśród mnóstwa twarzy – znanych i nieznanymi, ludzkich i zwierzęcych, które rozbłyskiwały

w jej umyśle. Byli gotowi przyjąć z pomocą. Teraz, jeśli tylko...

Wielki Przywódca wpatrywał się z ciekawością w Gemmę.

–Klucz? – rzekł wolno.

–Oto mój dar dla ciebie – powiedziała szybko Gemma, czerpiąc wskazówki z enigmatycznych słów Ardena. – Niegdyś była w tobie magia. Musisz tylko przyznać, a wówczas zaczniesz władać wszystkimi kręgami. Odrzuć swoją nową naukę. Zostań naszym przywódcą – weź moją łaskę mocy.

Hewe i Zana zaprotestowali, lecz Gemma dostrzegła, że kusi go to, i poczuła, że jej mięśnie wracają do życia. Postąpiła naprzód i klękła przed nim, ofiarując mu łaskę Krisa.

Tyran wyciągnął rękę i przez jedną cudowną chwilę Gemma pomyślała, że zwyciężyła. Lecz on się cofnął.

–Skąd mogę wiedzieć, że ta łaska jest łaską mocy? – zapytał niespodziewanie. – Nie wyczuwam w niej niczego niezwykłego.

–Jak możesz wyczuć? – zapytała Gemma. – Jeśli wciąż wypierasz się swojej magii? Otwórz się na nią, a wtedy poczujesz!

Cisza wypełniła pokój.

Powoli wyciągnął rękę i jego palce zamknęły się na jednym końcu laski, podczas gdy Gemma wciąż ścisnęła drugi.

–Tak było – powiedział. – Teraz pamiętam.

Gdy moc i wsparcie kręgów wypełniły Gemmę, wykorzystała je, by spętać go

mocno, rzucając czar, który uwięził go niczym stalowe więzy, choć szarpał się dziko, przeklinając i krzycząc.

Potem w pokoju zaległa cisza. Gemma i Wielki Przywódca zastygli w dziwacznej pozycji, a z pozostałych tylko Hewe i Zana mogli się poruszać. Ich zdrętwiałe nogi nie utrzymały ich i upadli na podłogę. Pułapka Gemmy zatrzęsła się nad zdobyczą i łowcą.

–Pat – rzekł Wielki Przywódca przez zaciśnięte zęby. – Nie możesz mnie pokonać,

co zatem proponujesz?

Ogień w Sekcji Zasilania wytwarzał teraz tak wysoką temperaturę, że metal topił się jak masło na pustynnym słońcu. Nadziemna część ogromnego budynku dawno już runęła, rozsiewając ogień na przyległe tereny. Powietrze przesiąknięte było dymem i parą, a kolejne

eksplozje wyrzucały szczątki w niebo. Rdzeń fontanny ognia płonął białym blaskiem.

Coraz częstsze wybuchy wstrząsały miastem, opuszczonym już przez wszystkich niemal mieszkańców. Potem cała dolina zadygotała, jakby otrząsając się ze snu i z ziemi wydobyły się żywioły, ogromne wirujące istoty z błękitnego płomienia. Były ich setki, tysiące, ożywionych pulsującym światłem. Nieliczni, którzy jeszcze pozostali, przyglądali im się ze zgrozą, ogłuszeni widokiem pięknych, majestatycznych zjaw, tańczących wokół miasta. Zaprzeszano walki, i nawet ci, którzy uciekali co siłą, zatrzymali się nagle w miejscu, zdumieni i przerażeni.

Wyglądało to, jakby duchy samej ziemi dostrzegły śmiertelne niebezpieczeństwo pożogi i powstały, by od reszty świata odsunąć straszliwe zagrożenie. Osłaniały ziemię własnymi, eterycznymi ciałami. Zgromadziły się i utworzyły pierścień, kolisty mur, przesuwający się i iskrzący pomiędzy górami a miastem. Nikt, kto je zobaczył, nie mógł odmówić im ani piękna, ani mocy. Lecz w porównaniu z siłami, którym próbowały się przeciwstawić, żywioły zdawały się czymś kruchym i nieistotnym.

Ci, którzy spoglądali zbyt długo w ich błękitne płomienie, znaleźli w nich zbawienie.

Szaleństwo.

Wielka osoba jest tutaj znowu! Jest jej dużo. Nie podoba mi się to. Ona nie chce słuchać.

Gemma była bezradna. Kręgi udzieliły jej pomocy, jednak nie mogła uwolnić się z pułapki, pozostawiając w niej jednocześnie swego wroga. Zaczynało doprowadzać ją to do szaleństwa. *Jest jej dużo.* Potem Gemma przypomniała sobie jeszcze jedno zdanie, które zmroziło jej krew w żyłach. *Jedno stanie się wieloma.*

Mała Gem rozmawiała z Duszą Ziemi! Przebudziła się! Na chwilę Gemma znalazła się w czasie swego dzieciństwa, widząc inne maleńkie dziecko, które też prowadziło taką rozmowę, i które musiało zginąć.

Pokaż mi, kochanie - powiedziała najspokojniej jak mogła. Pokaż mi tę wielką osobę.

I w tej samej chwili stanęła w obliczu czegoś tak ogromnego, tak bardzo starego, że umknęła w popłochu. Nawet próba kontaktu z tym czymś oznaczałaby śmierć – a w najlepszym przypadku szaleństwo. Jednak dziecku nie stała się żadna krzywda, było tylko przestraszone.

Starość może rozmawiać z młodością. Ale przecież niewinność jest siłą. Gdy Gemma przypomniała sobie słowa kota, ujrzała prawdę. Ona jest niewinna! Może rozmawiać z Duszą Ziemi, dlatego, że jest dzieckiem! Szybko wydała polecenia swej maleńkiej imienniczce.

Gem, powiedz tej wielkiej osobie, by się uspokoiła. Próbujemy jej pomóc, ale musi nam dać trochę czasu.

Spróbuję, ale ona nie słucha. Dziecko powiedziało to niemal z oburzeniem.

Gemma skoncentrowała swoje myśli znów na kręgach, pragnąc jak najszybciej pozbyć się swego doczesnego wroga. Teraz, w porównaniu z tym, co mogło nastąpić, wydawał się niemal nieważny. Jeśli Dusza Ziemi dołączy swoje Zniszczenie do spustoszenia wywołanego skażeniem, wówczas nadejdzie totalna zagłada.

Rozległy się głosy kręgów.

Czy już czas?

Zostawiasz nas?

Gemma nie zwróciła na nie uwagi, nakazując ciszę.

–Uwolnij mnie! – warknął Wielki Przywódca, spoglądając na nią wzrokiem

szaleńca. – Zaniechaj tych głupich sztuczek.

–Jeśli nie zdołam zrobić niczego innego – odpowiedziała spokojnie – to na pewno

przytrzymam cię tutaj, byś zginął razem z nami. *Ale to nie wystarczy* - dodała w duchu.

Hewe podniósł się z trudem i przy włókł się do nich.

–Czy mam go zabić? – zapytał, słaniając się na nogach.

–Nie zdołasz – odparła Gemma. – Moc kręgów wiąże go – tak jak mnie – ale też chroni przed twoim mieczem.

–Więc ja nie należę do kręgów? – zapytał Hewe.

–Nie. Ani Zana – to, dlatego możecie się poruszać – powiedziała Gemma. – Czy możesz zobaczyć tablicę i sprawić, by pożeracze nieba nie wystartowały?

Hewe podszedł wolno do pulpitu i przyjrzał się podejrzliwie.

–Wszystkie migoczące zielone światelka opatrzone są napisem: “gotowy –

uzbrojony”. Z lewej są inne, z napisem: “odwołanie”. Czy mam je nacisnąć?

–Co się stanie, jeśli to zrobi? – zapytała Gemma swego współwójnika. Nic nie odpowiedział, tylko spojrzał na nią z wściekłością.

–Wciśnij je – powiedziała i Hewe zrobił to.

–Wszystkie światelka zgasły – odrzekł. – Co teraz? Lecz teraz coś innego zwróciło uwagę Gemmy i nie usłyszała go. Powróciła do kręgów.

Nasza energia wyczerpuje się szybko!

Co się dzieje? Słabniesz, Gemmo!

Czy już czas?

Chwila głębokiej koncentracji dowiodła, że jej podejrzania były słuszne. Coś jest nie tak. Brakuje jednego kręgu! Rozpoczęła poszukiwania, badając niekończący się potok słów. Po chwili, która wydawała się wiekiem, znalazła to, czego szukała. Głos Wynuta pojawił się w jej głowie, brzmiąc jak słaby, daleki dźwięk, a ona przywarła do niego, rozpaczliwie starając się utrzymać z nim kontakt.

Wreszcie! – krzyczał czarodziej. *Myślałem, że nas nigdy nie usłyszysz.*

Złamaliśmy przez ciebie wszystkie zasady - dodał Shanti ze swoim zwykłym rozdrażnieniem, spotęgowanym strachem. Wasza głupota zniszczy nas wszystkich!

Pomóżcie mi! - błagała Gemma. *Potrzebujemy mocy ostatniego kręgu.*

Wiemy - warknął ze złością Shanti.

Próbujemy - powiedział spokojniej Wynut – *ale kontakt jest bardzo słaby. Nie jesteśmy jeszcze w waszej czasoprzestrzeni, więc tylko jedno może przeszkadzać.*

Co? - zapytała z rozpaczą.

Żywioty - powiedział Wynut. *Potrafimy przedostać się przez wszystko, co istnieje na tym świecie – z wyjątkiem ich mocy. Są czystą energią i – tak jak my – nie mają swego miejsca w czasie i w przestrzeni.*

Żywioty? - Oszołomienie Gemmy sięgnęło szczytu.

Tak! - odkrzyknął Shanti. *Otaczają cię ze wszystkich stron. Musisz się ich pozbyć, bo inaczej wszyscy zginiemy.*

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

–Hewe! – zawołała Gemma. – Podejdz do okien. Czy w pobliżu miasta są jakieś żywioty?

–Nie wiem – odparł po chwili. – Widzę tylko ogień. Bogowie, ależ szaleje! – Zaklął cicho.

–Może dobijemy targu? – zaproponował niespodziewanie Wielki Przywódca. – Jeszcze mamy

czas. A może wolisz umrzeć?

–Nie mam niczego, o co moglibyśmy się targować – odparła gniewnie Gemma, zła, że przerwał jej koncentrację.

–Odleć ze mną śmigaczem – nie ustępował. – Zostaw ich. Jesteśmy do siebie tacy podobni, ty i ja – moc jest nam przypisana. Razem...

–Nie! – Wiedziała, że próbuje ją podejść – a jego słowa, że są do siebie podobni, wzmożyły jej wściekłość. – Bądź cicho! – Niech pomyślę.

Lecz on mówił dalej, wiedząc, że Gemma nie może zrobić niczego, by go powstrzymać, musiała, więc odgradzać się od tego nikczemnego, zwodzącego ją głosu najlepiej jak potrafiła.

–Tam są żywioły – szepnął nieoczekiwanie Kai. – Widzę je.

–W jaki sposób? – zapytała Gemma. Pszczoły siedziały na ramionach czarodzieja, unieruchomione przez tę samą pułapkę, która pochwyliła ich wszystkich.

–Są w innym świecie – odpowiedział Kai. – To jedyne miejsce, które teraz mogę widzieć.

–Co? – Gemma nie zrozumiała, co powiedział.

–“Powstrzymać ogień żywiołów” – zacytował Kai. – Być może potrafimy to zrobić. Być może on potrafi.

Podczas ich długiej wędrówki w górach Wray trzymał się na uboczu. Nie zadawał się ze swoimi dawnymi braćmi, którzy teraz wyśmiewali się z niego – szalonego i bezużytecznego. Jednak, kiedy Jeźdźcy ruszyli do ataku, porwał go ich zapal i popędził razem z nimi, a jego niezrozumiałe okrzyki mieszały się z ich bojowym zawołaniem.

Z późniejszej bitwy w jakiś cudowny sposób wyszedł cało – a kiedy straszliwe

promienie doprowadziły walkę do nagłego i ognistego końca, rzucił się do ucieczki w stronę gór wraz ze wszystkimi, którzy pozostali przy życiu – przyjaciółmi i wrogami.

Jego koń potknął się i upadł, zrzucając go na łagodne, porośnięte trawą zbocze. Poderwał się na nogi i zaczął biec bez tchu, myśląc, że pęknie mu serce.

Cała dolina skąpana była w tętniącym, czerwonym blasku, rzucanym przez ogień płonący w mieście, lecz potem Wray zauważył niezliczone żywioły wydobywające się z ziemi i przyglądał się im zachwycony. Były takie piękne! Widział je! Widział, jak się łączą i otaczają miasto, sprawiając, że ogień pożerający budynki wydawał się jakby mniej intensywny, mniej groźny. Jego strach gdzieś zniknął i Wray zaczął schodzić w dół zbocza, wpatrując się ze zdumieniem w eteryczne, błękitne istoty, jakby widział je po raz pierwszy.

Powstrzymać ogień żywiołów - usłyszał czyjś głos. Być może potrafimy to zrobić. Być może on potrafi.

Wray szedł dalej. Teraz wszystko zrozumiał. Wielka ściana pod Klevemouth była próbą – żywioły go zaakceptowały. Jego serce wypełniły nowe uczucia – kwiaty zakwitły na jałowych pustkowiach jego egzystencji, a on po raz pierwszy w życiu poczuł ich zapach.

Powstrzymać ogień żywiołów. - Teraz Wray rozpoznał ten głos.

Jesteśmy w tym samym kręgu – i właśnie to chciałem ci powiedzieć, ale nie potrafiłem znaleźć słów.

Wray, posłuchaj mnie! - W głosie Kaia brzmiała rozpacz. – Musisz przerwać ścianę żywiołów. Miasto jest odcięte i...

Wiem.

Pomóż nam! - błagał Kai. – Ale nie możesz użyć siły – tylko przyjaźń może nas teraz uratować.

Wray nie potrzebował wskazówek. Zbliżał się do żywiołów, zahipnotyzowany ich pięknem. Pławił się teraz w ich blasku i kochał je za ich wolność, ciepło i życie. Jego dawna wiara, że są obcymi formami życia, że są uległe jego woli, gdzieś nagle zniknęła. Są wspaniałe i uważają go za swego przyjaciela.

Wray rozpostarł ramiona w geście powitania, pozdrawiając duchy żywiołów każdą cząstką swego ciała. Dzielił z nimi ich myśli i uczucia i z nimi przeżywał ich proste| szczęście i miłość.

Zbliżyły się do niego, przyciągane nieodparcie i otoczyły go łagodnym wirem, a ich żywy błękit migotał wokół niego nieskończonością kształtów i znaczeń. Ta chwila zadecydowała o jego życiu.

Żywioły odwzajemniły tysiącrotnie jego pozdrowienie.

–Zrobił to – wyszeptał Kai. Jego głos był ledwie słyszalny nawet dla Zany, która stała tuż przy nim. Poruszyła się z trudem i podeszła do czarodzieja, chcąc objąć go ramieniem, by dodać mu otuchy. Lecz nie zdołała tego uczynić; odrzuciła ją jakaś niewidzialna bariera i Zana stanęła bezradnie.

–Zrobił to – powtórzył czarodziej. Jego twarz przebiegł jakiś dziwny grymas, a zielone oczy wypełniły się łzami. – Powiedz Gemmie – wyszeptał.

Odwróciła się, chcąc spełnić jego prośbę, lecz zrozumiała, że Gemma już wie.

Gemma podniosła się z klęczek, pozostawiając laskę w dłoni Wielkiego Przywódcy, i stanęła przed nim. Wokół tego nikczemnego człowieka zaczął tworzyć się migoczący ekran, z każdą

chwila coraz bardziej wyraźny. Stopniowo kształtował się w pojemnik o doskonale cylindrycznym kształcie – migoczący złotem i srebrem. Był przezroczysty, lecz absolutnie nieprzenikliwy. Jego zewnętrzne ścianki otoczyły, zamykając w swoim wnętrzu, skamieniałego jeńca.

Chwilę później cylinder zamigotał, stając się czymś niematerialnym. A potem zniknął zabierając wraz z sobą uwięzionego człowieka. Jordan, Kai i Arden upadli na podłogę w tej samej chwili, uwolnieni nagle z pętających ich więzów. Zana szybko podeszła do czarodzieja, podczas gdy Hewe wpatrywał się ze zdumieniem w Gemmę.

–Gdzie on zniknął? – zapytał.

–Dryfuje w czasie – odpowiedziała. – Złapany w pułapkę przez własną zachłanność. – Uniosła ręce, by uprzedzić następne pytania. – Zajmij się Kaiem. Szybko. Musimy zejść na dół do innych. – Pomogła wstać Ardenowi i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. To, co w nich ujrzeli sprawiło, że żadne słowa nie były już potrzebne.

W pośpiechu weszli do windy i zjechali do sali, gdzie czekał Agrin ze swymi ludźmi. Niektórzy z nich nieustannie wyglądali przez ciemne szkło okien umieszczonych obok drzwi, reszta trzymała się jak najdalej od wejścia.

–Nie możemy wyjść – zwrócił się do nich żołnierz. – To oznacza samobójstwo. Wszędzie gruz i buchający ogień, nie mówiąc już o dymie i trujących gazach. Ta wieża

musi być specjalnie chroniona, inaczej – spalilibyśmy się tutaj już dawno.

–Jest chroniona – odparł ponuro Jordan – lecz kiedy Sekcja Zasilania w końcu

eksploduje, niewiele nam to pomoże.

Ostateczność ich położenia stała się dla nich teraz oczywista w dwójnasób.

–Musi być coś, co możemy zrobić! – zawołał Hewe, szukając pomocy u Gemmy.

Lecz ona wycofała się do swego własnego świata, świata magii – jej ostatniego

schronienia i ich ostatniej nadziei.

–Zostaw ją – rzekł Jordan. – Nic nie możemy zrobić – tylko czekać.

Kręgi wciąż były przy niej.

Musi być jakieś wyjście - błagała. Czy to naprawdę musi się tak skończyć? Jeśli wszystko potoczy się tak, jak przepowiedział Wielki Przywódca, wówczas

skażenie ogarnie cały świat i choć tyran zostanie unicestwiony, to i tak skutki katastrofy będą

przerażające. A wówczas Duszę Ziemi ogarnie obłęd – sprowadzając Chaos, który dopełni spustoszenia. Tym razem nikt nie przeżyje.

Umarłabym z radością - pomyślała Gemma – wszyscy umarlibyśmy z radością, gdybyśmy tylko mogli pozostawić jakąś nadzieję na przyszłość.

Znowu zwróciła się do kręgów – i tym razem otrzymała odpowiedź.

Co się stanie, jeśli ogień z Sekcji Zasilania uda się ugasić, zanim dotrze do warstwy lawy?

Gemma rozpoznała głos, lecz bardziej zainteresowały ją wypowiedziane słowa.

Jak można go ugasić? - zapytała.

Odwracając go - odparł głos. Eksplozja spowoduje duże zniszczenia, lecz jej skutki nie będą miały tak wielkiego zasięgu. Być może Dusza Ziemi zdoła to przeżyć.

Czy to by wystarczyło? - zastanowiła się Gemma. – I gdzie moglibyśmy skierować ogień?

Do Mrocznego Królestwa - odparł Arden, a ciężar przeznaczenia zabarwił smutkiem jego głos.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Gem! Gem! Wysłuchaj mnie! - Gemma skoncentrowała się na małej dziewczynce, która wciąż spoglądała na miasto ze szczytu góry i która jednocześnie była w swoim domu w Dolinie. *Nie bój się, kochanie Musisz powiedzieć wielkiej osobie, że istnieje sposób, by powstrzymać to, co wprawia ją w złość – ale tylko ona, u wielka osoba może to zrobić. Zrozumiałaś?*

Tak, ciociu Gemmo - odparło cichym głosem dziecko usiłując opanować strach.

Powiedz wielkiej osobie, że ogień nie musi dotrzeć do głębi ziemi. Jeśli skały zostaną trochę przesunięte, wówczas trafią do jaskiń.

Jakich jaskiń?

Ona zrozumie, kochanie. Powiesz jej?

Ale jest jej tak dużo. Której mam powiedzieć?

Wszystkim.

Spróbuję.

Dobra dziewczynka!

Gemma poczuła, jak kontakt z Gem słabnie, i szybko zwróciła się do kręgów, z ciężkim sercem szukając jednej z nich.

Wyraźny obraz twarzy P'try pojawił się w jej umyśle.

Wiem o wszystkim - odezwała się ochryłym głosem prorokini, oszczędzając Gemmie straszliwej konieczności proszenia o zezwolenie.

To będzie godny koniec - ciągnęła P'tra. – *Moi rodacy i tak już umierają. Będą, więc mieli przynajmniej szybką i czystą śmierć. Być może ten ogień jest właśnie tą inwazją, której od tak dawna się obawialiśmy. Ale teraz witamy go z radością. Powodzenia, Gemmo. Jesteś wielką uzdrowicielką i wiem, że uratowałabyś nas, gdybyś tylko mogła. Lecz diamentowy kryształ gaśnie i moc naszego kręgu wyczerpała się. Nadaj naszej śmierci jakiś sens.*

Kontakt został przerwany, nim Gemma zdołała odpowiedzieć, lecz przysięgła w duchu uczynić wszystko, co w jej mocy, by spełnić ostatnią wolę prorokini.

Otworzyła oczy i stwierdziła, że siedzi na podłodze w wieży, oparta o ścianę. Arden klęczał przy niej; jego oczy wciąż były zamknięte, a po poszarzałych policzkach spływały łzy.

Wieża zadrżała.

Powiedziałam jej, ciociu Gemmo. Powiedziałam jej. W głosie Gem słyhać było dumę i podniecenie.

Czy coś powiedziała?

Tak. Powiedziała: “Moje serce nie zostanie przedziurawione”... tak myślę -odparło dziecko. Nie ma już jej tak dużo.

Nadzieja, niemal szalona w swej nagłej gwałtowności, zakiełkowała w sercu Gemmy.

–Czy to koniec? – zapytał z przerażeniem Arden, kiedy pokój zadygotał znowu.

–Nie – powiedziała głośno Gemma. – Ziemia przystosowuje się – przeciwstawi się eksplozji. W głębi.

–Chcesz powiedzieć, że jest jakaś szansa? – zapytał szybko Jordan.

–Nie dla nas – odpowiedziała. – Ale dla reszty świata – tak.

–Ktoś jest na zewnątrz! – wykrzyknął jeden ze strażników przy oknie. – Jeden z ludzi D’vora!

Usłyszawszy to Arden otworzył oczy i poderwał się gwałtownie. Podbiegł do drzwi, otworzył je szarpnięciem i wyskoczył na ulicę, nim ktokolwiek zdołał go zatrzymać.

Zderzył się ze ścianą żaru. Dym przenikał powietrze i Arden zaczął kaszleć dławiąc się. Wszystko skąpane było w posepnym, czerwonym świetle, a płomienie i popiół były wszędzie. Uchwycił wzrokiem czarną postać, błędzącą na oślep, potykającą się o zgliszcza i najwyraźniej u kresu sił. Przez trzask ognia Arden usłyszał cichy głos, który mówił:

–Wybacz mi, J’vino. Nie miałam twojej siły. To była C’tis. Arden podbiegł do niej i objął ją w pól.

–Chodź ze mną, szybko – powiedział chrapliwym głosem.

–Nie. Zostaw mnie, chcę umrzeć. – Przez chwilę wyszarpywała się, ale za chwilę

się uspokoiła. – Arden?

Wziął ją na ręce i pobiegł do wieży. Gdy się zbliżył, drzwi otworzyły się i razem wpadli do środka, wprost w ramiona przyjaciół.

–J’vina nie żyje! – załkała C’tis. – Stała tam, silna i dumna, póki nie ogarnęły jej

płomienie. Ale ja uciekłam. Jestem ostatnia. – Zaczęła płakać.

Ostatnia ze wszystkich - pomyślała ze smutkiem Gemma, zastanawiając się, czy nie lepiej byłoby pozostawić C'tis, by umarła tam w płomieniach, nieświadoma zagłady swego narodu. Podeszła do Ardena i objęła go mocno, rozumiejąc jego ból i pobudki, które

kazały mu ratować C'tis. Niegdyś to ona uratowała jego życie.

Podłoga pod nimi przechyliła się, a ściany zatrzęsyły się. Straszliwy ryk wypełnił powietrze.

–To początek – rzekł Hewe.

Zaczęli przygotowywać się na spotkanie śmierci, każdy na swój własny sposób. Gemma jeszcze mocniej objęła Ardena i poczuła jego uścisk.

–Zawsze będziemy razem – szepnął jej do ucha, lecz Gemma wypatrywała czegoś za oknem i nawet go nie usłyszała. Okno wypełniała szarość – chłodna, bladobłękitna szarość. Zwiastująca zgubę czerwień zniknęła. Jakiś głos odezwał się w jej głowie i Gemma nagle zrozumiała, co się dzieje.

–Jednak istnieje szansa – szepnęła, niemal nie mogąc uwierzyć we własne słowa. – Dla nas wszystkich. – Arden, osłupiały, spojrział na nią, lecz nie zdążył nic powiedzieć.

–Wychodzić! Wszyscy! Natychmiast! – wrzasnęła z całych sił Gemma. – Szybko! Ruszać się!

Rzuciła się do wyjścia, pociągając za sobą Ardena. Wspólnymi siłami otworzyli drzwi. Niektórzy skulili się, spodziewając się kolejnej fali gorąca, lecz zamiast tego, nie dalej niż kilka kroków od wyjścia, rozciągało się pasmo chłodnej, jasnej mgły.

–Chodźcie! – krzyknął Arden i wreszcie wszyscy ruszyli, podążając za Gemmą i

Ardenem w obłąkanej gonitwie ku nicości. Jeden po drugim rzucali się we mgłę, nie

rozumiejąc, co się dzieje, lecz wierząc, że bez względu na to, jaki los ich czeka, musi być

lepszy niż śmierć w płomieniach. Doświadczali dojmującego zimna, widzieli

rozbłyskujące przy nich błękitne światła oraz doznawali coraz silniejszych zawrotów

głowy i uczucia dezorientacji.

I nagle stwierdzili, że stoją w holu cichej, starodawnej rezydencji, której wykładana płytkami podłoga, drewniane ściany i schody były w jakiś cudowny sposób nietknięte przez zabójczy ogień.

Parę chwil później jakiś mały człowieczek, niemal schowany pod ogromnym, dziwacznym kapeluszem, pojawił się na balkonie nad nimi, chichocząc radośnie i wymachując rękoma.

–Zrobiliśmy to! Zrobiliśmy to! – krzyknął i rzucił kapelusz w powietrze, wybuchając ponownie szaleńczym śmiechem.

Gemma i Arden spoglądali na maga, nie wiedząc do końca, czy śmiać się, czy płakać. Każdy z ocalałych inaczej reagował na wybawienie. Wielu żołnierzy upadło na kolana. Niektórzy modlili się, inni płakali otwarcie, jeszcze inni zaś śmiali się, pokrzykując i ściskając nawzajem, i niemal tańcząc z radości. Kilku rozglądało się wokół siebie, bez słowa i z pobladłymi twarzami, zastanawiając się, czy już umarli, czy jeszcze żyją.

Kai i Zana obejmowali się nawzajem i uśmiechali niedowierzająco, wspominając, jak poprzednim razem zostali porwani przez latające miasto. Jakże inni byli wtedy!

Kai odzyskał wzrok, wolny – jak i cały świat – od czaru rzuconego przez ścianę żywiołów.

Jordan pomógł powstać C'tis, rozglądając się wokół ze zdumieniem, podczas gdy Hewe przyglądał się przedstawieniu na balkonie, z szerokim uśmiechem rozciągającym jego pokrytą bliznami twarz.

–To Wynut czy Shanti? – zapytał.

–Czy to nie wszystko jedno? – odparł Arden. Jeszcze jedna postać, o wiele wyższa od pierwszej, pojawiła się za balustradą.

–O co ten cały hałas? – zapytał gniewnie. – Wreszcie tu jesteście. Dość długo was wzywaliśmy!

–To jest Shanti! – zawołali równocześnie Gemma i Arden.

Wysoki mag zwrócił się do swego mniejszego towarzysza, który wciąż pisał po balkonie, wstrząsany wybuchami radości.

–Zadziałało? – zapytał z rozdrażnieniem.

–Oczywiście, że zadziałało! – zawołał Wynut. – Czy kiedykolwiek, u licha, widziałeś, żeby moje obliczenia nie zadziałały? – Znowu wybuchnął śmiechem.

–Zatem wróciliśmy? – zapytał ostrożnie Shanti.

–Tak. Tak. Tak!

–I wyłom jest zapieczętowany?

–Tak! Z wolna, na twarzy Shantiego rozlał się uśmiech, a jego długi, spiczasty nos

zaróżował pod obwisłym rondem kapelusza. Nie mogąc się powstrzymać, podskoczył lekko w miejscu. Potem, wyrzuciwszy ręce w górę, ryknął śmiechem. Dwaj czarodzieje śmiali się tak długo i tak głośno, że w końcu musieli odwrócić się do siebie plecami, chwytając się za brzuchy i rozpaczliwie starając się złapać oddech. Gemma skwapliwie wykorzystwała ten moment.

–Chcecie powiedzieć, że eksplozja nie rozsiejе skażenia?

–Nie – odizolowaliśmy je – odparł radośnie Wynut.

–Nabiliśmy w butelkę – dodał Shanti.

–Związaliśmy w pętelkę!

–Ale Mroczne Królestwo uległo zagładzie? – zapytał Arden. Magowie natychmiast spoważnieli, zaległa przerażająca cisza.

–Tak – rzekł cicho Wynut. – Ich ofiara uratowała nas wszystkich. Pojedynczy szloch rozpaczy rozległ się w holu, po chwili nagle ucichł. Wszyscy

spojrzeli na C'tis, lecz większość szybko odwróciła wzrok.

–Zemdlała – rzekł Jordan, kładąc ją delikatnie na podłodze.

Gemma i Arden szybko podeszli do niej i zerwali część taśmy z rybiego jedwabiu z jej ramion. Gdy tylko pojawiła się skóra, Gemma ujęła mocno jej ręce i rozpoczęła kurację. Znalazła wiele obrażeń, te, które potrafiła, uleczyła, ale wiedziała, że C'tis cierpi na chorobę, na którą nie ma lekarstwa. Mogła żyć, tylko, że tego nie chciała.

Kiedy już zrobiła wszystko, co mogła, uniosła wzrok i napotkała spojrzenie Ardena.

–Nie możesz się winić – powiedziała cicho. – Działałeś dla dobra nas wszystkich. A

oni i tak już umierali, Ardenie. Nie było dla nich nadziei.

Nic nie powiedział. Wiedział, że ona ma rację, ale wiedział też, że pełen grozy szloch C'tis pozostanie z nim do końca życia.

Tupot małych stóp i odgłos pazurków drapiących drewnianą podłogę przerwały ciszę. Kot magów pojawił się na balkonie i ruszył po schodach w dół, a tuż za nim podążało siedem myrketów, które z ogromnym trudem pokonywały kolejne stopnie. Przewracały się i spadały, i dopiero, kiedy dotarły do końca schodów, odzyskały równowagę. Efekt był tak komiczny, że napięcie wypełniające hol prysło i śmiech zabrzmiał tak głośno, że tylko parę osób usłyszało słowa, w które zmieniło się miauknięcie kota.

–Poczucie równowagi jest ważne dla wszystkich istot. Ale wiadomo, że upadek jest

po prostu jednym ze sposobów odzyskania równowagi.

Gem spoglądała na miasto z góry. Nie rozumiała dobrze, co się dzieje, lecz w równym stopniu fascynowało ją to, jak przerażało. Początkowo ogień rozprzestrzeniał się wolno, lecz potem jaśniał coraz bardziej i bardziej, aż w końcu ledwie mogła nań patrzeć.

W pewnej chwili piękne, błękitne światła wyrosły wokół ognia, tworząc pierścień. Spodobał się małej Gem, lecz wkrótce część błękitnych światel poruszyła się znowu – i w pierścieniu powstała luka. Tuman szarej mgły – podobny do małej chmury – pojawił się w dolinie i popłynął ku miastu. Tuman mgły zdawał się rozpraszać między budynkami i niemal dotarł do wielkiej, czarnej wieży, kiedy nagle ogień stał się pięć razy jaśniejszy niż przedtem i Gem musiała zamknąć oczy. Kiedy znowu je otworzyła, zobaczyła ogromną pomarańczową kulę, która pochłonęła miasto, zmieniając je w masę popiołu i dymu.

Potem wydało jej się, że szara chmura rozpościera się coraz bardziej i ogień zgasł. Wkrótce zapanowała taka ciemność, że Gem z trudem mogła cokolwiek dostrzec – nawet te śliczne błękitne światła zniknęły.

Dziecko ponownie zamknęło oczy i skuliło się pod kocami swego łóżeczka.

Požoga przetoczyła się przez Mroczne Królestwo.

Gdy tylko przejście zostało otwarte, ogień buchnął po linii najmniejszego oporu. Skalne obrywy i metalowe drzwi nie były żadną przeszkodą dla fali straszliwego żaru i ciśnienia. Wzbudzająca grozę siła zmieniała skały w płynną lawę, nadając nowe kształty niemal wszystkim podziemnym pieczarom. Rzeki eksplodowały w kłębach pary, jeziora podrywały się ze swego odwiecznego bezruchu, potęgując siłę szturmowego ciśnienia parującej wody. Narastające przez stulecia stalagmity i stalaktyty zniknęły w jednej chwili; kryształy pękały, skrząc odłamkami, które topiły się już w locie. Tunele huczały ogniem, odprowadzając pierwszą falę pożogi, aż w końcu one również zaczęły wić się i skręcać w skale – jak żywe ogniste węże.

Požoga ogarniała coraz większą przestrzeń, pożerając w swym nienasyceńcu wszystko, co napotkała na drodze.

Najpierw ofiarą padły skażone tereny, potem strefy ochronne zostały wymiecione do czysta i wreszcie – pożar dotarł do zamieszkanym przez ludzi okolic. Zanim pojawiły się płomienie, powietrze stało się zbyt gorące, by oddychać, tak, więc mieszkańcy Mrocznego Królestwa umierali szybko, w jednej wstrząsającej chwili, uwalniając ich od cierpienia zielonej choroby. Wraz z nimi odeszły ślady ich cywilizacji – ich domy, kuźnie i precyzyjne metalowe ozdoby, ich łodzie i drabiny, liny i krążki. Wraz z nimi zginęły również wszystkie rośliny i zwierzęta, od których zależało życie mieszkańców Królestwa -srebrochwał i jadalne korzenie, nietoperze i jedwabne ryby.

Požoga szalała na przestrzeni setek lig, wypełniając sobą wszystkie dostępne

miejsca, aż w końcu jej energia wyczerpała się i ogień zaczął wygasać. Teraz Mroczne Królestwo było nowe i czyste. I martwe.

Teraz wielka osoba idzie spać - powiedziała Gem.

Wygląda na to, że sama jesteś senna - odparła Gemma z uśmiechem, wywołanym zarówno tonem głosu dziewczynki, jak i znaczeniem jej słów. Ta wiadomość była najlepsza ze wszystkich. Dusza Ziemi wraca do swego snu; nie powtórzy się groza Zniszczenia.

Na końcu została tylko jedna wielka osoba, dodała Gem. Nie wiem, gdzie podziały się inne.

Poszły sobie - odparła wymijająco dorosła Gemma.

Pomogłam wam?

O tak, moje kochanie. Bez ciebie wszyscy byśmy zginęli.

To dobrze - odparło sennie dziecko. Mamusia będzie zadowolona.

Przez chwilę panowała cisza.

Śpij mocno, maleńka - szepnęła Gemma, sądząc, że jej imienniczka tym razem naprawdę zasnęła.

Widziałam wielki ogień - dodała nieoczekiwanie Gem, ożywiając się na nowo. – Ciociu Gemmo, to było słaszliwe, napławdę słaszliwe.

Znowu mówiła jak dziecko – nareszcie.

Możesz spać spokojnie, serduszko - odpowiedziała łagodnie Gemma. – Wszystko jest już dobrze. To był tylko sen.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Najdłuższa noc w dziejach świata skończyła się. Nawet ci, którzy bez sił zapadli w sen na podłodze holu, zdawali sobie sprawę, że oto powraca dzień. Wzeszło słońce, którego – jak sądzili – nigdy już nie zobaczą.

–Możemy wyjść na zewnątrz? – zwróciła się Gemma do Wynuta.

–Oczywiście – odparł. – Dłaczegóż by, u licha, nie? – Dwaj magowie całą noc kręcili się wśród swoich gości, pomagając Gemmie opatrywać rannych i wyjaśniając każdemu, kto miał ochotę słuchać, sens ostatnich wydarzeń. Nawet Shantiego nie opuścił doskonały humor. Mówił, że czuje się tak, jakby powrócił do życia po długim “przymusowym odpoczynku”. Latające miasto, powtarzał, spełniło swój ostateczny cel, pomagając na zawsze zamknąć truciznę w pułapce kamieni i czasu.

W rezydencji panowała świąteczna atmosfera i wszyscy cieszyli się ze szczęśliwego zakończenia. Tylko ciche cierpienie C'tis i pamięć o jej utraczonej ojczyźnie kładły się głębokim cieniem na ich radości.

–Shanti! – zawołał Wynut. – Gemma wychodzi na zewnątrz. Czy pójdziemy z nią?

Od dziesięcioleci nie wychodziliśmy z tego zmurszałego domu.

–Od stuleci – zgodził się ochoczo Shanti. – Spacer dobrze nam robi.

Gemma otworzyła wielkie podwójne drzwi i wyszła na zewnątrz. Widok, jaki ich

powitał, pozbawił ich tchu. Przesunęli się trochę tak, by inni mogli w pełni pojąć znaczenie tego, co widzą.

Wciąż znajdowali się w dolinie, w której niegdyś wznosiło się metalowe miasto. Teraz nie było po nim śladu, oddychali świeżym i chłodnym powietrzem. Nad nimi rozciągał się jasny, czysty błękit nieba, rozświetlony wstającym na wschodzie słońcem. Otaczające dolinę góry pozostały nienaruszone, okryte śniegiem i majestatyczne – jakby nieczułe na drobne troski ludzi.

Jednak cała dolina wyglądała zupełnie inaczej i trudno było sobie wyobrazić bardziej dramatyczną zmianę.

Wędrowna rezydencja czarodziei stała teraz samotnie na maleńkiej, porośniętej trawą wysepce leżącej pośrodku ogromnego, spokojnego jeziora. W porannej ciszy ledwie zauważalne zmarszczki mąciły lustrzaną powierzchnię wody i góry mogły się mierzyć ze

swymi doskonałymi odbiciami. Oddychali głęboko, oczyszczając płuca z pozostałości dymu i rozkoszując się czystością tego wyrosłego przed nimi pejzażu.

To sen, który śniłam razem z Gem - pomyślała Gemma, ściskając mocno dłoń Ardena. Razem spoglądali na jezioro i wznoszące się za nim góry. Nigdy żaden krajobraz nie wydawał się tak doskonały. A jednak była w nim drobna skaza.

–Czy ktoś tutaj zna się na budowie łodzi? – zapytał Hewe.

Część piąta

W drodze do domu

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Dla żadnego z nich świat nigdy później, w następnych dniach i latach, nie był już taki sam jak dawniej. Wielu powróciło do tego, co wydawało się normalnym życiem, lecz ci, którzy przeżyli widmo zagłady, skazani zostali na to, by już zawsze odróżniać prawdę od pozorów. Radowali się ze swego nieoczekiwanego ocalenia, lecz nic nie było w stanie wykreślić z ich świadomości tego, co mogło się wydarzyć – ani usunąć z ich pamięci takich straszliwych wspomnień. A to tym bardziej utwierdzało ich w przekonaniu, że nie wolno pozwolić, by jakikolwiek człowiek posiadał znów nieograniczoną władzę. Ryzyko było zbyt wielkie.

A jednak wszyscy oni byli ludźmi, którzy potrzebowali szczęścia i miłości, i którzy szukali tych wartości na swój własny sposób.

Wynut i Shanti zamieszkali w swej wędrownej rezydencji na wysepce pośrodku jeziora. Nie czuli potrzeby, by odwiedzać resztę świata – podczas swych dalekich, pozaczasowych wędrówek widzieli już tak wiele, że z radością zdecydowali pozostać na stałe w swoim nowym domu. Sam fakt, że wrócili do świata, napawał ich szczęściem; rozpieszczani przez swoją wierną gospodynię spędzali teraz czas na dobrodusznych sporach i kłótniach.

A kiedy ich sąsiedzi z pobliskich górskich wiosek przewyciężyli swój strach i podejrzliwość wobec tego dziwnego miejsca, Shantiego i Wynuta zaczęli regularnie odwiedzać goście. Ich rezydencja stała się miejscem schronienia przed surową rzeczywistością górskiego życia, wieśniacy znajdowali tu pomoc i rozrywkę. Przychodzili obładowani darami – przynosili upolowaną na górskich halach zwierzynę, zbiory z uprawianych poletek, ryby złowione w jeziorze – i jeśli czasy były pomyślne, butelkę lub dwie cennego, słodkiego miodu. W zamian za to traktowani byli jak odzyskani po latach przyjaciele. Wynut i Shanti wciąż byli magami i wielu ludzi skorzystało z ich uzdrowicielskiej mocy. Możliwość ulżenia w kłopotach innym stała się dla nich źródłem radości; uważnie wysłuchiwali wszystkich swoich gości i każdego obdarowywali swoim śmiechem. Wkrótce zaczęli cieszyć się taką sławą, że wieśniacy przychodzili nawet wtedy, kiedy nie mieli żadnych kłopotów – i ci goście byli traktowani z takimi samymi względami jak wszyscy pozostali.

Znając ułomności natury ludzkiej, można się było obawiać, że niektórzy będą wykorzystywać hojną gościnność czarodziei, lecz przytłaczająca większość górali odplacała im miłością. Widziano w nich parę podstarzałych, ale jakże pomocnych dziwaków, którzy znaczną część swego wolnego czasu poświęcali na takie bezsensowne zajęcia, jak pisanie książek, wymyślanie nowych zasad gry w czarodziejskie szachy i zapraszanie gości do zabaw według ich własnego pomysłu. Z zapalem oddawali się budowie skomplikowanych zabawek, które wzbudzały zachwyty dzieci, i wkrótce mali mieszkańcy okolicznych terenów zaczęli uważać ich za cudownych stryjecznych dziadków

–pragnęli niemal zachorować, by rodzice zabrali ich do zaczarowanej rezydencji.

Czarodzieje mieli dużo miejsca, by móc oddawać się tym różnym zajęciom. Teraz, kiedy

znowu byli częścią świata, czas powrócił do ich domu. Wszystkie biblioteki, z wyjątkiem jednej, były teraz puste – i choć ta jedna zawierała wiele setek tomów – od najbardziej uczonych do najbardziej frywolnych – książki dotyczyły jedynie przeszłości. Przyszłość świata nie była już rejestrowana.

Symbol wyrzeźbiony na drzwiach tej jedynej pozostałej biblioteki przedstawiał wagę – doskonale zrównoważoną.

Pozostałe pokoje wypełnił nieład towarzyszący nowym pasjom czarodziei. Kilka zostało zmienionych w pokoje gościnne dla przybywających z daleka gości. Ci, którzy spotkali magów wcześniej, w poprzednich, pozaczasowych wcieleniach, nie mogli wyjść ze zdumienia nad zmianą, jaka zaszła w usposobieniach magów. Zniknęły cierpkie uwagi, kłujący sarkazm i tajemniczość. Teraz dwaj czarodzieje stali się jowialnymi starszankami, skłonny do wypicia odrobinę za dużo, cieszącymi się rezultatami swych przypadkowych figli i wiodącymi długie, wesołe dyskusje na każdy temat.

Zauważono również, że przestali zmieniać wzrost i rozmiary. Shanti pozostał niemal dwukrotnie wyższy od swego towarzysza, mimo że pod wszystkimi innymi względami wydawali się sobie dorównywać. Ich apetyty były niemożliwe do przewidzenia

–niekiedy okazywali się zbyt zajęci, by myśleć o tak przyziemnych sprawach jak jedzenie, kiedy indziej zaś pochłaniali ogromne ilości wyśmienitych potraw przygotowywanych przez ich wierną gospodynię.

Oni zaś z kolei rozpieszczali swego ogromnego, złośliwego kota – i to właśnie on najlepiej podsumował ich nowy sposób życia.

Nieśmiertelność została utracona, świeża ryba starczy za wiele.

A z drugiej strony

Jordan i Hewe oraz ich pozostali przy życiu towarzysze powrócili do domu jako bohaterzy, lecz okazało się, że nie ma czasu, by mogli rozkoszować się chwałą. Zamieszanie wywołane masową ucieczką z Klevemouth wciąż stwarzało problemy i tymczasowy rząd w Wielkim Nowym Porcie miał przeżyć jeszcze wiele kryzysów, nim w końcu wszystko zaczęło układać się pomyślnie.

Ściana żywiołów zniknęła, kiedy niebezpieczeństwo zagrażające Duszy Ziemi zostało ostatecznie zażegnane i Klevemouth pojawiło się znowu, nietknięte, lecz puste. Odważni zwiadowcy, którzy powrócili pierwsi, zastali milczące miasto duchów, które wystawiło ich zmysły na ciężką próbę. Podziemie nadzorowało powrót do zachodniego miasta najlepiej jak potrafiło, starając się rozwiązywać wszelkie problemy i pilnując, by wszyscy uciekinierzy byli traktowani tak samo. Mimo to musiało minąć kilka miesięcy, zanim Klevemouth zaczęło w

jakimkolwiek stopniu przypominać dawne, tętniące życiem miasto. I jeszcze dłużej musiano czekać, by statki z Zachodu ponownie zawitały do portu. Lecz w końcu przypłynęły, dowodząc ponad wszelką wątpliwość, że świat znowu się powiększa.

Pierwsi powracający zauważyli wiele osobliwości – żywność, którą pozostawili w domach, nie zepsuła się, a na paleniskach wciąż płonął ogień. Tak, jakby czas przestał płynąć, kiedy miasto pochłonęła błękitna ściana. Jednak te i inne anomalie zostały szybko zapomniane w szaleńczym kołowrocie działań i pracy, koniecznych, by przywrócić miasto do życia.

W Wielkim Nowym Porcie budowano tymczasem nowe struktury społeczne. Relacja, jaką Jordan i Hewe złożyli z ostatnich wydarzeń, wkrótce stała się znana wszystkim mieszkańcom i choć niektórzy traktowali ją ze sceptycyzmem, czy nawet otwartym niedowierzaniem, to jednak nie mogli zaprzeczyć, że świat zmienił się na lepsze. Ściana żywiołów zniknęła, przybrzeżne wyspy pozostały na swoich miejscach, a zasięg i częstotliwość oceanicznych przypływów powróciły do normy. Pożeracze nieba nie przelatywały nad głowami, a na północy nie rozbłyskiwały oslepiająco jasne światła. Mimo to sceptycy powiadali, że to wcale nie musi oznaczać, że niebezpieczeństwo przestało zagrażać reszcie świata. Opowieści o wielkim metalowym mieście i jego stalowolitych mieszkańcach wydawały im się zbyt niewiarygodne.

Żołnierzy, którzy uczestniczyli w wyprawie na Dalekie Południe, irytował ich brak wiary, i wynikłe stąd sprzeczki stały się przyczyną tarć i napięć. Jednak Jordan nie utracił swego zwykłego, pełnego dystansu filozoficznego sposobu patrzenia na świat, i -przynajmniej raz – Hewe całkowicie się z nim zgadzał. Obaj znali prawdę, lecz rozumieli, że dla wielu musi się ona wydawać niewiarygodna. Poza tym mieli teraz ważniejsze sprawy do załatwienia i nie marnowali czasu na sprzeczki o przeszłość. Kraj Kleve znajdował się w ich rękach, przynajmniej na razie, i byli zdecydowani zapewnić mu bezpieczeństwo.

Oczywiście, wielu obywateli uwierzyło w ich opowieści i powtarzało historię tamtych dramatycznych wydarzeń, upiększając ją i dodając dramatyzmu. Pieśni, sztuki i wiersze stworzyły bohaterski mit i tak oto bitwa przeszła do historii jako mieszanina ludowych opowieści, wyobraźni i paru niepodważalnych faktów.

Jordana wszystko to niezmiernie bawiło, lecz kiedy stwierdził, że sławi się go jako przywódcę zbawców świata i jedynego bohatera tamtych wydarzeń, zaczął zwalczać swoją legendę, podkreślając decydującą rolę innych. Jednak ludzie nie dawali mu wiary i często musiał zaprzeczać dziwnym i cudownym właściwościom, jakie mu przypisywano. Wszyscy wiedzieli, że jest on przywódcą uczciwym i obdarzonym wyobraźnią, więc kiedy pomniejszał swoje zasługi, przypisywano to bez reszty właściwej mu skromności.

Inaczej Hewe. Był człowiekiem lubiącym żarty, znanym z ciętego dowcipu i barwnych opowieści, kimś, kto potrafił rozśmieszyć słuchaczy opowiadając nawet najbardziej przerażające historie. On również został obwołany bohaterem, lecz bohaterem bliższym miastu, bo był taki jak inni jego mieszkańcy, był jednym z ludu.

Ci dwaj mężczyźni, jak zawsze zresztą, współpracowali ze sobą ku obopólnemu zadowoleniu, otoczeni miłością i lojalnością. Z władzy, jaka przypadła im w udziale, korzystali mądrze i z umiarem. Kontynuowano odbudowę miasta i układano plany na lepszą i sprawiedliwszą przyszłość.

W ciągu tych niewielu spokojniejszych chwil, jakie mu się zdarzały, Jordan często wracał myślami do fantastycznego miasta w górach i czuł smutek z powodu dokonanego tam przelewu krwi i bezpowrotnie zaprzepaszczonej po zagładzie wiedzy. Z pewnością myślał – że tak świetnie rozwinięty przemysł i zdobycze techniki mogły być wykorzystane dla dobra ludzkości. Dlaczego więc służyły tylko utrwalaniu władzy nikczemnego tyrana? Myśli te jednakże zatrzymywał dla siebie, wiedząc, że nie nadszedł odpowiedni czas, by głosić je otwarcie. Metalowe miasto zostało zmiażdżone i mieszkańcy Kleve wierzyli, że w pełni zasłużyło na taki los.

Po jakimś czasie ludzie uświadomili sobie, że żywioły zniknęły. Jordan domyślał się, że błękitne płomienie były częstkami Duszy Ziemi, uwolnionymi przez zbliżające się szaleństwo i choć cieszył się z tej oznaki ozdrowienia świata, to jednak zniknięcie żywiołów było kolejną stratą, której żałował.

Najbardziej oczywisty dowód świadczący o ich zniknięciu, oprócz ściany pod Klevemouth, znajdował się w podziemiach samego Wielkiego Portu, Komnata błękitnych płomieni musiała otrzymać nową nazwę, ponieważ wejście do niej nie było już strzeżone. Stała otwarta dla zewnętrznego świata, prezentując swoje, jak zawsze nieskazitelne wnętrze. Wkrótce po powrocie do miasta, Jordan i Hewe zeszli na dół, by spojrzeć na prastary tom, pragnąc przeczytać nową wersję ostatnich wydarzeń.

Tekst okazał się ledwie widoczny, lecz Jordanowi udało się odcyfrować słowa.

–“Jednak to niepowodzenie pobudziło tylko siły Dalekiego Południa do jeszcze większych wysiłków. Ich eksperymenty szybko zaczęły dawać rezultaty i wkrótce mogli porzucić wykorzystywanie starożytnej mocy, zastępując ją nową nauką, którą stworzyli. I tylko dzięki połączonym talentom Strażniczek Klucza do Snu – starej i nowej, które wspierała wiedza Starego Porządku, zdołano zapobiec nadejściu Wieku Chaosu”.

Jordan próbował przewrócić stronę, ciekaw dalszego ciągu, lecz papier kruszył mu się w palcach i rozsypywał, zdmuchnięty słabiutkim powiewem własnego rozpadu. Księga, teraz już naprawdę stara, na ich oczach zmieniła się w proch.

–Zatem przyszłość znowu jest zamkniętą księgą – zauważył Hewe. Jordan spojrział na niego, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

–Ani krztyny wyobraźni – rzekł oskarżycielsko.

–Ani – przytaknął ochoczo Hewe. – Prawdziwy świat wystarcza mi zupełnie!

–Przyjmuję twoją naganę – odpowiedział Jordan, kłaniając się lekko.

–Och, to nie była nagana – odparł z uśmiechem wielki mężczyzna. – Prawdziwy świat byłby o wiele nudniejszy, gdyby nie było na nim marzycieli takich jak ty.

–Więc w końcu poznałeś moją prawdziwą wartość! – z przesadną radością zawołał Jordan.

–Oczywiście, O Wielki – odpowiedział Hewe, radośnie kontynuując

przedstawienie. – Poszedłbym z tobą na koniec świata.

–I z powrotem?

–I z powrotem – potwierdził Hewe. – Szczególnie z powrotem.

Nikt już nigdy nie zobaczył Wraya. Świadców jego niezwykłego spotkania z żywiołami było bardzo niewiele i tylko Kai zrozumiał trochę z tego, co się wydarzyło. To prawda, że pomogły mu księgi, lecz i bez nich mógł zrozumieć, że Wray w końcu odgadł prawdziwą naturę płomiennych istot. Smutkiem napełniała go myśl, że Wray pojął to zaledwie na chwilę przed śmiercią.

Jednakże nic tak naprawdę nie mogło być pewne. Kaia nie odstępowało uczucie, że Wray nie umarł – a przynajmniej nie w potocznym rozumieniu – i że jego spóźnione pojednanie z istotami, którymi niegdyś pogardzał, zapewniło mu jakąś formę przetrwania.

Ostatni raz widziano Jeźdźca, gdy stał wśród wirującej masy błękitu z szeroko rozpostartymi ramionami. Jego ciało stopniowo stawało się przezroczyste, lśniąc energią otaczających go nowych przyjaciół.

A potem Wray i żywioły zniknęli – i nikt nie znał ich ostatecznego przeznaczenia.

Miesiące, które nastąpiły po bitwie, mijały dla Kaia wolno. Od tak dawna jego życie polegało na ściganiu kolejnych celów i przeznaczeń, a teraz to wszystko się dokonało – albo na zawsze znalazło się poza jego zasięgiem. Nie musiał już dalej wędrować; pragnął spokoju i samotności. Było mu ciężko na sercu, a czasem nawet żałował, że odzyskał wzrok – jakby w zamian za zwielokrotnienie więzi z rojem otrzymał coś gorszego.

Tak, więc lato zastało go w skromnej chacie, na skraju maleńkiej rybackiej wioski przycupniętej na brzegu przy drodze łączącej Altonbridge z Nowym Portem. Zana wciąż z nim była i czarodziej uważał jej obecność za rzecz naturalną. Teraz, kiedy już widział normalnie, nie potrzebował jej pomocy, ale była miłym towarzyszem i nie pozwalała, by jego dom obrócił

się w kompletną ruinę.

Początkowo mieszkańcy wioski unikali przybyszy, ale wkrótce ich zaakceptowali. Kai z radością wykorzystywał swoje lecznicze zdolności, by pomagać chorym, a Zana od czasu do czasu udzielała porad właścicielowi wioskowej gospody. Poza tym trzymali się na uboczu i ich odosobnienie było szanowane – choć miejscowe plotki czyniły z nich osoby intrygujące i tajemnicze.

Któregoś dnia w środku lata, kiedy słońce wysoko wznosiło się na niebie, Zana wyszła z chaty, by usiąść na ganku otwierającym się na zatokę. Kai wstał wcześniej, jak miał to w zwyczaju podczas tych upalnych dni, i wyruszył na długi spacer po plaży. Zana

widziała go, jak wraca do chaty ze zwieszoną głową, jak zawsze pogrążony w myślach. Rój tworzył mały cień nad głową czarodzieja.

Och, Kai – pomyślała, kiedy nareszcie uniesiesz wzrok i ujrzysz to wszystko, co cię otacza?

Jakby w odpowiedzi na jej niewypowiedziane słowa, czarodziej uniósł głowę i pozdrowił ją gestem. Serce Zany zabiło szybciej, jak zawsze pełne nadziei. Bardzo go kochała, lecz doskonale wiedziała, że nigdy nie zdoła zająć miejsca Gemmy. Z bólem przyglądała się ich rozstaniu; nawet teraz zdarzały się chwile, kiedy zastanawiała się, czy Kai rozmawia z nią, czy też ze swoją dawną, nieobecną przyjaciółką. Chciała wstrząsnąć nim, by się opamiętał, powiedzieć mu, że utracił Gemmę na zawsze, że gdyby tylko przestał żyć przeszłością, mógłby być znowu szczęśliwy. A jednak wciąż się powstrzymywała, zadowolona z prostego bycia z nim, z tego, że może być jego gospodynią i towarzyszem, choć pragnęła znacznie więcej.

Może powinniśmy wrócić - pomyślała. – Popłynąć na północ. Ciekawe, jak idą interesy w Gwieździe? Lecz zaraz potrząsnęła głową. Nie, nie możemy wracać. Teraz to jest nasz dom.

Wraz z tą decyzją wezbrała w niej nowa determinacja. Postanowiła, że nawet, jeśli nie zdoła zastąpić Gemmy, to zrobi wszystko, by uczynić Kaia szczęśliwym.

Wiedziała, co to znaczy stracić pierwszą prawdziwą miłość – przecież ona sama przybyła do tych południowych krain w poszukiwaniu zaginionego kochanka – powtarzała sobie – nie ma powodu, dla którego ona – dla którego oni oboje nie mogliby być ze sobą szczęśliwi.

Wstała więc i spojrzała przez wydmy ku plaży, chcąc dołączyć do Kaia na ostatnim odcinku powrotnej drogi.

Kai ujrział, jak nadchodzi, i zatrzymał się w miejscu, obserwując jej gibkie ruchy i długie włosy powiewające na łagodnym wietrze. Wpatrywał się w nią, jakby nigdy przedtem jej nie widział.

Byłem ślepy! - pomyślał.

Znowu potrzebujesz naszych oczu? - zapytały pszczoły.

Kai spojrział na nie, rozbawiony.

Nie - odparł, przenosząc wzrok na Zanę. – Tym razem potrafię wyleczyć się sam.

Zeszła już na plażę i teraz szli wolno ku sobie, nie spiesząc się, lecz z każdym krokiem nabierając pewności. To, co się wydarzyło, nigdy nie zostanie zapomniane, lecz może być zepchnięte gdzieś w zakamarki ich pamięci. Przeszłość ostatecznie się skończyła

–a przed nimi rozciągała się pełna możliwości przyszłość.

Kai uniósł rękę w geście pozdrowienia i uśmiech, jakim odpowiedziała mu Zana, niósł ze sobą wszystko, co chciał wiedzieć.

C'tis wędrowała przez puste kamienne sale. Próbowali powstrzymać ją przed samotnym powrotem do własnego świata, lecz wiedzieli, tak jak i ona, że nie zdoła przeżyć długo w nadziei. I chociaż nikt nie powiedział tego głośno, wszyscy i tak wiedzieli, że jej życie już się skończyło. Była ostatnia ze swego narodu.

Jej wędrówka wydawała się nie mieć końca, pieczary i tunele zmieniły się nie do poznania. Niemal od razu zabłądziła, gdy tylko wkroczyła do Mrocznego Królestwa. Szła, więc bez celu, wiedzona absurdalną nadzieją odnalezienia jakiegoś drobnego śladu ludu, który dał jej życie i który teraz odszedł na zawsze. Natrafiła na jakieś barwne znaki wymalowane na odkształconych skałach, lecz nawet w przybliżeniu nie przypominało jej to niczego znajomego. Gorzkie łzy wypełniły jej ogromne oczy.

Nic. Nic w ogóle.

Wiedziała, że ofiara jej narodu nie poszła na marne, wiedziała też, że i tak zabiłaby ich straszliwa zielona choroba. Mimo to nie potrafiła pogodzić tych nowych pieczar ze swoim dawnym życiem. Cała cywilizacja nie może zniknąć ot tak sobie. To było niemożliwe.

Skały wciąż były ciepłe, lecz C'tis prawie tego nie zauważała. Zdjęła taśmę z rybiego jedwabiu, która od tak dawna okrywała jej ciało. Zaczęła o niej myśleć jak o swojej drugiej skórze i bez niej czuła się bezbronna. Traciła siły i nie uczyniła nic, by je odnowić; potykając się szła dalej przez kamienny labirynt, który niegdyś był jej domem.

Nic. Nic w ogóle.

Kiedy nogi odmówiły jej posłuszeństwa, zaczęła pełznąć, nie chciała zatrzymać się ani na chwilę.

To właśnie wówczas zobaczyła – lub wydawało jej się, że widzi – Szepczące Światła. Maleńkie odpryski wielobarwnego światła, nieustannie zmieniające się, rozbrzmiewające cichym szmerem w ciszy. Prowadziły ją, a ona podążała za nimi, nie zważając na pokaleczone dłonie i kolana – widziała, że coś jednak pozostało.

Choć wszystko wokół było nowe i inne, Wieża Dusz w jakiś przedziwny sposób pozostała nietknięta. Jakiś cud sprawił, że płomienie minęły jej wejścia, jakby świątynia była poświęcona właśnie niszczycielskim płomieniom.

C'tis z trudem podniosła się na nogi i zobaczyła wymalowaną na ścianie podobiznę Raela – Duszy Ziemi. Wszędzie wokół rósł raellim; płacząc, C'tis wyciągnęła rękę i oderwała trochę drogocennych grzybów.

Wieża Dusz nie będzie miała mi tego za złe. Jestem ostatnia.

Nie chciała już iść dalej i usiadła naprzeciw podobizny boga.

Teraz pomożesz mi coś sobie przypomnieć.

Uśmiechnęła się, podniosła grzyb do ust i poczuła, jak dzika ziemia przesącza się do krwi. Z radością powitała sny, wiedząc, że przynajmniej one będą zamieszkane.

I zaraz do niej przyszli, witani radośnie i z ufnością, uśmiechnięci i szczęśliwi, gdy moc raellimu powołała ich znowu do życia. Jej rodzice i jej brat, prorocy i mieszkańcy Półwyspu. B'van i L'tha. C'lin, T'via, V'dal i D'vor. I na samym końcu J'vina.

C'tis pozdrawiała ich wszystkich, w miarę jak narastała w niej moc dzikiej ziemi. W końcu stanęła obok nich, wysoka i dumna, ofiarując swoje życie, tak jak oni ofiarowali swoje.

Z delikatnością, która przechodziła najśmielsze oczekiwania, Dusza Ziemi przyjęła jej ofiarę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Myrkety pozostały z Gemmą tylko parę dni. Klan, który opuścił pustynię wraz z nią wiele miesięcy temu, był teraz straszliwie przerzedzony. Wędrowcy cierpieli z powodu utraty przyjaciół z ogromnej nory, szczególnie J'viny, która stała się im ogromnie bliska. Myrkety wyjaśniły Gemmie, że wykorzystały moc klanu, by czuwać nad zdrowiem grupy podczas pobytu w skażonych pieczarach. Gemma nie wiedziała, że myrkety potrafią wykorzystać magię swego szczególnego kręgu w taki właśnie sposób, i miała nadzieję, że jej własne zdolności lecznicze jakoś im w tym pomogły.

Przypuszczała również, choć myrkety nie potwierdziły tego jednoznacznie, że właśnie, dlatego, iż klan był częścią magicznych kręgów, został uratowany przez latające miasto po rozstaniu się z J'viną podczas końcowego starcia.

Gemma cieszyła się z towarzystwa małych stworzonek przez ten krótki czas, kiedy mogli być razem, one zaś radowały się z połączenia z przyjaciółką klanu. Jednak wszyscy wiedzieli, że wkrótce będą musieli się rozstać. Nikt nie miał wątpliwości, dokąd zmierzają Gemma i Arden, a myrkety wiedziały już, że nie potrafią żyć w Dolinie Poznania.

Kiedy nadszedł czas pożegnania, Gemma oddała klan pod opiekę Hewe'a. Wielki mężczyzna ucieszył się z powierzonego mu zadania, zauroczony wdziękiem futrzastych istotek. Przyrzekł odprowadzić je z powrotem na Diamentową Pustynię.

Czy powrócisz do kamienia? - zapytała Av Gemmę.

Zawsze będziemy witali cię z radością, Gem-ma - dodał Ox.

Wrócę, obiecała, ale minie wiele, wiele dni, zanim znowu się spotkamy.

Do tego czasu klan będzie miał dla ciebie dobre znane-wszystkim-szczęśliwe kłamstwo - powiedział Ed. Będziemy ćwiczyć.

Kilka dni później Hewe stał na skraju pustyni, obserwując, jak Wędrowcy w radosnych podskokach biegną w stronę swego starego domu.

Chciałbym tam być, kiedy dotrą do kamienia - pomyślał tęsknie. Założę się, że będzie tam prawdziwe przyjęcie!

Gemma i Arden jechali dalej sami. Pragnęli jak najszybciej wrócić do Doliny. Jordan uparł się, by wzięli dwa ostatnie konie, które przeżyły bitwę, a oni z wdzięcznością przyjęli ten podarunek. Bez koni czekałby ich długi, wyczerpujący marsz.

Kiedy dotarli do Doliny, czekały ich tam wieści lepsze, niż przypuszczali. Najpierw zajechali do położonego na południowym krańcu Doliny gospodarstwa Elwaya i Teri. Rodzice Mallory powitali ich z radością w sercach i z otwartymi ramionami. Poinformowali powracających wędrowców, że rzeka wyschła kilka dni po ich wyjeździe. Od tego czasu zielona epidemia zaczęła ustępować. Teraz chorowało zaledwie parę osób, ale i oni czuli się coraz lepiej. Rzeka popłynęła znowu ledwie kilka dni po wyschnięciu, wywołując strach i trwogę, szybko jednak zauważyli, że woda jest znowu czysta -życiodajna krew Doliny powróciła.

Teraz rzeka płynęła przez Dolinę stale, nie zwracając swego biegu, co drugi rok. Wstrząs wywołany przez Duszę Ziemi uczynił to zupełnie pewnym.

Kiedy przybyli do domu Mallory, zobaczyli od razu z jak wielką niecierpliwością ich oczekiwano.

–Wróciliśmy! – oświadczyła Gemma wśród łez i śmiechu. – Tym razem na dobre.

Ona i Arden pragnęli uczynić Dolinę swym domem. Nigdy nawet nie rozważali możliwości zamieszkania gdzie indziej.

–Miałam nadzieję, że to powiesz! – zawołała Mallory. – Witajcie w domu!

–Jak się miewa mała Gem?

–Doskonale. Śpi teraz, ale wejdź i spójrz na nią. Obie kobiety zniknęły w domu, a Arden opowiedział Kragenowi i chłopcu o

ostatnich, doniosłych wydarzeniach.

–Czy nie zachowywała się jakoś dziwnie, kiedy nas nie było? – zapytała Gemma.

–Nie. Dlaczego – czy powinna? – Mallory spojrzała z zaciekawieniem na swoją przyjaciółkę.

–Żadnych bezsennych nocy?

–Nie więcej niż każde inne dziecko. Co to wszystko znaczy, Gemmo?

–Twoja córka jest kimś wyjątkowym. Już ci to mówiłam. A pewnego dnia będę musiała z nią o tym porozmawiać.

–Cóż, mam nadzieję, że to, co powiesz, będzie miało więcej sensu niż to, co teraz mówisz mnie – odpowiedziała Mallory.

–Ja też mam taką nadzieję – odparła z uśmiechem Gemma.

Weszły do pokoju dziecka i pochyliły się nad łóżeczkiem. Gem obudziła się i otworzyła szeroko oczy, przypatrując im się uważnie. Potem zagaworzyła radośnie, wymachując małymi rączkami.

–Ciesz się, że cię widzi – roześmiała się Mallory.

Ja również się cieszę, że cię widzę - odpowiedziała w duchu Gemma.

Jedyną reakcją było znów radosne gaworzenie i szybkie mrugnięcie ogromnych, brązowych oczu.

I cieszę się, że wciąż możesz być dzieckiem - pomyślała Gemma. Na razie zrobiłaś dosyć.

Kiedy dziecko uniosło wzrok na swoją imienniczkę, Gemma miała przez chwilę wrażenie, że w tym poważnym spojrzeniu zawiera się wiedza całego świata.

Jakie tajemnice kryją się w twojej główce? - zastanowiła się, ciesząc się, że będzie mogła obserwować dorastanie dziecka. To nieistotne. Mamy mnóstwo czasu.

Gem odwzajemniła jej spojrzenie – niewinne i nagle pełne zrozumienia.

–Zdaje się, że wszystko załatwione – zwrócił się Arden do Gemmy, kiedy z Mallory dołączyły do swych mężów. – Jest tutaj puste, porzucone w czasie suszy, gospodarstwo, niedaleko stąd za rzeką.

–Zbiore parę ochotników i szybko doprowadzimy je dla was do porządku – rzekł Kragen.

–To cudownie! – zawołała Gemma.

–I zbudujemy most! – powiedział z podnieceniem Vance – tak, żebyśmy mogli przechodzić na drugą stronę i codziennie was odwiedzać.

–Ale Gemma i Arden może będą chcieli odpocząć z dala od hałaśliwych dzieciaków – upomniał go ojciec.

To zbiło Vance’a z tropu.

–Naprawdę? – zapytał żałośnie.

–Może czasami – odparł Arden – ale poza tym możesz nas odwiedzać.

–Hurra! – wrzasnął Vance.

–A do tego czasu – dodał Kragen – będziemy musieli schodzić do Niższej Doliny, by przedostać się na drugi brzeg, chyba, że ktoś jest amatorem pływania. Czy pójdziemy tam teraz i obejrzymy to miejsce?

Gemma i Arden przeprowadzili się do swojego nowego domu wczesną wiosną. Wszyscy mieszkańcy pomagali im z radością – tak więc ich gospodarstwo było wygodnie urządzone już od pierwszego dnia.

Ich życie wkroczyło na ścieżkę spokojnego zadowolenia. Gemma pracowała jako lekarka, znajdując w tym zajęciu najlepsze ujście dla swych magicznych talentów, Arden zajął się gospodarowaniem i ogrodnictwem. Już wkrótce uprawiał własne warzywa i owoce, stając się w tej dziedzinie prawdziwym ekspertem. Oboje czerpali radość z prostoty i spokoju swojego życia, zwłaszcza po zamęcie ostatnich lat. Byli razem – i tylko to się liczyło.

–Jesteś szczęśliwy, kochanie? – zapytała pewnego dnia Gemma.

–Wiesz, że jestem – powiedział Arden.

–I nie przeszkadza ci, że nie możemy mieć dzieci?

–Wystarczamy dla siebie – odparł prosto. – Jesteś wszystkim, czego będę kiedykolwiek potrzebował.

–Jesteś pewien?

–Absolutnie. Poza tym, Jon i Vance są wystarczająco męczący i uważam, że pod koniec dnia

powinniśmy ich zwracać rodzicom!

–Tylko poczekaj, aż mała Gem zacznie chodzić – przestrzegła Gemma. – Mam przeczucie, że będzie bardziej niesforna niż obaj chłopcy razem wzięci.

**–Tu możesz mieć rację. Kobiety zwykle trudniej utrzymać na wodzy –
odpowiedział.**

–Takie uwagi mogą sprawić, że znajdziesz się w rzece – odparła.

–Rozumiesz, co miałem na myśli? – zapytał Arden, rozkładając szeroko ręce i spoglądając w niebo, jakby prosząc o zesłanie nań cierpliwości.

Roześmieli się.

**–Patrzysz w złą stronę – powiedziała Gemma. – Dusza Ziemi jest na dole,
pamiętasz?**

Arden wziął ją w ramiona i pocałował mocno.

–Jestem mężem pedantki – powiedział jej.

–Szczęśliwym mężem – poprawiła.

**–Rzeczywiście szczęśliwym – powiedział. – Jestem bardziej szczęśliwy niż
kiedykolwiek przedtem. Wiesz, co mi się śniło ostatniej nocy?**

Potrząsnęła głową.

–Mój ojciec.

**–Och. – Arden często śnił o nieszczęśliwych czasach swego dzieciństwa. Budził się
przygnębiony i odczuwał wielką ulgę, gdy znajdował u swego boku Gemmę.**

**–Lecz tym razem to nie był koszmar. Stary drań dręczył mnie o wiele za długo i
tym razem powiedziałem mu nareszcie, żeby dał mi święty spokój. Odszedł potulny jak jagnię!**

Arden uśmiechnął się do żony. Wreszcie przeszłość ułożyła się do wiecznego spoczynku.

**W ciągu następnych lat, Arden i Gemma stali się miłowaną z całego serca częścią Doliny, i
trudno było sobie przypomnieć czasy, kiedy ich tam nie było. Każdej zimy wyjeżdżali na mniej
więcej miesiąc, odwiedzając myrkety i swych przyjaciół w Wielkim Nowym Porcie, a nawet**

górką siedzibę Shantiego i Wynuta. Musiało minąć trochę czasu, nim poczuli się swobodnie w towarzystwie Kaia i Zany, lecz i ten dzień w końcu nadszedł. Wszystkie te podróże zaspokajały ich potrzebę kontaktu ze starymi przyjaciółmi i cieszyli się widząc, że wszystko układa się jak najlepiej. Były to radosne wyprawy, lecz zawsze z zadowoleniem witali powrót do domu.

Szczególnie od chwili, gdy mała Gem osiągnęła wiek pozwalający dostrzec jej ich nieobecność. Witała ich zawsze z taką radością, a widok małej dziewczynki pędzącej ku nim z rozwartymi ramionami, wzruszał Gemmę do łez. W miarę upływu lat stało się oczywiste, że istnieją jakieś tajemne powody, dla których Gem tak straszliwie za nimi tęskni, powody, których nie potrafiła jeszcze wyjaśnić.

Dolina, która stała się ich domem, wciąż była cudownym miejscem, łączącym spokój i piękno. Mimo to jej mieszkańcy wiedzieli, że stało się coś nieodwracalnego. Dotknęło ją barbarzyństwo zewnętrznego świata, jej zamknięcie i odosobnienie zostały naruszone. Chociaż nikt nigdy nie powiedział tego głośno, wszyscy rozumieli, że to, co wydarzyło się raz, może wydarzyć się znowu.

Gemma i Arden żyli pełnią życia, przyczyniając się własną pracą do pomyślności Doliny i ufając, że ich dom na zawsze pozostanie spokojny i bezpieczny.

Wiele rzeczy cieszyło ich oczy i serce. Świeża zieleń wiosny, szachownica pól z letniego złota, ciepłe barwy jesieni i posępne piękno zimy. Wolne, dzikie ptaki i zwierzęta, piękne kwiaty i drzewa, rzeka i wzgórze, a za nimi wielkie góry rysujące się majestatycznie na tle nieba, blask słońca i deszcz, mgła i wiatr, zmieniające się pory roku, żniwa i święta. To wszystko tworzyło cudowną całość, jaką była Dolina, rzucająca swój niezwykły czar na wszystkich, którzy w niej żyli.

Ów czar był szczególnie silny pewnego letniego dnia o zmierzchu, kiedy Gemma stała w drzwiach swego domu, obserwując Ardena pielącego ziola. Uniósł wzrok i ujrzał,

jak uśmiecha się do niego. Była tak piękna, że nie potrafił oderwać od niej oczu.

–O czym myślisz? – zapytał.

–O tym, jak cudowne jest życie – odparła. – Bycie tutaj z tobą. Kilka lat temu nie potrafiłabym sobie nawet wyobrazić, że takie szczęście jest możliwe.

Arden przerwał pracę, podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

–Cóż, lepiej przywyknij do tego, moje kochanie – powiedział czule. – Ponieważ

płynie to szczęście, jest go o wiele więcej!

EPILOG

–Ale mam już czternaście lat! – Całe, właściwe jej wiekowi oburzenie pojawiło się na twarzy Gem. – Jestem już dorosła. Dlaczego więc nie możesz mi teraz powiedzieć? –

Gemma widziała w swojej imienniczce całą niecierpliwość i wszystkie zawiedzione nadzieje swej własnej młodości, tak teraz odległej.

Wówczas nikt mnie nie rozumiał - pomyślała. – Muszę traktować ją jak dorosłą. Przypomniała sobie obojętność, która wydawała się wtedy tak okrutna i która czyniła jej własną młodość tak bolesną. Nawet Kai nigdy się nie dowiedział, jak bardzo cierpiała. Nie mogę popełnić tych samych błędów.

A jednak wciąż się wahała. Od lat myśl o tym napawała ją lękiem.

–Proszę – naciskała Gem. – Wszyscy mówią, “Gemma powie ci we właściwym czasie”, ale ty jesteś taka tajemnicza. I chcę wiedzieć, dlaczego!

–Dobrze – powiedziała powoli Gemma. – Spróbuję ci wyjaśnić. Nie będzie to łatwe, maleńka, więc proszę, bądź cierpliwa. – Zignorowała grymas, jaki pojawił się na twarzy dziewczyny, i spróbowała uporządkować swoje myśli.

–Co wiesz o magii? – zapytała w końcu.

–Cóż, wiem, że ty ją wykorzystujesz, by leczyć ludzi – odparła Gem – i że możesz rozmawiać z myrketami.

–W ten sposób ją wykorzystuję, ale czy wiesz, czym ona jest?

–Nie, nie wiem.

Tak, więc Gemma zaczęła mówić o zasadach okiełznywania i wykorzystywania

energii umysłu, potem szczegółowo wyjaśniła, czym są magiczne kręgi i na czym polega jej własne, wyjątkowe miejsce wśród nich. Jej imienniczka słuchała jak urzeczona.

–Och! – wykrzyknęła, kiedy w końcu zrozumiała. – Wszystkie te kręgi przechodzą przez ciebie? – Wpatrywała się w Gemmę szeroko rozwartymi oczyma, tak bardzo dziecięca w swym zdumieniu, a przecież miała być już dorosła.

–Tak – odparła Gemma. – Kręgi pomogły mi w walce z Mendle’em i z Wielkim Przywódcą. Bez nich byłabym bezradna.

–Chciałabym, żeby magia była tutaj – powiedziała zamyślona Gem.

–Jest, kochanie. Jest wszędzie wokół ciebie.

–Naprawdę? – Dziewczyna wyglądała na wstrząśniętą.

–Dolina jest jednym z kręgów – wyjaśniła Gemma. – I to bardzo ważnym.

–Ale tutaj nigdy nic się nie dzieje. *Któregoś dnia będziesz jeszcze za to wdzięczna* - pomyślała Gemma, a potem

ciągnęła dalej:

–Wszyscy w Dolinie biorą udział w poznaniu, a ten właśnie proces jest formą magii, jakiej nie posiada nikt inny. Jest jeszcze Kris, jego ciepło i proroczy dar. Wasz krąg chroni wasz dom przed zewnętrznym światem. Ta Dolina jest magicznym miejscem, wierz mi.

Gem zastanowiła się.

–Skąd miałabym to wiedzieć? – zapytała z oburzeniem. – Nie podróżowałam po świecie tak jak ty! – Potem coś innego przyszło jej do głowy. – Czy my wszyscy jesteśmy w kręgu?

–Tak.

–Nawet ja?

–Szczególnie ty, Gem. To właśnie, dlatego nie rozumiałaś niektórych rzeczy.

–Masz na myśli sny i przywidzenia?

Gemma skinęła głową, a na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz z troskaniem. *Mam nadzieję, że jesteś na to przygotowana* - pomyślała Gemma. – *Ponieważ teraz*

nie możemy się już zatrzymać.

–Ludzie zawsze milkną, gdy się zbliżam – poskarżyła się ze smutkiem Gem. – Jak gdyby ukrywali coś przede mną. Nawet mamusia i tatuś. To nie w porządku!

–To moja wina, kochanie. Musiałam być pewna, że jesteś gotowa – i że właśnie ja ci to powiem.

–Dlaczego?

–Ponieważ to mój obowiązek – odpowiedziała stanowczo Gemma. – I nie chciałam pozbać cię twego dzieciństwa. – Słuchaj uważnie, Gem. To, co teraz usłyszysz, jest niezwykle ważne, ale nie powinnaś się tego bać. Zawsze tu będę, jeśli będziesz mnie potrzebować.

–A jeśli wyjedziesz?

–Nawet wówczas.

–Nie rozumiem. – Gem wyglądała teraz dziecinnie i bezbronne.

–Osoba, która znajduje się w miejscu, w którym przecinają się kręgi, nazywana jest Kluczem do Snu – zaczęła Gemma.

–I to jesteś ty?

–Tak – potwierdziła. – Ale nadejdzie czas, kiedy wszystkie kręgi poruszą się. Obrócą się tak, że chociaż dalej będą przechodziły przez jeden punkt, będzie to już inny punkt.

–Więc nie zawsze będziesz Kluczem do Snu.

–Nie.

–Kiedy nadejdzie ta zmiana?

–To – odparła Gemma – zależy od ciebie.

–Ode mnie!?

–Jesteś następnym Kluczem do Snu. Niedowierzanie i strach odmalowały się na twarzy dziewczyny.

–Nie mogę być Kluczem – szepnęła. – Nie będę wiedziała, co robić.

–Dowiesz się, kiedy będzie trzeba – odparła z przekonaniem Gemma. – Wszystkie

kręgi będą przy tobie, by ci pomóc – a ja wciąż będę w jednym z nich, więc zawsze mnie znajdziesz.

Na chwilę zapadła cisza, gdy Gem borykała się z nowymi myślami.

–Będę musiała walczyć?

–Mam nadzieję, że nie, kochanie. Teraz żyjemy w pokoju i nie ma żadnych

powodów, by sądzić, że to się zmieni – może nawet będzie tak wiecznie.

–Od kiedy o tym wiesz? – zapytała Gem po chwili.

–Wiedziałam, zanim się jeszcze urodziłaś. Gemmę zaskoczyło, że przyjęła to stwierdzenie tak spokojnie. *Dorasta tak szybko!*

–Jak się czułaś... kiedy zostałaś Kluczem?

–Nie wiem – odparła. – Miałam wtedy zaledwie siedem lat.

–Och.

–Nie było nikogo, kto by mógł mi powiedzieć, co to znaczy – ciągnęła Gemma. – Musiałam sama przebyć długą drogę, nim się dowiedziałam. – Przynajmniej tego mogę ci oszczędzić.

–Nie bałaś się?

–Tak, trochę. Bo niczego nie rozumiałam. Ale ty nie musisz, Gem. Już dokonałaś czegoś cudownego – czegoś, czego nikt inny nie potrafiłby zrobić. Dziewczyna spojrzała na nią pytająco.

–Nie pamiętasz chyba pierwszego snu, jaki śniłyśmy razem – powiedziała Gemma. – Byłaś małym dzieckiem...

–Pamiętam! – zawołała jej imienniczka. – Byłam na górze i był tam wielki ogień – i

ty mówiłaś mi różne rzeczy, a potem ogień zgasł i było tam jezioro – zakończyła bez tchu.

Teraz zdziwiła się Gemma.

–To była bitwa z Wielkim Przywódcą – powiedziała po paru chwilach. – Pomogłaś nam porozumieć się z Duszą Ziemią – największym kręgiem. Bez ciebie wszyscy zginęlibyśmy.

–Naprawdę? – Odrobina pewności siebie pojawiła się w głosie dziewczyny.

Gemma skinęła głową.

–Jesteś kimś wyjątkowym, Gem. Wszyscy to wiedzą i właśnie, dlatego czują się przy tobie niepewnie.

–Wszyscy?

Gemma uśmiechnęła się odgadując myśli dziewczyny.

–Zawsze będziesz ich młodszą siostrą, tak jak ja zawsze będę żoną Ardena -odparła. Vance i Jon kochają cię, nawet, jeśli czasem ci dokuczają. – Gem wyglądała, jakby nie do końca mogła w to uwierzyć. – Kiedy zostaniesz Kluczem, będziesz potrzebowała swojej rodziny i tej Doliny bardziej niż kiedykolwiek ciągnęła Gemma. – Twoje szczególne zdolności będą wykorzystywane tylko w wyjątkowych, niezwykłych okolicznościach.

–A kręgi powstrzymają mnie przed uczynieniem czegoś niewłaściwego, prawda? – W jej głosie znowu pojawił się ton dojrzałości.

Zdrowy rozsądek Gem wywołał uśmiech na twarzy Gemmy. Rodzice obdarzyli dziewczynę wrodzoną inteligencją i spokojnym usposobieniem. Kragen i Mallory wiedzieli, że przeznaczenie ich córki jest wyjątkowe, lecz nigdy nie będą mogli zapomnieć, że wciąż jest ich małą dziewczynką.

–Czy nie będziesz żałowała, że nie jesteś już Kluczem? – zapytała nieśmiało Gem.

–Nie, kochanie – usłyszała łagodną odpowiedź. – Moje życie jest już wypełnione.

–Kiedy kręgi się poruszą?

–Kiedy ty tego zapragniesz. Masz do dyspozycji połączone moce kręgów i swojego domu – powiedziała jej Gemma. – Jak dotąd, Dolina działała jak puklerz, lecz ty możesz wprowadzić kręgi do środka, kiedy tylko zechcesz. W każdej chwili możesz zechcieć spotkać się z nimi.

Gem odwzajemniła jej spojrzenie swoich brązowych, rozszerzonych oczekiwaniem oczu.

Czy już czas? Czy już koniec oczekiwania?

Tak - odparła Gemma, uśmiechając się, gdy wyczuła, jak zdziwienie przebiegło przez kręgi.

Opuszczasz nas. To już było stwierdzenie – zabarwione smutkiem, ale i podnieceniem.

Nowa era.

Oba Klucze śniły ten sam sen, leżąc w swoich sypialniach po dwóch stronach rzeki. Gemma wyczuła pierwszy delikatny kontakt i już wiedziała, że mała Gem podjęła decyzję. Przesłała jej swe wsparcie i przyglądała się, jak dziewczyna prosi Dolinę, by otworzyła swój świat dla kręgów.

Przybyły szybko i Gemma upajała się powtarzającym się kontaktem, o którym wiedziała, że będzie ostatnim. Twarze z jej dawnego życia i nowego, znajome i nieznane.

Głosy o różnych tonacjach i wieku, pieśni domu i otwartego nieba. Krajobrazy bardziej urozmaicone niż wszystko, co kiedykolwiek widziała – góry, miasta, równiny i oceany. Blask słońca na wodzie, migotanie gwiazd na śniegu. Smutek i radość. Gniew i miłość. Czas mijał,

zmieniały się pokolenia. Kręgi przesuwały się.

Jest tutaj ktoś, kogo chcę przedstawić wam wszystkim.

Gem pozdrowiła ich nieśmiało, zmuszając się, by spojrzeć poza krąg znajomych postaci mieszkańców Doliny.

Powitały ją uśmiechy tysiąca innych, nieznanych twarzy. Wynut i Shanti, tak samo niedorzeczni jak zawsze, rzucający spojrzenie znad swojego ostatniego wynalazku; Kai, z rojem brzęczącym sennie nad głową; Jordan, trzymający w ręku pióro zawisłe nad papierem, oświetlony blaskiem palącej się nad biurkiem lampy; złotowłosa mężczyzna, trzymający dłoń swej fiołkowookiej żony; ekscentryczny pustelnik, przyodziany w skóry i otoczony zwierzętami swej górskiej siedziby; Adria, przerywająca rozmowę z synami; myrkety, radujące się połączeniem klanu – i wiele, wiele innych.

Gem zobaczyła ich wszystkich i wiedziała, że będą zawsze czekać na jej wezwanie. Uśmiechnęła się w swoim śnie.

Ostatni i najwyraźniejszy obraz przedstawiał Gemmę i Ardena, bezpiecznych i radosnych, w objęciach swych ramion.

koniec Księgi III i ostatniej

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/